

**ANNE MCCAFFREY**

**DELFINY Z PERN**

tom dwunasty

***Jezdźcy Smokow***

**PRZEKŁAD JAN ZAREMBA**

Dla mojej wnuczki Elizy Oriany Johnson  
Księżniczki i damy dworu z bajki

## PROLOG

### W 102 LATA PO WYLĄDOWANIU

Kibbe po raz ostatni szarpnął linę dzwonu. Cały ranek robili to na przemian z Corey, a teraz słońce chowało się już za wzgórze i ciągle nikt nie reagował na ich sygnały. Zwykle ktoś wychodził z budynku przy doku — najczęściej bywali to prości żeglarze. Tym razem jednak łodzie zacumowane do nabrzeża kiwały się na falach i widać było, że od jakiegoś czasu nikt w nich nie wypływał na połowy.

Corey cmoknęła zniechęcona. Inne delfiny z ich stada dawno już odpłynęły, aby samodzielnie łowić ryby. Znudziło je oczekiwanie na pojawienie się istot ludzkich i na poczęstunek, szczególnie, że o tej porze roku pomocne wody obfitowały w łatwą zdobycz. Wydmuchnęła fontannę wody na znak, że jest głodna. Tak ją zdenerwował brak reakcji ze strony ludzi, że nie chciało jej się użyć Mowy.

— Panowały choroby, Ben mi o tym powiedział — przypominał jej Kibbe.

— Tak, nie czuł się dobrze — odparła Corey, niechętnie posługując się Mową. Istoty ludzkie mogą umrzeć.

— To prawda. — Kibbe, przewodnik stada i jeden z najstarszych jego członków, miał dwoje opiekunów. Ciągłe jeszcze ciepło wspominał Amy, swoją pierwszą opiekunkę. Podobnie jak on czuła się w wodzie niczym ryba, choć nie miała płetw i do pływania musiała zakładać na nogi specjalne urządzenia. Nikt tak jak ona nie umiał drapać Kibbego po podbródku ani zdejmować z niego płatów liniejącej skóry. Gdy został ranny, całe dnie i noce spędzała w wodzie przy jego legowisku, do czasu aż nabrała pewności, że odzyskał siły. Nie przeżyłby, gdyby nie zszyla mu długiej, ciętej rany i nie podawała ludzkich leków zapobiegających infekcji.

Corey miała tylko jednego opiekuna, którego nie widziała od dłuższego już czasu. I to było powodem jej sceptycznego podejścia do ludzi. Nie odczuwała ich braku, w przeciwieństwie do Kibbego. Jemu kiedyś dobrze się z nimi współpracowało. Ciągłe jeszcze pozostawały długie odcinki wybrzeża, których linię należało nanieść na mapy; ludzie chętnie korzystali również z pomocy delfinów przy poszukiwaniu dużych ławic ryb. Praca sprawiała wszystkim przyjemność, a przy tym zawsze pozostawał jeszcze wolny czas na wspólną zabawę. Ostatnio jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić, by wywiązywać się z Umowy Delfinów z ludzkością, było towarzyszenie statkom i czuwanie, aby delfiny spieszyły z pomocą ludziom, którzy wypadli za burtę. Kibbe nie wiedział, czy ludzie w ogóle korzystali z jego ostrzeżeń o zbliżających się sztormach. Często nie zwracali szczególnej uwagi na jego rady, zwłaszcza gdy pochłaniały ich obfite połowy.

Kibbe należał do grupy pełniącej służbę w pobliżu Północno-Zachodniej Otchłani, gdzie przebywała Wielka Przewodniczka Tillek, wybrana przez wszystkie stada ze względu na swoją mądrość. Imię to przekazywano z pokolenia na pokolenie. Kibbego nauczono, podobnie jak inne delfiny instruktorów, że ich plemię podążyło razem z ludźmi na tę planetę, opuszczając oceany Ziemi, w których odbyła się jego ewolucja, gdyż była to dla nich okazja by zamieszkać w czystych wodach nie zanieczyszczonego świata. W takich warunkach żyły delfiny, zanim tech-no-log-ia (już dawno nauczył się bardzo starannie wymawiać to słowo) nie zniszczyła środowiska wodnego Starych Mórz. Kibbe wiedział również, że delfiny niegdyś zamieszkiwały lądy, i nauczał tego pomimo niedowierzania, jakie wywoływał. Pozostałością tego etapu rozwoju delfinów była konieczność oddychania powietrzem atmosferycznym, dla zaczerpnięcia którego musiały się od czasu do czasu wyłaniać na powierzchnię. Słyszał tak stare opowieści, że nawet ci, którzy przekazywali je Tillek, nie znali daty ich powstania. Według nich, delfiny były wysłańcami bogów i miały za zadanie towarzyszyć zmarłym chowanym w morzu w drodze do ich podziemnego świata cieni. Ponieważ delfiny uważały, że to morza leżą pod ziemią, doszło do pewnych nieporozumień.

Ludzie natomiast wierzyli, że świat cieni to miejsce, do którego wędrują „dusze” — cokolwiek to słowo miałooby oznaczać.

Jedną z ulubionych opowieści Kibbego były wspomnienia Tillek o tym, jak kiedyś delfiny oddały hołd załodze statku kosmicznego, która zginęła w katastrofie na Wielkim Oceanie Przesztorzy. Od tego momentu delfiny z planety Pern zawsze towarzyszyły uroczystościom pogrzebowym. Ludzie nie prosili o to, by delfiny włączyły taką ceremonię do swych tradycji, jednakże byli chyba wdzięczni za jej przestrzeżenie.

Inną ważną lekcją było zapamiętanie imion delfinów, które zapadły w Wielki Sen i towarzyszyły rodzajowi ludzkiemu w podróży do nowych, nie zanieczyszczonych mórz planety Pern. Dla uczczenia pamięci pierwszych przybyłych tutaj delfinów oraz ich pobratymców urodzonych w Okresie Przed Opadem Nici, młodym delfiniątkom nadaje się ich imiona. Dźwięczą one melodyjnie w uszach delfinów i mogą być śpiewane w czasie dłuższych wypraw w Wielkich Prądach. Pieśń imion wykonywano zawsze przed próbą pokonania przez młode delfiny potężnych wirów Północno-Zachodniej Otchłani, a nawet tych mniejszych na Morzu Wschodnim.

Tillek uczyła różnych rzeczy, niezbędnych do opanowania całości. Przykładem mogła być opowieść dla młodzieży o Wielkim Śnie, która stanowiła zagadkę nawet dla najzdolniejszych chłopców i dziewcząt, bowiem delfiny nie potrzebują snu. Przespanie piętnastu lat wydawało się im zupełnie niewiarogodne. Młodzież umiała nazywać błyszczące na niebie punkty „gwiazdami”, ale nawet Tillek nie była w stanie wskazać wśród nich Starej Ziemi. Ludzie mieli specjalne urządzenia, pozwalające widzieć na dalsze odległości, ale ponieważ gwiazdy znajdowały się w powietrzu, delfiny nie mogły zgłębić tego problemu. Na niebie, o świcie i o zmierzchu, widać było trzy stałe, świecące punkty. Tillek tłumaczyła, że są to pojazdy kosmiczne, którymi ludzie i delfiny dostali się na planetę Pern. Mówiła, że muszą jej uwierzyć, gdyż ona sama dowiedziała się o tym od Tillek, którą tego uczyła poprzednia Tillek. To połączenie faktów i wiary należało przyjąć, choć nie można ich było sprawdzić. Stanowiły część Historii.

Historia zaś była Wielkim Darem, jaki delfiny otrzymały od rodzaju ludzkiego, pamięcią o sprawach i rzeczach, które przeminęły. Dzięki Historii delfiny otrzymały zdolność mówienia, Największy Dar, który pozwolił im na powtarzanie słów brzmiących jak mowa ludzi, a nie delfinów. Od tego momentu mogły porozumiewać się z ludźmi i pomiędzy sobą, używając słów, a nie wyłącznie dźwięków związanych z morzem.

Kibbe bardzo łatwo uczył się wyrazów, których używali ludzie w rozmowach z delfinami, a także opanował znaczenie gestów służących do porozumiewania się pod wodą. Potrafił również wyśpiewywać słowa w taki sposób, że młodzież z jego stada poznawała je, jeszcze przed przybyciem na wody będące siedzibą Tillek, w celu uzupełnienia swojej edukacji. Kibbe znał również wszelkie zwyczaje pomocne w utrzymywaniu z ludźmi jak najlepszych stosunków.

Założenie było takie: delfiny, najlepiej jak tylko potrafią, miały bronić ludzi przed niebezpieczeństwami czyhającymi w morzu bez względu na pogodę i stopień zagrożenia, czasami ryzykując nawet własnym życiem, by ratować człowieka, tak nieporadnego w środowisku wodnym; zadaniem ich było także wskazywanie ławic najbardziej poszukiwanych gatunków ryb oraz ostrzeżenie przed kaprysmi morza. Ludzie natomiast za te usługi obiecywali oczyszczać ciała delfinów z ryb-pijawek, wyprowadzać na głęboką wodę osobniki zabłąkane na płyciznach, leczyć chorych i rannych członków stad, a także rozmawiać z nimi i, w przypadku wyrażenia takiej chęci ze strony delfinów, stawać się ich stałymi opiekunami.

W początkowym okresie kolonizacji planety Pern ludzie i delfiny z wielkim zapałem badali wspólnie nowe morza. Były to lata o wielkim znaczeniu, lata, kiedy żył i działał człowiek Tillek, ogromnie szanowany przez wszystkie stworzenia na planecie. Dzwon delfinów umieszczono w Zatoce Monako, a mieszkańcy lądu oraz morza zobowiązali się

reagować na jego dźwięk. W owym czasie wszystkie młode delfiny miały swoich indywidualnych opiekunów wśród ludzi, którym pomagały prowadzić badania, odkrywać morza i głębokie rowy na ich dnie, śledzić Wielkie Prądy oraz aktywność dwóch Otchłani: Większej i Mniejszej oraz czterech Wypływów. Zarówno stosunki z ludźmi osiadłymi na stałym lądzie, jak i z tymi, którzy podbijali morza, nacechowane były wzajemną uprzejmością.

Tillek zawsze wyrażała się o ludziach z wielkim szacunkiem i ostro upominała młode delfiny, nazywając ich „długonogimi” lub „bezpłetwocami”. Gdy jakiś głuptas narzekał na to, że rodzaj ludzki nie przestrzega Pradawnej Umowy, Tillek pouczała z całą powagą, że to nie zwalnia rodu delfinów od wykonywania ich zobowiązań. Ludzie musieli przerwać badanie planety Pern, by bronić swoich terenów przed Nićmi.

Niektóre mniej inteligentne jednostki, słysząc takie stwierdzenie, zaczynały cmokać z rozbawienia. Czemu ludzie po prostu nie zjadali Nici tak, jak to delfiny od lat robiły? Tillek odpowiadała, że musieli oni pozostawać na lądzie, gdzie Nici nie topiły się, lecz atakowały ludzkie ciało w podobny sposób, jak robią to z delfinami ryby-pijawki, które wysysają z nich życie. A następowało to błyskawicznie — życie uchodziło z organizmu człowieka w czasie potrzebnym do zaczerpnięcia zaledwie kilku oddechów i w krótkiej chwili całe ciało po prostu znikało.

Była to kolejna rzecz, którą delfiny musiały przyjąć na wiarę, podobnie jak fakt, że Nici doskonale nadają się do jedzenia.

Następnie Tillek przechodziła do lekcji Historii i opowiadała o Dniu Opadu Nici na planetę Pern. Mówiła o bohaterskiej walce ludzi używających ciepłego i jasnego ognia, który delfiny żyjące w przybrzeżnych wodach znają, ale nigdy nie miały z nim do czynienia. Usiłowano palić nim Nici w powietrzu, jeszcze zanim opadły na ludzi i zwierzęta, by natychmiast wyssać z nich wszelkie życie. Po wyczerpaniu się wszystkich zapasów przywiezionych z Ziemi, delfiny pomogły ludziom wypłynąć na licznych statkach z Dunkierki i udać się na północ, gdzie znaleźli schronienie w wielkich jaskiniach, porzucając myśli o ciepłych morzach południa. Kibbe kochał opowieść o tym, jak delfiny pomogły małym łódkom odbyć tę długą podróż pomimo sztormów i konieczności przeprawy przez Wielkie Prądy. Tam, w Forcie, również zainstalowano dzwon delfinów i nastąpiły długie lata doskonałej współpracy pomiędzy delfinami i ich opiekunami. Trwało to aż do nadejścia Zarazy.

Kibbe wiedział, że nie wszyscy ludzie umarli. Statki pływały nadal, a na polach widać było sylwetki pracujących, oczywiście nie w Czasie Zagrożenia Nićmi. Kibbe przez długi czas miał opiekuna, więc dobrze znał ludzi i ich umiejętność leczenia tych niewielu chorób, które mogły się przydarzyć delfinom. Jednakże młodzież w jego stadzie nie wiedziała o tym i zastanawiała się, dlaczego delfiny miałyby przejmować się ludzkimi sprawami.

— To należy do tradycji. Zawsze robiliśmy to, co robimy teraz, i nigdy nie przestaniemy postępować zgodnie z naszymi zwyczajami.

— Dlaczego istoty ludzkie chcą mieć kontakt z wodą? Przecież nie potrafią dawać sobie rady z prądami morskimi tak jak my!

W takiej sytuacji Kibbe zazwyczaj odpowiadał: — Niegdyś ludzie potrafili pływać niemal tak dobrze jak delfiny.

— Ale przecież my nie umiemy chodzić po suchym lądzie — stwierdzał któryś z młodych — zresztą po co mielibyśmy to czynić?

— Jesteśmy innymi stworzeniami i mamy odmienne potrzeby; delfiny żyją w wodzie, a ludzie na lądzie. Każde stworzenie ma swoje własne środowisko.

— No, to czemu ludzie nie trzymają się lądu, a nam nie pozostawiają wody?

— Bo podobnie jak my potrzebują z morza ryb — spokojnie tłumaczył Kibbe. Czasami młodym trzeba powtarzać to samo wiele razy, zanim wreszcie zrozumieją. — Podróżują też

do różnych miejsc, a woda stanowi ich jedyny szlak komunikacyjny.

— Przecież mają smoki, na których mogą latać.

— Nie każdy ma swojego smoka do latania.

— Czy smoki nas lubią?

— Myślę, że tak, chociaż ostatnio niewiele ich widywaliśmy. Mówiono mi, że w dawnych czasach smoki razem z nami pływały w morzu.

— Jak one mogą pływać z takimi ogromnymi skrzydłami?

— Składają je na plecach.

— Dziwaczne stwory.

— Wiele lądowych stworzeń wydaje się nam dziwnych — stwierdzał Kibbe z wdziękiem, płynąc bez wysiłku obok swoich młodych uczniów.

Chociaż nikomu o tym nie mówił, Kibbe był przekonany, że ludzie w wodzie stają się strasznie niezdarni, zresztą na lądzie też im się to zdarza. Czasami jednak odnosił wrażenie, że potrafią poruszać się w wodzie z pewną gracją, szczególnie, gdy pływają w sposób podobny do delfinów, trzymając nogi złączone razem. I choć niektórzy próbują mlócić wodę każdą nogą oddzielnie, tracą przy tym dużo więcej energii.

W dzisiejszych czasach ludzie nie postępują już według zasad, ustalonych kiedyś przez przodków obydwu gatunków. Teraz, na widok płynących delfinów, prawie żaden kapitan nie wychyla się za burtę swego statku, by zapytać, jak się ma stado i gdzie pojawiają się ławice. Jeszcze rzadziej zdarza się, żeby w symbolicznej podzięce za asystę poczęstowano delfiny rybami. To prawda, że minęło już wiele sezonów od czasu, gdy delfiny znalazły ostatnią zagubioną przez ludzi w morzu skrzynię i wydobyły ją dla nich. Dawno też skończyły się dni, kiedy delfiny pływały ze swymi opiekunami na dalekie wyprawy. Bardzo to smutne, że upadają dobre obyczaje, pomyślał Kibbe. A na wezwanie dzwonu również nikt nie odpowiada.

Po raz ostatni przepłynął wzdłuż nabrzeża, obserwując pustą przystań. Jeszcze raz poruszył sercem dzwonu. Dźwięk zabrzmiał żalobnie, odpowiednio zresztą do nastroju panującego w porcie. Niegdyś miejsce to wypełnione było ludźmi, z którymi wspólnie wykonywał wiele wspaniałych zadań oraz spędzał mnóstwo czasu na zabawach.

Energicznym machnięciem tylnych płetw wykonał zwrot i ruszył w daleką podróż do Wielkiej Otchłani na Morzu Północno-Zachodnim, by zameldować Tillek, że znowu nikt nie odpowiedział na wezwanie dzwonu. Ludzie żeglujący na swoich statkach nie byli teraz ciekawi informacji, które mogli uzyskać od delfinów, o istniejących zagrożeniach i niebezpieczeństwach. Tillek była zdania, że ponieważ wody planety Pern naturalną kolejną rzeczą nieustannie powodują zmianę ukształtowania lądów, to obowiązkiem delfinów powinno być stałe patrolowanie linii brzegowej. Gdyby tylko jakiś człowiek zechciał ich kiedyś wysłuchać, wtedy mogłyby mu powiedzieć o zaistniałych zmianach i uratować jego statek przed niespodziewanym wpadnięciem na mieliznę czy też na skały.

## ROZDZIAŁ I

Gdy tego ranka Główny Rybak Alemi dotarł do domostwa Readisa, zastał tam swojego małego przyjaciela czekającego w pełnym pogotowiu.

— Wujku Alemi, myślałem, że się już nigdy nie zjawisz — powiedział Readis tonem, w którym pobrzmiwała nutka wyrzutu.

— Od godziny siedzi na ganku — zwróciła się do Alemiego Aramina, z trudem próbując ukryć rozbawienie. — A wstał dzisiaj przed poranną zorzą! — Wzniosła oczy ku niebu dla podkreślenia tego niezwykłego faktu.

— Wujek Alemi zawsze mówi, że ryby najlepiej biorą o świcie — Readis wyjaśnił matce protekcjonalnie, zeskakując ze schodów po trzy stopnie naraz, spiesząc, by mocno uściskać zrogowaciałą dłoń swojego przyszywanego wujka.

— Sama nie wiem, co bardziej go ekscytuje: wyprawa z tobą na ryby, czy to, że pozwoliliśmy mu razem z nami uczestniczyć dziś wieczorem w Spotkaniu urządzanym przez Swacky'ego. — Po czym, grożąc palcem swojemu małemu synowi, dodała: — Pamiętaj, że po południu musisz się wyspać.

— Teraz jestem gotów, by płynąć na ryby — powiedział Readis, zupełnie nie zwracając uwagi na komentarz matki. — Mam prowiant — machnął siatką wypełnioną zapakowanymi w papier kanapkami i butelką wody — a także kamizelkę ratunkową. — Ostatnie słowa wymówił z wyraźnym lekceważeniem.

— Zwróć uwagę, że ja ją także włożyłem — powiedział Alemi, równocześnie ściskając małą rączkę Readisa.

Aramina zaśmiała się.

— Tylko twój przykład — skłonił go do włożenia swojej.

— Potrafię doskonale pływać — stwierdził Readis zdecydowanym, donośnym głosem. — Pływam tak dobrze, jak Ryba-towarzysz okrętów!

— Oczywiście, wiem, że świetnie pływasz — spokojnym głosem przyznała matka.

— Czy, według ciebie, mógłbym o tym nie pamiętać? Przecież sam nauczyłem cię tej sztuki — wesoło wtrącił Alemi. — Ale chociaż ja również nieźle sobie radzę w wodzie, mimo to na małych łódkach zawsze jestem w kamizelce ratunkowej.

— Szczególnie przy sztormowej pogodzie — dodał Readis, pragnąc podkreślić, że dobrze zapamiętał lekcję o podstawowych środkach ostrożności. — Moją kamizelkę uszyła mi mama — powiedział uśmiechając się do niej i wypinając szczupłą pierś. — W każdy ścieg wpleciona jest cała jej miłość!

— No, chodź już, czas szybko ucieka — powiedział Alemi.

Na pożegnanie wolną ręką pokiwał Araminie, drugą zaś poprowadził swego małego przyjaciela na piaszczysty brzeg, gdzie czekała na nich niewielka łódka zbudowana z cienkich drewnianych listew. Mieli nią popłynąć do miejsca, gdzie, jak przypuszczał Alemi, mogli trafić na duże czerwono płetwe ryby, które obiecali dostarczyć Swacky'emu na wieczorne przyjęcie.

Swacky stanowił część życia Readisa, jak daleko chłopiec sięgał pamięcią. Silnie zbudowany były żołnierz zamieszkał obok domostwa Jaygego i Araminy w tym samym czasie, gdy ciocia Temma i wujek Nazer przybyli tu z pomocy. Zajął jedno z mniejszych pomieszczeń i wykonywał wszelkie prace niezbędne w Siedlisku Rajskiej Rzeki. Swacky opowiadał zafascynowanemu dziecku wiele wydarzeń z okresu swojej służby strażniczej w różnych Siedliskach. Jayge, ojciec Readisa, nigdy nie wspominał o sprawie zdrajców, która zbliżyła obu mężczyzn. Również Swacky, chociaż był niezwykle uparty i nie umiał przebaczyć zdrajcom tego, że „mordowali niewinny naród i zwierzęta tylko po to, by przyglądać się rozlewowi krwi”, nigdy nie wspominał, co konkretnie robił wówczas Jayge. Kiedyś przyznał jedynie, że miało to coś wspólnego z atakiem zdrajców na wóz Lilcampa, było więc rodzinną sprawą Jaygego.

Gdyby Readisa spytano, którego z mężczyzn poza swoim ojcem kocha najbardziej, miałby

bardzo trudny wybór pomiędzy Swackym i Alemim. Obaj odgrywali ważną rolę w jego młodym życiu, lecz każdy z innego powodu. Dzisiaj z jednym i drugim wiązały się wspaniałe wydarzenia — rano łowienie ryb z Alemim, a wieczorem Spotkanie dla uczczenia siedemdziesięciu pięciu Obrotów przeżytych przez Swacky'ego:

Wspólnymi siłami zepchnęli łódkę z piaszczystego brzegu na lekko falującą wodę. Brodzili po płyčynie do miejsca, gdzie woda sięgnęła Readisowi pasa, wtedy Alemi dał znak, by chłopiec wskoczył do łódki i chwycił za wiosło. I tu widać było różnicę pomiędzy mężczyznami — Swacky był zawsze bardzo rozmowny, natomiast Alemi wolał wyrażać gestami to, na co inni potrzebowali wielu słów.

Alemi z wielką siłą popchnął łódź pomiędzy pierwsze grzywiaste fale i sam wdrapał się do jej wnętrza. Następnie ruchem ręki wskazał Readisowi, by ten przesunął się na rufę i wiosłując pagajem utrzymywał kurs łodzi. Alemi zaś rozwinął żagiel i poluzował bom. Wiejąca od lądu poranna bryza wydeła płótno. Readis odłożywszy wiosło sięgnął po miecz, wsunął go do skrzynki mieczowej i zabezpieczył bolcem.

— Ostro na lewą burtę — śpiewnie wykrzyknął komendę Alemi, uzupełniając ją odpowiednim gestem. Zwinnie uchylił się przed bomem przelatującym na drugą stronę łodzi, wybrał szoty i usiadł obok towarzysza wyprawy. Mocno uchwycił linę grota, a drugą ręką objął Readisa. Nie po raz pierwszy zwrócił dziś uwagę, jak sprawnie, niemal instynktownie, chłopiec posługuje się sterem.

Pocziwa żona Alemiego dała mu już trzy córki i teraz była brzemienna po raz czwarty. Oboje gorąco pragnęli syna, ale do czasu jego narodzin Alemi „praktykował” wychowywanie męskiego potomka na Readisie. Jayge zgadzał się na to, gdyż dla przyszłego Włodarza Nadbrzeżnego Siedliska bardzo pożyteczne mogło okazać się zapoznanie z charakterem i bogactwami morza. Readis wiele korzystał, zdobywając nowe umiejętności.

Alemi upajał się wonią roślinności i egzotycznych kwiatów, niesioną przez wiejącą od lądu bryzę. Po wydostaniu się z ujścia Rajskiej Rzeki spodziewał się zmiany kierunku wiatru. Nie zamierzał płynąć daleko w morze, pragnął trzymać się wód pomiędzy lądem a Wielkim Prądem Południowym. Był przekonany, że tam uda się im trafić na ryby czerwonołetwe, które zwykle wielkimi ławicami pływały w tej części morza. Wczoraj Alemi wysłał dwa mniejsze statki rybackie ze swojej floty, aby odszukały te ławice. Natychmiast po naprawieniu większego żaglowca pragnął ze swoją załogą dołączyć do nich. Teraz jednak cieszył się z pozostania na lądzie, bo pozwalało mu to na uczestniczenie w Spotkaniu u Swacky'ego. Ciągnęło go do połowów na pełnym morzu, lecz podczas naprawy głównego żagla był przykuty do Siedliska.

Po wypłynięciu z ujścia rzeki na wzburzone morze ich łódź zaczęła chwiać się i podskakiwać na falach. Readis wybuchnął radosnym śmiechem, gdyż uwielbiał taką żeglugę. Niewiele rzeczy mogło speszyć tego chłopca — dotąd nigdy jeszcze nie cierpiał na chorobę morską, choć zdarzało się to nawet doświadczonym marynarzom.

W pewnej chwili Alemi dostrzegł jakby migotanie na powierzchni wody i trącił Readisa w ramię, wskazując to zjawisko. Chłopiec oparł się o niego, spoglądając w tamtą stronę. Skinął głową, gdyż on również dostrzegł już ławicę. Ogromna ilość ryb kłębiła się na niewielkiej przestrzeni, zupełnie jakby jedne pływały na drugich.

Obaj zareagowali równocześnie, sięgając po wędki schowane pod okrężnicami. Były to solidne kije, zrobione z najlepszego gatunku bambusa, z kołowrotkami, na których ciasno nawinięto zwoje bardzo wytrzymałej żyłki. Na jej końcach umieszczone zostały haczyki wykute ręcznie przez kowala, sezonowo zatrudnianego w Siedlisku. Haczyki miały ostrogę, która nie pozwalała im się wysunąć, gdy już raz zagłębiły się w szczęce najwaleczniejszej nawet czerwonołetwej.

Na dzisiejszy wieczór potrzebowali dwunastu ryb długości ramienia dorosłego mężczyzny. Kolacja miała się składać z pieczonych rajskich jabłuszek i soczystego mięsa, ale

czerwonopłetwe stanowiły ulubione danie Swacky'ego. On sam także zamierzał popłynąć z nimi na ryby, jednakże poprzedniego wieczoru oznajmił Readisowi, że będzie musiał zostać w domu i zająć się przygotowaniem Spotkania, gdyż nikt inny nie potrafi zrobić wszystkiego tak, jak on by sobie tego życzył.

Alemi pozwolił chłopcu nałożyć na haczyk przynętę, a były to wnętrzności mięczaka — przysmak czerwonopłetwych. Mały z wielką uwagą, wysuwając z buzi koniuszek języka, zakładał śliską masę na ostrze. Gdy skończył, spojrzał na Alemiego, który skinieniem głowy wyraził swą aprobatę. Następnie znakomitym, jak na chłopca w jego wieku, rzutem skierował haczyk z przynętą i ciężarkiem w fale po prawej stronie kilwateru powstającego za płynącą łodzią. Alemi, chcąc dać chłopcu szansę złowienia pierwszej ryby, zajął się zwijaniem żagla i innymi pracami porządkowymi. Po chwili jednak i on przykucnął w kokpicie i zarzucił wędkę z lewej burty.

Nie musieli długo czekać na podbicie przynęty przez rybę. Readis był pierwszy. Jego wędzisko gwałtownie się wygięło, a szczytówka niemal dotknęła postrzępionej fali, gdy czerwonopłetwa rozpoczęła walkę, by wyzwolić się z uwięzi. Readis miał zaciśnięte usta, twarde spojrzenie, zaparty był nogami o ławkę i mocno trzymał wędzisko. Postępując, usiłował skręcać żyłkę na kołowrotku, walcząc z wielkim okazem. Alemi czekał w pogotowiu za chłopcem, by chwycić jego wędkę, gdyby ryba okazała się zbyt silna.

Readis sapał z wysiłku, a równie zmęczona czerwonopłetwa przewalała się po falach z prawej strony łodzi. Jednym zręcznym ruchem Alemi złapał rybę do podbieraka i wciągnął ją na pokład. Readis wydał okrzyk radości na widok rozmiarów zdobyczy.

— To ogromna ryba, prawda, wujku Alemi? Największa, jaką złowiłem, prawda? Jest rzeczywiście duża!

— Tak, udało ci się — z powagą odpowiedział Alemi. Ryba była trochę krótsza od jego ramienia, lecz dla chłopca stanowiła wspaniałą zdobycz.

W tym momencie linka drugiej wędki wyraźnie się napięła.

— Tobie też bierze ryba, wujku!

— Masz rację. Teraz sam będziesz musiał się zająć swoją czerwonopłetwą.

Alemiego zadziwiła siła schwytej na hak ryby. Musiał mocno trzymać wędzisko, by nie dać go sobie wyrwać. Przemknęła mu przez głowę myśl, że przypadkiem złapał na haczyk rybę — towarzysza okrętów. Każdy rybak o zdrowych zmysłach pragnie tego uniknąć. Bardzo mu ulżyło, kiedy zobaczył czerwone płetwy swojej zdobyczy.

— To olbrzym — zawołał Readis, patrząc z uwielbieniem na swego mistrza.

— Tak, duża sztuka! — odrzekł Alemi, zapierając się nogami o dno łodzi, by móc pewniej walczyć z rybą.

— Ciągnie naszą łódź!

To także było jasne dla Alemiego — czerwonopłetwa holowała ich na skraj Wielkiego Prądu Południowego. Mógł już nawet rozróżnić inny kolor wody.

— Teraz znajdujemy się w samym środku ławicy — krzyknął Readis, biegnąc od burty do burty, by obserwować smukłe ciała ryb przepływających wokół ich łodzi.

— Powinieneś zabić swoją zdobycz, zanim wskoczy z powrotem do wody — powiedział Alemi, patrząc na rzucającą się rybę. Nie chciał, by swoim śluzem zabrudziła cały pokład. W międzyczasie udało mu się nawinąć na kołowrotek długi odcinek żyłki, chociaż chwilami szczytówka jego wędki chowała się pod wodą. Mocno podciągnął wędzisko i znowu udało mu się zwinąć następny odcinek.

— To jest najsilniejszy okaz, jaki kiedykolwiek miałeś na haczyku — stwierdził Readis. Zręcznie uderzył w głowę swoją czerwonopłetwą i wrzucił ją do skrzynki na ryby, pamiętając o tym, by zabezpieczyć wieko przed przypadkowym otwarciem.

Alemi, obserwując zbliżanie się łodzi do Wielkiego Prądu, usiłował jak najszybciej doholować czerwonopłetwą do burty. Readis ciągle radośnie paplał o ogromnych rozmiarach



ryby.

— Przygotuj podbierak, chłopcze! — zawołał Alemi, manewrując wędką.

Readis był przygotowany, lecz zapamiętała walcząca ryba okazała się zbyt wielka dla jego młodych ramion. Alemi puścił wędzisko i pomógł mu wciągnąć do łodzi podbierak ze zdobyczą. W momencie, gdy ryba znalazła się na pokładzie, mężczyzna ogłuszył ją uderzeniem w głowę i sięgnął do rumpla, by zmienić kurs łodzi i oddalić się od Prądu Południowego. Znajdowali się już tak blisko niego, że wyraźnie widzieli jego gwałtowny strumień przedzierający się przez toń wypełnioną rybami.

— Hej, wujku Alemi, popatrz, co się dzieje! — zawołał Readis, wskazując umazanym we krwi palcem na całą ławicę czerwonoopłetwych. — Nie moglibyśmy tu połowić?

— Niestety, nie na obszarze Prądu, chłopcze, chyba że chciałbyś odbyć dłuższą podróż i zrezygnować z dzisiejszego wieczornego Spotkania.

— O nie, nie mam zamiaru rezyg... — Oczy Readisa zrobiły się ogromne i zamarł z otwartą buzią, spoglądając w kierunku rufy łodzi. — Oooh!

Alemi popatrzył przez ramię i zatkało go. Z tyłu, za nimi, zbyt blisko, by nawet marzyć o schronieniu się w ujściu rzeki, szalał jeden z tych czarnych szkwałów, z których znana była ta część wybrzeża. Szkwały te były postrachem nawet najbardziej zahartowanych w morskim rzemiośle żeglarzy. Potężny podmuch wiatru uderzył mężczyznę w twarz, aż mu oczy zaszczyły łzami.

Zaczął zabezpieczać bom i gestem polecił Readisowi wykonanie czynności przewidzianych i przeciwczonych na wypadek zagrażającego niebezpieczeństwa. Alemi przeklinał kapryśną zmienność lokalnej pogody. Tutaj żadne znaki nie ostrzegały o zbliżającym się sztormie, inaczej, niż to się działo w Zatoce Nerat, gdzie odbywał swoje szkolenie.

Jego ojciec, Yanus, często narzekał na rybaków, którzy upierali się przy wypływaniu w rejon Wielkich Prądów, gdy na spokojniejszych wodach bez takiego ryzyka można było złowić tyle samo ryb. Alemi jednak lubił stawiać czoło niebezpieczeństwom i nie zgadzał się ze zdaniem ojca na ten temat, jak zresztą na wiele innych tematów.

Teraz szybkimi ruchami sprawdził węzły na kamizelce ratunkowej Readisa, uśmiechając się dla dodania mu odwagi, i wyrzucił za burtę dryfkotwę.

— Powiedz mi, Readisie, co robią rybacy w przypadku tak silnych podmuchów? — krzyknął poprzez wzmagający się wiatr, który wtlaczał mu do gardła wypowiedane słowa.

— Płyną w stronę sztormu! Lub starają się uciekać zgodnie z kierunkiem wiatru! — Pogodnie, z nadmierną pewnością siebie tak charakterystyczną dla jego wieku, Readis oparł się na ramieniu Alemiego, usiłując wspólnie z nim znaleźć bezpieczne miejsce w kokpicie łodzi. — Co teraz zrobimy?

— Będziemy uciekać! — Powiedział Alemi, przyjmując kurs zgodny z podmuchami wiatru, które czuł na tyle głowy.

Ich łódź na pełnym morzu stanowiła kruchą łupinkę i niespodziewany, gwałtowny podmuch mógł ją w każdej chwili unicestwić. Wystarczy jedna wielka fala, by byli zgubieni, dlatego Alemi miał nadzieję, że sztorm będzie krótkotrwały. W ciemnościach spowodowanych nadciągającą nawałnicą znikła linia brzegu, ale nie to było największym zmartwieniem Alemiego. Naprawdę niepokoiła go możliwość porwania przez Wielki Południowy Prąd, który mógł ich ponieść niebezpiecznie daleko od lądu lub przy zupełnym braku widoczności rozbić o przylądek znajdujący się powyżej Zatoki Rajskiej Rzeki. Manewrując ostrożnie rumplem, miał nadzieję, że wichura zepchnie ich na prawo w kierunku lądu i oddali od niebezpiecznego obszaru. Lecz wiatr był równie nieobliczalny jak morze. A przecież Alemi sprawdzał barometr, jeden z tych nowych instrumentów dostarczonych przez Assigi, pomagający lepiej przewidywać pogodę. Mężczyzna zdawał sobie sprawę, że dużo lepiej znał spokojny akwen Zatoki Nerat, toteż pomimo szyderczych uwag innych rybaków

zaopatrzył się w to urządzenie. Studiował również wykresy pogody i inne informacje o tych wodach, które Starożytni zgromadzili w niewyczerpanych, jak się wydawało, „archiwach” Assigi. Nic, co mogłoby pomóc Cechowi, zapobiec śmierci członków załogi lub uratować statek, nie było nigdy zbyt dziwne dla Alemiego, by nie próbować wykorzystywać tej wiedzy.

Dzisiaj, kiedy wychodził po Readisa, barometr wyraźnie wskazywał dobrą pogodę. Nie czas jednak na zajmowanie się tym teraz, gdy ze wszystkich stron atakują nas fale, pomyślał. W chwilę później łódź jakby runęła w przepaść, aż żołądek podszedł mu do gardła. Obok niego Readis śmiał się radośnie, mocno zaciskając dłonie na okrężnicy.

Wznosząca się fala porwała małą łódź i z wściekłością rzuciła w następną spienioną grzywę, po czym znowu zwała ją w dół, zamykając w ciemnej zielonej otchłani. Dryfkotwa wyskoczyła za rufą nad powierzchnię wody i znalazła się w powietrzu. Nastąpił gwałtowny przechył i łódka wbiła się w ścianę fali. Kokpit zalała woda. Kiedy Readis karnie sięgnął po czerpak, by zacząć ją wylewać, Alemi mocniej go przytulił i przecząco potrząsnął głową. W łodzi mogło się znaleźć sporo wody, która ją nieco dociażała, co nawet było korzystne w tej sytuacji. Na razie nie groziło im zatonięcie. Bezpośrednim zagrożeniem mogła być wywrotka. Alemi był zadowolony, że przeciwiczył z Readisem, jak należy się zachowywać w takim przypadku. Teraz jednak nie mieli już nic do zrobienia, poza uporczywym trwaniem, w czasie gdy wznoszące się fale miały łodzią z boku na bok i z góry w dół. Kurczowo jedną ręką ścisnął burtę łodzi, a drugą trzymał Readisa i modlił się o koniec sztormu. Takie nawałnice potrafią cichnąć z równą gwałtownością, z jaką się zaczęły. Jediną nadzieją była szybka zmiana pogody.

Zobaczył, że maszt pęka i wali się, jednocześnie poczuł mocniej zaciskającą się na swoim ramieniu dłoń Readisa. Następnie ich łódź stanęła dęba uderzona potężną, boczną falą. Siła uderzenia była tak wielka, że obaj wypadli z łodzi do szalejącego morza. Mężczyzna mocno chwycił Readisa i przycisnął go do piersi. Poprzez wycie sztormu usłyszał przerażony krzyk chłopca. Później kotłowała ich woda i Readis z całej siły przywarł do swego opiekuna.

Alemi młócił wolną ręką wodę, pragnąc wydostać się na powierzchnię. Zdołał zaczerpnąć płytki oddech, zanim przykryła ich kolejna fala. Readis walczył podtrzymywany jego ramieniem i wzmocnienie uścisku było jedyną rzeczą, jaką mógł w tej chwili zrobić. Nie wolno mu było puścić chłopca. Nagle uderzył o coś znajdującego się obok nich w wodzie. Czy to wywrócona łódź? Usiłował pochwycić obły kształt, który jednak nie był drewnem, lecz czymś solidnym i mięsistym.

Ryba–towarzysz okrętów? Tak, to właśnie ta ryba! Poprzez strumienie deszczu i bryzgi wody morskiej zobaczył wokół siebie wydłużone sylwetki. Jakże często słyszał opowiadania o uratowanych przez nie rybakach!

Odruchowo chwycił dłonią twardą płetwę grzbietową i, kiedy zwała się na niego następna fala, wyciągnął się wzdłuż smukłego kształtu. Ryba–towarzysz przecinała wodę swoim gibkim ciałem. Readis znalazł się po nawietrznej, wystawiony na gwałtowne uderzenia fal. Alemi, uwieszony jedną ręką u płetwy, jakimś cudem zdołał przesunąć chłopca pomiędzy siebie i rybę. Pomiedzy ścianami zalewającej ich wody mignęły mu ręce Readisa, usiłujące uchwycić obłe i śliskie ciało.

— Readisie, to ryby–towarzysze! — krzyczał poprzez wycie sztormowego wiatru. — Uratują nas! Tylko dobrze się trzymaj!

Po chwili poczuł, że coś go trąciło z drugiej strony, i zostali zaklinowani między dwiema rybami, choć zupełnie nie umiał sobie wytłumaczyć, jak ten manewr mógł się udać na tak wzburzonym morzu. Dodatkowe podparcie dało mu chwilę wytchnienia. Zmienił położenie swojej ręki na płetwie grzbietowej i zdołał nawet umieścić małą dłoń Readisa obok swojej.

Gdy przedzierali się przez kolejną ścianę wody, przyszło mu do głowy, że Readis jest jeszcze taki mały, że mógłby usiąść okrakiem na grzbiecie ryby — towarzysza. Przecięli jeszcze trzy grzebienie fal, zanim udało się Alemiemu odpowiednio usadzić chłopca. Ku

swemu największemu zdumieniu stwierdził, że ryba starała mu się pomóc w tych manewrach, płynąc w miarę możliwości prosto, pomimo tak wzburzonej wody.

— Trzymaj się! Mocno się trzymaj! — krzyknął Alemi, pomagając dziecku, które usiłowało drobnymi rączkami objąć płetwę. Chłopiec miał poszarzałą ze strachu twarz, lecz energicznie zaciskając usta skinął mu głową i przysiadł za płetwą. Wyglądał zupełnie jak jeździec dosiadający morskiego smoka.

Uczucie ulgi spowodowało, że Alemi na moment rozluźnił uchwyt dłoni, którą trzymał się brzegu płetwy, i odpadł od swego ratownika. Prawie natychmiast poczuł energicznie trącający go zaokrąglony nos, a zaraz potem płetwa grzbietowa znalazła się pod jego prawą ręką. Kolejna fala zwała się, strącając go w głębinę i pozbawiając względnie bezpiecznego oparcia. Musiał zapanować nad panicznym lękiem. Jednak Ryba–towarzysz znalazła się tuż obok niego i nosem wypychała go na powierzchnię. Wypłynęli równocześnie. Alemi zaczął młócić wodę rękoma, usiłując przybliżyć się do stworzenia, aż w końcu udało mu się oburącz uchwycić jego płetwę, ale w tym samym momencie kolejny grzywacz runął na niego. Tym razem zdołał się utrzymać jedną ręką. Opanował strach, zmuszający go do kurczowego chwytania się dwoma rękami tego jedyne go stałego punktu, jaki znalazł w rozszalałym morzu. Poddał się rytmowi ruchów ryby–towarzysza okrętów i znalazł w sobie siłę, by mu całkowicie zaufać. Przecinając następną falę, zobaczył Readisa skulonego na grzbiecie swojego wierzchowca. Dostrzegł też całe stado eskortujące ich z obu stron i nabrał pewności, że są zupełnie bezpieczni.

Sztorm zdawał się łagodnieć, a może znaleźli się już na jego skraju, gdzie woda była spokojniejsza. W każdym razie podróż stawała się coraz łatwiejsza. Popatrzył w kierunku, w którym powinien znajdować się ląd. Zobaczył majaczącą linię brzegu i o mało nie krzyknął z radości.

— Heeej!

Zdziwiony Alemi obrócił się i ujrzał ryby–towarzyszy okrętów wyskakujące ponad powierzchnię wody, wykonujące efektowne łuki w powietrzu i ponownie nurkujące. Coraz więcej z nich powtarzało tę zabawę, a wszystkie skoki odbywały się przy akompaniamencie okrzyków „Hej!” oraz „Hop! hop!”.

— Heeej! — rozległ się niewątpliwie chłopięcy głosik. Alemi spojrzał przez lewe ramię i zobaczył Readisa, prosto siedzącego na swojej rybie. Oglądając roztaczający się widok chłopiec uśmiechał się z zadowolenia. — To jest fantastyczne! — rzucił. — Przecież one są wspaniałe!

— Wspaniałe! — powtórzyła Ryba–towarzysz okrętów świszcząco wymawiając literę s.

Ze wszystkich stron słychać było ryby–przewodników wykrzykujące: „Wspaniałe!” i zabawiające się jednocześnie wyskokami z morza. Alemi podświadomie zacisnął dłonie na płetwie grzbietowej. To, co usłyszał, zupełnie nie mieściło mu się w głowie. Napięcie wywołane przez sztorm, a może uderzenie w głowę lub zwyczajny strach otumaniały jego umysł. Towarzysząca mu ryba uniosła pysk i po wyrzuceniu fontanny wody z otworu znajdującego się na szczycie głowy wyraźnie powiedziała: — To jest wspaniałe!

— One gadają, wujku, one naprawdę gadają.

— Niemożliwe, Readisie, przecież to są ryby!

— Ryby nie! S’aki. — Jego wybawca wypowiedział te trzy słowa głośno i wyraźnie przeczącym tonem. Po chwili dodał: — Del–finy — i Alemi z niedowierzaniem potrząsnął głową. — Del–finy mówić dobrze. — Jakby na podkreślenie tego, co powiedział, zaczął coraz szybciej płynąć, holując zupełnie zaskoczonego Mistrza Rybackiego.

Pozostałe del–finy również zmieniły kurs i przyspieszyły. Te, które płynęły po bokach, ciągle urządzały pokaz skoków, obrotów i salt.

— Powiedzcie coś jeszcze, proszę — zachęcał je Readis swoim cienkim, dziecięcym głosem. A to ci będzie historia do opowiadania na dzisiaj wieczornym Spotkaniu. I

muszą mu uwierzyć, bo przecież Alemi może poświadczyć, że wszystko to się działo naprawdę.

— Mówić? Ty mówić. Bardzo długi czas nie mówić — wyraźnie powiedział del-fin płynący obok Readisa. — Człowieki wrócić na Lądowisko? Roki del-finów wrócić?

— Lądowisko? — powtórzył ze zdziwieniem Alemi. A więc delfiny znały tę starożytną nazwę? Cud następuje za cudem.

— Ludzie znowu są na Lądowisku — powiedział z dumą Readis, jakby to on sam zorganizował ich powrót.

— Dobrze! — zawołał jeden z del-finów, wykonując w powietrzu salto, po czym bez jednego rozprysku wślizgnął się do wody.

— Hop, hop! — krzyknął drugi, wyskakując wysoko w powietrze. Alemi naokoło siebie słyszał podekscytowane cmokania i pochrząkiwania. Cały akwen wypełniały sylwetki ryb-przewodników. Zastanawiał się, jak mogą pływać nie robiąc sobie nawzajem krzywdy.

— Popatrz, Wujlemi, już prawie jesteśmy w domu! — powiedział Readis, wskazując palcem w kierunku zbliżającego się lądu.

Del-finy transportowały ich szybko i w tak przyjemny sposób, że choć Alemi był zadowolony z bliskości stałego lądu, czuł jednak żal z powodu końca tej niewiarygodnej podróży. Zbliżając się do pierwszych piaszczystych mielizn, ryby-przewodnicy wyraźnie zwolniły tempo posuwania się do przodu. Niektóre z nich przeskakiwały przez łachy, wierzchowce Readisa i Alemiego płynęły do ujścia rzeki, ale większość zawracała w stronę pełnego morza.

W kilka chwil później wspaniała jazda skończyła się i Alemi niepewnie opuszczając nogi dotknął twardego dna, łagodnie wznoszącego się w kierunku brzegu. Puścił płetwę i poklepał po boku swego wierzchowca, ten zaś obrócił się i otarł nosem o Alemiego, jakby prosząc o pieszczotę. Rozbawiony Alemi zaczął go drapać tak jak psa lub małe kotki, które ostatnio bardzo rozmnożyły się w Siedlisku. Wierzchowiec Readisa przepłynął obok niego.

— Dziękuję ci, przyjacielu. Uratowałeś nam życie i jesteśmy ci za to bardzo zobowiązani. — W ten sposób Alemi oficjalnie wyraził wdzięczność.

— Prose bardzo, to nas obowiązek — wyraźnie odparła ryba-przewodnik, a następnie mocno uderzyła płetwami i zręcznie ruszyła w kierunku kanału pomiędzy łachami piasku. Widać było jej płetwę grzbietową — pruć ją wodę ze stale zwiększającą się szybkością.

— Hej! — krzyknął Readis z nutą niepokoju w głosie. Wierzchowiec bez żadnych ceregieli zrzucił go z siebie na płytkiej wodzie, gdzie stojąc na palcach chłopiec mógł utrzymać brodę nad powierzchnią wody.

— Podziękuj del-finowi — zawołał Alemi, szybko brodząc w stronę dziecka. — Podrap go po gardle.

— Ach, widać, że to lubisz, co? — Z trudem utrzymując głowę nad wodą Readis zdołał jakoś dwoma rękoma lekko podrapać pysk wybawiciela.

— Bardzo ci dziękuję za uratowanie mi życia i za tę wspaniałą jazdę do brzegu.

— Prose bardzo chłopce! — Potem del-fin wykonał niewiarogodny skok nad głową Readisa i za swoim towarzyszem ze stada popłynął na otwarte morze.

— Wróć do mnie. Wróć do mnie jak najszybciej! — zawołał za nim Readis, wyskakując nad wodę, żeby podkreślić wagę tego zaproszenia. Odpowiedział mu tylko przytłumiony pisk.

— Czy myślisz, że mnie usłyszał? — żalonym głosem Readis zapytał Alemiego.

— Wydaje mi się, że one mają doskonały słuch — rzeczowo zauważył Alemi, a potem pomógł malcowi wydostać się z wody. Chłopiec przez cały czas wspaniale się zachowywał. Będzie musiał opowiedzieć o tym Jaygemu. Ojciec czasami widzi syna w innym świetle niż postronny obserwator.

Cała ta przygoda bardzo ich wyczerpała, ale radość z ocalenia dodała im wystarczająco dużo energii, by mogli dotrzeć do suchej, piaszczystej plaży i usiąść tam dla odpoczynku.

— Chyba nam nie uwierzą, wujku? Jak ci się wydaje? — zapytał z westchnieniem Readis, wyciągając się na ciepłym piasku.

— Sam nie jestem pewien, czy mam sobie uwierzyć? — odparł Alemi i z uśmiechem zwałił się na ziemię obok chłopca. — W każdym razie na pewno uratowały nas ryby–przewodnicy. To nie budzi żadnych wątpliwości.

— A ta ryba — przewodnik, jakże on siebie nazywał — s’ak? Przecież rozmawiał z nami, ty też go słyszałeś: „Prose! Nas obowiązek”. — Readis piszczącym głosem zaczął naśladować sposób mówienia delfinów: — One są dobrze wychowane.

— Zapamiętaj to sobie, chłopcze — powiedział Alemi z lekkim uśmiechem.

Wiedział, że powinien się podnieść, pójść do Araminy i uspokoić ją opowiadając o tym, jak przeżyli sztorm. Jednakże obróciwszy głowę w kierunku lądu, nie dostrzegł tam ani żywego ducha. Czy to możliwe, żeby nikt nie zauważył takiej nawałnicy? Czyżby nikt nie zdawał sobie sprawy, w jakim byli niebezpieczeństwie? Może lepiej niepotrzebnie nie zakłócać groźnymi opowieściami takiego przyjemnego zdarzenia, jakim będzie Spotkanie z okazji urodzin Swacky’ego.

— Wujlemi? — W głosie Readisa brzmiała nutka żalu. — Straciliśmy nasze czerwonopłetwe. — No i oczywiście także łódź — szybko dodał chłopiec, pragnąc podkreślić, że umie już właściwie wartościować rzeczy.

— Uratowaliśmy życie, Readisie, i mamy do opowiedzenia wspaniałą historię. No, wypocznij jeszcze kilka minut.

Tych kilka minut stało się godziną, która upłynęła, zanim się obudzili. Ciepły piasek ogrzał ich ciała, a szum morza w połączeniu z lekkim powiewem wiatru ukołysał ich do snu po przebytym trudzie.

Gdyby nie powszechna opinia, że Alemi nigdy nie zmyśla, pozostali mieszkańcy Siedliska Rajskiej Rzeki nigdy by nie uwierzyli w zadziwiającą opowieść dwóch wędkarzy. Jednakże następnego ranka przyływ morza wyrzucił na plażę części rozbitej łodzi.

Do tego czasu wszyscy w Siedlisku znali już historię wyprawy, która omal nie skończyła się tragicznie. Na lądzie nie zauważono sztormu, ponieważ wszyscy albo wykonywali swoje codzienne obowiązki, albo przygotowywali wieczorne Spotkanie. Aramina spędziła prawie cały dzień w domku Teramy, piekąc ciasta. Była bliska zemdenia, kiedy Alemi opowiedział jej, opuszczając zresztą wszystkie drastyczne szczegóły, o ciężkich przeżyciach jej syna i o jego wspaniałym zachowaniu. W tym czasie Readis usiłował coś zjeść, bowiem drugie śniadanie stracił w czasie sztormu. Matka tak nerwowo krzątała się wokół niego, że wreszcie, sprawiając jej zapewne przykrość, poprosił, by pozwoliła mu w spokoju napelnić pusty żołądek. Bardzo ostro go jednak upomniała, kiedy opowiedział jej o mówiących rybach.

— W jaki sposób ryba może mówić? — popatrzyła z wyrzutem na Alemiego, jakby to on nakładł chłopcu do głowy takich bzdur.

Zanim Alemi mógł go poprzeć, Readis spojrział na matkę spode łba i z nutą uporu powiedział: — Przecież smoki mówią.

— Smoki mówią do swoich jeźdźców, ale nie do małych chłopców.

— Ale ty, mamó, je słyszysz — odważnie trwał przy swoim, chociaż wiedział, że Aramina bardzo nie lubi, kiedy ktoś ma inne zdanie niż ona. Po tym stwierdzeniu zapadła chwila ciszy, wystarczająco długa, by Readis zapragnął cofnąć wypowiedziane słowa.

— Tak, rzeczywiście słyszę smoki, ale z całą pewnością nigdy nie słyszałam gadającej ryby–przewodnika!

— Nawet wtedy, gdyby ratowały ciebie i tatusia?

— W czasie szalejącego sztormu? — zapytała z niedowierzaniem.

— Mój zaczął mówić dopiero po zakończeniu sztormu. Matka chłopca spojrziała pytająco na Alemiego.

— Tak, to jest prawda, Aramino, one potrafią mówić.

— Wydawane przez nie odgłosy mogą brzmieć jak słowa, Alemi — upierała się przy swoim.

— Nie wtedy, gdy odpowiedziały „prose” po usłyszeniu mojego „dziękuję wam”. — Żywiolowo zareagował Readis, a Alemi pod zgorzonym spojrzeniem Araminy energicznie kiwnął głową na potwierdzenie jego słów. — Wiedzą też, że Starożytni nazywali tamto miejsce Ładowiskiem, i twierdzą, że są s’akami, a nie rybami.

— To oczywiste, że są rybami — gniewnie wybuchła Aramina. — Przecież pływają w morzu.

— My także pływamy, a nie jesteśmy rybami — ripostował Readis, oburzony niedowiarstwem matki. Wybiegł z domu i nie zareagował na jej wołanie o powrót.

— Widzisz, co narobiłeś? — Aramina z wyrzutem zwróciła się do Alemiego, opuszczając kuchnię Temmy.

Alemi spojrzął pytająco na starszą kobietę.

— Jeżeli twierdzisz, Lemi, że one gadają, to na pewno gadają — powiedziała była kupcowa, energicznym skinieniem głowy podkreślając swe słowa. Gdy dostrzegła jego zmieszanie, dodała z uśmiechem: — Nie martw się zachowaniem Ary. Za jakiś czas się uspokoi, ale sam musisz przyznać, żeście ją śmiertelnie wystraszyli. A tutaj nikt z nas nawet nie wiedział o szalejącym na morzu sztormie. No, poczęstuj się! — Podała mu kubek świeżo zaparzonego klahu, do którego dołała łyk specjalnego naparu, używanego w szczególnych sytuacjach.

— Ha! — mruknął Alemi, cmokając po pociągnięciu dużego haustu. — To mi było potrzebne! — Oddał pusty kubek, patrząc jej uważnie w oczy.

— To ci już wystarczy, w przeciwnym bowiem razie nie byłbyś w stanie dzisiaj wieczorem uraczyć towarzystwa opowieścią o waszej przygodzie! — orzekła Temma puszczając do niego oko.

W podniosłych nastrojach stado delfinów popłynęło na swój akwen, dumne z tego, że znowu udało im się uratować przedstawicieli lądowego plemienia. Zdarzenie zasługiwało na to, by natychmiast zdać z niego sprawozdanie Tillek. Sprawy nie można było odłożyć do przełomu roku, kiedy to wszystkie stada zbierają się przy Wielkiej Otchłani, aby obserwować, jak młode samce próbują swych sił pokonując wiry. Takie spotkanie stanowiło dobrą okazję do dzielenia się nowinami. Stada zamieszkujące wody południa nigdy nie miawały tylu okazji do wypełniania tradycyjnych obowiązków, co te z północy. A więc szeroko po wodach planety rozniosła się wieść, że Afo i Kib miały do czynienia z ludźmi zaginionymi w morzu. Była to naprawdę wielka chwila. Porozumiewali się z nimi przy pomocy starożytnych Słów Uprzejmości. Kib wielokrotnie powtarzał sobie swą opowieść — płynąc mruczał Słowa Sprawozdania. Wysyłał w dal dźwięki, żeby były powtarzane od stada do stada, zanim on sam dotrze na posłuchanie u Tillek. Może to właśnie jest ten moment, o którym mówiła Tillek, że nadejdzie czas, kiedy ludzie przypomną sobie o porozumiewaniu się z rodzajem morskim i powróci dawne partnerstwo.

Sygnaly dotarły do Tillek, która poleciła je natychmiast przekazywać na wszystkie krańce mórz, do wszystkich stad zamieszkujących wody planety Pern. Powszechnie zazdrozczono im tego pomyślnego wydarzenia i niektóre delfiny pragnęły przyłączyć się do szczęśliwego stada. Afo, Kib, Mel, Temp i Mul pływały szybko i dumnie, przy okazji wykonując potężne skoki. Mel stale rozmyślał o tym, czy ludzie ciągle jeszcze umieją usuwać ryby-pijawki, gdyż jedna z nich przysała się do niego i jak dotąd w żaden sposób nie mógł się jej pozbyć.

## ROZDZIAŁ II

Tego wieczoru Readis, zanim usnął, zdażył trzy razy opowiedzieć swoją przygodą.

— Nauczył się tego tak dokładnie, jakby był prawdziwym harfiarzem. — z nutą smutku w głosie stwierdził jego ojciec.

— W każdym razie, jeżeli wyraźnie zakazałeś mu... — Aramina ze specjalnym naciskiem wymówiła ostatnie słowo — ...pływać i żeglować...

— Łodzi już nie ma, chyba pamiętasz o tym? — stwierdził Jayge uspokajająco.

— ...w poszukiwaniu tych ryb-przewodników — dokończyła, wpatrując się w niego.

— Słyszałaś przecież, Mina, obiecał nie zbliżać się do wody bez opieki. Wiesz, że to dziecko dotrzymuje danego słowa.

— Hmmm — mruknęła Aramina, pełna złych przeczuć.

W ciągu następných dwóch dni obserwowała każdy krok syna i zauważyła, że przestrzegał poleceń ojca, chociaż często, osłaniając oczy przed promieniami słońca, obserwował falujący bezkres wód Morza Południowego. Przychodziła jej nawet do głowy niepokojąca myśl, że chłopiec zaczął bać się morza. Kiedy podzieliła się swymi obawami z mężem, Jayge gwałtownie zaprzeczył i powiedział, że Readis z całą pewnością nie zna uczucia lęku.

— Po prostu jest posłuszny, przecież chyba tego właśnie oczekujesz od niego? — zapytał Jayge. — Nie może równocześnie stosować się do zakazu i korzystać z morza.

Aramina westchnęła, a po chwili przestała zajmować się sprawą Readisa, wezwana głośnym płaczem Aranyi, której z wózka do zabawy ustawicznie spadało jedno z kólek.

Następnego dnia, w czasie południowego wypoczynku mieszkańców Siedliska, którzy kryli się w cieniu przed palącymi promieniami słońca, Amina otrzymała od Rutha uprzejmą, telepatyczną informację, że razem z lordem Jaxom mają odwiedzić Rajską Rzekę. Wiadomość tę przekazała swemu mężowi. Była w pół drogi do kuchni, gdzie zamierzała przygotować ulubione przez Jaxoma soki owocowe, gdy zawróciła wielce zdziwiona.

— Oni już są tutaj, w Rajskim Siedlisku — powiedziała i podeszła na skraj szerokiej werandy ocieniającej ich dom, po czym spojrzała w górę, szukając na niebie dobrze znanej sylwetki smoka. Nic jednak nie zobaczyła.

— Gdzie oni się podziali? To typowe postępowanie Jaxoma. Z drugiej jednak strony, dlaczego przesyłał wiadomość o swoim przylocie, skoro jest już gdzieś w pobliżu... Ech, może źle zrozumiałam Rutha. Zdarza mi się to od czasu do czasu. — Westchnęła z rozdrażnieniem, wzruszyła ramionami i weszła do wnętrza domu.

Jayge usiadł w miejscu, skąd miał dobry widok na podjazd do domu, i oparł nogi na balustradzie. Czasy, gdy Aramina słyszała rozmowy poszczególnych smoków, już dawno minęły, ku jej ogromnej radości. Teraz, aby przekazać wiadomość, smoki muszą się specjalnie na niej koncentrować. Jayge nie miał pojęcia, co mogło spowodować opóźnienie Rutha, który zawsze bardzo starannie dotrzymywał zapowiedzianego czasu przybycia. Lord Jaxom z Siedliska Ruatha był serdecznie oczekiwanym gościem. Jayge uśmiechnął się na myśl, jaką niespodziankę, po obudzeniu się z poobiedniej drzemki, sprawi Readisowi widok białego smoka.

— Na pewno teraz nie ucieszy go już to tak bardzo, jak pływanie z del-finem. — Jayge głośno powiedział, co myśli. Niemniej Ruth i Jaxom byli pierwszym smoczym zespołem, jaki wylądował w Rajskiej Rzece po przygodzie Readisa. Trzeba im będzie szczerze odpowiedzieć na wiele pytań.

I właśnie w tym momencie Ruth gładko ześlizgnął się z nieba, szeroko rozpościerając skrzydła, żeby wylądować tuż przed domem. Jayge podniósł się i z serdecznym uśmiechem poszedł ich przywitać.

— Ara zabrała się do wyciskania soku, kiedy Ruth przekazał jej wiadomość, że lecicie. Ale wprowadziłeś ją w błąd. Powiedziała, że jesteście tutaj, a my nigdzie nie mogliśmy was dostrzec. Cieszę się, że jesteście, gdyż coś ważnego wydarzyło się u nas!

Jaxom uśmiechnął się, a Jayge zmarszczył czoło, kiedy zauważył, że gość niesie w rękę

swoją podróżną wiatrówkę, a na cienkiej koszuli widać plamy potu. Twarz także miał spoconą. Jayge nie mógł zrozumieć, co się stało — przecież w przestrzeni pomiędzy panował ogromny chłód. Ruth odwrócił się, następnie skacząc i polatując ruszył w kierunku wybrzeża. Tam otoczyła go szczebiocząca chmara latających jaszczurek.

— Chce się wyszorować, prawda? — Jayge przyjaznym gestem zaprosił swojego gościa na chłodny taras. — Jaxom, jak mogłeś tak się spocić w przestrzeni pomiędzy?

— Kradliśmy piasek — powiedział młody lord z łobuzerskim uśmiechem. — Sprawdzaliśmy gatunek surowca, jakim tu dysponujesz.

— Naprawdę? Ale do czego potrzebny ci piasek z Rajskiej Rzeki? W każdym razie mam nadzieję, że mi to wytłumaczysz. — Wskazał Jaxomowi hamak, umieszczony w takim miejscu, że docierał tam każdy najłżejszy powiew wiatru. Sam, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, oparł się o balustradę i czekał na wyjaśnienia.

— Pierwsi osadnicy wydobywali tutaj piasek na terenach porośniętych karłowatymi krzewami. Cenili go bardzo wysoko jako surowiec do wyrobu szkła.

— Z pewnością go tam nie zabraknie. Czy Piemur i Jancis odnaleźli te... jak im tam...

— Mikroprocesory? — Z lekkim uśmiechem Jaxom podsunął właściwe określenie na dziwne części, składowane przez Starożytnych, w magazynach Siedliska. Dopiero niedawno niektórzy ludzie zrozumieli, do czego one służą. Stosowano je mianowicie jako części do komputerów, z których najbardziej rozbudowany był, niedawno odkryty w budynku na Ładowisku, Audio System Sztucznej Inteligencji Gromadzący Informacje. Znano go pod nazwą Assigi i stanowił składnicę, w której Starożytni przechowywali całą swoją ogromną wiedzę. Jayge raz, przez krótką chwilę, widział to niezwykle urządzenie, znajdujące się w specjalnym pomieszczeniu na Ładowisku i słyszał o niemal cudownych wiadomościach, jakimi dysponuje.

— A więc te mikroprocesory... okazały się jednak użyteczne.

— Tak, udało się nam uratować zdatne do użytku tranzystory i kondensatory, ale chwilowo nie są jeszcze zainstalowane.

Jayge spojrział na niego podejrzliwie, gdyż wszystkie te skomplikowane słowa wydobywały się z jego ust dziwnie łatwo, po czym dodał z uśmiechem: — No, skoro tak mówisz.

W tym momencie na taras wszedł, przecierając zaspane oczy, mały Readis, ubrany tylko w przepaskę na biodrach. Spojrział na Jaxoma, leniwie kołyszącego się na hamaku, i szybko odwrócił głowę, by zobaczyć, co dzieje się przed domem.

— Gdzie jest Ruth?

Jaxom wskazał białego smoka, taplającego się w płytkiej wodzie w otoczeniu latających jaszczurek.

— On mi wystarczy jako opiekun, prawda? — zapytał Readis, przechylając głowę w identyczny sposób jak jego ojciec.

Jayge skinął głową, zadowolony z tego, że Readis pamięta o swoim przyrzeczeniu niechodzenia nad morze bez opieki.

— Ruth teraz się kąpie, a poza tym chciałbym, żebyś opowiedział panu Jaxomowi, co tobie i Alemiemu przytrafiło się przed paroma dniami.

— Czy przyjechał pan tu specjalnie, żeby usłyszeć o mojej przygodzie? — zapytał Readis. Dobrze znał liczne obowiązki lorda Jaxoma, gdyż obserwował podobną pracę swojego ojca, włodarza Siedliska. Z drugiej jednak strony pewien był, że nawet ktoś tak zapracowany jak lord Jaxom z ciekawością posłucha o jego przygodzie, ponieważ była to opowieść prawdziwa.

— Tak, to jeden z powodów — odpowiedział Jaxom z uśmiechem. — A więc zdradz mi, co się wam przydarzyło, tobie i Alemiemu?

Aramina wynurzyła się z wnętrza domu, niosąc pod pachą wyrwijącą się córkę, a w wolnej ręce tacę. Jayge poderwał się, żeby odebrać od niej tacę, ale zamiast tego podsunęła



mu Aranyę i sama podała Jaxomowi napój w wysokiej szklance oraz kilka świeżo upieczonych słodkich ciasteczek. Po chwili również przed Readisem, siedzącym na swoim stołeczku, znalazły się dwa ciasteczka i szklanka soku. Kiedy matka wreszcie zajęła miejsce, Readis spojrzał na ojca, czekając na jego znak.

Chłopiec zaczerpnął głęboki oddech i rozpoczął wielokrotnie powtarzaną już opowieść. Uważnie obserwował twarz lorda Jaxoma, żeby przekonać się, czy słucha go z należytą uwagą. Rzeczywiście, prawie od samego początku dostrzegł jego szczere zainteresowanie.

— Ryby–przewodnicy? — wykrzyknął lord Jaxom, kiedy Readis doszedł do odpowiedniego miejsca swego opowiadania.

Chłopiec spojrzał na Jaygego i Araminę, którzy z powagą potwierdzili jego słowa.

— Całe ich stado — powiedział z dumą. — Wujlemi uważa, że musiało ich tam być ze trzydzieści sztuk. Doholowały nas na bezpieczną odległość od plaży, skąd już sami mogliśmy dotrzeć na brzeg. I... — dodał po krótkiej przerwie, by podkreślić znaczenie wypowiedzanego zdania — ...następnego ranka znaleziono części łodzi wyrzucone na piasek dokładnie w pobliżu rybackiego gospodarstwa, tak jakby wiedziały, gdzie było ich miejsce.

— To wspaniała opowieść, chłopcze. Jesteś urodzonym harfiarzem. Cudowne ocalenie. To naprawdę wspaniała przygoda.

Readis wyczuł prawdziwe uznanie w słowach Lorda Włodarza.

— Czy czerwonopletwe nie zostały przypadkiem zwrócone razem ze szczątkami łodzi? — zapytał Jaxom.

— Nie — spokojnie odpowiedział Readis, podkreślając słowo ruchem dłoni. Sam był zresztą rozczerwany brakiem skrzynki wśród odnalezionych na plaży pozostałości po łodzi. — Skrzynka z rybami utonęła, więc musieliśmy jeść włókniste jarzyny zamiast wspaniałych, soczystych steków rybnych. A wie pan, co się jeszcze wydarzyło?

— No, co takiego? — zainteresował się Jaxom.

— One nie tylko nas uratowały, ale potem rozmawiały z nami!

— I cóż wam powiedziały?

Nagle wyraz twarzy lorda Jaxoma stał się bardzo czujny, jego wzrok przeszywał Readisa, jakby ten został złapany na kłamstwie. Readis wyprostował się i wypiął pierś.

— Powiedziały nam „prose”, kiedy im dziękowaliśmy. Nazwały też siebie „s’akami”, a nie rybami. Wujlemi może to panu potwierdzić!

Readis dostrzegł, że Jaxom spojrzał na jego ojca tak, jakby nie wierzył w opowieść. Ojciec powoli skinął głową w kierunku Jaxoma, a potem zwrócił się do chłopca:

— Readisie, może pobiegłbyś zobaczyć, czy jaszczurki dobrze umyły Rutha.

Po wygłoszeniu swojej opowieści Readis nie miał już w domu nic do roboty i był szczęśliwy, że ojciec pozwolił mu zająć się kąpielą Rutha, jego najbardziej ulubionego smoka ze wszystkich poznanych do tej pory.

— Naprawdę mogę? — i skierował pytający wzrok na lorda Jaxoma.

— Tak, proszę bardzo — odparł Jaxom.

Readis wydał głośny okrzyk radości, zeskoczył z tarasu i pobiegł na brzeg do kąpiącego się Rutha.

Kiedy chłopiec znalazł się poza zasięgiem głosu, Jaxom zwrócił się do jego rodziców:

— Wiem, i fakt ten nie budzi żadnych wątpliwości, że delfiny, które przez całe stulecia nazywaliśmy rybami–przewodnikami, przybyły na tę planetę z pierwszymi osiedleńcami. Ale żeby potrafiły mówić? To jest naprawdę zadziwiające. — Skierował wzrok w stronę kąpiącego się Rutha.

— Nigdy nie staną się konkurentami smoków — szybko powiedział Jayge, spoglądając na Jaxoma.

— Nie ma obawy — odparł Jaxom z łagodnym uśmiechem. — Dla nich nic nie może stanowić konkurencji, ale wy, włodarze Nadmorskich Siedlisk, powinniście rozważyć

możliwość odnowienia dawnej przyjaźni. Szczególnie mając na uwadze sztormy nawiedzające te obszary.

— Hmm... — Jaygemu wyraźnie spodobał się ten pomysł.

— Nie odważysz się... — Aramina zrobiła przerwę, by podkreślić swoje negatywne stanowisko — ...podsycać dalej jego zainteresowań w tym kierunku.

— A dlaczego nie? — zapytał Jayge i mrugnął do niej. — Łapcie ich, kiedy są młodzi, i szkolcie w kierunku, któremu mają się poświęcić.

— Readis zajmie po tobie stanowisko wóldarza Rajskiej Rzeki — powiedziała z naciskiem.

— A jako przyszły wóldarz Rajskiej Rzeki, Siedliska położonego nad samym brzegiem morza, wydaje mi się, że byłoby wskazane, aby poznał wszelkie możliwości tych terenów — odparł Jayge, szerokim gestem wskazując na mieniące się w oddali morze. — Oczywiście, powinien się tym zająć, gdy już będzie dostatecznie dojrzały, by móc właściwie oceniać sytuację — dodał widząc, że Aramina popada w buntowniczy nastrój.

— Na naukę nigdy nie jest za wcześnie, sama to wiesz — wtrącił Jaxom, zwracając się do kobiety.

— Jesteś jeszcze gorszy od niego. Nie powiesz mi, że Sharra pozwoliłaby Jarrol włóczyć się bez opieki nad morzem!

— W Ruatha nie mamy go za blisko — odparł Jaxom z humorem. — A kiedy mówimy już o mojej żonie, to myślę, że powinienem się zbierać i wracać do niej. Sprawię jej niespodziankę wcześniejszym przybyciem. A więc, Lordzie Wóldarzu, czy pozwalasz mi używać piasku z Rajskiej Rzeki? — zwrócił się do Jaygego.

Jayge wznosił obie ręce do góry w szerokim geście zgody.

— Tyle, ile tylko będziesz chciał.

— Dziękuję — Jaxom dopił resztkę soku i cmoknął z zadowoleniem. — No, tośmy załatwili sprawę, a teraz trzeba mojego smoka odciągnąć od jego wielbicieli.

Jayge obejmując jednym ramieniem Araminę, drugą ręką pomachał na pożegnanie. Potem ciepłe spojrzenie zwrócił ku żonie. Zawsze trochę się dziwił, dlaczego zdecydowała się spędzić z nim życie.

— Niektórzy ludzie interesują się morzem, inni zwierzętami lub smokami. — Przytulił ją mocniej, gdy zobaczył, że po tym wstępie twarz jej się zachmurzyła. — Readis przeżył wielką przygodę, będąc w tak młodym wieku. Pozwólmy rzeczom toczyć się własnym trybem. Bardzo bym chciał dowiedzieć się, co Assigi ma do powiedzenia na temat ryb-przewodników. Poza tym, kochanie, my również zawdzięczamy im życie i to, co mamy. Dla dobra naszego syna powinniśmy poznać wszystko, co o nich wiadomo. Przytuliła się mocniej, czerpiąc z niego energię.

— Przecież to jeszcze małe dziecko.

— Które, mam nadzieję, wyrośnie na pięknego silnego mężczyznę. I prawdopodobnie będzie tak uparty jak jego matka — uśmiechnęła się do niej.

— Ha! Jeżeli będzie uparty, to nie odziedziczy tego wyłącznie po matce — odparła z humorem. — Słuchaj, Jayge, ja nie chcę się upierać przy swoim zdaniu.

— I ja nie mam takiego zamiaru, ale muszę przyznać, że bardzo bym pragnął posłuchać, co powie Assigi o mówiących rybach.

— Tak — powiedziała Aramina odchodząc od niego, by wyjąć z rączki córki obsypane piaskiem ciastko. — W momentach stresu ludzie mogą wyobrażać sobie najdziwniejsze rzeczy.

— A jednak nas to nie dotknęło. — Jayge uśmiechnął się na myśl o ich własnym, rzadko wspominanym ocaleniu. — My natomiast nigdy nie pomyśleliśmy o tym, żeby im podziękować.

Aramina popatrzyła na niego z oburzeniem. — Weź pod uwagę, że tylko z największym

trudem udało nam się dotrzeć do brzegu, i jestem pewna, że ryby–przewodnicy nigdy do nas niczego nie mówiły, dlaczego więc mielibyśmy im dziękować?

Delfiny ciągle patrolowały akweny w pobliżu Rajskiej Rzeki, mając nadzieję, że uda im się poprosić ludzi o usunięcie ryb–pijawek. Większość członków stada cierpiała z powodu tych pasożytów. Czasami jakiemuś towarzyszowi udawało się odgryźć rybę–pijawkę, ale na ogół niezbędny okazywał się ostry nóż używany przez ludzi. To była jedna z tych wspaniałych rzeczy wynikających z posiadania opiekuna — on lub ona zawsze potrafili utrzymać ciało delfina w czystości. Tak więc, gdy delfiny znalazły połamane szczątki łodzi należącej do ludzi, przepchnęły je w miejsce, skąd przyływ zaniósł je na brzeg. Nie mogły dotrzeć bliżej plaży ze względu na płycizny. Miały nadzieję, iż widząc obowiązkowość delfinów w podtrzymywaniu tradycyjnej pomocy, człowiek podejmie zadania, których one nie są w stanie wykonać same.

Czuwały do momentu, gdy dostrzegły, że ludzie znaleźli resztki wraku. Kib wołał i wołał pytając, kiedy ryby — pijawki mogą być usunięte i dokąd mają popłynąć na zabieg. Ludzie jednak byli tak szczęśliwi z odnalezienia kawałków łodzi, że wrócili w głąb łądu nie odpowiadając na wezwanie.

Gdyby tutaj był dzwon, marzył Kib. Powinien tu być. Wtedy mogłyby w niego uderzyć, jak to robili ich przodkowie, i ludzie z pewnością by zareagowali. Delfiny z Zatoki Monko miały dzwon, ale mimo to dotąd nikt nie usuwał im ryb — pijawek. Czyżby człowiek zapomniał o swoich obowiązkach wobec delfinów?

Tillek powiedziała, że nadejdzie dzień, gdy znowu odezwą się Dzwony Delfinów i ludzie przypomną sobie, co mają robić, by im pomóc.

### ROZDZIAŁ III

Aramina w skrytości ducha miała nadzieję, że lord Jaxon zapomni o opowieści Readisa i nie przekaże do Assigi wiadomości o przygodzie jej syna. Była jednak w błędzie. Jak się okazało, to Mistrz Rybołówstwa Alemi został poproszony o przybycie i złożenie sprawozdania Audio Systemowi Sztucznej Inteligencji Gromadzącemu Informacje.

Jayge trochę się zdenerwował, że Readis stracił okazję poznania tego wspaniałego urządzenia, lecz Aramina uznała to za najpomyślniejsze rozwiązanie.

— Jayge, przecież on dopiero co odzyskał spokój. Zetknięcie się z tym całym Assigi może go rozkojarzyć. A w ogóle, ile chłopiec w jego wieku zdoła z tego zrozumieć? Według mnie, to zupełnie coś innego niż spotkanie z żywą osobą, której mógłby złożyć sprawozdanie. Czy uważasz, że nie mam racji?

— Mógłbym nalegać, żeby Readis mi towarzyszył — powiedział Alemi, nie chcąc stwarzać okazji do nieporozumień pomiędzy włodarzem a jego żoną. Jego początkowy zapał został mocno ostudzony faktem niezaproszenia na wywiad jego młodego przyjaciela. Kiedyś już był w Budynku Administracji z innymi Mistrzami Rybołówstwa i zaskoczyła go ilość wiadomości o prądach morskich i ukształtowaniu dna, jakimi dysponowało to urządzenie. A chłopiec byłby tak dumny z tego wyróżnienia!

— Nie! — ucięła energicznie Aramina. — Wystarczy mu samo przeżycie tej przygody. I tak ma skłonności do przesady, a ja nie chcę, by nawet myślał o ponownym pływaniu z rybami — przewodnikami. Sam tam idź. Ustal, co Assigi wie na ten temat. Dopiero potem zadecydujemy, czy powiedzieć Readisowi. W chwili obecnej, prawdę mówiąc, wolałabym zapomnieć o całej sprawie.

— Zapomnieć, że del–finom zawdzięczamy życie naszego syna?

— Nasze własne także zachowaliśmy dzięki nim! — syknęła do Jaygego. — Nie mam zamiaru całymi dniami wypatrywać płetw tnących wodę. Readisa należy nauczyć, jak ma żyć

na łądzie, a nie w morzu. — Rzuciła okiem na Alemiego i dodała łagodniejszym tonem: — Widzisz, uważam, że jak na chłopca w jego wieku i tak posiadał bardzo dużo wiadomości dotyczących zawodu rybaka i jestem ci wdzięczna za to, czego go nauczyleś. — Następnie odetchnęła i ciągnęła dalej. — Liczy sobie dopiero siedem Obrotów! I ma znacznie więcej do czynienia ze smokami niż z del-finami.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia w milczącym porozumieniu.

— A więc pojedę na Ładowisko — ze spokojem stwierdził Alemi. — Zobaczę, co Assigi ma do powiedzenia na temat tych stworzeń. Muszę przyznać, że sam jestem nimi zafascynowany. — I — dodał z nieśmiałym uśmiechem — podczas ostatniego rejsu odłożyłem kilka ryb, żeby je nakarmić. Wiecie, naprawdę nie zdawałem sobie z tego sprawy, jak często one towarzyszyły mojemu statkowi, a także jak często ratowały komuś życie. Każdy z moich starszych pomocników zna jakąś historię o del-finach. Oly twierdzi, że utrzymywały jego łódź na powierzchni do momentu, kiedy znalazł się tak blisko brzegu, że mógł już wplaw dotrzeć do ładu. Łódź zatонуła w chwili, gdy ją opuścił.

— Alemi, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? — zapytała Aramina poważnym tonem.

— Co?

— Nie opowiadaj Readisowi tych wszystkich historii.

— Ara... — Jayge zaczął protestować. Przerwała mu ostro:

— Wiem aż za dobrze, panie Jayge Lilcamp, co może stać się z chłopcem, którego głowa pełna jest urojeń.

Jayge ustąpił i spojrzał na nią potulnie.

— W porządku, Ara, zrozumiałem, o co ci chodzi. A ty, Alemi?

— No, zgoda! Też będę trzymał język za zębami.

Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia, po czym Aramina powiedziała już łagodniejszym tonem: — Jeżeli zapyta, to powiedz mu prawdę. Nie chcę go karmić kłamstwami, ani niczego zatajać.

— Więc właściwie nie wiesz, czego się trzymać? — stwierdził Jayge. Zrobiła nachmurzoną minę, ale po chwili troszkę się wypogodziła i nawet niepewny uśmiech zjawił się na jej ustach.

— Wydaje mi się, że wiem. Przecież on ma dopiero siedem Obrotów i według mnie naprawdę już dużo osiągnął jak na swój wiek.

Tego wieczoru cała trójka osiągnęła pełne porozumienie. Alemi ustalił ze starszym matem, że następnego dnia żaglowiec wypłynie pod jego komendą, by trałować sieci na czerwonopłetwe, których ogromne ławice ciągle przebywały w pobliskich wodach. Poleciał też, żeby uwędzić ryby, których nie uda się sprzedać od razu. Podjął te kroki, gdyż nie chciał tracić dnia połowu tylko dlatego, że poproszono go na Ładowisko.

Kitrin też nie chciała słuchać o jego wyjeździe.

— Kochanie, przecież dłużej mnie nie ma w domu, gdy wypływam statkiem na połowy — łagodnie tłumaczył żonie. Była już w mocno zaawansowanej ciąży i potrafiła zadreć się drobnostkami. Pociągnął ją za rękę, przytulił do siebie i pogładził po ciemnych włosach. — I obiecuję ci, że nawet nie spojrzę na te wyemancypowane dziewczyny pracujące na Ładowisku.

Oboje poczuli delikatne kopnięcie dziecka w jej brzuchu i uśmiechnęli się do siebie.

— Musisz tylko wysłać za mną Bitty — poradził jej, wskazując na małą latającą jaszczurkę zwiniętą w kłębek w słonecznej plamie na ich werandzie. — Znacznie łatwiejszy jest powrót z Ładowiska, niż z morza.

— Wiem, wiem o tym — powiedziała i mocno przywarła do niego.

Gdyby Alemi miał być szczery — choć ze względu na złe samopoczucie Kitrin to nie był odpowiedni czas ku temu — musiałby przyznać, że zaproszenie do odwiedzenia Ładowiska i do odbycia rozmowy z Assigi stanowiło dla niego atrakcję, której nie chciałby się wyrzec. Co

prawda, wolałby tam jechać w towarzystwie, rozumiał jednak i doceniał niepokój Araminy o Readisa. Chłopiec lubił przygody i był pewny siebie, może nawet za bardzo, gdyż skłonny był porywać się na więcej, niż pozwalały mu jego możliwości. Alemi miał zamiar opowiedzieć wszystko, co zaobserwował w związku z del-finami. O tym, jak stawał na dziobie żaglowca i pozdrawiał ryby-przewodniki, by sprawdzić, czy inne też będą z nim rozmawiały, i o tym, że w goście wdzięczności karmił je specjalnie na ten cel odłożonymi rybami. Postępował tak każdego dnia rano i wieczorem. Ku własnemu zaskoczeniu zaczął rozróżniać kolory, a nawet blizny na ich pyskach — po prostu nauczył się rozpoznawać poszczególne zwierzęta. Przyszło mu do głowy, że del-finy, podobnie jak smoki, łatwo jest zidentyfikować, jeżeli wie się, gdzie należy szukać różnic.

Alemiego ucieszyła także szansa przelecenia się na smoku. Takie okazje nie trafiały mu się zbyt często. Pierwszą wyprawę w przestrzeń pomiędzy odbył z inicjatywy Menolly, swojej siostry. Dowiedziała się od Mistrza Harfiarza Robintona o osiedlu nad Rajską Rzeką i pomyślała, że Alemi mógłby popłynąć na południe i założyć własne Siedlisko. Siostra wiedząc, jak ostro krytykował konserwatyzm ojca, zdawała sobie sprawę z jego sytuacji. Został więc wysłany na smoku na spotkanie z nowo mianowanym włodarzem Jaygem Lilcampem i spodobał się sobie wystarczająco, by móc razem pracować. Jeszcze później dwukrotnie jeździł na smoku, gdyż zebrania Cechu Rybaków odbywały się w Sali Tilleków Mistrzów Rybackich. Menolly nieraz powtarzała mu, że skoro został mistrzem w zawodzie, to ma prawo żądać przelotu na smoku, gdy tylko zachodzi taka potrzeba, jednak Alemi nigdy nie nadużywał tego przywileju.

Często pływał do miejsca zwanego obecnie Zatoką Monako, wożąc dziesięć dla Kasztelu oraz zaopatrzenie dla stale powiększającej się liczby mieszkańców Ładowiska. Ciągłe jeszcze trwały tam prace wykopaliskowe i udało mu się zdobyć kilka użytecznych przedmiotów wydobytych z Jaskiń Catheriny, gdy były rozdawane mieszkańcom.

Tym razem z okazji wizyty na Ładowisku włożył oficjalny mundur z wyhaftowaną odznaką mistrza i barwami Siedliska Rajskiej Rzeki oraz z nowo wplecionymi akselbantami określającymi jego pozycję zawodową. Kitrin miała wielki talent do posługiwania się igłą i dużo szyła dla całego Siedliska.

Poprosił jeźdźca smoka, by podleciał do domu od strony morza, gdyż w ten sposób było mniejsze prawdopodobieństwo, że Readis zauważy jego odjazd. Spiżowy smok pojawił się punktualnie o wyznaczonej godzinie, a Alemi zdziwił się nieco wiekiem jeźdźcy.

— Mistrzu, nazywam się T'lion, przyjechałem po ciebie — powiedział chłopiec ze swojego miejsca na szyi spiżowca. — To jest Gadareth, mój smok. — W jego głosie słychać było nutę podziwu i dumy. — Czy pomóc ci wsiąść, mistrzu Alemi?

— Myślę, że sam jakoś sobie poradzę — odparł Alemi, starając się nie pokazać po sobie, że obawia się, czy to aby nie po raz pierwszy wysłano tego młodzieńca po pasażera. — Jeżeli tylko Gadareth mógłby ugiąć kolano — dodał. Spiżowiec nie osiągnął jeszcze wielkości dorosłego smoka, a więc dosiadanie go nie było trudne.

— Ach, przepraszam, panie. — Rysy chłopca stężały, gdy porozumiewał się ze swoim smokiem.

Gadareth obrócił głowę w kierunku Alemiego, a jego oczy zawirowały wyjątkowo szybko. Potem lekko podniósł nogę.

— Czy mógłbyś mi podać rękę? — zapytał Alemi.

— Oczywiście! — Młody T'lion zaczerwienił się.

Chłopiec schylił się tak nisko, że musiał się mocno przytrzymać grzebienia na szyi smoka, żeby nie spaść ze swojego siodła. Alemi lekko chwycił podaną mu rękę, wskoczył na ugięte kolano zwierzęcia, po czym usadowił się w zagłębieniu pomiędzy dwoma wyrostkami grzebienia z tyłu, za jeźdźcem.

— No, wszystko w porządku — powiedział Alemi, poprawiając się na swoim miejscu.

— Czy na pewno, mistrzu?

Siedzieli tak przez kilka chwil, wreszcie Alemi odchrząknął.

— Jestem gotowy. A co z tobą? — zapytał delikatnie, pragnąc przyspieszyć odlot.

— Ach, oczywiście doskonale. Już lecimy. Gadareth! — Tym razem mówił z większą pewnością siebie i bez zbędnych wahań.

Kiedy Gadareth odbił się od ziemi, Alemi znowu przeżył chwilę wątpliwości co do kwalifikacji chłopca i miał gorącą nadzieję, że nie znajdą się nagle w jakimś zupełnie obcym miejscu, z dala od znanych szlaków. Słyszał już o takich zdarzeniach...

Nagle znaleźli się w chłodzie przestrzeni pomiędzy. Alemi wstrzymał oddech:... raz... dwa... trzy... czte... Byli wysoko nad wodą, co stanowiło dobry znak. Zaraz potem Gadareth ostro skręcił, pochylił się na prawe skrzydło i przed nimi ukazał się przepiękny łuk Zatoki Monako. Młody spizowiec szybko obniżył lot, ostro pikując w kierunku ziemi. Manewr ten spowodował, że Alemi znowu wstrzymał oddech i skulił się na swoim miejscu, z całej siły wbijając kolana i pięty w szyję smoka. Wylądowali jednak bardzo gładko i pasażerem nie szarpnęło nawet wtedy, gdy smok zatrzepotał skrzydłami dla wytracenia szybkości. Znaleźli się na utwardzonej nawierzchni przed Budynkiem Administracji, w którym znajdował się Assigi.

Alemi znał dzieje jego odkrycia — opowiadali je harfiarze na wielu zebraniach. Była to jedna z budowli Starożytnych, odkryta przez Mistrza Kowalskiego Jancisa, Sezonowego Harfiarza Piemura i lorda Jaxoma. Jak mówiono, prace te były ich kaprysem. Ruth także pomagał. Któregoś dnia natrafili na dziwnie wzmocnione zakończenie budowli, wydedukowali więc, że coś specjalnego musiało być w ten sposób chronione... i tak odkryli Audio System Sztucznej Inteligencji Gromadzący Informacje pozostawiony przez pierwszych osadników na Pernie. Inteligencję, która mogła powiedzieć im wiele o początkowych latach kolonizacji planety, a także o Niciach. „Assigi” — inteligencja prosiła, żeby tak ją nazywać — obiecał swoją pomoc w całkowitym i trwałym usunięciu zagrożenia Nićmi.

Oczywiście, budynek został powiększony, bo Assigi nauczał bardzo wielu ludzi zapomnianej już wiedzy dotyczącej różnych zawodów. Alemi dziwił się, jak Assigi mógł uczyć tak wielu w tak szerokim zakresie. Zaproszenie na specjalną rozmowę z inteligencją sprawiło mu wielką satysfakcję.

Po opuszczeniu swojego miejsca na szyi młodego spizowca, Alemi nie zapomniał podziękować za dostarczenie go na miejsce.

— Polecono nam czekać, żeby cię odwieźć z powrotem, mistrzu Alemi — powiedział T’lion. A spojrzawszy przez ramię i zobaczywszy liczne kołujące smoki przygotowujące się do lądowania dodał niepewnie: — Będziemy tam na wzgórzach, w miejscu gdzie i inni oczekują — i wskazał kierunek. — Kiwnij tylko na nas.

Spizowiec już się podrywał, by zrobić miejsce do lądowania innym smokom, i wiatr zagłuszył słowa chłopca. Alemi pokiwał ręką na znak, że jednak go usłyszał, następnie odwrócił się w kierunku wejścia do Budynku Administracji. Tuż przy drzwiach stało biurko, za którym siedział Robinton, Mistrz Harfiarzy Pernu, wybitna postać. Alemi na chwilę oniemiał ze zdumienia, a Robinton uśmiechem odpowiedział na jego przyjacielskie powitanie, wstał zza biurka i wyciągnął rękę do młodego Mistrza Rybackiego.

— A, mistrzu Alemi, jak miło cię tu widzieć. I to przybywającego w takim celu. Ty i mały Readis mieliście szczęście zostać uratowani w tak nadzwyczajny sposób.

— Słyszałeś już o tym? — Alemi był zaskoczony. Jednakże Mistrz Harfiarzy, nawet jeżeli teraz wycofał się z uprawiania swojego zawodu, miał własne sposoby dowiadywania się o wszystkim, co działo się na całej planecie.

— Oczywiście — powiedział z naciskiem Robinton. — Sam lord Jaxom mi o tym powiedział. Ale dlaczego nie ma z tobą małego Readisa?

— No, tak jakoś, właściwie to jego matka postanowiła, że nie powinien być już teraz

włączony w tę sprawę. Przekroczył dopiero kilka miesięcy temu siedem Obrotów. Jej się wydaje, że jest jeszcze zbyt młody... — Alemi wyczuł w tonie swojej wypowiedzi brak akceptacji dla takiej decyzji i pomyślał, że powinien być lepiej ukryć własne zdanie.

— Rozumiem. Tak, Aramina może mieć zastrzeżenia co do kontaktów jej syna ze zwykłym delfinem. — Harfiarz uśmiechnął się z sympatią na myśl o matczynych obawach. — W każdym razie dobrze, że ty tu jesteś. Assigi ma dla ciebie wiele informacji o rybach-przewodnikach. Bardzo był zadowolony z tego, że dobrze im się powodzi i że pamiętają ludzką mowę. A teraz proszę tędy... — Harfiarz gestem wskazał korytarz po lewej stronie. — Powiedz, Alemi, czy ty już tu kiedyś byłeś? Tak, oczywiście, a więc możesz ocenić, jak rozbudowaliśmy to miejsce — ciągnął, przechodząc obok sal zajętych przez niewielkie grupy ludzi z uwagą obserwujących ekrany. Wreszcie dotarli do mniejszego pokoju.

— To tutaj — powiedział i odsunął się na bok, aby przepuścić Alemiego.

— Tu również znajduje się Assigi? — zapytał Mistrz Rybacki, obracając się na pięcie, by móc obejrzeć całe pomieszczenie, w którym znajdowały się wyłącznie krzesła podobne do tych, jakich używali Starożytni. Dwa takie Alemi miał u siebie w domu. Po chwili jego i wzrok zatrzymał się na pustym ekranie umieszczonym na środku zewnętrznej ściany. W rogu ekranu błyskało czerwone światelko.

— Dzień dobry, Mistrzu Rybołówstwa Alemi, cieszę się, że znowu cię widzę — odezwał się niski, basowy głos.

— Pamięta mnie? Przecież za pierwszym razem nawet się do niego nie odezwałem.

Mistrz Robinton roześmiał się. — Pamięta każdego i wszystko. — Po tych słowach wyszedł.

Ekran rozbłysł i ukazał się na nim obraz skaczących i nurkujących ryb-przewodników.

— Czy w naszym spotkaniu nie miały uczestniczyć dwie osoby? Ty i twój mały towarzysz, który także brał udział w tym incydencie?

— Tak, to prawda — odpowiedział Alemi i wyjaśnił wątpliwości Araminy. Brzmiało to trochę mniej przekonująco w obecności tak dostojnego słuchacza.

— Powszechnie uważa się, że matki wiedzą, co jest najlepsze dla ich potomstwa — powiedział Assigi, a Alemi nie podejrzewał go o ironię. — Młodzież łatwiej uczy się języków, gdyż nie jest obciążona złymi nawykami. Dobrze by było mieć młodszego ucznia. Ale wracając do naszej dyskusji, ucieszyła mnie wiadomość, że delfiny pomimo upływu wielu lat, to jest Obrotów, nie zapomniały o swoich obowiązkach. Proszę, siadaj, mistrzu Alemi. Sprawozdanie z twojej przygody pomoże w uaktualnieniu wyraźnie zapomnianego działu wiedzy pierwszego zespołu osiedleńczego.

Usiłując przyswoić sobie informacje o delfinach stanowiących część ekspedycji kolonizującej ten świat, Alemi podszedł do najbliższego krzesła i usiadł na nim, nie spuszczać oczu z ekranu, na którym działo się coś... niezupełnie zgodnego z tym, do czego był przyzwyczajony. Delfiny wyglądały normalnie... zaskoczyło go jednak to że zobaczył stworzenia poruszające się zupełnie jak żywe okazy.

— Jak ty to robisz? — zapytał. W czasie poprzedniego spotkania na ekranie ukazywały się wyłącznie mapy — obrazy, które Assigi nazywał odczytami „sonaru” — a nie migawki o delfinach zachowujących się dokładnie tak jak wtedy, gdy widywał je w naturze podczas swoich włóczęg po morzu, na których spędził przecież większą część swego życia.

— To tylko jedna z wielu taśm, jakimi dysponujemy — stwierdził Assigi. — Zapis ruchomych obrazów stanowił integralną część usług informacyjnych kultury twoich przodków.

— Och! — Sztuczki demonstrowane przez delfiny zafascynowały Alemiego. — Widywałem, jak to robią! Dokładnie w ten sam sposób ryby-przewodnicy zachowują się na morzu! — zawołał w uniesieniu, podczas gdy na ekranie ukazała się scena, jak delfiny nurkują w wodzie przed dziobem statku.

— Tę taśmę nagrano ponad dwa tysiące pięćset Obrotów temu — powiedział Assigi łagodnym tonem.

— Lecz one... one zupełnie się nie zmieniły!

— Mistrzu Alemi, na ewolucyjne zmiany potrzeba znacznie więcej czasu niż dwa tysiące pięćset Obrotów. Zoologowie twierdzą, że gatunek ten rozwijając się drogą ewolucji przeszedł już szereg zmian, zanim osiągnął dzisiejszy wygląd.

— Włączając w to zdolność mówienia? — Alemi zdradził swoją tajemnicę.

— Delfinom, które towarzyszyły osiedleńcom udającym się na planetę Pern, podawano specyfik zwany mentasynt, który zwiększał ich zdolności empatyczne i pomagał im w przyswajaniu ludzkiej mowy. Poinformowano mnie, że słyszeliście, jak wymawiały zrozumiałe słowa?

— Tak, razem z Readisem słyszeliśmy, że mówią — zachichotał Alemi. — Po prawdzie ten chłopak bardziej ode mnie w to uwierzył — dodał po cichu.

— A więc, w opinii matki, chłopiec jest za młody na spotkanie?

— Tak — westchnął Alemi. — Powiem mu, że pytałeś o niego. Po krótkiej przerwie Assigi powiedział:

— Decyzja należy do ciebie. Jednak to dobrze, że delfiny nie zapomniały ani mowy, ani swoich obowiązków.

— Obowiązków?

— Jednym z ich najważniejszych zadań jest prowadzenie akcji ratunkowych na morzu.

— Muszę przyznać, że one uratowały nie tylko Readisa i mnie, ale również każdy z członków mojej załogi opowiadał jakąś historię o delfinach ratujących ludzi.

— Naświetl, proszę.

— Chciałeś powiedzieć „wyjaśnij”?

— Tak, jeżeli możesz.

— Jesteś bardzo uprzejmą maszyną — powiedział Alemi, zachwycony tym wspaniałym dziełem Starożytnych.

— Uprzejmość jest bardzo ważnym czynnikiem w kontaktach z ludźmi.

— A szczególnie w stosunkach międzyludzkich — żartobliwie dodał Alemi.

— Czy mógłbyś mi szczegółowo opisać swoje ostatnie spotkanie z delfinami?

— Oczywiście, ale to Readis powinien ci o tym opowiedzieć. Swoje sprawozdanie wykute ma na blachę.

— To samo powiedział mi lord Jaxom.

— A więc masz poczucie humoru?

— Nie w waszym rozumieniu tego słowa. Opowiedz o swojej przygodzie.

— Brakuje mi formalnego wykształcenia...

— Ale osobiście to przeżywałeś. Twoja opowieść jako naocznego świadka będzie niezwykle cenna.

Pomimo tego, że ton Assigi nie zawierał ani cienia wymówki czy zniecierpliwienia, Alemi już dłużej nie zwlekał. Z rozbawieniem zauważył, że opisując ich przygody posługuje się całymi zwrotami, używanymi wcześniej przez Readisa. Chłopiec potrafił nadać opowiadaniu odpowiednią dramaturgię. Po powrocie będzie musiał przypomnieć Jaygemu, żeby wystąpił o skierowanie harfiarza do Siedliska Rajskiej Rzeki. W głębi duszy bardzo był rozgoryczony decyzją podjętą przez Araminę.

— Mówiły, że są „s’akami” — dodał Alemi, nawiązując do głównego tematu spotkania — a nie rybami!

— Rzeczywiście są ssakami — stwierdził Assigi kategorycznym tonem. Podkreślił też właściwą wymowę tego słowa.

— Co to znaczy, że są ssakami?

— Ssaki, s-s-a-k-i, stanowią formę życia, w której nowe pokolenia rodzą się żywe i w



pierwszym okresie odżywiają się, ssąc mleko matki.

— Nawet w morzu? — z niedowierzaniem zapytał Alemi. Obraz na monitorze zmienił się, teraz widać było wirującą wodę i ogony. Nagle Alemi spostrzegł, że patrzy na urodziny nowej ryby—przewodnika. Wstrzymał oddech w momencie, gdy małe stworzonko wyłoniło się z ciała matki, a dwa inne delfiny pomogły mu wydostać się na powierzchnię.

— Jak widzisz, tlen jest im niezbędny do życia, podobnie zresztą, jak wszystkim innym ssakom żyjącym w morzu — wyjaśnił Assigi.

Kolejne ujęcie pokazywało nowo narodzone stworzonko ssące sutek matki.

— Na Ziemi — ciągnął Assigi — istnieje wiele gatunków ssaków żyjących w morzu, ale tylko delfiny z rodziny Delphinidae, odmiana butelkonosa, tursiops tursio zostały przewiezione na Pern. Do czasu uruchomienia urządzenia, z którym właśnie współpracujesz, delfiny rozmnożyły się i doskonale zaaklimatyzowały w wodach tej planety. Obecność na niej rozległych przestrzeni morskich była powodem zabrania ze sobą tych stworzeń przez pierwszych kolonizatorów. Dobrze jest dowiedzieć się, że udało im się przeżyć i tak licznie rozmnożyć. Przygotowywana jest inwentaryzacja zaobserwowanych miejsc występowania stad. Niestety, nie udało się zakończyć szacunkowych obliczeń populacji delfinów, gdyż prowadzą wędrowny tryb życia.

W czasie tego krótkiego wykładu zdumiony żeglarz oglądał na ekranie większą ilość delfinów z młodymi.

— To nie dzieje się na Pernie — powiedział Alemi wskazując ekran, gdyż nagle zdał sobie sprawę, co go tak zaintrygowało w przedstawianych scenach — w każdym razie ja tego nigdy nie widziałem — dodał.

— Słuszna uwaga, mistrzu Alemi, te ujęcia były filmowane na Ziemi, w miejscowości zwanej Floryda Keys. Oglądasz odległych przodków twoich delfinów w ich naturalnym środowisku. Za chwilę pokażę ci sceny ilustrujące pracę ryb—przewodników z ich partnerami, zwanymi opiekunami.

— Opiekunowie delfinów? — krzyknął Alemi i uderzył się ręką po kolanie, widząc mężczyzn i kobiety pracujących z delfinami. Zwierzęta niczym wierzchowce wozily ludzi na swych grzbietach zarówno po powierzchni morza, jak i przy nurkowaniu w głąb.

— Przypomina to smoki i ich jeźdźców.

— Z tego, co mi opowiadano, te więzi nie są aż tak bliskie. Nieznana jest Ceremonia Naznaczenia, jaką odbywają smoki i ich jeźdźcy. Współpraca pomiędzy osobnikami ludzkimi i delfinami opierał się na wzajemnym porozumieniu i obustronnych korzyściach, nie trwa też przez całe życie, jest jednak również szczerą i efektywną. Pewne grupy delfinów, a na Ziemi żyło ponad dwadzieścia ich odmian, zgodziły się poddać kuracji mentasynthem, aby móc bliżej współpracować z ludźmi. Te, które przybyły tutaj z osiedleńcami w liczbie dwudziestu czterech okazów, miały doświadczenie w pomocy przy prowadzeniu prac naukowych i oddały ludziom znaczne usługi — podczas prowadzonych badań oceanów planety Pern. Aż do wybuchu wulkanów Picchu i Garben istniały doskonałe środki porozumienia pomiędzy ludźmi i delfinami.

— Jeżeli one pragną pracować z ludźmi, to ja, będąc kapitanem żeglugi morskiej, wyrażam chęć podjęcia takiej współpracy, o ile to tylko będzie możliwe — powiedział Alemi. — Zawdzięczam im życie, podobnie jak wielu innych marynarzy. Readis był naprawdę zachwycony stwierdziwszy, że te... d—del... finy — usiłował wymówić trzy sylaby jak jedno słowo — są tak dobrze wychowane.

— Uprzejmość obserwowano we wzajemnych stosunkach wielu gatunków, i to niekoniecznie przy zachowaniu formy słownej. Inne abstrakcyjne rozwiązania wymagają jednak badań semantycznych oraz przestudiowania odpowiednich reakcji i postaw w celu przekazania różnic kulturowych.

— Czego powinienem się nauczyć, żeby móc rozmawiać z delfinami? — Alemi był

zadowolony, że udało mu się tak stanowczo wypowiedzieć to zdanie.

— W ciągu stuleci język ulegał znacznym zmianom — zaczął Assigi — jednak obydwie gatunki mogą się do nich przystosować. Spójrz, tu widać scenę współpracy ludzi z delfinami.

Na ekranie ukazało się ujęcie, na którym człowiek i delfin sprawdzali urządzenie do łapania ryb. Człowiek miał na plecach rodzaj aparatu i ubrany był w czarny strój w jaskrawożółte pasy. Ubiór ten miał krótkie rękawy i nogawki. Obraz był tak wyraźny, jakby Alemi patrzył przez okno na wody laguny. Pochylił się do przodu, nie chcąc przegapić jakiegos szczegółu. Zafascynowany, mruczał do siebie zdania wypowiedane przez oglądaną parę. Delfin holował mężczyznę, który trzymał się jego płetwy grzbietowej. Razem kontrolowali cały ciąg podwodnych urządzeń do łapania ryb. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co by powiedział jego ojciec konserwatysta, gdyby się dowiedział, że ryby mogą mówić.

— W jaki sposób namówiłeś je, Assigi, żeby zaczęły mówić do ciebie?

— Jak podają raporty wielu opiekunów, problemem było raczej to, żeby te ssaki przestały mówić.

— Naprawdę?

— Tak, delfiny wykazywały niezwykle zdolności do zaniedbywania „pracy” na korzyść „zabaw”.

Na ekranie pokazała się nowa scena i Assigi rozpoznał Zatokę Monako, choć wyglądała tutaj zupełnie inaczej. Pełno na niej było jednostek pływających rozmaitej wielkości i typów, a nad nimi pędziły po niebie dziwaczne pojazdy przypominające kanciaste, niezgrabne smoki. Na dalszym końcu Zatoki Monako sterczało potężne molo, a obok niego Alemi zauważył solidny cokół z zamontowanym dużym dzwonem.

— Widziałem go! — zawołał, wskazując dzwon. — Wydobyto go z dna zatoki.

— Tak, aktualnie jest oczyszczany. Dzwonu tego używały delfiny, gdy pragnęły wezwać ludzi, by im przekazać jakąś wiadomość, a także ludzie — chcąc przywołać te zwierzęta.

— Delfiny wzywały ludzi? — Alemi wyraźnie ucieszył się tą informacją. — Czy myślisz, że i teraz zareagowałyby na dźwięk dzwonu?

— Zaleca ci się podjęcie próby skorzystania z niego — powiedział Assigi.

— Należałoby sprawdzić, czy żyjące obecnie delfiny zastosują się do pradawnych nakazów. Te wydruki zawierają wyciągi z dokumentacji na temat delfinów i ich opiekunów. Są tam także zapisy ręcznych sygnałów, których używali opiekunowie do porozumiewania się pod wodą. Znaki te mogą okazać się ciągle użyteczne. Przydatny może być również słownik języka delfinów.

Nagle z wąskiej szczeliny u podstawy ekranu zaczęły wysuwać się zadrukowane arkusze cienkiego papieru, przygotowane przez Mistrza Leśnictwa Bendareka.

— To instrukcje dotyczące postępowania podczas odnawiania kontaktów z delfinami, mistrzu Alemi. Z dużym zainteresowaniem będziemy oczekiwali na twoje sprawozdanie z rozwoju sytuacji na tym odcinku.

Alemi bardzo starannie zebrał i złożył otrzymane arkusze, lekko przytłoczony odpowiedzialnością, którą wziął na swoje barki, ale równocześnie zadowolony z powierzonej mu misji. Zawsze nieco zawistnie patrzył najeźdźców i ich smoki, chociaż w przeciwieństwie do wielu swych kolegów z lat dziecięcych, nigdy nie marzył o tym, by zostać jeźdźcem smoka. Od najmłodszych lat całkowicie absorbowano go morze. Rozumiał zainteresowania swojej siostry Menolly latającymi jaszczurkami, które oceniał jako niezwykle pożyteczne stworzenia, lecz myśl o możliwości nawiązania kontaktu z inteligentnymi zwierzętami morskimi pochłonęła go bez reszty. Zwierzęta te budziły bałwochwalczą cześć w środowisku wodnym, podobnie jak smoki w powietrzu.

Po wyjściu z Budynku Administracji w roztargnieniu pomachał na pożegnanie harfiarzowi, intensywnie rozmyślając, gdzie uda mu się znaleźć odpowiedni dzwon, żeby móc przywołać delfiny.

Młody T'lion, ze swego stanowiska na szczycie wzgórza położonego na tyłach gmachu, bacznie obserwował wyjście i udało mu się z Gadarethem wylądować przed Alemim, zanim on zdążył dać im sygnał.

— Skąd wiedziałeś, że już was potrzebuję? — zapytał mile zaskoczony Alemi.

Chłopiec zaczerwienił się. — Obserwowałem, jak pan wychodzi z Administracji. Szedł pan dziwnym krokiem, jakby się pan zataczał.

Alemi zaśmiał się. — Słuchaj, czy ty natychmiast masz wracać do Strażnicy?

— Nie, jestem na cały dzień oddelegowany do obsługi pana.

— To dobrze. Czy możemy polecieć nad brzeg zatoki? — Alemi wskazał kierunek, w którym znajdował się niewidoczny łuk Zatoki Monako. Pragnął sprawdzić, jak wielki jest dzwon delfinów.

— Oczywiście. — T'lion wyciągnął rękę do Alemiego, który zwinnie wskoczył po zgiętym przedramieniu Gadaretha na jego szyję i usadowił się pomiędzy wyrostkami grzbietowymi.

— Czy musimy lecieć w przestrzeni pomiędzy? — zapytał Alemi. — Może lot bezpośredni nie zabierze nam zbyt wiele czasu?

— Ach, to drobiazg — odparł T'lion.

Po osiągnięciu przez Gadaretha przelotowej wysokości, zaczęli kierować się w stronę morza, które ukazało się im w postaci dalekiej, połyskującej plamy. Alemi nigdy dotąd nie miał okazji tak dokładnego przyjrzenia się terenom Lądowiska, gdzie w czasie kilku ostatnich Obrotów wydobyto z ziemi tyle wspaniałych pozostałości po osadnikach z początków kolonizacji Pernu. Rozpostarła się przed nim szeroka panorama odkopanych budowli — stary „port lotniczy” i jego rozpadająca się wieża, a także łąka, na której odnaleziono trzy statki kosmiczne. Potem lecieli nad gęstym lasem. Teraz już nie groziło mu zniszczenie przez Nici, gdyż był chroniony przez neutralizujące te śmiertelnie niebezpieczne organizmy larwy, które bardzo się rozmnożyły na Kontynencie Południowym.

T'lion od czasu do czasu oglądał się, by sprawdzić, czyjego pasażerowi jest wygodnie — w odpowiedzi Alemi szeroko uśmiechał się i podniesieniem kciuka wyrażał swoje zadowolenie. Była to najdłuższa podróż, jaką udało mu się odbyć na smoku, i sprawiała mu ogromną radość, a przy tym nie miał najmniej sztych wyrzutów sumienia, że wykorzystuje usługi jeźdźca i smoka dla prywatnego celu. Zresztą przelot służył wykonaniu powierzonego mu zadania, uświadomił sobie Alemi, dotykając pliku instrukcji w kieszeni kurtki.

Po jakimś czasie ukazał im się przepiękny widok niemal idealnie równego łuku Zatoki Monako z resztkami mola na jej wschodnim krańcu. Musiało zostać zbudowane z prawie niezniszczalnego materiału, używanego niegdyś przez Starożytnych. Alemi słyszał od Starszego Cechu Rybaków Idarolana, że połowa mola została zburzona. Fotografie z archiwum Assigi pokazywały solidną budowlę na wychodzącym w morze końcu mola, pływające doki i przedziwną maszynię. Alemi westchnął. Zauważył również rybaków, którzy na głębszych wodach przybrzeżnych wykonywali swój starodawny zawód. Mistrz Idarolan powiadał, że metody połowu niewiele się zmieniły od pierwszego okresu po kolonizacji Pernu. W wielu jednak innych dziedzinach procesy oraz rozwiązania z okresu wczesnych Obrotów uległy już całkowitemu zapomnieniu lub wyszły z użytku.

Nieco później, patrząc z góry Alemi, zauważył leżącą na plaży długą kolumnę i jakiś przedmiot, który niewątpliwie musiał być dzwonem. Dotknął ramienia T'liona i wskazał w dół. T'lion kiwnięciem głowy potwierdził, że zrozumiał życzenie. Po chwili Gadareth skierował się ku ziemi — ostro pochylając się w prawo wykonał pełne koło i zgrabnie wylądował w pobliżu wydobytych z morza przedmiotów. Alemi podświadomie mocno zacisnął dłonie na wyrostkach szyi smoka mając nadzieję, że go to nie zaboli.

Grube osady skorupiaków, które przywarły do długiej podmurówki, zmieniały jej kształt. Sam dzwon spoczywający na platformie był sporej wielkości, jego wewnętrzna średnica

odpowiadała długości wyznaczonej czterokrotnym przyłożeniem rozwartej dłoni. Usunięto już wiele warstw osadu i ktoś rozpoczął polerowanie odkrytej powierzchni. Brakowało tylko serca dzwonu. Palcem wskazującym i kciukiem Alemi niedbale pstryknął w metal i przyjemnie zaskoczył go lekko zniekształcony, łagodny dźwięk.

— Proszę użyć tego — zaproponował T'lion, podając mu kamień wielkości pięści. Przy jego pomocy Alemi uzyskał głośniejszy dźwięk. Łagodny, bogaty głos dzwonu odbił się echem po całej zatoce.

T'lion uśmiechnął się.

— O, ma przyjemne brzmienie! — Podniósł większy kamień i sam uderzył nim w dzwon, który zabrzmiał teraz jeszcze donośniej.

Mrucząc coś, Alemi nachylił się, by ocenić wielkość brakującej części.

— Ja zadzwoniłem głośniej — powiedział T'lion, podając Alemiemu swój kamień.

Rybak zważył w rękach obydwie kamienie i zaczął nimi na przemian uderzać w dzwon, nadstawiając ucha na melodyjne dźwięki. W pewnym momencie T'lion krzyknął, patrząc na spizowego, któremu z podniecenia zaczęły szybko wirować oczy. T'lion wskoczył do wody i zastygł, obserwując zatokę.

— Połyskują łuski! Gadareth się nie myli! Popatrz! — wykrzyknął i szybkim gestem wskazał kierunek.

Alemi, odwrócony tyłem do wody, wykręcił się i zobaczył całą gromadę delfinów, pędzących radośnie po falach w stronę brzegu. Cała zatoka wydawała się pełna płetw grzbietowych i skaczących ryb-przewodników. Mistrz Rybacki wyprostował się i oniemiały słuchał płynących do niego dźwięków.

— Dzwonon! Heej, Dzwonon! Dzwonon bije! Heeej! Dzwonon! Dzwonon!

Zaniepokojony ich szarżą na brzeg, Alemi podszedł na sam skraj wody i zaczął machać rękoma.

— Nie tak, uważajcie! Wpadnicie na plażę! Ostrożnie! Wątpił, czy wśród tego radosnego pokrzykiwania i paplaniny o dzwonie któryś z nich go usłyszy. Postanowił wejść do wody i starać się je zawrócić. Niestety, w zamieszaniu delfiny ze wszystkich stron trykały go głowami, aż wreszcie został wyrwiony przez kłębiące się wokół niego i przewalające w wodzie ciała. Po chwili któryś z delfinów podniósł go na swych plecach, a pół tuzina innych podparło mężczyznę nosami — poczuł się jakby podrzucany przez rozbawione stworzenia.

— Uspokójcie się, bardzo was proszę. Jeszcze mnie utopicie! — wołał Alemi śmiejąc się, ale w jego głosie słychać było lekką naganę za ich zbyt śmiałe figle.

Wielki cień zawisł nad nim w powietrzu i Alemi zobaczył, że to krąży Gadareth z wysuniętymi szponami, jakby szykował się do wyrwania go z gromady delfinów.

— Wszystko w porządku, T'lionie! Nic mi nie grozi. Odwołaj Gadaretha!

— Utopią cię! — wrzeszczał T'lion, skacząc z wrażenia po plaży.

Alemi równocześnie starał się uspokoić delfiny, odegnąć Gadaretha, który nie spuszczał wzroku z człowieka w niebezpieczeństwie, i wyjaśnić młodemu jeźdźcowi, że nic mu nie grozi.

— Dosyć tego! — ryknął w końcu.

Całe zamieszanie wokół niego nagle się skończyło, szerokie gęby otoczyły go ciasnym wianuszkciem, za którym utworzył się następny krąg — coraz więcej skaczących stworzeń zbliżało się do niego z dalszych części zatoki.

— Ja jestem rybak Alemi, a kim wy jesteście? — zapytał i wskazał na delfina ocierającego mu się o biodro.

— Imiał Dar — pisnął uradowany delfin.

Odpowiedź składała się z dwóch słów i Alemi zorientował się, że pierwsze oznaczało zniekształcony wyraz „imię”. Ucieszył się z tego, że został zrozumiany.

— Kto jest przewodnikiem stada?

Drugi delfin mocno uderzył tylnymi płetwami i przybliżył się.

— Imiał Flo. Dawno... — stworzenie użyło niezrozumiałego dla Alemiego słowa.

— Nie znam dobrze języka delfinów — powiedział Alemi — czy mogłabyś powtórzyć? — Głośna salwa pisków i cmokania powitała to wyznanie.

— My łucyc. Ty ślu–uchać — powiedziała Flo, patrząc na niego jednym okiem w taki sposób, że Alemi mógł dostrzec rysujący się na jej pysku wyraz zadowolenia. — Dzwonon bije. Jakiś kłopot? Robis lyby pijaaawki?

— Kłopot nie! — odpowiedział ze śmiechem Alemi. — Biciem w dzwon nie chciałem was tu wzywać — dodał. Następnie wzruszył ramionami, bo nie rozumiał ich ostatniego pytania.

— Dobre wezwanie. Długo cekane. Wezwanie nie. My... (tu znowu padło słowo, którego Alemi nie zrozumiał)... dzwon. Pocią–gniess? — pochyliła lekko głowę. Alemi nie wiedział dlaczego, ale uznał, że ten delfin chyba jest rodzaju żeńskiego. Coś w jej zachowaniu wskazywało na płeć. Zaczynał sobie zdawać sprawę, jak wiele nauczył się oglądając kasety Assigi oraz słuchając jego informacji o tych... ssakach. To wszystko wywoła szok u konserwatywnych rybaków. A szczególnie u jego ojca. „Ryba” nie może posiadać inteligencji, ani tym bardziej odpowiadać ludziom na pytania.

— Ten dzwon — Alemi wskazał na brzeg — nie działa. Zdobędę dobry. Zamontuję go w Siedlisku Rajskiej Rzeki. Będę was wzywał stamtąd. Czy wszędzie mnie usłyszycie?

Po tym, co powiedział, nastąpiły piski, cmokania, głośne wydmuchiwanie wody przez otwór oddechowy, w każdym razie robiły wrażenie, że próbują go zrozumieć.

Nagle Flo wyskoczyła z wody i, jak wydawało się Alemiemu, dzięki dużej determinacji udawało się jej utrzymywać pionową pozycję. Znowu przechyliła głowę i lewym okiem zerkała na niego.

— Lemi dzwoni. Flo psyplynać. Ty cekaaać? Musis cekaaać! Flo psyplynać! — Ostatnie słowa podkreśliła energicznym uderzeniem ogona przed zsunieniem się do wody.

— Musisz czekać? — powtórzył Alemi.

— Powiedziałam ci, Flo psyplynać, to Flo psyplynać — wymamrotała Flo i dmuchnęła fontanną wody przez otwór oddechowy. Wszystkie otaczające ją zwierzęta popiskiwały i cmokały tak sympatycznie, że Alemi musiał się szeroko uśmiechnąć.

— Yyy cycis lyby pijaaawki? — zapytała Flo głosem pełnym nadziei. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, było to, że same delfiny tak chętnie i radośnie będą uczestniczyły w przywracaniu kontaktów z ludźmi. Usiłował powtórzyć jej ostatnie pytanie dokładnie tak, jak usłyszał. Zrozumiał, że „yyy” oznacza ty, ale nie mógł się domyśleć znaczenia słowa „cycis”. Obok niego Flo nieustannie wykonywała obroty w wodzie. Obserwując jej sztuczki nie mógł powstrzymać śmiechu — bawiła się prawie tak beztrudno jak dziecko. W pewnym momencie poczuł, że robi mu się gorąco w sięgającej po szyję wodzie, zaczęła mu też ciężać zmoczona kurtka.

— Przepuście mnie na brzeg, proszę — powiedział, pokazując, że musi się precyzyjnie pomiędzy otaczającymi go delfinami. Wyciągnął ramiona, żeby płynąć i natychmiast znalazł się pomiędzy wysmukłymi ciałami pragnącymi mu pomóc.

— Umiem pływać, dajcie mi spokój.

— Pływać, człowieki plyyywać, człowieki plyyywać...

Nagle krąg przed nim się rozdzielił i delfiny zaczęły skakać jeden nad drugim, zostawiając mu wolną drogę.

Smok i jego jeździec stali nad brzegiem wody, nieufnie obserwując tę niewiarygodną scenę.

Miętaj! Miętaj! Yyy dzwonić. Miii psyplynać! — zawołał jeden z delfinów, gdy Alemi brodząc wychodził z wody. — Yyy lobis lyby pijaaawki.

Energicznie przytaknął kiwnięciem głowy i popatrzył w kierunku delfinów, które w zabawie skakały przez siebie, płynąc na głębsze wody. Zatoka aż się od nich roiła. Potem, gdy

do chóru przyłączyły się z dali inne głosy, złożył ręce przy ustach i zawołał:

— Dzwonie, wy przypluwacie. Ja czekam. T'lion patrzył na niego oczyma pełnymi zachwytu.

— One coś mówiły? Rozmawiały z tobą?

Alemi przytaknął, zdejmując z siebie przemoczoną kurtkę, następnie zabrał się do ściągania butów.

— W tym celu byłem właśnie u Assigi, chodziło o delfiny. Nigdy bym się nie spodziewał takiej reakcji po zwykłym stuknięciu w dzwon.

T'lion z wolna pokiwał głową.

— Ja także nie!

Głęboko odetchnął, wziął od Alemiego zmoczoną kurtkę i rozwiesił ją na dzwonie. Alemi zdjął koszulę i zaczął ją wyżywać.

— Powinienem się postarać o jakieś suche ubranie dla ciebie. Nawet w południe suszenie twoich rzeczy zajmie trochę czasu, a w przestrzeni pomiędzy nie możesz polecieć w mokrych rzeczach.

— Nie, rzeczywiście nie mogę, przydałby mi się jakiś suchy strój. Czy zdobycie go będzie dla ciebie dużym problemem?

T'lion spojrzał na niego oceniając rozmiary i potrząsnął głową.

— Nie, sprawa zajmie zaledwie kilka minut — powiedział, wskakując na szyję swojego smoka. — Polecę pożyczyć coś od jakiegoś jeźdźca twojej postury, my zawsze wozimy ze sobą zapasowe ubrania.

Smok gwałtownie odbijając się od plaży obsypał Alemiego piaskiem.

— Notatki! — mruknął Alemi, sięgając do kieszeni kurtki po otrzymane od Assigi papiery.

Drżącymi rękoma otwierał mokry pokrowiec, ale odniósł wrażenie, że druki nie doznały większego szwanku. Aby wysuszyć je w gorących promieniach słońca, ostrożnie porozkładał na plaży poszczególne arkusze, przyciskając je kamyczkami, żeby nie porwał ich wiatr.

Teraz przyszła kolej na Flo, przewodniczkę stada z Zatmonko, aby daleko i szeroko ogłosić nowinę, że wreszcie odezwał się dzwon. Nie bił tak, jak należało, jednakże zadzwonił i wszystkie delfiny tłoczyły się, odpowiadając na jego dźwięk, żeby udowodnić ludziom wierność starej tradycji przybywania na ten sygnał. Tak wiele już minęło czasu, od kiedy dźwięk dzwonu rozbrzmiewał nad wodami sięgając ich głębi. Żaden z członków stada, nawet najstarsza Teres, której trzeba było towarzyszyć przy łapaniu ryb, nigdy nie słyszał dźwięku dzwonu. Lecz wszyscy wiedzieli, że muszą pamiętać. Delfiny żyjące w pobliżu Rajrzeki nie były jedynymi zdolnymi do mówienia i znającymi Słowa.

Ludzi było dwóch i okazywali stado przyjacielskie uczucia — poklepywali delfiny i drapali je po pyskach, co już od bardzo dawna się nie zdarzyło. Całe stado z radością odpowiedziało na wezwanie dzwonu. Poszczególni członkowie wyrażali swoją radość, demonstrując potężne skoki, chodzenie na ogonie, uderzanie płetwami o wodę i głębokie nurkowanie. Ludzie obiecali usuwać im ryby — pijawki, co stanowiło najlepszą nowinę. Tego wieczoru, gdy stado odpoczywało w Wielkim Prądzie, Teres powtarzała stare opowieści, których nauczyła się od Tillek przebywając w Wielkiej Otchłani, zanim jeszcze udało jej się bezbłędnie pokonać wiry i zostać uznaną za godną posiadania potomstwa. Opowiadała, jak ludzie pływali z delfinami pod wodą i na jej powierzchni, i o tym, jakich wspaniałych rzeczy udało się im wspólnie dokonać. A teraz oni znowu będą leczyć chore delfiny i ratować przed śmiercią te wyrzucone na mielizny. Znowu będzie do wykonania Dobra Robota. Erozja zmieniła kształtowanie brzegów od czasu, kiedy rodzaj ludzki i delfiny znalazły się na tych wodach. Człowiek powinien się o tym dowiedzieć. Delfiny muszą wskazać rodzajowi ludzkiemu, w których miejscach zmieniły się prądy i linia brzegu oraz gdzie znajdują się największe ławice ryb. A może nawet znajdzie się czas na rozrywkę i

zabawy.

## ROZDZIAŁ IV

Po powrocie do Siedliska Rajskiej Rzeki, Alemi wyruszył na poszukiwania Jaygego, bo nie mógł się doczekać, żeby opowiedzieć mu najświeższe nowiny.

Jayge był jednak w złym humorze. Być może było to spowodowane bardzo ciężką i męczącą pracą. Do niego należało wycinanie gęstego poszycia, nieustannie wdzierającego się na wyręby wokół rozbudowanych siedzib. W każdym razie zupełnie bez entuzjazmu wysłuchał sprawozdania Alemiego z jego nowej przygody z delfinami.

Jayge na chwilę przerwał pracę i otarł pot z czoła.

— To wszystko brzmi wyjątkowo zachęcająco, Alemi. Wydaje mi się... — Jayge zawiesił głos i po chwili dodał — ...że to bardzo dobrze. Mamy już smoki i latające jaszczurki, dlaczego nie korzystać z inteligentnych stworzeń morskich? Starożytni naprawdę wiedzieli, czego wymaga zbudowanie idealnego świata, więc te del-finy też miały swoją rolę do odegrania... — i znowu się zawahał.

— Martwisz się o Readisa? Jayge głośno westchnął.

— Tak, to prawda. Ciągłe opowiada o swoim s'aku...

— Bo one są rzeczywiście ssa-ka-mi — odparł Alemi, bardzo starannie wymawiając ostatnie słowo i przejmując inicjatywę w prowadzeniu rozmowy. — To stworzenia rodzące żywe potomstwo i karmiące je własnym mlekiem.

Jayge spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Pod wodą?

Alemi uśmiechnął się, rozumiejąc jego zdumienie.

— Widziałem ruchome obrazy pokazujące narodziny młodego delfina i sposób, w jaki ssął mleko matki, więc nie mogę mieć w tej sprawie żadnych wątpliwości.

— Assigi marnuje swój czas na takie głupstwa.

— Nie nazwałbym tego marnowaniem czasu — cierpko uciał Alemi. — Przecież delfiny gotowe są do ratowania rozbitków.

Jayge zaczerwienił się i z udawaną uwagą przy stąpił do ostrzenia szerokiej maczety.

— Słuchaj, jeżeli zależy ci na tym, to zachowam te wiadomości dla siebie. Nie powiedziałeś Readisowi o mojej wizycie u Assigi, prawda? Nie! To dobrze. Ja też mu nie powiem, ale z całą pewnością zwrócę się do ciebie jako mojego włodarza z prośbą o pozwolenie na dalsze prowadzenie współpracy z tymi stworzeniami. Należy pamiętać, że na tych wodach zdarzają się sztormy takie jak ten, w którym znaleźliśmy się z Readisem, a wtedy ludzie przebywający na morzu potrzebują wszelkiej możliwej pomocy.

— Czy te del-finy zawsze pomagają?

— Zgodnie z tym, co widziałem na własne oczy i usłyszałem od Assigi, ratownictwo morskie stanowi obowiązek delfinów i one przejmują za to odpowiedzialność.

— Hmm, a co mówi na ten temat mistrz Idarolan?

— Dopiero co wróciłem, Jayge, jeszcze nie miałem okazji z nim porozmawiać, ale z pewnością to zrobię. Większość statków wyposażona jest w dzwony. Jeżeli szyprowie zostaną zapoznani z sygnałami, jakimi można wezwać na pomoc delfiny, to na tych wodach będziemy bardziej bezpieczni. Chyba nie możesz temu zaprzeczyć?

— Nie. — Jaygemu żywo przed oczyma stanął sztorm, w czasie którego razem z Araminą zostali wyrzuceni za burtę statku i ratujący ich wówczas delfin. — Nie, nie mogę. No cóż, masz rację. Proszę cię jednak — nie mów o tych sprawach Readisowi. On naprawdę jest na to jeszcze za młody.

Alemi skinął głową, przewrotnie ciesząc się z możliwości samotnego nawiązywania kontaktów z delfinami, bez potrzeby dzielenia się zdobywanym doświadczeniem. Poza tym,

teraz mieli molo w osłoniętej zatoce po wewnętrznej stronie przylądka. Tam będzie mógł zainstalować dzwon, a także pływający pomost, podobny do widzianego na filmie, co pozwoli mu na przebywanie blisko delfinów.

— Pomogę ci wynieść te cięższe bambusy, Jayge — zaproponował Alemi, kiedy zobaczył wielkość wycinanych przez włodarza kijów.

— Czy te twoje del-finy są roślinożerne?

— Nie, lecz chciałbym ten bambus wykorzystać w inny sposób — odparł Alemi i zabrał się do zbierania kijów przydatnych do zrealizowania swojego pomysłu. Znajdujące się w bambusie komory powietrza zwiększają jego wyporność, więc z materiału tego można łatwo zbudować tratwę, podobną do tej, na której pływał po wodach Zatoki Monako. Tratwa będzie mniejsza, ale zdoła unieść ciężar jednej osoby.

— Czy od dowódców Strażnicy Benden miałeś jakieś dalsze informacje, kiedy możemy oczekiwać nowych osiedleńców?

— Powinni mnie zawiadomić o terminie jeszcze przed końcem tego siedmiodnia. — Jayge przerwał, żeby otrzeć pot z czoła. — Przypuszczam, że byliby wdzięczni za dostarczenie im ryb.

— To żaden kłopot — z uśmiechem odparł Alemi. Właśnie pojawiły się wielkie ławice bardzo wysoko cenionych białych ryb, doskonałych do solenia, marynowania lub wędzenia i zachowujących swój charakterystyczny smak.

Wiedział, że Jayge pragnie założyć nowe Siedlisko dalej, w górze rzeki. Sam też był zainteresowany tym projektem. Granice Siedliska Jaygego były już potwierdzone. Alemi, Swacky, Temma i Nazer pomagali jeźdźcom smoków badać tereny przyszłej osady, położone po lewej stronie rzeki, a rozciągające się od zakola, wyznaczającego granicę Siedliska Rajskiej Rzeki, aż do jej źródeł. Najlepsze miejsce znajdowało się u podnóża gór. Nowi osiedleńcy należeli do Cechu Rolników, mogli więc wyłapać i oswoić antylopy, oraz uprawiać rośliny jadalne, które nie rosną na terenach przybrzeżnych.

Alemi poznał starszyznę rodu Keroonów, licznej rodziny, która wystąpiła o przydzielenie im Siedliska. W jej skład wchodziłi porządni, solidni ludzie. Cieszył się, że będzie miał takich sąsiadów. Mówiło się również o innej grupie, pragnącej osiąść na południowo — zachodnim brzegu Rajskiej Rzeki.

Alemi nie mógł poświęcić swojej nowej pasji tyle czasu, ile by pragnął. Musiał wyznaczyć załogi, których zadaniem było przewiezienie statkami dobytku osiedleńców do Zakrętu. W rezultacie mniejsza liczba rybaków mogła zajmować się połowami. Ponieważ sezon na białe ryby był w pełni, Alemi chciał ich złowić jak najwięcej. Ze swoimi ludźmi łowili przez całe, coraz dłuższe dni, bez przerwy trałując oraz łowiąc na sznury. Dokładnie przestrzegali środków ostrożności zaleconych przez Assigi. Środki te od dawien dawna stosowali rybacy, chociaż dokładnie nie wiedzieli, dlaczego. Określały one wielkość sieci, a także sposoby uniknięcia „grzechu” polegającego na złapaniu ryby-przewodnika. Nawet jego ojciec, pomimo braku dostatecznej wyobraźni by być przesadnym, przestrzegał tych zaleceń. Teraz Alemi wiedział już, skąd wywodzą się te praktyki, lecz był pewien, że ojciec nigdy w to nie uwierzy, a także nie przyjmie do wiadomości faktu, że delfiny potrafią mówić i są inteligentne. Jeszcze jedna przeszkoda w ich wzajemnych stosunkach...

Zaopatrzone w informacje uzyskane od Assigi na temat inteligencji ryb-przewodników, Alemi zawiadomił Starszego Cechu Idarolana o swoich badaniach i planach odnowienia partnerstwa z delfinami, które miało prowadzić do obopólnych korzyści, chociaż sam nie był przekonany, co delfiny mogą na tym zyskać. Bardzo szanował Starszego Cechu i nie chciał utracić dobrej opinii, jaką sam się u niego cieszył. Swoje zainteresowania uzasadniał ocaleniem własnym i Readisa oraz dzikością i zmiennością pogody na tych tropikalnych wodach. Wiadomość przekazał przy pomocy Torka, spiżowej jaszczurki. Alemi był przekonany, że skoro zdołał tak dobrze wyszkolić latającą jaszczurkę, to z pewnością da sobie



radę ze znacznie inteligentniejszymi delfinami.

Alemi wiedział, że środowisko wodne zwielokrotnia siłę dźwięku, jednakże był przekonany o potrzebie korzystania z większego dzwonu niż ten, który miał na swoim statku. Dotychczas posługiwał się nim, kiedy jednostka stała na kotwicy. Przez jakiś czas zastanawiał się, czy metalowy trójkąt alarmowy, zawieszony przez Jaygego przed domem po ataku Thellego, wystarczyłby do wzywania delfinów. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu. Trójkąt wydawał dźwięki o innej częstotliwości.

Potrzebował więc dzwonu. Wysłał Toroka z drugą już w tym dniu misją do Zakładów Cechu Kowali w Siedlisku Talgar — miał prosić o odlanie dzwonu podobnego do znajdującego się w Zatoce Monako.

Mistrz Kowalski Fandarel przekazał Mistrzowi Rybackiemu wiadomość, że chętnie wykona dzwon odpowiedniej wielkości, lecz zamówienie będzie musiało poczekać na swoją kolej wśród innych otrzymanych przez Zakłady zleceń, związanych z misją ostatecznego zniszczenia Nici. Alemi musiał zadowolić się obietnicą. W międzyczasie Główny Harfiarz Robinton wystarał się dla niego o mały ręczny dzwonek, a następnie przysłał mu wiadomość przez swoją latającą jaszczurkę Zaira, że harfiarz w Siedlisku Fort widział duży dzwon w wielkich podziemnych magazynach.

Co wieczór Alemi pilnie studiował notatki przekazane mu przez Assigi, aż zapamiętał wszystkie ręczne sygnały i podstawowe komendy, które jak mniemał przetrwały w pamięci delfinów. W trakcie nauki niejednokrotnie z niedowierzaniem potrzasał głową.

— Alemi, dlaczego w trakcie czytania tych papierów tak często kiwasz głową? — zapytała lekko rozdrażniona Kitrin.

— Niesamowite — odpowiedział Alemi, wygodnie rozpierając się w fotelu — to naprawdę niesamowite, że nie potrafiliśmy dostrzec sygnałów dawanych przez delfiny o ich gotowości do odnowienia przyjaźni. Próbowaliśmy nam o tym powiedzieć, a my, ludzie, nie słuchaliśmy ich!

Kitrin zrobiła taką minę, że musiał się roześmiać. Często odgadywał jej myśli, zanim jeszcze zdążyła otworzyć usta.

— No, rzeczywiście, mogę sobie wyobrazić mojego teścia Yanusa słuchającego ryb-przewodników! — powiedziała, a Alemi chrząknął.

— Dokładnie tak. — Kitrin na moment przerwała obrębianie pieluszki dla oczekiwanego dziecka. — Widzisz, nie chciałabym okazać braku szacunku... — ciągnęła łagodniejszym tonem — ale on czasem jest taki...

— Zawsze jest taki — poprawił ją zdecydowanym głosem Alemi, uśmiechając się.

— Nic nie może zmusić go do zmiany postępowania. Jak wiesz, ani on, ani twoja matka nigdy nawet nie wspomnieli o Menolly. Co prawda twoja matka często mówi przy mnie o niewdzięczności. — Cicho westchnęła. — Zupełnie, jakby Menolly nigdy nie istniała.

— Myślę, że jest jej wygodniej tak postępować — powiedział Alemi z gorzkim uśmiechem na ustach, doskonale pamiętając, jak w Siedlisku Morskiego Półkola rodzice traktowali jego uzdolnioną siostrę. — Jest to zresztą na rękę i matce, i córce.

— Menolly nigdy tam już nie wróciła?

— Do Morskiego Siedliska? Nigdy. Po co miałyby to robić? Kitrin wzruszyła ramionami.

— To takie... przykre, że... nie potrafią pogodzić się z jej sukcesami. — Potem cicho dodała: — Sebel zawsze pamięta o przysłaniu nam jej nowo wydanych pieśni. Alemi, kiedy my doczekamy się tutaj harfiarza?

Uśmiechnął się, bo od początku wiedział, że to był główny powód prowadzenia przez nią rozmowy w tym kierunku.

— Hmm. Pytałem o to Jaygego i Araminę. Readis jest już dostatecznie duży, by uczyć się śpiewania ballad, podobnie zresztą jak i pozostała młodzież z Siedliska, które powinno już mieć własnego harfiarza. Z całą pewnością jest tu wystarczająco dużo pracy dla czeladnika,

któremu oprócz innych korzyści, możemy zaoferować przyjemny klimat i działkę pod budowę domu.

— Zapytaj ich, czy już wystąpili o harfiarza — powiedziała Kitrin z niezwykłą jak na nią stanowczością. — Nie chcę, żeby nasze dziewczynki i nasz syn — dodała, jakby się tłumacząc, z ręką na swoim mocno zaokrąglonym brzuchu — wyrastały w niewiedzy co mają czynić dla swojego Siedliska, Cechu i Strażnicy.

Alemi wybuchnął śmiechem i dodał:

— Mocno powiedziane.

Problem zdobycia harfiarza dla Siedliska, poruszył już następnego dnia po południu, w czasie dostarczania swojemu włodarzowi najlepszych okazów z dziennego połowu — trzech wspaniałych, wielkich czerwonołetwych.

— Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, żeby Assigi nigdy nie został odnaleziony — stwierdził Jayge z nutą goryczy w głosie. — Teraz on ustala priorytety.

— Ale harfiarz z pewnością...

— Każdy harfiarz po stażu pragnie uczestniczyć w uzyskiwaniu informacji od Assigi, a one wydają się być niewyczerpane, i to na absolutnie wszystkie tematy. A tyle jest prac, które powinny być natychmiast wykonane! — Włodarz potarł dłonią swoją, ostrzyżoną na jeża, czarną czuprynę, i jęknął: — Tyle razy już o to prosiłem.

— Także mistrza Robintona? — z nadzieją w głosie zapytał Alemi. Jayge rozwiął jednak jego nadzieję.

— Jest gorszy od innych. Całkowicie ugrzązł w administracji. — Po czym parsknął z rozbawieniem. — Ciągłe we wszystko się miesza! Ja też nie chcę, żeby Readis lekcewał swoje obowiązki, nawet jeżeli teraz mają się one zmienić w związku z odkryciem nowych urzędzeń i uzyskaniem nowych informacji. Rozumiem cię, ty również pragniesz, żeby twoje córki nie zostały pozbawione możliwości pobierania nauki. Nasze wysiłki dały jednak jakiś rezultat, Cech Rolników ma starego harfiarza, który zgodził się przyjeżdżać także do nas od czasu do czasu, ale...

— Jeżeli się zgodzisz, mogę szepnąć słówko mojej siostrze Menolly — zaproponował Alemi. Uczucie ogromnej ulgi pojawiło się na opalonej twarzy Jaygego.

— Nie chciałem ci nic sugerować...

— Dlaczego by nie? — Alemi uśmiechnął się. — Jak dotąd nie zabiegałem często o łaski u mojej siostry zajmującej takie wysokie stanowisko. Jak wiesz, ona ma także dziecko. I spodziewa się następnego.

Jayge spojrział na niego, potem mrugnął porozumiewawczo i powiedział:

— Wygląda na to, że nie tylko tworzy pieśni, które teraz są na ustach wszystkich.

— Jej zdaniem wszyscy harfiarze powinni prowadzić normalne życie.

Na Kontynencie Południowym trwała pora gorąca, natomiast na północy panowały dotkliwe chłody i chyba niewiele osób stamtąd odrzuciłoby propozycję wyjazdu na południe. Toteż nikogo specjalnie nie zdziwiło, że na skierowaną do Menolly prośbę Alemiego o harfiarza mającego uczyć dzieci z Siedliska, przyszła odpowiedź z zawiadomieniem o przyjeździe odpowiedniego kandydata, gdy tylko uda się zorganizować jego przejazd. Jednak nikt nie spodziewał się przyjazdu samej Menolly z jej małym synkiem Robsem. Z barkasu mistrza Idarolana wyniósł go silny, bardzo oddany, lecz tępawy Camo.

Gdy zapowiedziano przyjazd harfiarza, Jayge zorganizował brygadę mającą zbudować wygodny trzypokojowy domek w pobliżu starego magazynu. Pomieszczenie to nadawało się na salkę szkolną, a znajdowało się dostatecznie daleko od innych domów, by zapewnić harfiarzowi spokój. Gdy okazało się, że przybyła Menolly, Starsza Cechu Harfiarzy, usilnie starał się namówić pewną parę młodych osiedleńców do opuszczenia ich okazałego domu,

chcąc zaoferować przybyłej wygodniejsze zakwaterowanie.

— To bzdura. Ja i tak nie będę mogła na stałe zamieszkać w Siedlisku Rajskiej Rzeki — powiedziała Menolly do zatroskanego Jaygego. — Zostanę tutaj tylko do czasu narodzin mojego dziecka i pragnę samotności — dodała marszcząc nos z wyrazem niezadowolenia. — Nawet Sebell miał już dość moich utyskiwań na panujący chłód, który uniemożliwia mi komponowanie, że nie wspomnę już o grze. Widzisz? — zapytała, pokazując swoje długie palce. — Odmrożone!

Przesunęła się obok przejętego Jaygego i weszła na taras z hamakiem zawieszonym w przewiewnym kącie.

— A poza tym, tutaj spędza się więcej czasu na dworze niż w domu. W moim pokoju jest wystarczająco dużo miejsca na małe łóżeczko dla Robsego, jest też osobne pomieszczenie dla Camo. Doskonale potrafi opiekować się Robsem, który zresztą go uwielbia, a instynkt podpowiada mu, że jego opiekun sam jest jakby wielkim dzieckiem. Przygotowaliście mi bardzo wygodną kuchnię i na pewno będą mogła korzystać z magazynu, gdybym potrzebowała miejsca do pracy!

— Doskonale! Możemy też ulokować Camo w magazynie. Dzięki temu będzie zawsze w pobliżu, nie płacząc się cały czas pod nogami.

— A więc dobrze, wprowadzamy się tutaj — powiedziała obracając się na pięcie, pragnąc obejrzeć całe mieszkanie. Splotła ramiona, a następnie szerokim gestem uniosła je do góry. — Och, jak to dobrze móc się cieszyć ciepłem!

Jayge uśmiechnął się do niej z dobrotliwym przekąsem.

— Poczekaj, aż się zaczną prawdziwe upały.

— Nie mogę się ich doczekać! — odparła Menolly, odrzucając do tyłu swoje gęste włosy. — Jestem pewna, że tutaj odtaje moja krew. — Dreszcz wstrząsnął nią konwulsyjnie. — Jeszcze nigdy nie było mi tak zimno.

Zjawił się Camo, popychając przed sobą taczki z przywiezionym dobytkiem, a na samej górze niebezpiecznie kiwał się Robse, ściskając podręczną skrzynkę harfiarza. Dużą część bagażu stanowiły instrumenty muzyczne i wielki zapas materiałów piśmiennych. Później Aramina powiedziała Jaygemu, że Menolly przywiozła ze sobą tylko dwa komplety ubrań i jedną długą, elegancko haftowaną szatę do występów.

Menolly ubrała się w tę szatę zaraz pierwszego wieczoru po przyjeździe. Włożyła ją na Spotkanie, które Aramina i Jayge pospiesznie zorganizowali na jej cześć. Wszyscy mieszkańcy okolic Rajskiej Rzeki pragnęli poznać Wielką Harfiarkę. W Spotkaniu nie mogli wziąć udziału tylko nowi osiedleńcy, zajęci budową kamiennego korralu dla antylop, ale dwie z ich licznych cióć przybyły pomóc w kuchni. Tego wieczoru Jayge z dumą przyjmował tak licznych gości. W ciągu ostatnich Obrotów znacznie wzrosła liczba mieszkańców, a każdy nowy osadnik wnosił do Siedliska znajomość potrzebnego zawodu lub rzemiosła. Jayge mógł wybierać wśród kandydatów do osiedlenia, lecz jak dotąd odrzucił ofertę tylko jednej pary. Tak więc tego dnia zebrało się czterdziestu siedmiu mieszkańców Siedliska oraz załoga zakotwiczonego w zatoce barkasu „Siostry Jutrzenki”.

Mistrz Rybacki Idarolan po zaproszeniu go na Spotkanie postanowił wykorzystać tę okazję, by zatrzymać się dzień dłużej i obejrzeć „del-finy” Alemiego.

— Upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu — żartobliwie powiedział swojej załodze, czujnym wzrokiem badając ładną rybakówkę, którą zbudował Alemi ze swoimi czeladnikami.

Alemi musiał bardzo starannie ukrywać swą niecierpliwość pokazania mistrzowi Idarolanowi inteligencji delfinów, ponieważ oczywiście najważniejszą sprawą stało się uczczenie przybycia do Siedliska Menolly. Alemi nigdy nawet nie marzył o tym, że jego siostra przybędzie na występy do Rajskiej Rzeki. Wszyscy mieszkańcy także byli tym mile zaskoczeni i podekscytowani. Kitrin doskonale zdawała sobie sprawę z prestiżu, jakim cieszyła się siostra jej męża, i koniecznie chciała odstąpić jej swoje mieszkanie, lecz Alemi ją

wyśmiał.

— Kochanie, Menolly nie zamierza skorzystać z twojej propozycji — wyjaśnił zonie — szczególnie że jesteś w bardziej od niej zaawansowanej ciąży.

— Ależ ona jest Wielką Harfiarką!

— Menolly jest także moją siostrą, i nigdy nie dopuściła, by woda sodowa uderzyła jej do głowy z racji zajmowania wysokiego stanowiska.

W tej sytuacji Kitrin rzuciła się w wir przygotowań do Spotkania, gotując i piekąc smakołyki na nadchodzący wieczór.

— Nie możemy sobie pozwolić na jakiegokolwiek uchybienie w okazywaniu szacunku Wielkiej Harfiarce, szczególnie gdy jest także twoją siostrą.

Alemi roześmiał się i pozwolił jej organizować pracę żon innych rybaków przy szykowaniu lokalnych specjałów, w które obfitowało o tej porze roku Siedlisko Rajskiej Rzeki.

Impreza przeciągnęła się do późna i sprawiła ogromną radość wszystkim mieszkańcom Siedliska, spragnionym nowych pieśni i ciekawych postaci. Menolly śpiewała bez końca utwory, o które ją proszono, a także te ze swojego nowego repertuaru. Alemi zauważył, że nie informowała publiczności o tym, które z nich osobiście skomponowała. Sam jakoś potrafił je rozróżnić. Styl jej kompozycji był nie do podrobienia. Namówiła go do wspólnego odśpiewania kilku morskich piosenek, których jako dzieci nauczyli się od harfiarza Petirona. Alemiego radowało przebywanie w towarzystwie siostry i możliwość nawiązania wzajemnej więzi, jaka łączyła rodzeństwo w dzieciństwie, gdy razem mieszkali w Siedlisku Morskie Półkole.

Alemi po wypełnieniu swoich zadań siedział z Kitrin na widowni i słuchał, jak piękny, głęboki głos siostry wędruje w górę i w dół po oktawach. Coraz bardziej dziwił się, jak to było możliwe, że w ich rodzinnym Siedlisku nikt, poza starym Petironem i nim samym, nie doceniał jej talentu i nie zachęcał do obrania kariery artystycznej. Przypomniawszy sobie, jaki był wściekły na rodziców za złośliwość okazywaną Menolly, kiedy zraniła sobie rękę o jadowite płetwy ryby i wydawało się, że już nigdy nie będzie mogła grać. Jak mogli tak cieszyć się z jej nieszczęścia?

— Lemi, czemu stroisz miny? — cichutko zapytała Kitrin w trakcie krótkiej przerwy, kiedy Menolly popijając sok wdała się w pogawędkę z publicznością.

— Pamiętasz, co mówiłaś o moich rodzicach? — zapytał tajemniczo.

— O co ci chodzi? Kiedy? — zdziwiła się.

— No, jak nie doceniali naszej Menolly.

— Ach, o tym mówisz! — w jej głosie pojawiła się nuta złośliwości. — Im większą daję nam ona radość, tym większa jest ich strata. Bardzo dobrze wypadł wasz duet, a w ogóle powinieneś częściej śpiewać na naszych Spotkaniach. Ta ballada o Lądowaniu była naprawdę piękna! Tylko wyobraź sobie, ludzie tacy jak my odbyli tę niewiarygodną podróż w przestrzeni kosmicznej, żeby tutaj rozpocząć nowe życie. W pewnym sensie było to podobne do naszego osiedlenia się w Rajskiej Rzece. My jednak nie musieliśmy przespać piętnastu Obrotów, żeby tu dotrzeć.

Alemi poklepał Kitrin po ramieniu i postanowił nie przypominać, jak trudno było jej odnaleźć się na nowym miejscu. Pieśń Menolly spełniła zadanie, pomyślał uśmiechając się do siebie. Zawsze bardzo cenił śpiewaczy talent swojej siostry, a teraz podziwiał także subtelność jej utworów. Przecież to właśnie stanowiło istotę harfiarstwa. Przygotowywanie ludzi do samodzielnego myślenia, uświadamianie im istnienia uczuć wyższego rzędu, no i nade wszystko zdobywanie wiedzy. Rybołówstwo karmiło ciała ludzi, zaś szkolnictwo zaspokajało głód ich dusz.

Czy po krótkim pobycie Wielkiej Harfiarki Menolly, Siedlisko Rajskiej Rzeki zdoła zadowolić się jakimś czeladnikiem w tym zawodzie, który zgodzi się na przyjazd do tak

odosobnionego miejsca? No cóż, w każdym razie na pewno będzie on śpiewał pieśni poznane tu przez nich dzięki Menolly.

W chwili, kiedy Menolly brała wysokie akordy na swoim instrumencie, Alemi pozwolił sobie na chwilę marzeń. Może kiedyś dzięki delfinom Rajska Rzeka stanie się bardziej atrakcyjna? Musi dokładnie przemyśleć tę sprawę. Po pierwsze, uświadomił sobie konieczność przekonania Starszego Cechu Rybaków, że delfiny mogą być czymś więcej, niż tylko... ssakami wykonującymi akrobatyczne sztuczki... lubiącymi się ściągać ze statkami.

Alemi był ostatnio bardzo zajęty, lecz mimo to pewnego wieczoru wykorzystał dzwon ze swojego statku. Uderzył nieśmiało, niemal bojąc się głośnego dźwięku, gdyż nie miał pewności, czy delfiny zjawią się na jego wezwanie. Odczekał jakiś czas i ponieważ nic się nie działo, postanowił po raz ostatni uderzyć w dzwon zgodnie z instrukcją, którą wydrukował dla niego Assigi. Prawdopodobnie odgłos był zbyt cichy, by zwać delfiny.

— Dzwonon! Dzwonon!

Musiał wyteńczyć słuch, by upewnić się, że rozchodzące się po spokojnej, wieczornej wodzie krzyki nie są wytworem jego wyobraźni. Zachodzące słońce świeciło mu prosto w oczy, a migocące odbicia w morskiej toni utrudniały obserwację. Znowu usłyszał krzyki i tym razem nie miał już żadnych wątpliwości. Po chwili dojrzał skaczące sylwetki kilkunastu delfinów płynących w kierunku wybrzeża. Z zadowolenia niemal uklęknął na swoim pływającym pomoście. W głębi duszy nie spodziewał się, że jego wezwanie zostanie wysłuchane.

— Dzwonon! Ej! Dzwonon! Weeezwaaanieeee!

Radość brzmiąca w tych głosach była dla Alemiego nagrodą za poczynione wysiłki. Instrukcja nakazywała opiekunowi nagradzanie zgłaszających się zwierząt, więc Alemi zaopatrzył się w pełen kubek małych rybek nie nadających się ani do wędzenia, ani do solenia. Delfiny same potrafiły nałapać tyle ryb, ile chciały, więc zastanawiał się nad pochodzeniem zwyczaju karmienia ich. Na pewno był to gest przyjacielski. Ludzie częstowali swoich gości kłahem lub sokami owocowymi, pomimo że każdy miał te napoje we własnym domu. Ważne było wykonanie gestu.

— Kto tu przyplłynął? — zapytał. — Ja jestem Alemi.

Jeden z gromady delfinów, którego szarą skórę zabarwiły na różowo promienie zachodzącego słońca, wysunął się nad powierzchnię.

— Znać ciebie! Uratować ciebie i młode!

Alemi rzucił mu rybę.

— Jeszcze raz ci dziękuję.

— Ja też raaatować człowiek! — pisnął drugi delfin, wyskakując z wody i tańcząc na ogonie.

— No, to ryba dla ciebie i dla wszystkich, którzy przybyli na wezwanie dzwonu!

— Dzwonon! Dzwonon! — delfiny dodawały jedną sylabę do wyrazu. Alemi ze śmiechem rzucał im ryby.

— Zgłooosiiić się? — zapytał jeden z delfinów. Alemiemu wydawało się, że to był ten pierwszy, który z nim rozmawiał, ale nie miał pewności, gdyż w słabym świetle zapadającego zmierzchu wszystkie wyglądały tak samo. Zanim jednak opróżnił kubek z ryb, zdołał dostrzec blizny na pyskach różniące poszczególne zwierzęta. Wydało mu się, że niektóre z nich już widział w eskorcie towarzyszącej jego żaglowcowi, zauważył również, że są rozmaitej wielkości i mają nieco odmienne kształty.

— Zastanawiałem się, czy przyplyniecie do mnie, gdy usłyszycie głos dzwonu.

— Dzwonon przyoołać stado! Zaaasze! Słyszyyyć dzwonon, przyyyjść!

Alemi był w stanie zrozumieć wymawiane przez nie słowa, ale dopiero teraz pojął, co miał na myśli Assigi poruszając temat zmian zachodzących w języku. Czy delfiny naprawdę

zrozumiały to, co im powiedział? Może powinien starać się korygować ich wymowę? Assigi nic mu o tym nie wspominał. Trudno, będzie próbował. Powinien mówić normalnie, może słuchając go same poprawią swoje słownictwo.

— A więc dobrze. Proszę was, zawsze zjawiajcie się na wezwanie dzwonu. Wkrótce dostanę znacznie większy.

— Miii dzwonić? Miii dzwonić w dzwon? Człowieki odpowiadać?

Alemi wybuchnął śmiechem usłyszawszy obcesowe pytanie. Odważył się wyciągnąć rękę i poskrobać po nosie delfina, z którym rozmawiał.

— Dooobrzeeeee. Dooobrzeeeee. Zdraaaapaaać libpawki teraz? — znowu padły te niezrozumiałe słowa, które jednak musiały być dla delfinów bardzo ważne.

— Libpawki? — powtórzył. — Co to znaczy libpawki?

— Tooo... — Kib obrócił się w ten sposób, że pokazał swój jasny brzuch. Na boku delfina mężczyzna dostrzegł podłużną plamę, która okazała się ssącą krew rybą. Był to pasożyt, przysysający się do otwartych ran.

— Ryba — pijawka... Oczywiście, libpawka! — Alemi naśladował piskliwy głos delfinów. — Jak mogłem być tak niedomyślny! — Uderzył się dłonią w czoło.

Chwycił rybę — pijawkę za głowę i usiłował oderwać, ale trzymała się boku delfina, jakby była tam przyklejona.

— Mocno wysysa z ciebie krew, prawda? Niestety, nie mam tu ognia... — Żeglarze zwykle usuwali te pasożyty dotykając ich głowy rozżarzoną węglem lub żagwią.

Kib obrócił się i do połowy wysunął z wody.

— Nóóóóóóó!

— Czy nóż nie pogorszy sprawy?

— Daaawnaaaa lyba. Mała dziura.

— To będzie bolało — powiedział Alemi wykrzywiając twarz.

— Neee booooleć, baaardziej dooobrze usunąć.

— Skoro sobie tego życzysz...

— Taaak móóóóóóó. Dobre dobre dobre. Człowieki robić dobre dobre dobre dla delfiny. — I Kib wygiął się w taki sposób, że Alemi miał wygodny dostęp do pasożyta.

Dobrze naostrzonym nożem bez trudu odciął rybę — pijawkę. Musiał go trochę zagłębić w ranie, by usunąć przyssawki. Po wykonanym zabiegu pozostał tylko mały otwór.

Kolejne dwa podekscytowane delfiny poprosiły go o usunięcie ryb-pijawek — u jednego z nich pasożyt ulokował się w pobliżu genitaliów zwierzęcia. Kiedy zostały już uwolnione, każdy z delfinów z radości wykonał kilka akrobatycznych sztuczek nad powierzchnią wody. Alemi zaczął je już odróżniać. Kib miał długie, zagojone rozcięcie na dolnej szczęce i był największym samcem. Mul charakteryzowała się drobnymi plamkami i ją ryba-pijawka zaatakowała w połowie ciała. Mel miał najdłuższy nos, a Afo była samicą o najdrobniejszej budowie. Jim, najlepszy akrobata, popisywał się chodząc po wodzie na ogonie — jemu Alemi usunął pasożyty przyssane do brzucha — a Temp był znacznie grubszy od pozostałych delfinów. Z notatek Assigi wynikało, że, tuż pod skórą mają grubą warstwę tłuszczu, która w zimniejszych wodach pozwala im zachować właściwą temperaturę ciała i stanowi rodzaj regulatora ciepłoty.

Gdy po szybkim tropikalnym zmierzchu zapadła zupełnie ciemna noc i ucichły siedzące na drzewach ptaki, Alemi zaczął się żegnać ze stadem.

— Dobranoc — krzyknął, wchodząc na krótką drabinkę wiodącą na molo.

— Dzięki za usunięcie lybpiawek. Dzięki duże duże duże. Noc... noc... śpij silnie...!

Bardziej słyszał niż widział, jak oddalające się w stronę Prądów stado wesoło igra po wodzie.

I znowu Afo miała okazję do przesłania po wszystkich morzach planety dobrej wieści, że

ludzie usunęli dokuczliwe ryby–pijawki. Nie zapomnieli o swoich obowiązkach wobec delfinów. Echo sonarów powiadamiało ich o dalszych dobrych nowinach. Teraz niektóre statki udające się na połowy będą jak dawniej częstować rybami eskortujące je delfiny. Czasem jednak, z dala od stałego lądu, szyprowie jednostek rybackich nie stosowali się do wskazówek delfinów i w ten sposób najbogatsze w ryby akweny pozostawały nietknięte. Pytano Tillek, co zrobić, żeby nauczyć ludzi właściwego postępowania. Skoro delfiny pamiętały, dlaczego tamci zapomnieli?

Afo mogła z dumą stwierdzić, iż jej człowiek pamiętał. Trzeba mu było coś niecoś przypomnieć i pokazać, ale w końcu wyciągnął błyszczącą stal i wypełnił swoje zadanie. Jeszcze kilka z nich oczekiwało na usunięcie pasożytów, bo człowiek był jeden. Wielu członków stada miało dużo, dużo, dużo szczęścia. Pojawił się dzwon w Rajrzece i zostały przeprowadzone zabiegi usunięcia ryb–pijawek. Alta i Dar słyszeli, że dzwon dla stada z Zatmonko nie został jeszcze zainstalowany. Tillek nadała wiadomość, że muszą być cierpliwe. Kiedy już zamontują dzwon, to sama tam dotrze, żeby zobaczyć się z ludźmi na Miejscu Ich Pierwszego Lądowania. Może wśród nich znajdzie się Tillek, który przypomni o obowiązkach zawartych w Pradawnej Umowie.

Mistrz Idarolan pił na Spotkaniu razem z innymi, lecz gdy tylko słońce ukazało się nad horyzontem, opuścił pokład „Sióstr Jutrzenki” i w małej łódce powiosłował do brzegu. Łagodne kołysanie morza ułatwiało przeprawę. Na brzegu oczekiwał go Alemi, trzymając w ręku kubek gorącego, aromatycznego klahu. Całe Obroty wczesnego wstawania spowodowały, że Alemi nie mógł spać po wschodzie słońca.

— Dziękuję ci, chłopcze, za ten wspaniały napój — powiedział Idarolan po wypiciu pierwszego łyku gorącego płynu i cmoknął z zadowoleniem.

Alemi poczęstował go owocami z koszyka oraz resztą pieczywa z wieczornego przyjęcia.

— Nie spodziewałem się, że pozostał chociaż okruszek po tym, jak członkowie mojej załogi odeszli od stołu — rzekł Idarolan sięgając po ciasto. Dyskretnie zajrzał przez szerokie okno rybakówki. — Zbudowaliście prawdziwe cacko! I tak tu wszędzie czysto! Jak na statku. Podoba mi się tutaj, zresztą znając twojego ojca niczego innego nie mogłem się spodziewać.

— Ach, wymienileś mojego ojca, mistrza Yanusa... mam nadzieję, mistrzu Idaloranie, że... jak by to wyrazić...

— Nie powinienem nic mówić o twoich delfinach człowiekowi, który cię spłodził? — zaśmiał się Idarolan, a wokół oczu pojawiły mu się drobne zmarszczki, wyrzeźbione przez słońce i wiatry w ciągu długich lat życia. — Nie sędzę, żebym miał to zrobić, chociaż lubię, jak ludzie od czasu do czasu przekonują się do nowych i nieoczekiwanych sytuacji. Jednak ktoś, kto rzuca się z entuzjazmem na każdą nowinkę...

— Współpraca ludzi z delfinami nie jest żadną nowinką — zdecydowanym głosem odparł Alemi.

— Oczywiście, że nie, jeżeli taką informację uzyskałeś od samego Assigi — Idarolan zachichotał z rozbawieniem. — Mistrz Siedliska Yanus jest wspaniałym żeglarzem, wychowuje udanych czeladników, zna się na pogodzie w Zatoce Nerat i posiada głęboką wiedzę o ukształtowaniu linii brzegowej w swoich stronach — Idarolan przerwał, spojrzał z ukosa na Alemiego i mrugnął porozumiewawczo — natomiast jeżeli idzie o przekonywanie się do nowych pomysłów... o, nie! To nie jest jego sposób stawiania zagli. — Przysunął się do Alemiego i ponownie sięgnął do koszyka z pieczywem. — Między nami mówiąc, chłopcze, on nie wierzy, że w ogóle może istnieć takie... stworzenie, takie urządzenie jak Assigi. Nie, takie urządzenie jak Assigi nie może istnieć.

Alemi podrapał się po głowie i powiedział z uśmiechem:

— Zupełnie mnie to nie dziwi.

— To zadziwiająca sprawa, że Yanus i Mavi spłodzili takie potomstwo jak ty i Wielka

Harfiarka Menolly.

— Tak, ona jest naprawdę zadziwiająca.

Idarolan posłał mu szybkie spojrzenie

— W każdym razie ty jesteś z niej dumny.

— Ogromnie.

— To z twojego powodu tu przyjechała. Któregoś wieczoru powiedziała mi, że nigdy nie miała okazji naprawdę cię poznać, a według niej ty właśnie jesteś najwięcej wart.

Alemi spojrzał na swojego Mistrza.

— Czy rzeczywiście tak się o mnie wyraziła? — poczuł, że duma i miłość do niej zatyka mu gardło.

— Trzeba przyznać, że morskie podróże skłaniają ludzi do zwierzeń, do których nigdy by nie doszło na stałym lądzie — dodał cicho Idarolan. — No dalej, chłopcze, poczęstuj mnie jeszcze jednym kubkiem klahu i pokaż mi te twoje del-finy.

— Delfiny. — Alemi w roztargnieniu poprawił Idarolana, napełniając obydwie kubki. Sięgnął po drugi koszyk z nie dojezdzonymi kawałkami chleba i ciasta. Z ostatniego połowu nie pozostała mu ani jedna ryba i niepokoił się, czy delfiny zadowolą się ludzkim pokarmem. Po chwili poprowadził swojego gościa ścieżką wiodącą z domu prosto do przystani.

Idarolan zsunął się po drabince na pływającą platformę niemal tak zręcznie jak Alemi, który po zejściu tam poczuł się lekko zażenowany, chwycił jednak za dzwon i energicznie wykonał nim sygnał zgłoszenia. Dźwięk rozpląnął się po łagodnie rozkołysanych fałach przypływu. Obaj z Idarolanem gwałtownie odskoczyli od skraju pomostu, gdy dwa delfiny wyłoniły się z wody o milimetry od niego.

— To jest dopiero energiczne wynurzenie się, chłopcze! — powiedział Idarolan.

— Lemi uderzać dzwonon! Zgłosz się! Afo zgłosz się! — do obydwu mężczyzn wyraźnie dotarły wypowiedziane słowa.

— Kib zgłosz się! — usłyszeli drugiego delfina.

— Jak długo żyję, nie widziałem czegoś podobnego — wyrzucił z siebie zduszonym głosem Idarolan. Uklęknął na brzegu tratwy i usiłował śledzić ruchy znajdujących się pod wodą delfinów. Odchylił się do tyłu, gdy jeden z nich wynurzył się dokładnie naprzeciw niego i pyskiem niemal dotknął jego brody. — No, daję słowo! — patrzył na Alemiego przez dłuższą chwilę.

— Yyy dzwonił?

— Kib? — zawołał Alemi i podał mu kawałek chleba. — Lubisz jedzenie ludzi?

— Nie ma ryb?

— Niestety dzisiaj zabrakło.

— Wyraźnie powiedział: „Nie ma ryb?” i zrobił to pytającym tonem! — cicho wykrzyknął mistrz Idarolan, kiwając się na piętach.

Alemi uśmiechnął się.

— Nie ma ryb? — zapytał drugi delfin, kołysząc się w wodzie przed Alemim, który wyciągnął rękę, żeby go podrapać po dolnej szczęce.

— Czy na dziś wystarczy samo drapanie? A może trzeba wam usunąć ryby-pijawki? — I uśmiechając się wyjaśnił Idarolanowi problem pasożytów.

— Coś nieprawdopodobnego. I pozwalają, żebyś je usuwał nożem?

— Po pozbyciu się ryb-pijawek robią wrażenie bardzo zadowolonych. Lubią też, jak się je drapie. Czasem schodzą z nich kawałki górnej warstwy skóry, ale to jest zupełnie normalne.

— Podrapać? — zapytał ponownie. — A może któreś z was znowu ma ryby-pijawki?

— Drzapać. Ryby-pijawki — wyraźnie obwieścił delfin podnosząc głowę. — Dooobrze. Jeszcze! — I przekręcił pysk w ten sposób, że miejsce do podrapania znalazło się bezpośrednio pod palcami Alemiego.

— Jakie one są w dotyku? — zaciekał się Idarolan i wyciągnął rękę.



— Możesz ją pogłaskać. Popieść Afo. Tylko nie dotykaj otworu oddechowego. Drapanie po głowie i nosie sprawia im przyjemność.

— Mają elastyczne, lecz jędrne ciało. Nie są tak oślizgłe jak ryby.

— Ryba nie. Ssak! — natychmiast odpaliła Afo.

— Wielkie nieba! — Ze zdumienia Idarolan stracił równowagę i tak ciężko usiadł na tratwie, że aż się zachwiała, a przelewająca się woda zmoczyła ich obu. — Ona wie, co to znaczy!

Alemi zachichotał.

— Tak samo jak my. Czy teraz jeszcze powątpiewasz w ich inteligencję?

— Nie, nie mogę! — przyznał Idarolan. — Ze zdziwienia zupełnie oniemiałem. Przez te wszystkie Obroty podziwiałem je, ale nigdy nie pomyślałem o tym, żeby im poświęcić trochę czasu. Nie zdawałem sobie sprawy, że wydawane przez nie dźwięki mogą być słowami, więc ich nie słuchałem! Ach, oczywiście docierały do mnie opowieści uratowanych rozbitków i ich opinii na ten temat... — Przyłożył palec wskazujący do skroni i pokręcił nim w geście określającym brak równowagi psychicznej. — Wiedziałem, że ci ludzie przeżyli poważny stres będąc bliscy utonięcia, a poza tym okoliczności — wichura i silny sztorm, w takich warunkach łatwo popełnić pomyłkę. Teraz je jednak słyszałem i nie ma tu żadnych wątpliwości. — Zdecydowanie potrząsnął głową. — A więc co robimy, młody człowieku?

— Zgłaszać się? — zapytał Kib, patrząc jednym okiem na Alemiego i rozchylając pysk w uśmiechu.

Obaj mężczyźni wybuchnęli głośnym śmiechem, a para delfinów zawtórowała im piskiem i cmokaniem.

— Dzwonon! Dzwonon? — krzyk rozpląnął się szeroko po morzu. Alemi i Idarolan zobaczyli dużą grupę delfinów płynących w ich kierunku. — Dzwonon biiiic! Dzwonon bić!

Idarolan ze zdumieniem kręcił głową.

— Dzwon wymawiają jako wyraz dwusylabowy.

— A yyy oznacza ty. Lybpiawki to pasożyty. — Alemi uśmiechnął się na wspomnienie własnej tępoty. Jak mógł nie zrozumieć nazwy tak powszechnego zagrożenia panującego w wodach morskich. — Istnieje jeszcze wiele innych dziwnych słów, ale mam nadzieję, że jeżeli będę starannie wymawiał poszczególne wyrazy, to nauczą się mówić tak jak my. Mistrzu Idarolanie, teraz chciałbym usystematyzować rozpoczęte działania. Assigi dał mi instrukcję dotyczącą sposobu postępowania. Możesz posługiwać się swoim dzwonem okrętowym... Wydzwaniaj taki sygnał, jaki ja wykonałem, wzywający je do zgłoszenia się. Assigi twierdzi, że znają miejsca pobytu największych ławic ryb, wiedzą, gdzie są zlokalizowane niebezpieczne skały i potrafią przewidywać pogodę. Zdarzały się wypadki ratowania rozbitków, było także wiele innych rzeczy, które ludzie wykonywali wspólnie z delfinami.

— Hmm... sprawdzanie dna statku, czy nie ma za dużo porostów, a także kontrolowanie dziur w poszyciu. Badanie prędkości prądów... Assigi dał mi dziennik okrętowy prowadzony przez kapitana Jamesa Tilleka...

— Tillek! Tillek! Gdzie jest Tillek? — zaczęły krzyczeć delfiny z taką pasją i zdziwieniem, że Alemi i mistrz Idarolan stanęli jak oniemiałi.

— Nie, nie ma tu Tilleka — odpowiedział Alemi — James — z naciskiem podkreślił imię — już od dawna nie żyje. Dawno umarł! Odszedł! — Delfiny zaczęły się trącać nosami i cała grupa wydawała smutne dźwięki.

— W każdym razie, kapitan — Alemi uśmiechnął się widząc jak Idarolan starannie dobiera słowa starając się zapobiec następnej gwałtownej reakcji delfinów — był jednym z pierwszych kolonizatorów, którzy zajmowali się opracowywaniem map naszych perneńskich wód. Czytałem o tym, jak po wybuchu wulkanów delfiny pomogły ludziom dostać się bezpiecznie na północ. Zdziwiająca podróż. Było wiele małych łodzi, a delfiny obroniły

wszystkich od utonięcia w czasie jednego z tych niszczycielskich sztormów, jakie nawiedzają tę strefę geograficzną. — Na wspomnienie sztormów spoważniał. — Hmm, skoro są takie sprytne, to może zdołają od czasu do czasu przenosić jakieś wiadomości. Pewnie nie tak szybko jak latające jaszczurki, ale one mają czasami trudności z koncentracją... nie potrafią skupić się na wykonywanym zadaniu.

W międzyczasie dopłynęły do tratwy inne delfiny i tłoczyły się wokół niej, usiłując się przedstawić i dowiedzieć, kim jest Idarolan.

— W jaki sposób one nas rozróżniają? — zastanawiał się Idarolan.

— Łaaat–wooo! Kolor człowieka — zbulgotał Kib. Alemi był przekonany, że delfin z niego żartuje.

— To jest ubranie Kib, ubranie — powiedział Alemi, jedną ręką dotykając tkaniny lekkiej koszuli, a drugą — szortów zrobionych z grubego żaglowego płótna.

— Delfiny... nie... — stwierdził wyraźnie Kib — ...nie nooo–szą uuub–raaań — A potem, jakby w paroksyzmie śmiechu, zaczął się obracać wokół własnej osi.

— Iddie — tylko tak potrafiły wymówić nazwisko Starszego Cechu Rybaków, który zresztą nie czuł się tym w najmniejszym stopniu urażony.

— Jestem zaszczycony, że rozmawiałem ze zwierzęciem i ono nauczyło się mojego nazwiska — stwierdził Idarolan, z lekkim uczuciem dumy wypinając pierś. A po chwili dodał poufałym tonem:

— O przygodzie dzisiejszego poranka nigdy nie będę mógł opowiedzieć Yanusowi z Siedliska Morskiego Półkola! Naprawdę, nigdy! Niemniej poproszę o pomoc tych szyprów, o których wiem, że będą chcieli współpracować z delfinami — w tym momencie silne uderzenie w tratwę o mało nie zważyło go z nóg. — Przepraszam, o czym to ja mówiłem?

— Podrzapać Temp — usłyszał wypowiedzianą energicznym głosem prośbę. — Podrzapać Temp.

I Idarolan spełnił życzenie.

— Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że będę to robił — szepnął do Alemiego.

— Ja również!

## ROZDZIAŁ V

Nie tylko Alemi pragnął lepiej poznać delfiny.

Po tym jak T'lion i Gadareth odwieźli Alemiego do jego Siedliska i odebrali ubrania pospiesznie pożyczone od zaspanego jeźdźca brązowego smoka, chłopiec ze swoim spizowym nie od razu powrócił do Strażnicy Wschodniej.

— Ich nie można porównywać z tobą, Gaddie. — T'lion tłumaczył swojemu smokowi, kiedy ten wzbijał się w niebo. — Musisz jednak przyznać, że gadające morskie stworzenia są fantastyczne.

— Czy ze mną także będą rozmawiać?

— Oj, Gaddie, wybij sobie z głowy, że kiedykolwiek mógłbym wymienić ciebie na delfina! — T'lion roześmiał się na samą myśl o takiej możliwości i tak mocno, jak tylko potrafił, podrapał spizowca po karku palcami w twardej rękawicy. Wyposażenie używane do latania było jeszcze na niego za duże i znacznie za długie palce rękawicy bardzo utrudniały ruchy dłoni.

— Ty i ja różnimy się.

— Ty jesteś moim jeźdźcem, a ja twoim smokiem. To jest poważna różnica — stwierdził z powagą Gadareth. — To ja w dniu wyklucia się z jajka wybrałem cię spośród wszystkich przy tym obecnych...

— A ja nie byłem tam nawet jako Kandydat — powiedział T'lion z uśmiechem, żywo wspominając najpiękniejszy dzień swojego życia.

Jego brat K'din został wtedy zgłoszony jako oficjalny Kandydat i nawet pomimo tego, że sam dokonał Naznaczenia brązowca, nigdy nie wybaczył swemu młodszemu bratu wykonania takiego popisowego Naznaczenia, skoro nie został tam przedstawiony jako potencjalny jeździec. Przejęcie przez niego spiżowca odczuł jako wielką krzywdę.

— Jesteś za młody! — wykrzykiwał do brata K'din podczas prowadzenia rekrutów na ich kwatery. — Znalazłeś się tutaj, ponieważ rodzice bali się zostawić cię samego w domu! Jak mogłeś mi to zrobić!

Na nic się zdały próby wyjaśnienia K'dinowi, że T'lion nie myślał w ogóle o Naznaczeniu jakiegokolwiek smoka, a co dopiero spiżowca. K'din uważał to za osobistą obelgę, nawet pomimo tego, że już w dziesięć minut po Naznaczeniu nie zamieniłby swojego Bulitha na Gadaretha. Tak się stało, że dzień, który miał być wspaniałym momentem przełomowym dla najstarszego syna czeladnika zatrudnionego na Ładowisku, za sprawą młodszego został całkowicie popsuty. W dodatku brat ten zaledwie dochodził do wieku, w którym Przejęcie mogło zostać zatwierdzone.

T'lion usiłował tłumaczyć, że gdyby uroczystość odbywała się w pomieszczeniach którejs z Pomocnych Strażnic, w głębokiej jaskini z wysoko wznoszącymi się rzędami foteli dla publiczności, a nie na otwartym terenie Wylęgarni, to Gadarethowi nie byłoby tak łatwo do niego dotrzeć. Małeńki spiżowiec trzepotał skrzydłami, pełzał i popiskiwał z wysiłku wędrując od piasków Wylęgarni prosto do T'liona, który stał w towarzystwie rodziców i siostry. T'lion naprawdę w żaden sposób nie próbował zwrócić na siebie uwagi pisklęcia. Ani drgnął. Oczywiście był osłupiały, gdy zorientował się, że mały smoczek trąca go łebkiem. Dopiero T'gellan, Komendant Strażnicy i Szef Szkolenia Rekrutów, musiał mu zwrócić uwagę, żeby dokonał aktu Naznaczenia. Zresztą i tak chłopiec nie był w stanie dłużej się ociągać, bo Gadareth bardzo się zdenerwował, że wybór partnera nie został natychmiast zaakceptowany.

Nawet jeszcze w trzy lata później, kiedy T'lion skończył piętnaście Obrotów, ciągle starał się schodzić bratu z drogi. Dokuczanie stało się łatwiejsze, bo K'din otrzymał przydział do jednostki bojowej i mógł naśmiewać się z T'liona, że musi minąć jeszcze wiele lat, zanim on, jeździec spiżowego, stanie się użyteczny dla Strażnicy, która daje mu mieszkanie i strawę. T'lion był ogromnie wdzięczny komendantowi T'gellanowi i towarzyszowi ze Strażnicy, jeźdźcowi zielonego Patha, Mirrimowi, gdyż nigdy nie dali odczuć młodzikowi, że jest mało przydatny.

— Smok wybiera — stwierdził wtedy T'gellan, a powtarzał to zawsze przy ceremoniach Naznaczenia, i spokojnie pokiwał głową, kwitując decyzję małego smoka. Następnie podszedł do zaskoczonej rodziny i pogratulował posiadania dwóch tak wartościowych synów.

T'lion nie mógł zostać wcielony do bojowej jednostki przed ukończeniem szesnastego roku życia, więc T'gellan wykorzystywał spiżową parę jako posłańców, dając im wiele okazji do nauki orientacji w terenie. Musieli odnajdywać najróżniejsze miejsca na Kontynencie Południowym, a także mniejsze i większe Siedliska i Zakłady na północy. T'lion cieszył się opinią niezawodnego posłańca i bardzo uprzejmego dla swoich pasażerów przewodnika, nigdy nie komentującego ich zachowania w przestrzeni pomiędzy, której wielu się bało lub uważało taką podróż za wyczerpującą nerwowo. Nie narzekał również na pasażerów wydających mu polecenia, jakby był wołem do czarnej roboty. Żaden smok nigdy nie wybrał sobie jeźdźca o duszy niewolnika. Oczywiście, w związku z jego wiekiem niektórzy dorośli

uważali, że powinni traktować go protekcyjnie... Jego, jeźdźca smoka!

— O, tam widać płetwy — powiedział Gadareth, brutalnie przerywając niezbyt przyjemne rozważania T'liona i odgadując zamiary swojego jeźdźca. Zanim ten zdołał nawet pomyśleć, spiżowiec poszybował w dół, w kierunku stada.

T'lion miał z góry wspaniały widok na grupę delfinów. Ich wydłużone sylwetki wynurzały się z wody i po chwili zgrabnie w niej nurkowały. Chłopcu przyszło do głowy, że płynące stado swoim szykiem przypomina eskadrę walczącą z Nićmi.

Rozmowa z delfinami z powietrza okazała się dosyć trudna, pomimo że Gadareth zgodził się lecieć tuż nad powierzchnią wody i bardzo uważał, by nie zamoczyć skrzydeł i nie stracić równowagi. W pewnej chwili jeden z delfinów wyskoczył z wody i znalazł się na wysokości smoka i jego jeźdźca, spoglądając na nich w czasie swego krótkiego lotu, zakończonego zgrabnym zanurkowaniem.

Stało się to tak niespodziewanie, że Gadareth gwałtownie szarpnął się w bok i końcem skrzydła zawadził o powierzchnię morza. Przez moment walczył o odzyskanie równowagi, a T'lion chwiał się niebezpiecznie w swojej uprzęży do latania.

— Oooj! Oooj! Uuuważaaaj!

Nie ulegało wątpliwości, że krzyk pochodził od delfinów. Gadareth wyrównał lot i usiłował utrzymać się na bezpiecznej wysokości nad powierzchnią wody. Następne dwa delfiny wyskoczyły z morza przyglądając się smokowi i jego jeźdźcowi.

Po ochłonięciu ze strachu T'lion zareagował na zainteresowanie delfinów entuzjastycznym machaniem ręką, przy czym nie odrywał od nich wzroku, obserwując ich igraszki na powierzchni morza. Potem Gadareth wyczuł rytm poruszania się delfinów — opadał w dół, kiedy ukazywał się nos, następnie razem z akrobatą unosił się do góry.

— To jest świetna zabawa! — powiedział smok, a w jego szybko wirujących oczach pojawiły się zielone i niebieskie błyski.

— Ziabaaawaaa! Ziabaaawaaa! Cieszyyyyć! Baaawiiić! — zaczęły krzyczeć delfiny i popisywać się wspaniałymi skokami.

— Czy one mnie słyszą? — zapytał Gadareth swojego zdumionego jeźdźca.

— Będę musiał zapytać o to mistrza Alemiego, Gaddie — rzekł T'lion do swojego smoka. — Może on coś wie na ten temat. Powiedział mi, że od Assigi wiele dowiedział się o zachowaniu delfinów, a także tego, czym one naprawdę są. Jak wiesz, nazywano je błędnie rybami–przewodnikami.

— Będę musiał zapytać o to mistrza Alemiego, Gaddie — rzekł T'lion do swojego smoka. — Może on coś wie na ten temat. Powiedział mi, że od Assigi wiele dowiedział się o zachowaniu delfinów, a także tego, czym one naprawdę są. Jak wiesz, nazywano je błędnie rybami–przewodnikami.

— Teraz wiem, to delfiny, a nie ryby–przewodnicy. Poza tym umieją mówić.

— Myślę, że należałoby już wracać do Weyru — stwierdził T'lion, patrząc w kierunku zachodzącego słońca. — Gaddie, proszę cię, nie mówmy nikomu o naszej dzisiejszej przygodzie, dobrze?

— Fajnie jest wiedzieć o czymś, o czym inni nie mają pojęcia — odparł spiżowy, zresztą już dawniej potrafił zachować milczenie na temat prywatnych poszukiwań prowadzonych przez nich obu. A tyle jeszcze pozostawało do odkrycia! Ma się rozumieć, że Gadareth tak chętnie uczestniczył w tych zajęciach, bo zdawał sobie sprawę z tego, że T'lion jest bardzo sumiennym pracownikiem i znajduje czas na swoje hobby tylko po wypełnieniu wszystkich zleconych mu obowiązków.

Wysłano informacje, że stworzone przez ludzi smoki ciągle jeszcze lubią delfiny. Od tego czasu, gdy ci powędrowali do Nowej Siedziby na Północy, delfiny widywały smoki lecące po niebie. Delfiny śpiewały do smoków, ale nigdy nie uzyskały odpowiedzi. Smoki rozmawiały

ze swoimi jeźdźcami w sposób nie zupełnie rozumiały dla delfinów. Odczuwały mowę i widziały rezultaty — smok robił to, o co go prosił jeździec. Smoki wprowadziły wiele nowych zabaw. Lubiły też być drapane po brzuchu, a ludzie sprawdzali, czy nie mają tam ryb-pijawek. Pozwalały na siebie skakać i dostarczały wiele rozrywki delfinom. Miały wielkie kolorowe oczy, zupełnie inne niż delfiny. Delfiny wyskakiwały z wody, żeby je oglądać. Smok lubił patrzeć na to, jak się bawią.

Po powrocie do Weyru Wschód T'lion dostał polecenie pomagania w kuchni. Lubił to zajęcie, gdyż mógł się wcześniej dowiedzieć, co zostanie podane na obiad, a także zwykle udawało mu się zwędzić jakiś smaczny kąsek. Gdy starszy brat naśmiewał się z jego prawie niewolniczych obowiązków, do których był kierowany ze względu na młody wiek i niemożność zlecenia mu innych zadań, T'lion reagował zawsze w sposób, jakiego oczekiwał K'din — po prostu nie okazywał, że w istocie lubi tę pracę. Najważniejsze było to, że nigdy nie wiedział, jakie zadania przyniesie mu następny dzień.

Przed udaniem się do głównej sali Strażnicy, T'lion upewnił się, czy Gadarethowi jest wygodnie w jego piaszczystym dole na polance, którą w gęstej dżungli przygotował dla swojego smoka, kiedy uznano, że obaj są już dostatecznie dorośli, by opuścić koszary rekrutów. T'lion mieszkał w jednoosobowym domku z oknem wychodzącym na polankę. Przed wejściem znajdował się zadaszony ganek, na którym w najgorętsze noce sypiał w hamaku zawieszonym pomiędzy ścianą a jednym ze słupów podpierających dach. Do czasu ceremonii Naznaczenia, T'lion mieszkał w domu o wiele za ciasnym dla wszystkich jego siostr i braci, a więc bardzo cieszyła go samotność. Tu czuł się naprawdę szczęśliwy, ale ciągle jeszcze prześladowało go wspomnienie lodowatych zim i przejmujących wiatrów, jakie szalały w jego rodzinnym Siedlisku Benden. Życie na południu było znacznie przyjemniejsze. Nawet jeźdźcy ze Strażnicy Benden musieli mieszkać w zimnych pieczarach w wyższych partiach Weyru. Tutaj mieszkał na skraju lasu pełnego owoców, które mógł zrywać, gdy tylko miał na nie ochotę.

Przez kolejnych kilka tygodni T'lion i Gadareth spędzali wiele czasu, wożąc Wielką Harfiarkę Menolly do najrozmaitszych miejsc. Zazwyczaj odbywało się to lotem bezpośrednim, gdyż jej cięża była zbyt zaawansowana na podróżowanie w przestrzeni pomiędzy. Latali na Ładowisko, ale znacznie częściej do Siedliska Cove na spotkania z mistrzem Robintonem, starym Lytolem i D'ramem. Jeżeli natrafiali na korzystne wiatry, a o tej porze roku było to niemal regułą, żadna z tych podróży nie była zbyt długa. W oczekiwaniu na odwiezienie mistrzyni Menolly mieli dostatecznie dużo wolnego czasu, by korzystać z przyjemnych wód zatoki. Pewnego dnia, gdy włączyli się po okolicy dalej na zachód, znaleźli drugą zatokę ze znacznie głębszą wodą, w której pływały delfiny.

Dla T'lion i Gadaretha było to niezwykle miłe wydarzenie, ponieważ delfiny wydawały się chętne do rozmowy z nimi, a oni pragnęli zacieśnić tę przyjaźń. Ani jeździec, ani smok nie wiedzieli, że delfiny pływają w grupach zwanych stadami i patrolują akweny morskie, które uznają za swoje tereny, tak jak smoki czuwają nad pewnymi obszarami, by nie pojawiły się tam Nici. T'lion nie mógł uderzyć w dzwon, gdyż żadnego nie udało mu się znaleźć w Strażnicy, ale melodyjne trąbienie Gadaretha dawało podobny efekt. Smok odważył się osiąść na wodzie z rozpostartymi skrzydłami, żeby móc łatwiej utrzymać się na powierzchni. Dało to delfinom okazję do nowych zabaw, polegających na skakaniu nad jego skrzydłami i przepływaniu pomiędzy jego przednimi nogami. Delfiny bawiło również łechtanie spizowego smoka po brzuchu poprzez ocieranie się o jego delikatną w tym miejscu skórę. Ta zabawa powodowała, że T'lion kilkakrotnie znalazł się w wodzie, zanim nie nauczył się odpinać swojej uprząży do latania przed pozorowanym atakiem delfinów na Gadaretha.

Menolly zwykle wysyłała swoją złotą latającą jaszczurkę Beauty lub którąś ze spizowych: Rockiego, Divera czy Polla, polecając T'lionowi powrót do Siedliska Cove. Latające

jaszczurki zachwycały się delfinami. Siadały na jednym z wyciągniętych skrzydeł Gadaretha i szybko uczyły się, w których miejscach mają drapać delfiny swoimi zwinnymi pazurkami.

Gadareth z grubsza orientował się, co latające jaszczurki pragnęły wyrazić, tłumaczył to swojemu jeźdźcowi, który z kolei przekazywał wszystko delfinom. Choć rozmowy te wymagały potrójnych tłumaczeń, T'lion uważał, że w ten sposób uda się wprowadzić nowe słowa i określenia. Czasami, gdy uczył delfiny prawidłowej wymowy, czuł się jakby był harfiarzem. I delfiny znacznie lepiej zaczęły wymawiać poszczególne wyrazy, mówiły „my” zamiast „miii”, „sprawozdanie” zamiast „sprawozdanie” i „dzwon” zamiast „dzwonon”.

Niekiedy po takich sesjach szkoleniowych czuł się więcej wart od samego T'gellana! Jednakże mimo tych wszystkich lotów oraz częstych wizyt w Rajskiej Rzece, upłynęło prawie sześć siedmiodni, zanim T'lion ponownie zobaczył mistrza Alemiego.

— A, T'lion, Gadareth, jak się macie? — powiedział Alemi, niosąc wiklinowy kosz wypełniony świeżymi rybami dla Menolly.

— U mnie wszystko w porządku, mistrzu Alemi, a co słysząc u twoich delfinów?

Alemi uśmiechnął się słysząc, jak chłopiec we właściwy sposób wymawia to słowo, z którym wielu innych rozmówców ciągle jeszcze miało kłopoty.

— Nie zapomniałeś o nich?

— O, mistrzu Alemi, o takim dniu nie łatwo zapomnieć. A poza tym... — i T'lion zawahał się. Alemi ujął go za ramię i łagodnie spojrzał mu w oczy. — W międzyczasie sam z nimi rozmawiałeś, prawda, chłopcze? — Potem spojrzał na Gadaretha, który zwrócił swoje powoli kręcące się oczy na rybaka. — A Gadareth, co on myśli o delfinach?

— Zdecydowanie je lubi, mistrzu Alemi, naprawdę. Znasz może zatokę położoną na zachód od Siedliska Cove? Woda w niej jest bardo głęboka — taka, jaką delfiny lubią najbardziej. I tak jakoś się złożyło, że udało nam się poznać kilka z nich.

— Doskonale! — ucieszył się Alemi. — A które? Próbuję zrobić spis ich imion. Wiesz, one są z nich bardzo dumne.

Złośliwy uśmiezek pojawił się na twarzy T'liona.

— Potrafią się obrażać, kiedy używasz niewłaściwego imienia! Ja poznałem Roma, Altę — to przywódczyni stada — Fessiego, Gara, Toma, Dika i Boojiego, najmłodszego syna Alty, a poza nimi...

— Powoli, chłopcze — Alemi wybuchnął śmiechem, usłyszawszy ten potok słów, i zaczął grzebać w swojej torbie szukając ołówka i notesu. — Podyktuj mi je powoli, dobrze?

T'lion wykonał tę prośbę.

— Czy poznałeś już kogoś z nich, mistrzu Alemi?

— Nie, ale spotkałem Dara i Altę z Monako, a także Kiba, Afo, Mela, Jima, Mula i Tempa. Zapytaj te swoje delfiny, czy znają się z moimi, ja zrobię to samo. Później możemy porównać nasze listy. No, co o tym myślisz? Wiem, że ostatnio od czasu do czasu przylatujesz tu po Menolly, aleja zwykle jestem na morzu i nie mogę wrócić do przystani. W jaki sposób je wzywasz do siebie, czy korzystasz z dzwonu?

— Gadareth trąbi i one zjawiają się. Bardzo go lubią.

— Byłbym zdziwiony, gdyby go nie lubiły.

— W pewnym sensie jesteśmy przeciwieństwem delfinów — dodał T'lion, spoglądając na wysokiego rybaka. — To, co one zjadają, my musimy palić.

— Célne spostrzeżenie. Zarówno smoki, jak i delfiny są inteligentnymi stworzeniami i nawzajem szanują swoje zwyczaje.

— Tak, tak, istotnie tak postępują — z przejęciem potwierdził T'lion.

— A o czym z nimi rozmawiacie? Czy Gadareth również je rozumie?

— O to właśnie chciałem cię zapytać — powiedział T'lion, nagle poważniejąc. — Czy delfiny mogą słyszeć to, co on myśli?

Alemi zaczął się zastanawiać nad pytaniem.

— Widzisz, ja sam nigdy nie słyszałem smoka, to znaczy w mojej głowie nie odzywały się jego myśli tak jak u was, jeźdźców. Z tego co wiem, smoki mogą bezpośrednio przekazywać swoje myśli ludziom, do których je kierują, mnie jednak dotąd żaden z nich tak nie uhonorował.

— Będę z tobą rozmawiał, Mistrzu Rybacki — zniecacka wtrącił się Gadareth ku wielkiemu zdziwieniu T'liona.

Głębokie zdumienie odmalowało się na opalonej twarzy Alemiego.

— Och! — Przyłożył dłoń do skroni i wywrócił oczyma. — Właśnie słowa zabrzmiały mi w głowie. — Skłonił się przed smokiem i powiedział: — Dziękuję ci, Gadarecie, to bardzo uprzejmie z twojej strony.

— Ach, drobiazg, mistrzu.

— A powracając do twojego pytania, to Assigi nic mi nie powiedział o telepatycznych zdolnościach delfinów. Wiem tylko, że przechodziły kurację menthasyntową.

— Co to takiego?

Alemi się zaśmiał.

— Nie jestem przekonany, czy dobrze wszystko zrozumiałem, ale jak mi się zdaje, była to kuracja aplikowana przez Starożytnych delfinom, żeby mogły posługiwać się ludzką mową.

— Powód, dla którego zadałem to pytanie, jest następujący — czasem delfiny robią coś, o czym właśnie rozmawiamy z Gaddim, zupełnie jakby nas rozumiały. Ale my się porozumiewamy nie wypowiadając słów na głos.

— Naprawdę? A może był to po prostu zbieg okoliczności. Wielkie umysły mają podobny sposób funkcjonowania.

T'lion w zortargnieniu zsunął swój hełm ochronny i zaczął się drapać po spoconej głowie.

— Możliwe, ale powinieneś o tym wiedzieć po rozmowie z Assigi. Alemi odparł ze śmiechem:

— Assigi przekazał mi tylko to, co sam wiedział i co wcześniej zostało zapisane w jego pamięci. Nie przypuszczam, żeby mógł osobiście porozumiewać się z delfinami, albo tak jak ty ze swoim smokiem.

T'lion przechylił głowę i zwrócił się do Alemiego:

— Czy twoje więcej mówią? Czy opowiadają ci o różnych sprawach?

Alemi pomyślał przez chwilę.

— Wydaje mi się, że tak. Nie wiem, jak jest z twoimi, ale ja usiłuję nauczyć swoje poprawnej wymowy, a właściwie wypowiedzenia słów w taki sposób, jak my to robimy.

— Chyba będzie lepiej, kiedy zaczną mówić tak jak my?

— To oczywiście, jeżeli chcemy, by ludzie dobrze je rozumieli. Moim zdaniem, one pamiętają więcej słów — zabawnie wykrzywił twarz. — Nie używaj wyrazów podobnie brzmiących ani mających podwójne znaczenie. Na przykład dla delfinów słowo „otwór” oznacza wyłącznie to. — I Alemi stuknął się w czubek głowy.

— A więc mogę je szkolić? — z uśmiechem zapytał T'lion. — Swoje już nauczyłem poprawnie wymawiać takie słowa jak dzwon, raport i wiele innych. Jak to się stało, że kiedyś tak... zniekształciły wymowę?

— O... — Alemi unióś w górę jedną rękę. — My też nie mówimy dokładnie tak, jak nasi przodkowie.

— Naprawdę? — zawołał zdumiony T'lion. — Harfiarze ciągle nas przekonują, że od wieków dbają o czystość języka w celu zachowania go w niezmiennym stanie.

Alemi wybuchnął śmiechem.

— Assigi jest innego zdania, musi zrobić pewne poprawki, aby... — tu zawahał się przez moment — ... uwzględnić zmiany językowe. Nie miejmy jednak o to pretensji do harfiarzy. Zawsze pragnę bronić mojej siostry Wielkiej Harfiarki. O, wystarczy tylko o niej wspomnieć, a tu ona natychmiast się zjawia. Witam Wielką Harfiarkę Menolly.

— Dzień dobry, mistrzu Alemi, mój bracie. Dzień dobry, T’lionie i Gadarecie. — Jak to miło, że z taką cierpliwością mnie wozicie — powiedziała Menolly i przełożyła ramiona przez pasy pakunku, który niosła ze sobą. — Mam nadzieję, Alemi, że wybaczysz nam pośpiech, w tym ekwipunku do latania można się ugotować. Te ryby są dla mnie? Dziękuję, Lemi, naprawdę psujesz mnie swoją uprzejmością. Camo?

Ukazał się potężny mężczyzna niosący na barana rozchichotanego Robsego.

— Masz, wsadź to do chłodziarki, proszę. Co masz zrobić z rybami, Camo? — zapytała i pociągnęła go za ramię w taki sposób, że musiał spojrzeć jej prosto w oczy.

— A, ryby? — tępo powtórzył Camo, z wysiłkiem usiłując przypomnieć sobie, co mu przed chwilą powiedziała.

— Włożyć do chłodziarki.

— No właśnie. — Obróciła go i łagodnie popchnęła w stronę drzwi. — Teraz ryby do lodówki, Camo. Potem zanieziesz Robsego do Miny.

— Ryby do lodówki, Robse do Miny — cichutko powtarzał Camo i słyszeli tę jego litanię, gdy wykonywał otrzymane polecenia. Jego mruczeniu akompaniował wesoły śmiech Robsego.

— Jeszcze raz ci dziękuję, Lemi, i życzę miłego dnia. No, lecimy T’lionie, zanim zdązę wypocić całe śniadanie.

Kiedy razem zbliżali się do czekającego na nich smoka, Menolly zapytała, o czym T’lion z takim ożywieniem rozmawiał z Alemim.

— Ach, po prostu o tym i owym — obojętnym tonem powiedział T’lion, gdyż nie chciał zdradzić opinii Alemiego na temat języka i harfiarzy.

— Kilkakrotnie wozileś Alemiego, prawda?

— Znam dobrze moją pracę — odparł T’lion. — Czy poradzisz sobie ze wsiadaniem, Wielka Harfiarko?

— Ależ oczywiście! — powiedziała, wybuchając perlistym śmiechem. Jednakże usadowienie się pomiędzy wyrostkami na potężnej szyi Gadaretha, przy jej wyraźnie już zaokrąglonej figurze, kosztowało ją wiele wysiłku. — Na dobrą sprawę cieszę się, że masz spizowego smoka. Na niebieskiego lub brązowego już bym się nie zmieściła. — A po krótkiej chwili cicho dodała:

— Obawiam się, że niedługo nie wsiądę także na Gadaretha. Myślę, że zmuszona będę prosić brata o wozenie mnie statkiem do Siedliska Cove.

— Przecież mogę przywozić tu osoby, z którymi masz się spotykać — zawołał do niej T’lion przez ramię.

— To też jest możliwe, jeżeli zajdzie taka konieczność — odrzyknęła mu, po czym oboje zamilkli, gdyż pęd powietrza wywołany szybkością lotu zagłuszał słowa.

Milczenie było T’lionowi na rękę, gdyż wydawało mu się, że nikomu nie powinien opowiadać o swoich spotkaniach z delfinami. Dotyczyło to nawet Wielkiej Harfiarki Menolly, która zachowywała się w tak bezpośredni sposób i łatwo było zapomnieć o tym, że zajmuje bardzo wysokie stanowisko na Pernie.

Jeden z licznych w owym czasie archiwistów, przebywających w Siedlisku Cove, gdy ich zobaczył, poderwał się ze swego krzesła na ganku i podbiegł w ich kierunku.

— Wielka Harfiarko Menolly, mistrz Robinton prosi cię o przybycie na Lądowisko w dniu dzisiejszym. Assigi dysponuje czasem i może udostępnić ci więcej muzyki. — I młody czeladnik dodał z błyszczącymi entuzjazmem oczami: — Słyszałem, że jest po prostu wspaniała.

— O, to z pewnością będą sonaty, o których wydruki od dawna go prosiłam — powiedziała Menolly, nieco zmieniając pozycję po długim locie. — Dobrze. A więc, T’lionie, dalej w drogę. Chętnie też zobaczę, co porabia Sharra. Przypląnęła ze mną na południe na pokładzie „Siostr Jutrzenki”.



W ciągu całej podróży na Lądowisko T’lion zastanawiał się, jak powinien postąpić, gdyby Menolly zaczęła rodzić w trakcie lotu. Porody u jego matki zawsze następowały w nocy i on z braćmi byli wówczas wyganiani z domu. Nie przebaczone by mu nigdy, gdyby coś stało się Wielkiej Harfiarce Menolly w czasie, gdy znajdowała się pod jego opieką. Musi dowiedzieć się od Mirrim, jak należy postępować w takiej sytuacji.

Rozmyślenia te pozwoliły mu zapomnieć, że tego dnia przypadnie mu zabawa z delfinami. Chociaż i tak był wielkim szczęściarzem, mogąc dysponować taką dużą ilością wolnego czasu. Ponadto kuchnie na Lądowisku przygotowują znacznie smaczniejsze posiłki niż te, które jada się w południe w Siedlisku Cove. Tam każdy zadawała się kotлетem mielonym lub zimnym daniem i jada swoją porcję nie przerywając pracy. Mimo wszystko jednak Lądowisko uważał za miejsce gorsze od Siedliska Cove.

Gadareth poleciał na wzgórze wygrzewać się w słońcu i plotkować po smoczemu z towarzyszami przylatującymi z różnych Strażnic. Powiedział mu, że większość jeźdźców uczestniczy w jakiejś konferencji, na którą zostali również zaproszeni mistrzowie Kowalscy i połowa członków Cechu Harfiarzy. Czynione są próby skonstruowania czegoś, co nazwano „prasą drukarską”.

Gdy T’lion zajrzał do kuchni, natychmiast wzięła go w obroty szefowa.

— Nowy pomocnik! To T’lion! Weź się do roboty i pokaż, na co cię stać. Zabieraj tę tacę i uważaj, żeby nic nie rozlać. Zanieś ją do dużej sali konferencyjnej. Muszę przygotować południowiec dla tego całego tłumu, a brakuje mi personelu. — Położyła na tacy kilka dodatkowych słodkich bułeczek i mrugnęła do niego. — To dla ciebie, chłopcze.

T’lion natychmiast rzucił się, żeby wykonać jej polecenie, zanim każe mu szybko wracać i dalej pomagać w kuchni. Szczęśliwie dotarł z tacą na miejsce, zabrał swoje bułeczki i udało mu się opuścić salę bez zwrócenia na siebie uwagi. Na korytarzu usłyszał głosy i stukanie ciężkich butów, uskoczył więc do pierwszego lepszego pustego pokoju, w którym miał nadzieję spokojnie zjeść ofiarowane specjały.

— Kto tam? Proszę się przedstawić — odezwał się basowy głos.

Starając się nie udławić odgryzionym przed chwilą sporym kawałkiem bułeczki, T’lion niepewnie rozglądał się po pokoju. Poza nim nikogo tam nie było, a drzwi pozostawały zamknięte. Przełknął kęs.

— Kto do mnie mówi?

— Assigi. Nic nie wiedziałem o zaplanowanym tutaj spotkaniu.

— Kim jesteś?

— Proszę, mów do ekranu — nakazał głos T’lionowi.

— Co? — obrócił się w kierunku ekranu i zobaczył migocący czerwony punkcik w dolnym prawym rogu.

— Przedstaw się, proszę!

— Ty mnie widzisz?

— Przedstaw się, proszę!

— Ach, bardzo cię przepraszam, jestem T’lion.

— Jeździec spiżowego Gadaretha? T’liona zupełnie zatkało ze zdziwienia.

— Ta—a—k. Skąd o tym wiesz?

— Wykazy wszystkich aktywnych jeźdźców w poszczególnych Strażnicach, ich imiona i barwy dosiadanych przez nich smoków są wprowadzane do pamięci. Witam cię, T’lionie. Jak ci mogę pomóc?

— Och, ja nie powinienem się tutaj znaleźć. To znaczy wydawało mi się, że ten pokój jest zupełnie pusty, a potrzebowałem miejsca, żeby... — T’lion zamilkł, kiwając głową nad własną głupotą. Czuł się zakłopotany. Znalazł się w miejscu, w którym nie powinien przebywać, równocześnie dziwiło go, że był przez kogoś, czy może przez coś, znany. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy w Strażnicy niezwykle wysoko cenili to coś. Nie wiedział, co

począć, i czuł się bardzo głupio stojąc pośrodku pokoju ze słodkimi bułeczkami w ręce. — Assigi, jestem pewien, że nie powinienem ci zajmować cennego czasu.

— Nie masz nic ciekawego do opowiedzenia? Cenne są wszystkie wprowadzane do pamięci informacje.

— Masz na myśli te o delfinach? — T'lion nie potrafił wymyślić niczego innego, co mogłoby zainteresować Assigi.

— Kontaktowałeś się z delfinami? Twoje sprawozdanie będzie więc z pewnością użyteczne.

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę.

— Szczerze mówiąc, właściwie ograniczyłem się do poprawiania ich, gdy używały niewłaściwego słowa, ale mistrz Alemi wyjaśnił mi, że to raczej my posługujemy się niewłaściwymi słowami. — T'lion zdał sobie sprawę z tego, że się uśmiecha. Nie ulegało wątpliwości, że mógł o tym rozmawiać z Assigi, gdyż to on wcześniej poinformował o tym problemie Alemiego.

— Tak, to prawda. Czy delfiny potrafią wykorzystywać twoje uwagi?

— Te, z którymi się spotykam, bardzo szybko przyswajają sobie prawidłową wymowę — odparł T'lion z odrobiną dumy w głosie. — Mówią „dałem” zamiast „dyyyłem”, „my” zamiast „miii”. Teraz również posługują się znacznie większym zasobem słów niż w dniu naszej pierwszej rozmowy.

— Oczekuje się pełnego sprawozdania.

— Naprawdę chcesz się dowiedzieć? Jeszcze nikomu o tym nie mówiłem — zaczął T'lion ciągle jeszcze nie przygotowany do wyjawienia, co robi w wolnych chwilach.

— Każda informacja wprowadzona do pamięci jest użyteczna. Jeżeli zależy ci na tym, nikt nie dowie się o twojej przyjaźni z delfinami, ale twoje sprawozdanie dostarczy nowych wiadomości na temat odnawiania współpracy z tymi stworzeniami.

— No, jeżeli tak... — T'lion usadowił się wygodnie w fotelu i opowiedział o swoich przygodach tak dokładnie, jak tylko było można, gdyż pamiętał, że szef szkolenia rekrutów H'mar zawsze nalegał, by raporty były dostatecznie szczegółowe. Assigi nie przerywał mu, ale na koniec poprosił o powtórzenie wszystkich imion delfinów, które T'lion wymienił.

— Ciekawe, że te imiona przechodziły z pokolenia na pokolenie.

— Co?

— Obecnie żyjące delfiny poprzekręcały oryginalne imiona, noszone przez przybyłą z pierwszymi kolonizatorami grupę tursiops tursio.

— Tak myślisz?

— Kib to jest skrót od Kibbe, Afo prawdopodobnie pochodzi od Afrodyty, Alta od Atlanty, Dar od Dart. Ich poszanowanie tradycji naprawdę cieszy. Proszę, podtrzymuj swoje niezależne kontakty i składaj sprawozdania ze wszystkich ważnych rozmów z delfinami. Jeszcze raz ci dziękuję, T'lionie ze Wschodniej Strażnicy, jeźdźcu spizowego smoka. — Ekran pociemniał, a czerwony punkt świetlny zwolnił tempo pulsowania.

— Oczywiście, z radością spełnię twoje prośby — odpowiedział lekko rozbawiony T'lion.

Spojrzał na trzymane w ręku bułeczki, których dotąd nie zdążył zjeść i jego żołądek upomniał się o swoje prawa. Zabrał się do jedzenia, rozmyślając o rozmowie z Assigi.

— Menolly cię szuka, T'lionie — doszła do niego informacja od Gadaretha. Chłopiec, idąc spieszenie przez budynek po swoją pasażerkę, dokładnie obliżywał palce z lukru.

Mistrz Idarolan poinformował wielu członków swojego Cechu o inteligencji delfinów i o spotkaniu, jakie z nimi odbył. Nowinami na ten temat nie podzielił się ze wszystkimi, gdyż wiedział, że najbardziej zacofani, tacy jak Yanus z Siedliska Morskiego Półkola, po prostu zaprzeczają oczywistym faktom. W odpowiedzi napłynęło do niego wiele informacji od

mistrzów i czeladników świadczących o tym, że zdarzały im się ciekawe kontakty z delfinami, albo że z wiarygodnych źródeł słyszeli o takich kontaktach. Informacje Idarolana stanowiły prawdziwą ulgę dla tych, którym się wydawało, że ulegli złudzeniu słysząc mówiące ryby–przewodników. Idarolan dostarczył także instrukcję o wybijaniu dzwonem sygnału przywołania. Sygnał opisał Harfiarz Cechowy w tak prosty sposób, iż nawet najmniej muzyczny potrafił go wydzwonić. Zalecał zwracanie się o pomoc jak najprostszym językiem, proponował dowiadywanie się o lokalne kierunki przepływu ryb, o pogodę oraz o głębokość na niebezpiecznych wodach.

Po przejrzeniu rejestru katastrof okrętowych Mistrz doszedł do wniosku, że większość statków zatonała w czasie sztormów albo pływając zbyt blisko nieznanymi raf, podwodnych skał i mielizn. W niektórych przypadkach kapitanowie donosili o obecności delfinów, które wykonywały raptowne zwroty w lewo lub w prawo.

Obecnie mistrz Idarolan był przekonany, że owe delfiny pragnęły nakłonić sterników do zmiany kursu. Niezmiennie też meldowano o obecności ryb–przewodników w pobliżu miotanych sztormem statków. Nie wszyscy wierzyli w ratowanie życia przez delfiny, lecz często sprawozdania mówiły o pomocy udzielonej przez niezidentyfikowane siły. Większość marynarzy składała na ten temat bardzo sumienne zeznania. Wiarygodne sprawozdania dotyczyły dwóch przypadków porwania przez Wielkie Prądy małych jednostek pływających, które ryby–przewodnicy zepchnęły na spokojne wody.

Idarolan wystąpił o rozmowę z Assigi i uzyskał na nią zgodę. Pragnął złożyć raport z ostatnich wydarzeń i otrzymać dalsze rady dotyczące rozwijania pożytecznej dla obydwu stron współpracy.

Dowiedział się o pełnej autonomii stad, którymi kieruje wybrany przewodnik — jest nim najczęściej starsza samica. Młode i stare samce przez większą część roku mogą żyć samotnie z dala od reszty stada. Dostał także kopię instrukcji przygotowanej przez Assigi dla Alemiego. Zawierała ona spis podstawowych słów do porozumiewania się z delfinami oraz kod sygnałów nadawanych rękoma do stosowania pod wodą.

Obaj mężczyźni byli trochę zawiedzeni, gdyż wiadomość o inteligentnych rybach–przewodnikach została zepchnięta na drugi plan przez przygotowania do ostatecznej rozprawy z Nićmi. Wszystko zostało podporządkowane przygotowaniom do bitwy. Nawet sam Idarolan, po początkowym okresie żywego zainteresowania, miał coraz mniej czasu na zajmowanie się tak ważną dla jego Cechu sprawą współpracy z delfinami. Jednakże zawsze na pokładzie swojego statku miał kubełek z małymi rybami, które zgodnie z informacją od Assigi były ulubionym przysmakiem delfinów. Zawsze kiedy „Siostron Jutrzenki” towarzyszyła eskorta delfinów, osobiście je karmił. Poleciał również swoim sternikom obserwowanie, w jakim kierunku płyną towarzyszące im delfiny, i podążanie do łowisk zgodnie z ich wskazówkami. Poprawiło to znacznie wyniki połowów, a ponadto żaglowiec „Siostry Jutrzenki” dwukrotnie zdołał uniknąć kolizji z podwodnymi skałami.

To Kitrin skierowała uwagę Menolly na wieczorne zajęcia jej brata. Gdy wieczorna bryza morską zaczynała chłodzić upał dnia, Menolly rozpoczynała ćwiczenia, na jakie pozwalał jej stan. Najchętniej pływała, czerpiąc radość z unoszenia się w wodzie wraz z nienarodzonym dzieckiem. Często towarzyszyła jej Aramina, zabierając ze sobą Aranyę. Te kąpiele pozwalały Menolly lepiej poznawać także swoją bratową. Nie udawało jej się wprawdzie namówić Kitrin do wspólnych z nią i Araminą skoków do wody, ale skłoniła ją, by siadała w morzu, gdzie przyjemnie chłodna woda oblewała jej ciężarne ciało. Alemi nauczył pływania swoje starsze córki — doskonale sobie z tym radziły i zawsze karnie słuchały matki, kiedy kazała im trzymać się blisko brzegu. Natomiast Readis wymagał nieustannej kontroli, gdyż w wodzie czuł się jak ryba i najchętniej wypływał dalej, niż pozwalała na to matka. Camo także się tam zjawiał, ale wchodził do wody najwyżej po kolana, śledził bowiem każdy ruch

nieustraszonego Robsego, który z zapalem raczkował po płycznach.

Menolly po wykonaniu swojej porcji skoków siadała w płytkiej wodzie obok Kitrin i z miłością obserwowała igraszki dzieci. Pewnego wieczoru namówiła Alemiego na wspólne pójście nad morze. Ciągle czuła niedosyt towarzystwa brata, zdając sobie równocześnie sprawę, że są ze sobą znacznie więcej niż w poprzednich Obrotach. Było im teraz razem bardzo dobrze, jak nigdy przedtem, gdy oboje mieszkali w Siedlisku Morskiego Półkola. Pragnęła więcej czasu spędzać w jego towarzystwie.

— Ach, on prawie wszystkie wieczory poświęca jakimś sprawom cechowym — powiedziała Kitrin, gestem ręki wyrażając rezygnację. Uśmiechnęła się na myśl o dziwnym męskim zapamiętaniu się w pracy. — Nigdy nie wtrącam się w jego sprawy zawodowe i cokolwiek to jest, widzę, że wraca do domu zadowolony, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Menolly zmarszczyła brwi. Wcześniej odbyła już wiele spacerów, samotnie lub w towarzystwie swoich uczniów, zwiedziła całą okolicę i nigdzie nie zauważyła żadnych śladów realizowania jakiegoś programu.

— Czy on zajmuje się budową nowej łodzi?

Teraz z kolei Kitrin zachmurzyła się, myśląc intensywnie.

— Nie przypuszczam, gdyż ostatnio skierował zamówienie do rzemieślników w Ista, a to chyba teraz jedyny Zakład nie przeciążony zleceniami od Assigi. — Nagle wyprostowała się, kładąc rękę na brzuchu. — Podobno jeżeli rano masz mdłości, to będzie chłopiec? — zwróciła głowę w kierunku Menolly, oczekując potwierdzenia.

Menolly wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do Robsego. Złościł się na drobne fale przeszkadzające mu wydobyć coś z piasku pod nogami. Władczo pogroził następnej i krzyknął, gdy ponownie został opryskany wodą. Natychmiast przyskoczył do niego Camo sprawdzając, czy małemu nie grozi jakieś niebezpieczeństwo.

— To nie mnie powinnaś pytać. Gdy byłam w ciąży z Robsem nie miałam porannych nudności, a teraz także ich nie miewam. A co z Araminą?

Kitrin westchnęła.

— Ona nigdy nie ma żadnych problemów.

— Nie martw się, Kitrin — powiedziała łagodnym tonem Menolly i kojącym gestem położyła rękę na jej ramieniu. Kitrin była drobną kobietą o delikatnych rysach i długich czarnych włosach, splecionych teraz i upiętych dookoła kształtnej głowy. Jej brązowe oczy zachmurzyły się niepokojem. — Alemi cię uwielbia i jego uczucia nigdy się nie zmieniają, bez względu na to czy urodzisz chłopca, czy dziewczynkę. — Po chwili zmarszczyła brwi i dodała: — Pamiętam, że większość kobiet z rybackich osiedli chciała mieć córki, których nie musiałyby oddawać na pastwę morskim sztormom.

— Ach tak? — Następnie Kitrin rozejrzała się dookoła, chociaż były w wodzie tylko we dwie, i dotykając ramienia Menolly przysunęła się do niej dla podkreślenia poufności wyznania. — Czy słyszałaś już, że ryby-przewodnicy, które Alemi z uporem nazywa del-finami, posiadają inteligencję? Potrafią mówić?

— Tak, dotarty do mnie takie pogłoski. Od Readisa — dodała z uśmiechem — który na pierwszej lekcji opowiedział mi, jak został uratowany przez s'aki. To naprawdę była opowieść godna harfiarza.

Kitrin znowu głęboko westchnęła.

— Wiesz, to rzeczywiście się wydarzyło. Alemi tak twierdzi. Nawet Assigi wezwał go do siebie w celu wysłuchania raportu o tej przygodzie. — Nachyliła się jeszcze bliżej. — Podejrzewam, że wieczorami rozmawia z del-finami. Przy sprzyjającym wietrze słyszę bicie dzwonu. W Zakładach Kowalskich zamówił duży dzwon, ale z uwagi na to, że muszą najpierw wykonać zlecenie dla Assigi, upłyną wieki, zanim jego zamówienie zostanie wykonane. Na razie pożyczył mniejszy dzwon od mistrza Robintona. Moim zdaniem używa

go do wzywania del-finów. Umieścił go na molo z drugiej strony przylądka, bo nie chce niepokoić Araminy ani pozwolić na to, żeby o jego poczynaniach dowiedział się Readis.

— Readis? — Menolly skierowała swoje spojrzenie na nieustraszonego chłopca nurkującego i wyskakującego z wody w podobny sposób, jak robią to ryby-przewodnicy.

— Aramina nie chce, żeby Readis zaczął rozmawiać z rybami-przewodnikami. Tylko popatrz na sposób, w jaki teraz pływa. Readisie! — głośno krzyknęła. — Natychmiast wracaj do brzegu! — Odwróciła się w kierunku Menolly. — O tym właśnie mówiłam i to ją tak niepokoi. On chętnie popłynąłby daleko w morze, na spotkanie z delfinami. Ten chłopak niczego się nie boi.

— Nie przejmuj się, potrafię skierować jego zainteresowania na inne tory — powiedziała Menolly. — Dzieci w jego wieku nie są w stanie przez dłuższy czas koncentrować się na jednej sprawie — westchnęła. — Trzeba zawsze wyprzedzać ich zachcianki i podsuwać nowe zabawy lub zadania. Twoje córki są wielką pomocą w jego wychowaniu, to takie posłuszne dziewczynki.

Kitrin po usłyszeniu takiej pochwały swoich córek Kitral, Niki i Kami aż się wyprostowała i z wdziękiem zmieniła temat rozmowy.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji zadowolona Menolly wybrała się dobrze wydeptaną ścieżką prowadzącą do mola, która biegła wśród gęsto rosnących drzew i krzewów. W spokojny wieczór na wodach małej zatoki kotwiczyły trzy statki rybackie, a ich szalupy były zacumowane do pierścieni zwisających z mola. W pierwszej chwili nie dostrzegła Alemiego, natomiast usłyszała liczne głosy. Niektóre z nich miały bardzo wysokie tony, rozróżniała także inne, bardzo dziwne dźwięki. Następnie spostrzegła wzburzoną wodę i zorientowała się, że nad powierzchnię morza wystają głowy kilku ryb-przewodników. To właśnie one wydawały te dziwne dźwięki — piski i mlaskania łączyły się z odgłosami rozchlapywanej wody. Dopiero po dotarciu na sam koniec mola zobaczyła swojego brata siedzącego po turecku na niewielkiej tratwie, znajdującej się poniżej pomostu, nieustannie zalewanej bryzgami wody powstającymi w wyniku energicznych ruchów ryb-przewodników.

O mało nie spadła z mola, kiedy jedna z ryb-przewodników niespodziewanie wyskoczyła w powietrze i wlepiając w nią czarne oko, przed kolejnym zanurkowaniem do wody, zapiszczała:

— Heeej! Lemi, czy to zbliża się nowy uczestnik? Głowa Alemiego ukazała się nad pomostem.

— Ach, to ty, Menolly!

— Nie kto inny, bracie — odparła rozbawionym tonem, widząc jego zdziwioną minę. — Czy to jest ta twoja tajemnica? — zapytała, wskazując gestem na zadowolone głowy zwrócone w jej kierunku.

— To jest Menolly, siostra z mojego stada — wyjaśnił delfinom Alemi. Menolly z trudem powstrzymała wybuch śmiechu słysząc ciąg dalszy prezentacji. — Menolly, to są Kib, Afo, Mel, Temp, Biz i Rom. Jim i Mul są nieobecne dzisiaj wieczora.

— Bardzo mi miło was poznać! — powiedziała powoli oficjalnym tonem Menolly, pochylając głowę w kierunku każdego z półkola roześmianych pysków.

— Zień dobro, Nolly — powitał ją chór głosów. Teraz już nie mogła dłużej powstrzymać śmiechu. — Nolly ma dziecko w ślodku.

— O rety! Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem w zaawansowanej ciąży, ale skąd one o tym mogą wiedzieć? — krzyknęła, na chwilę przerywając wysiłki, by pomimo dużego brzucha usiąść na skraju mola.

— One wiedzą, lub, jak to ujmują, pamiętają, wiele z tego, co dotyczy spraw ludzkich. Nolly. Wymyśliły ci całkiem ładne zdrobnienie.

— Delfiny może rzeczywiście dużo wiedzą na ten temat, ale nie ty — powiedziała poważnym tonem. — O czym tak dyskutujecie?

— Właśnie podają mi prognozę pogody i położenie ławic ryb na jutro — wyjaśnił siostrze.  
— Naprawdę?

— W ciągu ostatnich kilku tygodni delfiny okazały mi wiele pomocy. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak dobrych połowów. Doskonale wiedzą, gdzie żerują wielkie ławice ryb, i prowadzą nas prosto na te obszary. Moje załogi są zachwycone, gdyż oznacza to krótszy czas przebywania na morzu, jesteście także ostrzegani o nadciągających sztormach.

— No tak, to istotnie może być pomocne. — Menolly poprawiła się i usiadła na pomoście tak wygodnie, jak pozwalał na to jej stan. — Readis wszystko mi opowiedział o waszym dramatycznym ocaleniu.

Alemi uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że zbytnio nie ukwiecił swojej opowieści od ostatniego razu, kiedy jej słuchałem. To się rzeczywiście wydarzyło, siostrzyczko. Problem tylko w tym — dodał, wskazując ręką w kierunku tratwy i delfinów. — Aramina chciałaby, żeby Readis jak najszybciej zapomniał o całej tej przygodzie.

— Kitrin mówiła mi to samo i teraz już wiem, że muszę zająć go czymś innym. Szkoda, że Mina nie powiedziała mi o tym wcześniej.

Alemi wzruszył ramionami.

— Ona ciągle jeszcze przeżywa radosny szok z racji twojego przyjazdu tutaj, kochana siostrze — Wielka Harfiarcko.

— Czy rzeczywiście tak się cieszysz?

— Ależ naturalnie! Któż nie chciałby mieć dzieci uczonych przez harfiarza tak utalentowanego jak ty.

— Uczyc? Uczyc? — zapytały dwa delfiny.

— Och, bardzo was przepraszam — powiedział Alemi, zwracając się do butelkonosych. — O czym to mówiliśmy? Uczę ich nowych słów, a właściwie staram się, żeby je zapamiętywały.

— Ty uczysz?

— Daj spokój, Menolly, przecież byłem ulubionym uczniem Petirona, dopóki ty się nie pojawiłaś.

— O, a może śpiewałaś swoim nowym przyjaciółom?

— Nie. — Alemi nie dał się siostrze złapać. — To ty jesteś śpiewaczką w rodzinie. Oraz nauczycielką! — Menolly z uwagą spojrzała na brata. Lubił drobne złośliwości, lecz tym razem był zupełnie szczerzy.

— No, spróbuj — starał się ją zachęcić. — Śpiewałaś już latającym jaszczurkom, dlaczego nie zrobisz tego dla delfinów? Mogę zaśpiewać partię tenora, jeżeli wybierzesz melodię, którą znam.

— Doskonale. — I rozpoczęła jedną z morskich pieśni jaką skomponowała wkrótce po zdobyciu kwalifikacji do wykonywania zawodu harfiarza. Alemi, swoim dobrze ustawionym głosem, natychmiast harmonijnie włączył się do śpiewu. Po pierwszych zdziwionych piskach i cmoknięciach wśród delfinów zapanowała cisza jak makiem zasiał. Natychmiast pojawiły się Beauty, Rocky i Diver. Usiadły na palach, a oczy wirowały im z ciekawości, kiedy obserwowały słuchaczy.

— Piśń myrska — powiedział jeden z delfinów, gdy przebrzmiały ostatnie tony. — Nolly śśśpiwaćć piśśśn myrssska — przeciągał niektóre głoski.

— Piśśśn eeej myrssska — dodał drugi i Menolly wybuchnęła śmiechem.

— Pieśń morską, wy głuptaski. Morską, a nie „myrssska”.

Nagle wszystkie delfiny zaczęły wykonywać skomplikowany manewr, polegający na nurkowaniu i wyskakiwaniu nad powierzchnię wody. Popiskiwały przy tym bez przerwy w różnej tonacji, powtarzając „pieeeśń morskaaa, pieeeśń morskaaa”, co zabrzmiało jak dodatkowy, końcowy akord odśpiewanej właśnie przez Menolly i Alemiego pieśni.

Zachwycona ich popisami i wyraźnym aplauzem Menolly klasnęła w ręce. Dwie ryby–przewodnicy próbowały ją naśladować, uderzając płetwami o wodę.

— One są naprawdę inteligentne, Lemi. Czy teraz starają się mnie zabawić?

— Wystarczy spojrzeć na ich rozradowane pyski. Kiedy tego chcą, potrafią zachowywać się jak prawdziwe urwisy — odpowiedział Alemi, podciągając się na pomost mola i sadowiąc obok siostry.

— Śpiewać pieśń Nolly? Śpiewać dwa pieśń Nolly?

— No dobrze, ale uspokójcie się, jak będziecie tak chlapać wodą to nic nie usłyszycie.

Beauty zajęła swoje ulubione miejsce na ramieniu Menolly i okręciła jej szyję ogonem, bardzo uważając, żeby pazurkami nie uszkodzić delikatnej tkaniny, z której zrobiona była bluzka pieśniarki. Menolly pogłaskała jaszczurkę i rozpoczęła jedną z tradycyjnych ballad. Była przyzwyczajona do tego, że słuchano jej z szacunkiem, lecz uwaga, z jaką uczestniczyły w koncercie te morskie stworzenia, wykraczała poza jej wszystkie dotychczasowe doświadczenia.

Delfiny słuchały całym swoim jestestwem. Wydawało się, że przestały nawet oddychać. W pewnym momencie harfiarka usłyszała cichutki dyszkant Beauty skierowany prosto do swojego ucha. Musiał on również dotrzeć do delfinów, bo spojrzały lekko w lewo, a ich miny wyrażały jeszcze większe zadowolenie. Menolly miała bardzo różne wspomnienia ze swych koncertów, ale obecne przeżycie stanowiło coś zupełnie wyjątkowego. Powinna o wszystkim opowiedzieć Sebellowi. Tego wieczoru nie zapomni nigdy. Widząc twarz Alemiego była przekonana, że i on to spotkanie zapamięta na całe życie.

Ciemności, jak zwykle w tropikach, zapadły bardzo szybko i nagle spowiła ich głęboka noc. Głowy delfinów połyskiwały srebrnym blaskiem odbitego światła wschodzącego nad morzem Timoru.

— Dziękuję wszystkim i każdemu z was z osobna — powiedziała Menolly, a w głosie jej czuło się wzruszenie. — Nigdy nie zapomnę tego spotkania.

— Dziękować Nolly. Kochać pieśń mężczyzny.

— W tym przypadku była to pieśń kobiety — sprostował rzeczowo Alemi.

— Nolly śpiewała. Nolly śpiewała! — zabrzmiała odpowiedź.

— Inna, lepiej, najlepiej — dodała Afo, przekrzywiając głowę i nosem rozpryskując w ich kierunku wodę na pożegnanie.

Menolly i Alemi patrzyli, jak cała szóstka ruszyła w kierunku pełnego morza z gracją wyskakując nad wodę i nurkując. Po chwili delfiny zniknęły im z oczu.

— To było naprawdę niezwykle przeżycie i tak absolutnie nieoczekiwane — oświadczyła Menolly, gdy wolnym krokiem szli ku domowi. Alemi niósł zapalone łuczywo, które przyzwyczał się zabierać, by oświetlać sobie w ciemności powrotną drogę. — To wielka szkoda.

— Co?

— Szkoda, że tyle jest zamieszania związanego z Nićmi, podczas gdy Assigi tak wiele może nam zaoferować.

— Cóż może mieć większe znaczenie, niż pozbycie się na zawsze Nici? — zapytał Alemi zdziwiony jej komentarzem. — Sprawa delfinów interesuje tylko mój Cech, szczury lądowe zupełnie ją ignorują. Ja pragnę traktować je niczym pożytecznych przyjaciół, podobnie jak smoki czy latające jaszczurki. Delfiny są znacznie inteligentniejsze od gazeli biegusów, a nawet od psów, bardziej użyteczne dla nas od latających jaszczurek. Ponadto potrafią porozumiewać się z nami przy pomocy mowy, a nie tylko drogą telepatyczną, jak to jest w przypadku smoków, czy, w ograniczonym zakresie, latających jaszczurek.

— Nie! Nie pomniejszajmy znaczenia latających jaszczurek, a w każdym razie nie należy tego robić wobec kogoś, kto ma ich dziesięć i wszystkie potrafi dobrze wykorzystać. Czy mistrz Idarolan wie coś o tych twoich... — wybuchnęła śmiechem — smokach morskich?

— Ma się rozumieć! On był pierwszy, poza Assigi, z którym o nich rozmawiałem. Wysyłam mu regularne sprawozdania o rozwijającej się współpracy z moim stadem.

— Stadem?

— Tą nazwą określa się grupy na stałe przebywających ze sobą delfinów. Każde z nich ma swój własny akwen, gdzie polują na ryby i bawią się. A delfiny są jakby stworzone do zabawy. — Alemi zaśmiał się beztrąsko. — Dla nich jestem po prostu zabawką dostarczającą nowych rozrywek.

— Przecież powiedziałeś mi, że informują cię o ławicach ryb i o zbliżających się sztormach?

— Rzeczywiście, ale stanowi to dla nich też rodzaj gry.

— Tak, rozumiem.

— Menolly, mimo wszystko nie pomniejszaj korzyści wynikających z tych zabaw — dodał poważnym tonem.

— Ależ nawet mi to przez myśl nie przeszło, jednak znaczenie delfinów będzie... chyba będzie ograniczone. Z całą pewnością nie dadzą się tak łatwo udomowić, jak hodowane w domu latające jaszczurki.

— To prawda — odparł ze śmiechem Alemi. — Ale one są ogromnie zainteresowane prowadzeniem tych obserwacji, a poza tym żyją własnym życiem w znacznie większym stopniu niż latające jaszczurki czy nawet smoki. Jeżeli coś przestaje je ciekawić, po prostu oddalają się. — I Alemi wzruszył ramionami.

— Zupełnie jak dzieci...

— Rzeczywiście, czasami zachowują się jak dzieci.

— No dobrze, jednak latające jaszczurki udowodniły swoją użyteczność — stwierdziła Menolly lekko poirytowanym głosem. — Pewne osoby starały się zbagatelizować liczne zalety tych stworzeń.

— Nie denerwuj się, Nolly — Alemi, starając się załagodzić jej rozdrażnienie, powiedział to takim tonem, że musiała zerknąć na niego. Dostrzegła, jak błysnął zębami w uśmiechu. — Chcę ci powiedzieć, że to twoja metoda szkolenia latających jaszczurek pomogła mi w nawiązaniu dobrych kontaktów z delfinami.

— Przepraszam cię, bracie — odparła z zakłopotaniem.

— Bardzo wiele zawdzięczamy Starożytnym — rzekł Alemi zdecydowanym głosem.

— Osobiście zastanawiam się — Menolly ciągnęła w zamyśleniu — czy to samo będziemy mogli powiedzieć po kilku Obrotach, kiedy już Assigi wyjawia wszystkie sekrety w nim zgromadzone.

— A ja byłem przekonany, że harfiarze z pełnym entuzjazmem podchodzą do... jak to Assigi określa... wprowadzonych danych.

— Wiedza ma różne oblicza, Alemi. Dowiadujesz się o tych wszystkich cudach kiedyś istniejących i one wyznaczają standardy na przyszłość, a może lepiej byłoby, gdyby taka przyszłość w ogóle nie nadeszła.

— Czy to cię tak niepokoi?

— Ach — odpowiedziała i wstrząsnął nią dreszcz — te moje nastroje złóż na karb ciąży. Tak wielu rzeczy nie wiemy, nie pamiętamy, utraciliśmy je. Przykładem niech będą ryby-przewodnicy — przepraszam, delfiny — zdolne do inteligentnego mówienia. Za każdym razem, kiedy odwiedzam Siedlisko Cove, D'ram, Lytol albo mistrz Robinton donoszą mi rewelacyjne nowiny. Chłonność umysłu ludzkiego jest ograniczona.

— Czy nie jest zadaniem Cechu Harfiarzy i Dowództwa Strażnicy Benden to, żebyśmy dowiadawali się tylko o najważniejszych rzeczach? — zapytał pół żartem, choć traktował ten temat bardzo serio.

— Masz rację — Menolly mówiła poważnie. — Zapewniam cię, że to jest wielka odpowiedzialność.



— Życie w takiej głuszy musi wydawać ci się bardzo nudne.  
— Wprost przeciwnie, Lemi. — Przerwała na chwilę, ujęła go za rękę i lekko ją uściśliła.  
— Prawdę mówiąc, przebywanie tutaj i uczenie twoich przemyśłych dzieci daje mi tak potrzebne wytchnienie i możliwość spojrzenia z pewnej perspektywy na nasz dotychczasowy sposób życia.

— A trzeba przyznać, że jest ono coraz lepsze.

— Lecz czy to jest prawdziwa poprawa?

— Oj, Menolly, jesteś w jakimś dziwnym nastroju.

— Rozmyślałam o czymś więcej niż tylko o napisaniu kolejnej pieśni.

— Nigdy nie zarzucałem ci posiadania ciasnych horyzontów.

— Nie, rzeczywiście nigdy tego nie robiłaś. Przepraszam, Lemi. W świetle dnia żałuje się nocnych zwierzeń na temat dręczących nas niepokojów i wątpliwości.

Ale mi objął ją ramieniem i, pragnąc dodać siostrze otuchy, powiedział: — Nie powinnaś wątpić w swoje możliwości, Menolly. Dokonałaś już w swoim życiu tak wiele.

Uśmiechnęła się.

— Powiodło mi się, prawda? — Dotknęła ręką jego ramienia i wypełniło ją uczucie wielkiej miłości do brata.

— Ty, jako harfiarz i jako kobieta wychowana nad morzem, potrafisz doskonale ocenić korzyści płynące ze współpracy z delfinami.

— Tak, oczywiście, ale ponad wszystko jestem im wdzięczna za uratowanie ciebie i Readisa.

— Jeżeli mogłabyś... — dla podkreślenia wagi swoich słów ścisnął jej ramię — nie opowiadaj o dzisiejszym wieczorze Araminie i Readisowi, dobrze?

— Jak sobie życzysz. Natomiast chciałabym podzielić się moimi wrażeniami z Sebellem i mistrzem Robintonem.

— Co do nich nie mam żadnych zastrzeżeń.

Nie skorzystała z jego zaproszenia, by wspólnie z Kitrin wypić kubek kłahu lub wina. Dla bezpieczeństwa odprowadził ją aż do drzwi mieszkania, choć protestowała i zapewniała, że sama potrafi tam dotrzeć. Miała jeszcze zamiar napisać list do Sebella i donieść mu o niespodziance, jaką ją spotkała tego wieczoru, ale widok hamaka łagodnie kołyszącego się w podmuchach lekkiej bryzy był tak pociągający, że postanowiła się na nim wyciągnąć. Tylko na krótką chwilę, pomyślała sobie. I natychmiast zasnęła.

Afo w uniesieniu opowiadała o tym, jak Nolly śpiewała dla nich. Delfiny też mają własne pieśni, które od pokoleń Tillekowie wbijają im w głowy, żeby utrwalić pamięć o morzach, z jakich się wywodzą. Niektóre pieśni były melancholijne i pochodziły z czasów, kiedy wiele delfinów ginęło, zaplątawszy się w rybackie sieci. Smutny nastrój innych pochodził z tęsknoty za ludźmi i wspólnym wykonywaniem wielkich zadań w szczęśliwym partnerstwie. Wesołe mówiły o rzeczach, które delfiny wykonywały razem z ludźmi — o Dunkierce, o Przepłynięciu Wielkich Prądów, o Pokonywaniu Wirów lub odnajdywaniu przedmiotów, które przypadkowo wpadły do morza, oraz o ratowaniu rozbitków w czasie sztormów. Było wiele pieśni wykonywanych przez delfiny. Niekiedy włączały się do chóru wszystkie stada i pieśń niosła się po morzach Pernu od krańca do krańca. W czasie tej ciemnej pory wiele pieśni popłynęło w Wielkich Prądach.

Pieśni te zakłócały sen dwóm kobietom i jednemu małemu chłopcu w Siedlisku Rajskiej Rzeki. Śpiew ustał wraz z nadejściem porannego przypływu, pozostawiając tylko miłe, mgliste wspomnienie, które tym razem, w przeciwieństwie do wielu innych, nie było przejmująco smutne.

## ROZDZIAŁ VI

Alemi nigdy nie wspominał w obecności Araminy o swoich rozmowach z delfinami, a jednak podejrzewała go o to, że poświęcał mnóstwo czasu temu zajęciu. Powoli przygoda Readisa z rybami — przewodnikami zaczęła zacierać się w pamięci, a jej miejsce zajęły inne sprawy, takie jak nauka starych ballad pod kierunkiem harfiarki Menolly, narodziny jej drugiego syna Olosa, a także długo oczekiwanego syna Kitrin, Alekiego. Aramina zaczęła się uspokajać.

Readis był doskonałym młodym pływakiem, ale nie chciała, by miał okazję do mierzenia swoich sił w kontaktach z tymi stworzeniami morskimi — ssakami, czy czymkolwiek one są — co mogłyby go kusić do wypływania zbyt daleko od brzegu. Readis miał zostać po ojcu Włodarzem Rajskiej Rzeki, chociaż w cichości ducha pragnęła, by został wybrany na jeźdźca smoka do Wschodniej Strażnicy. Miałyby wówczas szansę zdobycia pozycji, o jakiej nawet nie odważała się marzyć. Chłopiec doskonale czuł się w towarzystwie smoków przylatujących do Siedliska Rajskiej Rzeki i w ciepłych wodach nieraz skrobał im skórę. Najczęściej spotykał się ze smokiem lorda Jaxoma, białym Ruthem, który wydawał się bardzo lubić Readisa. Marzenia Araminy nie wykraczały poza granice możliwości, kiedy pragnęła dla syna tak wspaniałej kariery, jaka przypadła w udziale lordowi Jaxomowi, który właśnie został równocześnie włodarzem i jeźdźcem smoka. W związku z projektem pozbycia się na zawsze Nici, prawdopodobnie łatwiej byłoby zapewnić Readisowi taką podwójną funkcję. Podobnie jak wielu innych mieszkańców Pernu niejednokrotnie myślała o tym, że po ostatecznym zwalczeniu zagrożenia Nićmi, wszystkie Strażnice powinny zostać zlikwidowane.

Oczywiście, jeżeli na zakończenie obecnego Passu Readis zostałby jeźdźcem smoka, to mając trochę po trzydziestce, czyli ciągle jeszcze będąc dosyć młodym, miałby duże szanse na uzyskanie obydwu stanowisk. Przecież Jayge ma żelazne zdrowie, co pozwala sądzić, że będzie żył jeszcze przez wiele Obrotów po zlikwidowaniu plagi Nici. A więc Readis mógłby zostać i jeźdźcem, i włodarzem.

Ważne, że smoki chcą z nim rozmawiać. To wielkie osiągnięcie, z którego znaczenia, w swojej dziecinnej naiwności, jeszcze nie zdaje sobie sprawy. Nawet nie ma pojęcia, jak jego matkę cieszy przychylność smoków, która może spowodować jego wybór na Kandydata do Wylęgowych Piasków. Nie wiedziała, jak jej ambicje dotyczące kariery syna oceni Jayge. Nie oznaczało to jednak, że nie mogła ich pielęgnować. Los Readisa pod każdym względem miał być inny niż jej własny. Naprawdę nie było żadnych powodów, aby nie marzyć o tak ekscytującym życiu dla syna.

Przyjechał nowy harfiarz wyznaczony osobiście przez Menolly, żeby zająć jej miejsce. Młody czeladnik o imieniu Boskoney miał niewiele ponad dwadzieścia lat, a pochodził z Zakładu Rybackiego na Ista, tak więc znał klimat panujący w Rajskiej Rzece i pracę mieszkających tu ludzi. Menolly okazała uprzejmość włodarzom Siedliska i zaoferowała im możliwość wyboru spośród kilku kandydatów. — Nie pozwolę tych miłych dzieciaków ujarzmić jakiemuś czeladnikowi zainteresowanemu wyłącznie wygrzewaniem własnych kości w tutejszym klimacie — powiedziała im. — Muszą dostać nauczyciela błyskotliwego, pełnego poświęcenia — dodała z uśmiechem — a zarazem przedsiębiorczego i możliwie dobrze znającego to środowisko. Mamy dziewczynę, która właśnie kończy staż i jeżeli nic nie mielibyście przeciwko kandydaturze kobiety... — Menolly z wdziękiem pochyliła głowę w stronę przyjaciół, uśmiechnęła się skromnie, a w jej oczach zabłyśły iskierki humoru.

— Oczywiście, chętnie zgodzimy się na tę dziewczynę — równocześnie zawołali Jayge i Alemi, po czym uśmiechnęli się do siebie.

— To dobrze, niestety Hally pozostało jeszcze dziewięć do dziesięciu miesięcy studiów, a nie jest zalecane, aby rozpoczęty proces nauczania przerywać na tak długi okres. Dzieci w

tym Siedlisku chętnie się uczą i bardzo bym nie chciała ich zawieść.

Następnie przystąpiła do omawiania zalet i wad innych młodych ludzi. Perscher, najwybitniejszy plastyk w Cechu Harfiarzy, przysłał naszkicowane portrety Boskoneya, Tomola i Lesselama — każdy z nich narysowany był w kilku pozach — oraz wykonane w kolorze obrazy przedstawiające całe postaci.

— Zupełnie nie liczyłam na możliwość wyboru kandydata — powiedziała Aramina, z uwagą oglądając rysunki.

Menolly uśmiechnęła się do niej.

— Co? Myślałaś, że zgodzę się na pozbawienie moich bratanic i bratanków możliwości uczenia się na odpowiednim poziomie? Co prawda każdy, kto tutaj przyjedzie, będzie musiał poświęcać trochę czasu na pomoc archiwistom przy systematyzowaniu zapisów muzycznych przekazanych nam przez Assigi. Pracami tymi kieruje obecnie Tagetarl, lecz harfiarz, który zamieszka w Siedlisku Rajskiej Rzeki, będzie dostatecznie blisko, aby mu pomagać. Mam nadzieję, że to nie będzie stanowiło dla was jakiegoś większego problemu?

— Ależ, o czym ty mówisz! — wtrącił Jayge. — Panuje tu spokój i nie ma tak wielu dzieci...

— Jak dotąd — dodała Aramina, mrużąc porozumiewawczo oko. Gdy ustąpiło już początkowe zamieszanie związane z wyborem harfiarza, zapytała, czy któryś z kawalerów jest żonaty.

— Żaden z nich — powiedziała z uśmiechem Menolly. — Macie tu w siedlisku kilka ładnych dziewcząt, im też musimy zapewnić jakiś wybór, a nie ograniczać kawalerów do kilku śmierdzących rybą marynarzy — uśmiechnęła się do brata.

— O, ten mi się podoba — stwierdziła Aramina wskazując na Boskoneya. — Ma miłe oczy. — Boskoney nie był ani najwyższy, ani najprzystojniejszy z całej trójki. Miał wypłowiałe od słońca, kręcone włosy i zmarszczki w kącikach oczu świadczące o pogodzie ducha. Z prawdziwą przyjemnością patrzyła na jego portret — pozostali kandydaci nie wydawali się jej tak... szczerzy. — A więc mówisz, że pochodzi z Isty? No, to nie będzie narzekał na panujące tu upały, które mogłyby dokuczać innym. Nie trzeba też go ostrzegać o udarach słonecznych i innych niewygodach przebywania w tropikalnym klimacie.

— Bardzo dobrze — krótko podsumowała Menolly i przesunęła portret Boskoneya w kierunku Araminy.

— Sebell go poinformuje o nowym miejscu pracy, a ja poproszę T'gellana, żeby wysłał po niego jeźdźca. Muszę przekazać mu opinie o poszczególnych uczniach, żeby wiedział, na jakie problemy powinien zwrócić szczególną uwagę. To taka urocza gromadka. Bardzo miłe spędziłam tu czas. Och, niemowlę znowu się obudziło.

Boskoney przyjechał i Menolly opowiedziała mu o zdolnościach i możliwościach jego przyszłych uczniów. Zamieszkał w domku harfiarza i od razu poczuł się tak, jakby spędził tam całe życie. Menolly przyrzekła wkrótce odwiedzić znowu Rajską Rzekę, szczególnie gdy Camo wyraził gotowość pozostania w tej ciepłej okolicy. Nie cierpiał chłodu, ale jak wyjaśniła Menolly, wynikało to z faktu, że zapominał włożyć ciepłą kurtkę, gdy nadchodziła zima, a potem wylatywało mu z pamięci, żeby ją zdjąć z nadejściem wiosny.

Boskoney zdecydował się pracować wieczorami w siedzibie Cechu Harfiarzy na Ładowisku i zazwyczaj T'lion z Gadarethem wozili go w obie strony. Bardzo to odpowiadało T'lionowi, Gadarethowi i Alemiemu, gdyż ciągle pracowali nad zacieśnieniem kontaktów z delfinami i teraz mieli już wiele stad reagujących na wezwanie dzwonu. Na najwyższym drzewie rosnącym nad brzegiem morza w pobliżu Wschodniej Strażnicy, T'lion sklecił rodzaj dzwonnicy i zawiesił tam dzwon nieco mniejszy niż ten, który miał Alemi na Przylądku Rajskim.

Właściwie nawet nie usiłował ukryć swoich poczynań. Pewna tajemniczość wynikała z fascynacji jego i Gadaretha współpracą z delfinami, poza tym nie chciał, żeby jego

działalność była lekceważona czy też ośmieszana. Przecież komendant T'gellan doskonale wiedział o przypadkach ratowania rozbitków przez delfiny. Problem polegał na tym, że on, T'lion nie przedstawił we właściwy sposób swoich coraz bliższych kontaktów z tymi zwierzętami.

Pewnego poranka został wezwany przed oblicze komendanta. Zupełnie go to nie zaniepokoiło, gdyż T'gellan często osobiście wydawał mu polecenia. Nie spodziewał się jednak spotkać tam brata. Na widok jego zadowolonej miny i surowego wyrazu twarzy T'gellana i Mirrim stracił pewność siebie.

— Monarth, nie wiem, co cię tak rozdrażniło — w głowie T'liona zabrzmiał donośnie głos Gadaretha.

— Te delfiny, które tu przywieźli ze sobą Starożytni. Ratuja rozbitków. Mogą rozmawiać ze wszystkimi.

To dało T'lionowi klucz potrzebny do rozwiązania zagadki. K'din śledził go w czasie wieczornych spotkań z delfinami.

— Rozumiem, że jesteś mi winien pewne wyjaśnienia, T'lionie — zaczął poważnym głosem T'gellan, surowo marszcząc brwi. Mirrim również wyglądała groźnie.

— Czy chodzi wam o sprawę delfinów? — miał nadzieję, że głos nie zdradzał jego zdenerwowania.

— O delfiny?

— Tak w każdym razie nazywa je Assigi — zauważył, jak komendant wymienił spojrzenia z żoną na wspomnienie tego autorytetu. — Jak wiecie, przybyły tu razem ze Starożytnymi. Podawano im mentasynth w celu rozwinięcia ich zdolności do porozumiewania się za pomocą mowy z ludzkimi partnerami, których nazywano opiekunami — udało mu się wypowiedzieć płynnie wszystkie te ważne słowa.

T'gellan zmarszczył czoło.

— Byłeś z tą sprawą u Assigi?

— Tak!... Nie, to on przeprowadził ze mną wywiad. Mistrz Alemi w Siedlisku Rajskiej Rzeki bardzo blisko współpracuje z delfinami. One mu podają prognozy pogody i wiadomości o ławicach ryb. To bardzo ułatwia pracę rybakom. Co ważniejsze, delfiny ostrzegają ich także o nadchodzących sztormach.

— Rzeczywiście to robią! — odpowiedział T'gellan i było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Równocześnie zastanawiał się nad wyjaśnieniami udzielanymi wesołym głosem przez T'liona.

— Jak do tego doszło, że zacząłeś się zajmować delfinami? — chciała się dowiedzieć Mirrim.

— No wiesz, Mirrim, jak takie rzeczy się przytrafiają. Tak jak ty kiedyś dokonałaś Przyzwania latających jaszczurek.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła na niego wzrokiem mówiącym: „Nie rób ze mną takich sztuczek, chłopcze”.

— A więc dokonałaś Przyzwania tych stworzeń?

— Nic podobnego! — T'lion odrzucił tę sugestię, podkreślając słowa energicznym ruchem ręki. — Sprawa wygląda zupełnie inaczej niż ze smokami — jego ton wskazywał, że dwustronne kontakty mają znacznie mniejsze znaczenie. — Jednakże delfiny też mogą być użyteczne. — Postanowił nie dodawać zdania: „podobnie jak latające jaszczurki”. — Wzywa się je za pomocą wydzwanianego sygnału. Jeżeli mają ochotę, przyplływają. Najczęściej robią to chętnie, gdyż stanowią dla nich nową zabawę.

— Nową zabawę? — T'gellan aż pochylił się do przodu.

— Tak właśnie twierdził mistrz Alemi. Stado żyjące w tutejszych wodach jest inne od tego, z którym on ma kontakty. Assigi polecił nam ustalić liczebność delfinów i udoskonalić ich zdolność mówienia.

— Zdolność mówienia? — zapytała Mirrim, ze zdumienia mrugając oczami.

T'lon wzruszył ramionami.

— Jest to określenie używane przez Assigi. Delfiny mówią niewyraźnie. Posługują się dziwnym językiem... na przykład mówią „człowieki” zamiast „ludzie”, „dyyyj”, a nie „daj”. W okropny sposób przekręcają słowa. Ja w pewnym sensie mam ich uczyć poprawnej wymowy.

K'din wybuchnął pogardliwym śmiechem.

— Ty występujesz jako nauczyciel?

— W każdym razie znam więcej słów niż one — odpowiedział T'lon pogodnym głosem.

— Kiedy prowadzisz z nimi lekcje, T'lonie?

Młody jeździec spizowego rozumiał, że ciągle jeszcze rozmowa znajdowała się w niebezpiecznym dla niego stadium.

— Po prostu w wolnych chwilach. Na przykład, kiedy kąpię Gadaretha. On także lubi delfiny. Przeplływają pod nim i łaskoczą go po brzuchu. Kiedy szoruję mu skrzydła, przeskakują nad nim.

— A więc tak się bawią? — retorycznym tonem stwierdził komendant. T'lon milczał, usiłując zachowywać się naturalnie.

Czyżby K'din sugerował, że brat mniej się interesuje Gadarethem lub zaniedbuje go z powodu delfinów? Nie chodzi o to, że mogliby go usunąć ze Strażnicy lub zastosować jakąś podobną karę! Mogą jednak zakazać mu kontaktowania się z delfinami. Czy w dostatecznym stopniu podkreślił rolę, jaką w tej sprawie odegrał Assigi, żeby uspokoić T'gellana? A może trochę z tym przesadził i komendant znalazł się w kłopotliwym położeniu?

— Myślę, że powinniśmy zobaczyć te...

— Delfiny, komendancie, na pewno bardzo się ucieszą ze spotkania. — T'lon starał się, żeby jego głos brzmiał wesoło i miał nadzieję, że delfiny zademonstrują swoje pozytywne talenty, a nie wyłącznie ukochane przez siebie zabawy i sztuczki. — Czy mój brat mógłby pójść z nami? Takie spotkanie pozwoliłoby mu dobrze się przyjrzeć delfinom.

T'gellan popatrzył na starszego jeźdźcę dziwnym wzrokiem.

— O, tak, to może przynieść bardzo pożądany efekt.

— Ja też tak myślę — dodała Mirrim i obrzuciła K'dina kwaśnym spojrzeniem.

— Monarth i Path są zainteresowane. Przekazałem im wszystko o tym, co robimy. Powinniśmy byli wcześniej zawiadomić komendanta i jego żonę. To z pewnością było pierwszym błędem, ale nie rozumiem, na czym polegał drugi.

Uwaga zgłoszona przez Gadaretha nie była bardzo uspokajająca. T'lon obrócił się i ruszył za komendantem i Mirrim, zbliżającymi się do czekających na nich smoków. Idąc uświadomił sobie, że Gadareth miał rację zarzucając mu, że nie poinformował wcześniej Komendanta. Ponieważ był stale zajęty przewożeniem Menolly i innych osób, ostatnio bardzo niewiele czasu spędzał w Strażnicy.

— Znajdowałeś jednak czas na rozmowy z delfinami — sumiennie przypomniał mu Gadareth.

— Ten mój braciszek — T'lon przekazał odpowiedź spizowemu — bardzo by chciał narazić mnie na nieporozumienia z komendantem i jego żoną.

— Bulethowi to się bardzo nie podoba.

— To ładnie z jego strony.

Szczęście sprzyjało T'lionowi. Tana i Natua pojawiły się prawie natychmiast po tym, jak zabrzmiał dzwon, a jego echo odbiło się po powierzchni morza lekko wzburzonego wiejącą bryzą i falą przypyływu. Na przywitanie tej dwójki T'lon wszedł po szyję do wody. Pozostali jeźdźcy, smoki i jaszczurki Mirrim zatrzymali się na brzegu.

— Tana, Natua, tylko was dwoje? — dopytywał się T'lon. Spodziewał się większej liczby

delfinów, którymi mógłby się pochwalić. — Tana i Natua są przewodnikami mojego stada. — A to jest T'gellan i jego towarzysza Mirrim oraz K'din — nie miał najmniejszego zamiaru przedstawiać go jako swojego brata.

— Dź'dobly, Gellin i Mirim — uprzejmie odezwał się Natua, a Tana chlapnęła wodą w ich stronę.

— Dź'dobry, Natua — odpowiedziała Mirrim i zaczęła brodzić w wodzie w kierunku T'liona. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Latające jaszczurki krążyły nad nią, jakby chciały jej bronić. Poklepała Natuę po butelkowatym nosie, którym próbował ją trącać. Tana przepłynęła obok, oglądając ją uważnie najpierw jednym okiem, a po zwrocie drugim. Następnie wynurzyła się tak, że miała oczy na tej samej wysokości co Mirrim. — Dź'dobry, Tana. Woda dobra?

— Doskonała. Ryba też doskonała. Podjeść. Dobrze jeść.

Stało się jasne, że Tana pragnęła się dowiedzieć, jaką zabawą mają się zająć. T'lion musiał szybko się wtrącić.

— Przepraszam za oderwanie was od posiłku, Tana.

— Dzwon bić. My odpowiadać. My obiecać. My tutaj!

Ich dokładna wymowa sprawiła mu przyjemność. Wreszcie przełamał ich nawyk mówienia „miii” zamiast „my”.

— Cieszy mnie wasze natychmiastowe zgłoszenie się na sygnał. Przywódcy mojego stada chcieli was poznać.

Natua wykonał salto do tyłu, opryskując wodą Mirrim i T'liona. Mirrim zrobiła zgorzoniałą minę, gdy woda zaczęła jej ściekać po głowie i ramionach. T'lion wykrzywił twarz. Tak był przyzwyczajony do igraszek delfinów, że nie pomyślał w porę o ostrzeżeniu jej. Kobieta otarła wodę z ramion i głęboko westchnęła.

— Nie powinniście ochlapywać Mirrim — zawołał T'lion i pogroził palcem Natui. Delfin pisnął i ciasnym kółkiem opłynął stojących w wodzie ludzi.

— Woda ciepła. Dobra — powiedział Natua i uśmiechnął się, po czym znieruchomiał obok młodego jeźdźca.

Mirrim wybuchnęła śmiechem.

— Co tam ochlapywanie dla morskich stworzeń? To ja weszłam do jego wody. — Dwoma rękoma zaczęła wyciskać mokre włosy. — Lubisz ochlapywać ludzi?

— Ty kobieta, nie ludź — odparł Natua.

Mirrim ze zdumienia otworzyła usta, zaskoczona, że zauważył różnicę.

— Dziękuję ci, Natua! Hej, T'gellanie chodź tutaj, bo stracisz połowę zabawy, a woda jest... ciepła!

W chwilę potem Tana zaskoczyła wszystkich stwierdzeniem: — Ty masz w środku dziecko.

— Cooo? — zawołała Mirrim pochylając się w kierunku delfina.

— Tana widzi dziecko.

— Coś ty powiedziała? Co ty wygadujesz, ty... ty rybo! — powiedziała Mirrim, na moment zbladła, a potem rumieniec oburzenia oblał jej opaloną twarz.

— Co ten stwór powiedział? — usiłował się dowiedzieć T'gellan, który brodząc podszedł do swojej żony i czule ją objął.

T'lion stanął jak wryty. Zupełnie nie wiedział, co ze sobą zrobić. Przełykał ślinę i usiłował coś wyjąkać. W pewnej chwili dostrzegł zadowoloną minę brata.

— Mówi, że jestem w ciąży — odparła Mirrim. — To nie jest temat do żartów, delfinie.

— Nie żartować — powiedziała Tana. — Ja wiem. My zawsze wiemy. Sonar mówi prawdę o ciele kobiety.

— Sonar? A co to takiego? — T'gellan zwrócił się do swojego młodego jeźdźca. — Co tutaj się dzieje?

— Pojęcia nie mam, o co chodzi — jęknął speszony T'lion.

— Ja racja. Ty spytać medyk. Eeej! Czas dziecka, czas dobry! Ja też mam dziecko. Lubie je.

— Medyk? — powtórzył T'gellan, nie zwracając uwagi na pozostałą część wypowiedzi.

— Starożytni tak nazywali uzdrowiciele — szepnęła Mirrim. Pochyliła głowę, patrząc na swoją dłoń trzymaną na brzuchu tuż pod powierzchnią wody.

— Przepraszam cię, Mirrim. Nie wiedziałem... — zaczął T'lion, speszony całym incydentem i stwierdzeniem Tany. Jak mogła tak zepsuć to spotkanie? Wydawało mu się, że są jego przyjaciółmi! Teraz chyba powinien złożyć raport o przeniesienie do innej Strażnicy, zanim wieść o jego hańbie obiegnie całą planetę, a nie miał żadnych wątpliwości, że K'din dołoży wszelkich starań, by wszyscy się o tym dowiedzieli. Przyniósł prawdziwy wstyd całej rodzinie! A przecież tak był dumny z możliwości rozmawiania z rybami — przewodnikami. Ku swemu rosnącemu przerażeniu zobaczył, że Tana nie przestała gadać, a Natua energicznie kiwał głową, jakby też z czymś się zgadzał!

— Ja wiem. Kobieta jest w ciąży — powtarzała Tana, pływając skretnymi ruchami przed trojgiem ludzi. Następnie, zanim któryś z nich zdołało odgadnąć jej zamiary, zanurzyła się w wodzie i bardzo delikatnie dotknęła nosem dłoni Mirrim. — Mieć dziecko. Nieprędko. Małe. — T'gellan wymienił spojrzenie ze swoją towarzyszką życia i czule się do niej uśmiechnął.

— Życzę nam tego z całego serca, Mir — powiedział tak cicho, że T'lion nie był pewny, czy dobrze go usłyszał.

— Jeszcze niczego nie wiem... Chciałam ci powiedzieć, ale jest za wcześnie, żeby mieć pewność — szepnęła do niego Mirrim, patrząc w górę na twarz jeźdźca spizowego smoka z równie gorącym oddaniem. Po czym wzruszyła ramionami i zaczęła iść w kierunku brzegu. — Przed wszystkim musimy sprawdzić u Assigi, czy to głupiutkie morskie stworzenie w ogóle może wiedzieć, o czym mówi. — Szybko odwróciła się do T'lionia. — Ty także tam z nami pojedziesz, i raz na zawsze rozwiążemy tę sprawę. Nie można mieć jeźdźca w twoim wieku zajmującego się tak dziwnymi stworzeniami jak to, które właśnie oglądaliśmy.

— Kocham cię, T'lionie — Gadareih powiedział to mocnym tonem, czym nieco podniósł chłopca na duchu. Lecz zaraz potem T'lion znowu zobaczył tryumfalny uśmiech na twarzy K'dina. Kiedy wychodził z wody, zamknął oczy i chętnie zamknąłby także uszy, żeby nie słyszeć radosnych popiskiwań i mlaskania dwóch delfinów.

— Lubie delfiny — stwierdził Gadareth. — One są tak wesołe i potrafią nas również znakomicie zabawić.

— Teraz nawet nie wspominaj przy mnie delfinów, Gaddie. Nie masz pojęcia, co narobiły przed chwilą.

— Właśnie, że wiem. Path też wie. Path się cieszy, bo jego amazonka będzie miała dzidziusia.

T'lion jęknął, gdy zgodnie z sygnałem danym mu przez T'gellana dosiadł młodego spizowca.

— Ty także polecisz z nami, K'din — powiedział T'gellan, nagle poważniejąc. — Chcę cię mieć na oku. Dystans pokonamy bezpośrednim lotem.

Mirrim wskoczyła na szyję Patha. Kropelki wody ściekały z jej mokrych nóg i ubrania na boki zielonego smoka.

— Leć nisko — powiedziała. — Będziemy mieli okazję wyschnąć, aha... chcę także lecieć dość wolno. — Nawet nie spojrzała w kierunku T'lionia, co jeszcze bardziej chłopca przygnębiło.

Informowanie o ławicach ryb i ostrzeżenie o podwodnych skałach i sztormach z całą pewnością leżało w granicach możliwości delfinów, ale to? — T'lion poddał się rytmowi ruchów Gadaretha, był jednak otępiały, przestraszony i w stanie godnym pożałowania. Jak Natua i Tana mogły z nim tak postąpić? I to wtedy, gdy chciał je pokazać z najlepszej strony.

Nie miał nawet okazji zapytania ich o przewidywaną pogodę ani o miejsca żerowania ławic ryb w pobliżu Wschodniej Strażnicy...

Pomimo niezbyt dużej odległości bezpośredni lot wydawał się trwać całe wieki. Zanim dotarli do Ładowiska, odzież wyschła na T'lionie i do bólu spalił słońcem nos. Zadowolenie z siebie K'dina jakby się zmniejszyło, najwyraźniej przejęty był faktem towarzyszenia komendantowi i jego żonie w ich wizycie w Administracji. Podeszli do stołu, przy którym D'ram obsługiwał monitor kontrolujący gości.

— T'gellan, Mirrim, jak miło was zobaczyć! A jak się czują Monarth i Path? O, widzę, że znowu przyszedł do nas T'lion, a to jest twój starszy brat, prawda? Ogromne podobieństwo rodzinne.

— Dzień dobry, D'ramie, twój Tiroth wygląda wspaniale wygrzewając się na słońcu, ale jakby trochę przytył — T'gellan przywitał go uprzejmie, choć z nutką pośpiechu w głosie.

— Masz jakiś problem?

— Owszem, ale taki, który może rozwiązać tylko Assigi. Czy będzie mógł poświęcić nam trochę czasu?

— Tak, oczywiście. Spróbuj porozumieć się z nim w małej sali konferencyjnej. T'lion zna drogę.

W tym momencie T'lion wiele by dał za to, żeby D'ram nie znał go tak dobrze. Były komendant Strażnicy Ista z uśmiechem zaprosił ich do przejścia dalej w głąb budynku, T'lion natomiast jeszcze bardziej skulił się w sobie.

— No, T'lionie, prowadź! — rozkazał T'gellan i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy ruszył za nim.

Biedny T'lion włókł się w kierunku sali konferencyjnej, czując się głęboko upokorzony. Wydawało mu się, że przejście tych kilku kroków zajęło tyle czasu co przelot bezpośredni.

— Monarth twierdzi, że bardzo chcieliby mieć dziecko — Gadareth wesoło doniósł T'lionowi. — Path jest tego samego zdania.

— Ale skąd Tana mogła to wiedzieć? A jeżeli się pomyliła? Chyba się zabije.

— Nie — odparł Gadareth strofując go za brak rozwagi. — Czy chciałbyś także mojej śmierci!

Oczywiście, że nie! — T'lion wzdrygnął się. Bez względu na to, co się stanie, zawsze z nim pozostanie Gadareth. Nikt nie może ich rozdzielić.

Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi.

— Assigi, to ja, T'lion, a są tu ze mną komendant Strażnicy T'gellan i Mirrim, jeźdźcy zielonego Patha — powiedział to w kierunku ekranu. Dopiero napotkawszy karcące spojrzenie T'gellana, wymamrotał imię K'dina.

— Jaki temat będzie przedmiotem dzisiejszej dyskusji? Czy delfiny?

— Skąd on to wie? — zapytała szeptem Mirrim.

— Ponieważ T'lion zwykle składa mi sprawozdania ze swoich spotkań z delfinami, Mirrim — powiedział Assigi. Mirrim aż drgnęła, zapomniała bowiem o doskonałym „słuchu” tej aparatury. Od razu przystąpiła do sedna sprawy.

— Tana, jeden z delfinów, powiedziała, że jestem w ciąży.

— Jeżeli Tana zauważyła dziecko w twoim łonie, to prawdopodobnie nie myli się.

Głęboka cisza zapanowała w małej sali konferencyjnej.

— No dobrze, ale skąd ona wiedziała? To nawet dla mnie było niespodzianką, Assigi — powiedziała Mirrim i wygodnie usiadła na krześle. — Rozumiem, że...

— To jest sonar delfinów,

— Ona też użyła tego określenia! — wykrzyknął T'gellan. — Sonar... a co to jest?

— Dzięki sonarowi mogą pływać po oceanach Pernu. Polega to na wysyłaniu sygnałów i odbieraniu odbitych fal dźwiękowych. Sonar informuje także delfiny o najmniejszych zmianach w tkance żywego organizmu. Delfiny potrafią dokładnie zdiagnozować nie tylko



ciążę, lecz także różnego rodzaju guzy i inne choroby w ich wczesnym stadium. Medycy, czy jak ich obecnie nazywacie uzdrowiciele, traktowali diagnozy delfinów jako prawidłowe i dokładne.

— Chcesz więc powiedzieć, że Mirrim jest w ciąży? — zapytał T'gellan.

— Jeżeli to stwierdził delfin, niewątpliwie nosi w sobie dziecko.

T'lion wodził wzrokiem od rozjaśnionej pogodnym uśmiechem twarzy Mirrim do dumnej sylwetki T'gellana. Kątem oka dojrzał grymas niezadowolenia na twarzy brata, sam starał się jednak nie okazywać radości, jaka go ogarnęła po werdykcie Assigi. Nie chciał prowokować K'dina do odwetu. Wystarczało mu, że on, T'lion, ma rację i w myślach żałował swojej nieufności w stosunku do delfinów. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że one potrafią zajrzeć w ludzkie ciało!

— Prawdopodobnie ta umiejętność delfinów została do tej pory przeoczona? — zapytał Assigi po tym, jak rozpromienieni T'gellan i Mirrim uścisnęli się.

T'gellan spojrzął na T'liona, który wzruszył ramionami.

— Myślę, żeby polecić uzdrowicielowi ze Strażnicy zajęcie się tą sprawą — powiedział T'gellan. — Należy sprawdzić, czy delfiny mogłyby wykrywać infekcje znajdujące się pod skórą, które ujawniają się dopiero w późniejszym stadium?

— Zapisy to potwierdzają. Czy mówisz o ranach kłutych?

— Tak. M'sur o mało nie stracił nogi, nie zdając sobie sprawy, że jego stan jest tak ciężki, dopóki nie zobaczył czerwonych linii żył wskazujących na zakażenie krwi. Persellan z największym trudem uratował mu życie i nogę! — Następnie zwrócił się do T'liona. — Powinniśmy zawiadomić Cech Uzdrowicieli w Forcie o tym odkryciu.

— Czy przypuszczasz, że ci uwierzą? — ze śmiechem zapytała Mirrim. Lewą dłonią gładziła się po brzuchu, ciągle jeszcze nie mogąc w pełni zaufać diagnozie.

T'gellan wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Czy uwierzą, to ich sprawa, moim obowiązkiem jest poinformowanie zainteresowanych osób.

— Chyba tutaj, na Lądowisku, również jest uzdrowiciel, prawda? — zainteresowała się Mirrim. — Och, Assigi, bardzo ci dziękujemy za poświęcony nam czas.

— Zawsze ci chętnie służę, jeźdźczyni smoka Mirrim.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, Assigi, i to z kilku powodów — T'gellan uśmiechnął się do T'liona, jakby chciał mu dodać odwagi. — To spotkanie z twoimi delfinami, chłopcze, miało zupełnie nieoczekiwany przebieg. Bardzo ci za nie dziękujemy. Mirrim straciła już dwoje dzieci, ponieważ nie wiedziała, że jest w ciąży. Nie chcielibyśmy utracić trzeciego. Chodźcie! — Objął ją w tali i skierował w stronę drzwi. — Poinformujemy D'rama o przebiegu naszego spotkania z Assigi. On już dopilnuje, żeby wszystko przekazać Cechowi Uzdrowicieli.

— Tak, najlepiej będzie, jeżeli wiadomość dotrze tam od niego — zgodziła się Mirrim, i kiedy opuszczali budynek dała znak T'lionowi, żeby szedł obok niej.

Uplęnęło kilka chwil, zanim do świadomości D'rama dotarła zadziwiająca wiadomość. Podniósł się ze swojego fotela, serdecznie potrząsnął dłonią T'gellana i uśmiechnął się do Mirrim.

— Zawsze dla kobiet odbywających służbę w Strażnicach ważne znaczenie miało wczesne stwierdzenie, że poczęły... i nie mogą przebywać w czasie kilku pierwszych miesięcy ciąży w przestrzeni pomiędzy. Teraz kobiety będą tłoczyć się nad brzegami morza w celu porozmawiania z delfinami.

— Nie jestem pewien, czy chcielibyśmy tego — powiedział lekko zaniepokojony T'gellan.

— Dobrze! W każdym razie zawiadomię Cech Uzdrowicieli i to oni podejmą odpowiednie kroki.

— Jeżeli w ogóle uwierzą w tę historię — wtrąciła Mirrim.

— O, sam znam kilku dostatecznie postępowych ludzi, którzy na pewno zbadają te możliwości, szczególnie że poparte są autorytetem Assigi. Przede wszystkim poproszę Assigi o dostarczenie mi wszystkich informacji, jakie posiada na temat zdolności diagnostycznych delfinów. Nic nie sprawia takiego wrażenia wiarygodności jak słowo drukowane. — Następnie stary komendant zwrócił się do T'gellana. — Postąpiłeś bardzo rozważnie potwierdzając uzyskane wiadomości u Assigi i nie bagatelizując całej sprawy.

— Niewątpliwie warte to było zachodu przybycia tu lotem bezpośrednim — T'gellan potwierdził, uśmiechając się czule do swojej towarzyszki. — Muszę jednak przyznać, że początkowo samemu trudno mi było uwierzyć w tę historię. Przepraszam cię, T'lionie.

— Ach, nie ma o czym mówić, T'gellanie. — Teraz T'lion mógł uczciwie stwierdzić, że jego morscy przyjaciele w pełni zasługiwali na pochwałę. — Widzisz, ja także nie mogłem w to uwierzyć.

T'lion został oficjalnym łącznikiem z delfinami. Nazwę jego nowej funkcji zaproponował Kib, a słowo pochodziło z jego, obecnie na nowo odkrywanego, słownika Starożytnych. T'lion nie unikał kontaktów ze sceptycznymi uzdrowicielami, którzy najczęściej zjawiali się sami, rzadziej przyprawiając ze sobą pacjentów. Zajęcie to pozwalało mu trzymać się z dala od K'dina. Pragnął za wszelką cenę uniknąć sytuacji, która mogłaby dostarczyć jego bratu pretekstu do zmyślenia jakiejś historii dyskredytującej T'liona w oczach komendanta. Persellan, oficjalny uzdrawiacz w Strażnicy, czeladnik pochodzący z najdalszego krańca Półwyspu Południowy Boll, lekceważąco zauważył, iż wykrycie ciąży w tak wczesnym okresie jest całkowicie niemożliwe. Lecz Tana w dość łatwy sposób obaliła inne jego twierdzenie. Chłopiec ze Strażnicy narzekał na ból ręki, a przełożona kobiet była przekonana, że to tylko pretekst pozwalający na wykręcenie się od codziennych obowiązków. Tana jednak dokładnie wskazała punkt, w którym powstawał ropień na ramieniu małego. Nosem dotknęła miejsca, gdzie sceptycznie nastawiony Persellan powinien przyłożyć plaster. Następnego ranka ukazał się rdzeń wrzodu, w którym wyraźnie było widać cienki jak igła kolec, przyczynę infekcji, tak więc jej diagnoza okazała się słuszna.

Kolce roślinności, tak bogatej na Kontynencie Południowym, stanowiły wieczny problem dla uzdrowicieli. Większość ludzi w czasie letnich upałów ubierała się bardzo lekko, a odkryte ciało narażone było na przypadkowe otarcia o liście czy łodygi roślin. Nawet twarda skóra smoków nie była na to całkowicie odporna, chociaż rzadko zdarzało się przebicie warstwy ochronnej znajdującej się tuż pod nią. Znacznie częściej, w czasie szorowania, kolce ze skóry smoka wbijały się w zmiękczoną wodą dłoń jeźdźców.

Niezupełnie przekonany do tej metody diagnozowania ciąży Persellan przyprawiał brzemienne kobiety, których stan był już stwierdzony, żeby poddawać próbie Tanę i inne delfiny, tak chętnie demonstrujące swoje możliwości w tym zakresie.

Dopiero przypadek złamanej ręki ostatecznie przekonał Persellana. Kość była złamana poniżej łokcia, co gorsza źle zrosnięta, co utrudniało kobiecie swobodne poruszanie ręką. Przyszła do delfinów, żeby sprawdziły, czy znowu jest w ciąży, której zresztą nie pragnęła. Uważała, że troje jej dzieci to zupełnie wystarczająca liczba dla Strażnicy.

— Kość złamana. Źle zrosnięta — powiedziała Tana Persellanowi. — O tu!

— Ale co z dzieckiem, rybo? — natarczywie dopytywała się kobieta o imieniu Durras. Persellan wprawnymi palcami wyczuł nieprawidłowe zgrubienie stawu. — Od dwóch miesięcy nie mam już miesiączki.

— Jak dawno temu to się stało?

Durras wyrwała rękę z jego uścisku i zaczęła wymyślać uzdrowicielowi.

— Nie przyszłam tu z chorą ręką. Byłam mała, kiedy ją zламаłam. Powiedz mi wreszcie, rybo, co z dzieckiem?

— Dziecka nie ma. Pełna macica. Niedobrze. Trzeba czyścić.

— Co? — Kobieta ruszyła w stronę brzegu, potem biegła po piasku jak najdalej od delfina.

— Co chciałaś wyrazić mówiąc „pełna macica”, „trzeba czyścić”? — zapytał Persellan. Zaskoczyła go reakcja Durras, ale w ciągu swojej wieloletniej praktyki nierzadko spotykał się z przypadkami przerw w krwawieniach macicznych. Zwykle potem pacjentki miewały uporczywe bóle dolnej partii brzucha i wiele z nich zmarło. Jediną kuracją było podawanie dużych dawek oszałamiających ziół, by zmniejszyć cierpienia.

— Guuuzzz — Tana starała się bardzo wyraźnie wymówić to słowo. — Niedobra rzecz.

— Guz? — zapytał Persellan. Wewnętrzne operacje chirurgiczne wykraczały poza zakres czynności uzdrowicieli, chociaż wiedział, że niektórzy członkowie jego Cechu wdzierali się do organizmów ludzkich, by pomóc w pewnych schorzeniach. Assigi miał wiele do powiedzenia na ten temat przedstawicielom Cechu Uzdrowicieli, ale tylko kilku członków przeprowadzało operacje. Dowiedział się także o zezwoleniu Cechu na prowadzenie pośmiertnych badań. Sama myśl o takich poczynaniach napawała go dreszczem, lecz niewątpliwie pozwalało to na uzyskiwanie cennych informacji. — Czy Starożytni rozcinali ciało w celu wydobycia guzów z jego wnętrza?

— Nie potrzeba. Otwór tam. Wyczyścić. Potem będzie dziecko.

— Co? Jaki otwór?

— Ten główny na dole. Droga, którą przychodzi dziecko. Persellan znowu wzruszył ramionami. Sam pomysł dostania się do wnętrza ciała w ten sposób wydał mu się odrażający. Niemniej jednak zdawał sobie sprawę, że uzdrowiciel często musi stosować nieprzyjemne, a nawet bolesne dla pacjenta zabiegi w celu przywrócenia mu zdrowia.

Nieco później, jeszcze tego samego, pełnego wydarzeń przedpołudnia, spotkała Persellana następna niespodzianka, gdy zjawił się T'lion z poleceniem udania się nad zatokę.

— Mają tam sprowadzić rannego delfina. Natua i Tana mówią, że będziesz musiał go zaszyć.

— Zaszyć delfina? — Persellan zamarł z ręką wyciągniętą po swój worek uzdrowiciela. — No wiesz, T'lion, tego już naprawdę za wiele!

— Dlaczego? — zdziwił się T'lion. — Przecież zaszywasz rany smokom, kiedy się skaleczą.

— Ale to ryby...

— Nie są rybami, uzdrowicielu, one są ssakami, podobnie jak ludzie. Boojie nie wyzdrowieje, jeżeli nie zaszyjesz mu rany.

— Widziałeś ją?

— Nie, ale Tana prosi o to. Ona pomogła tobie, a teraz ty jej pomożesz.

Persellan nie znalazł odpowiedzi na ten argument, ale przez całą drogę na plażę pomrukiwał, jak to będzie musiał rozszerzyć swoją praktykę o leczenie morskich stworzeń. W chwili, gdy zobaczył długą i głęboką ciętą ranę, gotów był natychmiast zawrócić do Strażnicy.

— Nie ma sposobu, żebym zdołał to zaszyć. Słuchaj, to stworzenie może mnie ugryźć... albo zrobić coś podobnego. Zabieg będzie bardzo bolesny.

— Zioła oszałamiające — powiedział T'lion, uparcie blokując Persellanowi drogę odwrotu. Wysyłał też do Gadaretha sygnały z prośbą o pomoc.

— Skąd mogę wiedzieć, czy oszałamiające zioła zadziałają? Mogą być nawet niebezpieczne!

— Tana mi o tym powiedziała. Mówi też, że Boojie jest za młody, żeby umrzeć, ale z pewnością tak się stanie, jeżeli ta rana nie zostanie zaszyta.

— Jak on się mógł tak rozplatać? — Persellan usiłował się klócić nawet wtedy, kiedy T'lion wpychał go do wody, gdzie na płyciźnie czekało kłębowisko delfinów. — Ja nawet nie wiem, czy zszycie tej rany stanowi właściwą terapię.

— Zszyj Boojiego — poprosiła Tana, a następnie, odważając się wpłynąć na płytką wodę, zaczęła nosem popychać uzdrowiciela w stronę rannego delfina, którego podtrzymywali towarzysze ze stada.

— No, śmiało, Persellanie — zawołał T'lion, stojąc po szyję w wodzie.

— Jak ja mógłbym... Nie, to zupełny nonsens! — zaklinał się uzdrowiciel, ale twardy nos tkwiący między jego nogami popychał go do przodu. — Dość już tego! — krzyknął, i wolną ręką zaczął tłuc w nachalną głowę Tany. — Po prostu nie wiem, jak mam się do tego zabrać... Szok wywołany takim urazem, nie mówiąc już o szyciu... Chciałem powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie robiłem czegoś takiego...

— A czy nie zapewniali cię, że życie w Strażnicy nie będzie nudne? — powiedział T'lion, szczęśliwy widząc uzdrowiciela biorącego się do roboty.

Persellan niemal zupełnie oniemiał po zbadaniu głębokości rany. Chwilowe mdłości mu przeszły, bo zafascynowało go, w jaki sposób tak ciężko ranne stworzenie zdołało przeżyć holowanie go do tego miejsca. Boojie ledwie oddychał i był zbyt wyczerpany, żeby wydać najłżejszy jęk. Tylko błysk oka świadczył, że kołaczą się w nim resztki życia. T'lion położył mu dłoń w pobliżu płuc, dostatecznie daleko od potwornej rany, by nie powodować dodatkowego bólu, i stwierdził, że organizm delfina broni się już ostatkiem sił.

— Jeżeli zamierzasz coś tu zrobić, to powinienes zacząć natychmiast, Persellanie — mruknął T'lion. — Boojie naprawdę ledwo dyszy.

— W jaki sposób będę mógł zaszyć tę ranę w oceanie?

T'lion zrozumiał, na czym polega problem — delfiny musiały podtrzymywać pacjenta i utrudniały Persellanowi dostęp do niego. Chłopiec wezwał na pomoc Gadaretha.

— Skorzystamy ze szponów smoka — wyjaśnił uzdrowicielowi. — Gaddie przednimi łapami utrzyma Boojiego w wodzie na odpowiedniej wysokości, a zraniony bok skieruje w twoją stronę.

Powstało okropne zamieszanie, kiedy spiżowy smok po telepatycznym odebraniu życzenia jeźdźca wszedł do wody i zbliżył się do grupy.

— Gaddie pomaga, Tana. Powiedz wszystkim, żeby pozwolili mu podtrzymywać Boojiego. Nie robi mu krzywdy. Wiesz przecież, że żaden smok nie skrzywdziłby delfina.

Tana cmoknęła, zapiszczała i gwałtownie chlapnęła wodą. Manewr przekazania Boojiego został szybko wykonany, chociaż właściwe ułożenie go do zabiegu zajęło trochę czasu.

— Popatrz, co tu jest pod pierwszą warstwą skóry! — wykrzyknął Persellan i wskazał na gruby pokład tłuszczu pod twardą, przypominającą gumę zewnętrzną powłokę delfina. — Przypuszczam, że to normalne. Czasami bardzo grube gazele też mają podobną warstwę tłuszczu. Załóżmy, że wszystko jest w porządku. Żeby mnie tylko nie ugryzł. — Persellan nie przerywał swojego monologu, a T'lion wykazał dostatecznie dużo rozsądku, żeby nie odpowiadać na zadawane ciągle pytania. Uzdrowiacz, mrużąc ponuro o dziwnym zabiegu, zabrał się do nacierania brzegów rany oszałamiającym ziele. — Nie jestem pewien, czy to wniknie dostatecznie głęboko, by wywołać pożądany skutek, ale Mistrz Hodowli Rolnej zawsze korzysta z tego ziele opatrując ranne zwierzęta. Nie widzę powodu, dla którego ja nie miałbym zastosować go przy leczeniu tego morskiego stworzenia. — Początkowo jego manipulacje były bardzo ostrożne, lecz wkrótce ruchy zaczęły wskazywać, że nabiera pewności siebie, gdyż pacjent nie poruszył się ani nawet nie mrugnął w trakcie zabiegu.

T'lion, zorientowawszy się, jak może pomóc, zaczął swymi drobnymi palcami wcierać pastę w skórę wzdłuż brzegów rany.

— Jeszcze nigdy w życiu nie robiłem czegoś tak niesamowitego — krzyknął Persellan, przygotowując długą cieką igłę, używaną do zabiegów na smokach. Przed założeniem pierwszego szwu na chwilę zastygł w bezruchu. — Nawet nie słyszałem o czymś tak dziwnym, jak zakładanie szwów rybie...

— Boojie nie jest rybą — poprawił go, uśmiechając się, T'lion. — To ssak.

— Chwyć brzegi rany i spróbuj ją zamknąć.

Wykonanie polecenia Persellana nie było łatwe i pod koniec zabiegu napięte mięśnie T'lionia prawie odmawiały już posłuszeństwa, pomimo że uzdrowiciel pracował bardzo sprawnie. Wspólnym wysiłkiem dwaj mężczyźni zdołali zaszyć ranę.

— Długa na trzy dłonie... — stwierdził Persellan, mierząc szew, i potrząsnął głową. — Wątpię, czy przeżyje. Sam szok, jaki to wywołało... Chociaż z drugiej strony... słońca morska woda dobrze wpływa na gojenie się ran... — Ponownie pokiwał głową i zaczął zeskrobywać resztki krwi z rąk. Następnie podał szczotkę swojemu równie pokrwawionemu asystentowi. Umył i odłożył do skórzanego pokrowca igłę, a następnie schował ją wraz z resztą nici do zmoczonej torby uzdrowicielskiej.

— No, T'lionie, co teraz zrobimy z Boojim? Czy mamy go kurować tutaj, na płyciźnie? Od pasa w dół jestem zupełnie przemoczony.

— Afo, co teraz zrobimy? — zapytał T'lion, zauważywszy ją w gromadce delfinów otaczających Gadaretha, który ciągle jeszcze w swoich szponach trzymał Boojiego.

— Zrobiliście dobrze. Powiedz smokowi, niech puści Boojiego. My zająć się nim — Serią ostrych gwizdów rozstawiła swoich pomocników Gara, Jima i Tame, w czasie gdy Gadareth posłusznie i bardzo troskliwie obniżał swoje przednie łapy do takiej pozycji, w której Boojie swobodnie położył się na wodzie. T'lion odetchnął, kiedy zobaczył, jak młody delfin ledwo dostrzegalnym ruchem płetw zareagował na odzyskaną swobodę. Następnie koledzy ze stada podtrzymali go i skierowali w stronę pełnego morza.

— Dź'kujemy wam! Dź'kujemy wam! Dź'kujemy wam! — niespodziewanie rozległ się chór głosów, gdy cała grupa powoli odpływała na pełne morze.

— No, powiedz Natua, czy on się z tego wylize? — Zamiast odpowiedzi delfin wykonał piękny skok, który T'lion uznał za potwierdzenie. Obaj długo patrzyli w milczeniu, aż w dali znikły płetwy grzbietowe pacjenta i jego pielęgniarzy.

— Nigdy w życiu nie robiłem czegoś podobnego — pomrukiwał Persellan w czasie wychodzenia z wody. Następnie zrobił na plaży kilka kroków i wyciągnął się na ciepłym piachu. — Nawet nie wiem, czy wykonany zabieg okaże się wystarczający. W każdym razie starałem się, jak mogłem.

— Byłeś wspaniały, uzdrowicielu, i jestem ci za to bardzo wdzięczny — rzekł T'lion. — Gaddie, ty także odwalisz kawał dobrej roboty.

— Wiem o tym. Ja również nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiłem. Ale delfin żyje. To nasz wspólny sukces. Powiedz to uzdrowicielowi.

— Gadareth również bardzo cię chwali, Persellanie — szepnął T'lion z nieśmiałym uśmiechem.

Odpowiedziało mu głośnie chrapanie. Mała drzemka wydawała się być dobrym pomysłem, ale zachował jeszcze tyle zdrowego rozsądku, żeby zerwać dwa wielkie liście, często używane jako osłona przed palącymi promieniami słońca. Jednym przykrył Persellanowi twarz, a drugim sam się zasłonił.

Gadareth, ze skrzydłami ciasno przytulonymi do tułowia, pokręcił się trochę na gorącym piasku, a po chwili oparł głowę na przednich łapach i spokojnie zasnął.

## ROZDZIAŁ VII

Następnego dnia wczesnym rankiem Persellan przyłączył się do T'lionia i Gadaretha na plaży, gdzie młody jeździec smoków wydzwaniał sygnał wezwania. Chłopiec spędził bardzo niespokojną noc martwiąc się o Boojiego, a teraz ucieszył się widząc, że Persellan również troszczy się o swojego nietypowego pacjenta.

Jak tylko przebrzmiał ponad wodą ostatni dźwięk dzwonu, nad powierzchnię morza

wyskoczyły dwa delfiny i można było usłyszeć ich dochodzące z oddali popiskiwanie.

— Wydaje mi się, że te głosy brzmią szczęśliwie — powiedział, T'lion.

— Hmmm — mruknął w odpowiedzi Persellan, który osłaniając oczy dłońmi, wpatrywał się w powierzchnię wody odbijającą światło porannej zorzy.

— Pewnie wiesz, że polują i posilają się rano — poinformował go T'lion. — Jest to najlepsza pora na przywoływanie ich.

— Czy teraz będę zawsze wzywany do chorych delfinów?

T'lion przyjrzał się uzdrowicielowi, żeby zorientować się w jego nastroju. Jeszcze nie znał na tyle dobrze tego człowieka, żeby osądzić, czyjego zrzęczenie było autentyczne. Wcześniej rano większość ludzi bywa niezbyt grzeczna. Poranny zły humor uzdrowicieli z całą pewnością bywa uzasadniony, gdyż często wzywani są w najbardziej nieodpowiednich porach.

— A czy to bardzo by cię drażniło? — nieśmiało zapytał T'lion.

— Hmmm. To zależy. Temu stworzeniu rzeczywiście trzeba było zaszyć ranę. Jak często one się kaleczą? W jaki sposób do tego doszło?

— Niestety, niewiele wiem na ten temat. Większość delfinów ma blizny na całym ciele. Nie pytałem ich nigdy, skąd się one wzięły. Jeszcze nie osiągnęliśmy na tyle bliskiej zażyłości. Prawie wszystkie nasze rozmowy dotyczyły spraw podstawowych. Może mistrz Alemi coś o tym wie. Mogę go zapytać.

— Kim jest mistrz Alemi? — zapytał Persellan nie odwracając wzroku od zbliżających się delfinów.

— To Mistrz Rybaków w Siedlisku Rajskiej Rzeki. Właśnie on skierował moje zainteresowania na delfiny, a Assigi polecił mi dalej zajmować się tym problemem.

— Naprawdę? — Persellan z ciekawością spojrział na swego młodego towarzysza.

— O tak, wczorajsza wizyta nie była pierwszym spotkaniem, na którym składałem sprawozdanie Assigi.

— No, no!

Piski stawały się coraz głośniejsze i T'lion ocenił, że wyrażają radość, choć może tylko tak mu się wydawało, bo bardzo tego pragnął. Głęboko westchnął, a widząc zbliżające się do brzegu delfiny, zniecierpliwiony wskoczył do morza i brodził, aż woda doszła mu do pasa.

Złożył ręce wokół ust i zawołał:

— Jak się czuje Boojie?

— Heeej tak, heeej tak!

— Dobrze?

— Taaak, heeej, taaak! — chórem odparły delfiny, pędząc w kierunku brzegu. Przy swoim ostatnim skoku ochlapały T'lion, ale on zupełnie nie zwracał na to uwagi. Natua wynurzył swój pysk tuż przed twarzą jeźdźca smoków, a jego uśmiech wydawał się dzisiaj jeszcze pełniejszy. Opuścił dolną szczękę i znowu zapiszczał.

— Boojie bardzo dziękować. Dobrze jadł!

— Trochę pływać, jest lepszy!

— Powiedz im, że będę musiał usunąć Boojiemu szwy — zawołał Persellan, stojąc w płytkiej wodzie. — Czy delfiny mają poczucie czasu? Wiesz, nie chciałbym zostawiać tych szwów na zawsze. W przyszłości mogą kaleczyć mu ciało.

— Kiedy chcesz znowu zbadać Boojiego? — zapytał T'lion.

— Za siedmiodzień. Czy delfiny to rozumieją?

T'lion energicznie skinął głową i zaczął przekazywać tę instrukcję parze delfinów.

— Za siedem — T'lion wyciągnął odpowiednią ilość palców i po kolei stuknął nimi w nos Natuy — poranków Boojie ma się ponownie zgłosić do uzdrowiciela. Zrozumiano?

— Heej! Rozumiemy. Za siedem poranków!

— My powiadomić! — dodała Tana, cmokając na potwierdzenie.

— Dziękuję wam za zgłoszenie się — rzekł T'lion.

— Ty dzwonić. My przypląć. My obiecać — Powiedziawszy to Tana wykonała stójkę na powierzchni, energicznie pokiwała głową, gwałtownie uderzyła ogonem, wykonała skok w bok, zanurkowała i zaczęła szybko odpływać. Natua piszcząc podążył za nią.

— Słyszałeś, Persellanie? — zapytał T'lion, powoli wychodząc z wody. — Boojie jest ci bardzo wdzięczny. Już coś zjadł, a one zrozumiały, że mają tutaj z nim przypląć za siedmiodzień.

— Muszę się przyznać, że jestem głęboko usatysfakcjonowany, gdyż sam nie wiedziałem, czy to, co robiłem, w jakikolwiek sposób pomoże temu stworzeniu.

— Naprawdę dobrze się spisałeś, Persellanie!

— To było rzeczywiście zadziwiające zdarzenie. Muszę złożyć odpowiednie sprawozdanie... zaraz, zaraz, właściwie to komu powinienem je złożyć? Z pewnością nie Mistrzowi Rolników, gdyż sprawy morskie z pewnością nie leżą w jego kompetencjach.

— Mistrz Alemi twierdzi, że Główny Rybak Idarolan bardzo interesuje się delfinami.

— Więc dobrze, złożę raport jemu, ale także T'gellanowi oraz mistrzowi Oldive. Jego z całą pewnością zaciekawi ten przypadek. Wielu zupełnie nie będzie się tym interesować, lecz on bez wątpienia tak! — To stwierdzenie wyraźnie ucieszyło Persellana.

T'lion miał nadzieję, że wkrótce uda mu się spotkać z mistrzem Alemim i opowiedzieć mu wszystko o dzisiejszym spotkaniu i o sonarze delfinów. Chociaż, może jeszcze nic nie mówić o dziecku Mirrim... Z pewnością jednak warto go poinformować o tym, jak Persellan zszyl ranę Boojiego.

Upłynęło kilka dni, zanim T'lion miał okazję zatrzymać się w Siedlisku Rajskiej Rzeki. Wracał właśnie po odwiezieniu mistrza Fandarela do Zakładów Kowalskich w Telgar i nie widział żadnych przeszkód, żeby tego wieczoru nie spotkać się po drodze z Alemim. W porcie nie było żaglowca „Pomyślny Wiatr” ani dwumasztowca i jednomasztowca, którymi rybacy z Rajskiej Rzeki zazwyczaj wypływali na połowy. T'lion już miał nakazać Gadarethowi dalszy lot prosto do Strażnicy, gdy zauważył statek wpływający do następnej zatoki. Północne wybrzeże Kontynentu Południowego ma bardzo urozmaiconą linię brzegową. Zdziwiło go to, że statek nie skierował się na redę Rajskiej Rzeki. Czyżby pomylili miejsce przeznaczenia? Do tej drugiej zatoki także wpadała rzeka, choć znacznie mniejsza. Czy kapitan mógł wziąć tę zatokę za miejsce, w którym znajduje się Siedlisko? Zaciekawiony, poprosił Gadaretha o poszybowanie w tamtą stronę. To, co zobaczył w zatoce, wcale go nie uspokoiło. Jacyś ludzie w pośpiechu rozładowywali małe szalupy, a wiele skrzyń i innych pakunków znajdowało się już na brzegu. Czy Rajska Rzeka buduje nowe osady na swoich terenach? Kiedyś, w czasie obiadu w Strażnicy usłyszał, że coraz więcej ludzi pragnie się osiedlić na Kontynencie Południowym po ostatniej niezwykle ciężkiej zimie.

— Gaddie, trzeba to wyjaśnić z włodarzem Jayge — powiedział T'lion. Smok na te słowa natychmiast zniknął w przestrzeni pomiędzy, zanim, jak mu się wydawało, ludzie krzątający się na plaży mogli go dostrzec. Leciał z kierunku słońca, więc trudno było go zobaczyć. A na tym brzegu działo się coś dziwnie podejrzanego.

— Włodarzu Jayge, czy oczekujesz nowych osiedleńców? — zapytał T'lion, przedstawiając się i prosząc o wybaczenie za zakłócenie kolacji.

— Nie! — odparł Jayge, zmarszczył brwi i wstał od stołu. — Dlaczego o to pytasz?

— Bo w sąsiedniej zatoce stoi zakotwiczony statek i mnóstwo rzeczy wyładowano na brzeg. Pomyślałem sobie, że powinienes się o tym dowiedzieć.

— Istotnie powinienem, T'lionie. — Iskierki gniewu zabłysły mu w oczach. A może udało ci się zobaczyć powracający z rejsu „Pomyślny wiatr”?

— Nie, proszę pana. Po wyjściu z pozaprzestrzeni nie widzieliśmy żadnego z pańskich statków przy molo.

— Wiem, że jeźdźcy smoków nie powinni uczestniczyć w rozwiązywaniu lokalnych problemów Siedliska — stwierdził Jayge, dając T’lionowi znak ręką, żeby wyszedł z nim na taras. — Gdyby Alemi dowiedział się o tym... wtargnięciu, z pewnością pomógłby nam. — Popatrzył w kierunku zachodnim, gdzie zza horyzontu wystawał tylko maleńki fragment słońca. — Czy mógłbyś ocenić, ile osób było tam na plaży?

T’lion potrząsnął głową.

— Rozładowywali dwie małe szalupy, wszyscy byli w ciągłym ruchu.

— A ciebie dostrzegli?

— Nie. Nadlatywałem z zachodu, za sobą miałem tarczę słońca.

— To dobrze — Jayge podkreślił swoje słowa mocno ściskając ramię T’liona. — Pewnie tam było około ośmiu, dziesięciu ludzi, skoro mieli dwie łodzie. Jeżeli zaraz wyruszymy, powinniśmy dotrzeć i zatoki, kiedy wszędzie księżyc! Potrzebuję jednak posiłków od Alemiego. — Przerwał, oczekując reakcji T’liona.

— Nie uda mi się go odszukać na pełnym morzu — zaczął T’lion w którym pragnienie udzielenia pomocy Jaygemu walczyło z obawą przed nowymi nieporozumieniami z T’gellanem. A to byłoby nieuniknione, gdyby choć w najmniejszym stopniu zaangażował się w lokalne spory. Ktoś mógłby donieść, że jeździec zawiadomił Alemiego.

— Delfiny szybciej go znajdą — powiedział nieśmiało Gadareth z cienia, w którym odpoczywał.

— Delfiny! — krzyknął T’lion. — One znajdą Alemiego i poproszą, żeby natychmiast tu wracał.

— Dzielny chłopak! — Jayge poklepał go po plecach. — Te stwory rzeczywiście mogą się do czegoś przydać.

Chociaż T’lion wiedział, że nie jest to właściwy moment do informowania o nowo odkrytych zdolnościach delfinów, uważał jednak, że może skorzystać z ich usług.

— Natychmiast pojedę uderzyć w dzwon na molo — zawołał, biegnąc do swojego smoka.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, jeźdźcze smoka! — krzyknął za nim Jayge.

Gdy Gadareth wznosił się w ciemność nocnego nieba i kierował do ujścia zatoki, T’lion usłyszał, jak Jayge bije w alarmowy trójkąt.

Molo było dostatecznie długie, by pomieścić smoka, toteż Gadareth przywiózł T’liona pod samą dzwonnice. Chłopiec uderzył w dzwon z podobną energią, z jaką Jayge walił młotem w żelazny trójkąt. Zmierzch zawsze był dobrym czasem na wzywanie delfinów, które o tej porze oczekiwały na jakieś nowe rozrywki. T’lion układał sobie w głowie słowa, jakie delfiny na jego prośbę powinny przekazać Alemiemu.

Kib, Temp i Afo odpowiedziały na wezwanie.

— Kib, musisz odnaleźć Alemiego — powiedział T’lion, trzymając głowę delfina pod takim kątem, że mógł mu patrzeć w oko.

— Łatwo to zrobić. Jest niedaleko.

— Powiedz mu, że Jayge natychmiast potrzebuje pomocy w sąsiedniej zatoce. O tam — i T’lion wskazał ręką w odpowiednim kierunku.

— Tam gdzie jest statek?

— Widziałeś ich?

— Północny statek śmierdzi. Jest w złym miejscu?

— Głowę dam, że tak — odparł T’lion. — Wdzierają się na teren Siedliska Rajskiej Rzeki.

— Wdzierać się to nie dobre?

— Oczywiście. Ci ludzie nie robią nic dobrego dla Alemiego, Jaygego i Readisa.

T’liona zdziwiły tony wrogości w cmokaniu i popiskiwanii, jakie zaczęły wydawać delfiny. Miały niski dźwięk, brzmiący niemal jak pogróżka.

— Płyńcie odnaleźć Alemiego. Powiedzcie mu, że tutaj są kłopoty. Niech dotrze o wschodzie księżycy do sąsiedniej zatoki, żeby pomóc Jaygemu i jego ludziom.



Kib zakręcił się na ogonie i pomachał przednimi płetwami.

— Odnaleźć Alemiego. Powiedzieć kłopoty. Wschód księżyca. Wiemy gdzie! Płyniemy!

W jednym ze swoich niewiarygodnie zwinnych manewrów trzy delfiny równocześnie wyskoczyły wysoko w górę, obróciły giętkie ciała i z gracją wsunęły się do wody. Po chwili T'lion dostrzegł je znowu przez moment — były na powierzchni morza, płynąc z wielką szybkością, jakby dokładnie znały miejsce, do którego zmierzały.

— Prawdopodobnie wiedzą, dokąd mają płynąć — T'lion wyjaśnił Gadarethowi. — No, teraz to musimy jak najszybciej dotrzeć do domu, żeby ktoś się nie dziwił, dlaczego odwiezienie do domu Mistrza Fandarela zajęło nam aż tyle czasu.

— Po przywiezieniu go zostałeś zaproszony na posiłek — zauważył Gadareth, gdy T'lion sadowił się pomiędzy wyrostkami na szyi smoka.

T'lion zaśmiał się i poklepał go.

— Masz rację, a posiłek był bardzo dobry. Brałem dokładki! No, lecimy do domu!

W kilka dni później, w trakcie obiadu w Wielkiej Sali w Strażnicy, T'lion usłyszał, że grupa ludzi z północy została siłą usunięta z terenów Siedliska Rajskiej Rzeki. Kapitan statku, który ich przewoził, został surowo ukarany i pozbawiony dowództwa. T'lion niewinnie zapytał o szczegóły tego wydarzenia.

— Znam to miejsce, często tam latałem — powiedział T'lion. — Żyją tam przyjemni ludzie.

Dowiedział się, jak sprytnie włodarz Jayge z niewielką grupką swoich ludzi wynurzył się z lasu, zaskoczył intruzów we śnie w ich naprędce rozbitym obozie, i wszystkich związał. Mistrz Rybacki z Rajskiej Rzeki Alemi wraz ze swymi rybakami dostali się na statek intruzów i wspólnie z załogami z Zakładu Rybackiego odwieźli niepożądanych gości do Portu Ista, gdzie statek został zarekwirowany, a jego załoga i pasażerowie przetransportowani do Ingen, punktu, z którego rozpoczęli swoją wyprawę. Lord Włodarz Laudley z Ingen nie był zachwycony tą ekspedycją, a mężczyźni i kobiety biorących w niej udział skazano na pracę w kopalniach. Całe wydarzenie zostało szeroko nagłośnione przez harfiarzy, wraz z wynikającą z niego nauką, że ci, co pragną osiedlić się na Kontynencie Południowym, powinni najpierw postarać się o odpowiednie zezwolenie.

— Na pewno nastąpią dalsze, podobne próby — stwierdził V'line. — Siedlisko Rajskiej Rzeki przeżywało już tego rodzaju problemy.

— Czy masz na myśli samozwańczą Damę bez Siedliska Thelle, która zaatakowała tamte ziemie kilka Obrotów temu? — zapytał jeden z dowódców eskadr.

— No, to było najgorsze wydarzenie — odparł V'line.

— Strażnice nie powinny się wtrącać w sprawy siedlisk — powiedział jeździec brązowego M'sur i groźnie zmarszczył brwi. — Wystarczy, że ciągle przewozimy ludzi na Ładowisko i z powrotem. — Skinął w stronę T'lionia. — Nie mówiąc o tym, że bez przerwy badamy każdy centymetr kwadratowy tego kontynentu, przygotowując się do ostatecznej rozprawy z Nićmi.

T'lion wzruszył ramionami i uśmiechnął się, kiedy kilku innych jeźdźców spojrzelo na niego. Nikt nie zauważył jego późnego powrotu tamtej nocy, o której właśnie była mowa. I, prawdę mówiąc, oficjalnie wcale nie był zaangażowany w tę sprawę. Zrobiły to delfiny! Ale kto to będzie wiedział?

Lord Toric, usłyszawszy o próbie nielegalnego osiedlenia, uśmiechnął się. Dopóki to nie dotyczyło jego zazdrośnie strzeżonego Siedliska, po prostu bawiło go, że coraz więcej osób pragnie dostać się na Kontynent Południowy, ignorując edykt komendantów z Benden, pozwalający ludziom emigrować wyłącznie do miejsc przez nich zatwierdzonych. Ten fakt potwierdzał tylko wcześniejsze podejrzenia Torica, że komendanci tak naprawdę najlepsze tereny rezerwują dla jeźdźców smoków. Miał nadzieję, że niektóre z tych prób zakończą się

kiedyś sukcesem. Ludzie muszą mieć jednak świadomość, że warunkiem przetrwania na zasiedlanych terenach jest konieczność podjęcia bardzo ciężkiej pracy. Zupełnie nie martwiło go niebezpieczeństwo śmiertelnych zatruc osiedleńców, skuszonych do próbowania egzotycznych i słodko pachnących miejscowych owoców. Nie przejmował się także groźnymi, wygłodzonymi dzikimi zwierzętami, które z łatwością mogły powalić dorosłego mężczyznę — za najbardziej zdradzieckie dla przyszłych osiedleńców uważał zatrute kolce oraz choroby lokalne. Toric reprezentował opinię, że najodporniejsi przeżyją, a ci, którzy zginą, nie zasługują nawet na to, żeby ich opłakiwać. Najbardziej zaś drażniła go pewność komendantów, że posiadają prawo do dzielenia południa, gdy dochodziło do dawania komuś działki. Wynikało to z faktu znalezienia jakichś starych dokumentów opisujących sposoby zasiedlania terenów przez Starożytnych. Ziemia powinna należeć do tych, którzy są dostatecznie silni, by się na niej utrzymać i odpowiednio ją zagospodarować.

Później nastąpiło to nikczemne spotkanie komendantów i Lordów Włodarzy, w którym nie mógł uczestniczyć, gdyż właśnie zajmował się usuwaniem sprzedawczyka Denola z Wyspy Ierne. To wówczas ci zniewieściali lordowie ustanowili prawo jeźdźców smoków do decydowania o rozdrapywaniu Kontynentu Południowego. „Z szacunku za usługi, jakie jeźdźcy smoków oddali Siedliskom i Cechom w czasie długich stuleci Opadów Nici”. Jak gdyby dziesięcina płacona na leniwych jeźdźców nie była wystarczającym zadośćuczynieniem dla smoków za robienie tego, do czego zostały stworzone. Nie należały się również jeźdźcom smoków te odprawy, którymi tak hojnie byli obsypywani.

Toric wpadł w straszliwy gniew, kiedy dowiedział się o tej decyzji, szczególnie że została podjęta za jego plecami. Gdyby mógł wówczas uczestniczyć w spotkaniu, nie dopuściłby do zatwierdzenia takiego edyktu. Największym powodem do obrazy było to, że Lordowie z Północy nie czekali na jego przybycie na spotkanie, na którym to wszystko zostało omówione i żałośnie przeprowadzone, a przecież on był głównym zainteresowanym, jako jedyny potwierdzony Lord Włodarz Południa. Poza tym był Lordem Włodarzem znacznie dłużej niż ktokolwiek inny na Pomocy, nie wyłączając Telgara, odbycie więc takiego spotkania pod jego nieobecność zakrawało na absurd. Oczywiście to komendanci zaplanowali wszystko w ten sposób, gdyż wiedzieli, że będzie protestował. Gdyby został uprzedzony, na pewno zdołałby przekonać kilku niezdecydowanych idiotów, którzy otrzymali swe tytuły przez pomyłkę i bez wątplenia nie potrafiliby przetrwać na południu nawet przez jeden sezon. On doprowadziłby do tego, że Kontynent Południowy stałby otworem dla ludzi z charakterem, potrafiących przetrwać w każdym terenie, którzy zwracaliby się z prośbą o potwierdzenie ich praw do całej Rady Lordów, a nie do obecnych komendantów. Przecież nie jest sprawą jeźdźców decydowanie, kto i gdzie będzie włodarzył. W każdym razie istniejący stan rzeczy nie mieścił się w pojęciach wyznawanych przez Torica.

Na ścianach jego sypialni i gabinetu rozwieszono były wielkie mapy Kontynentu Południowego. Jedna z nich kosztowała go wór marek. Było to przestrzenne przedstawienie południa — terenów rozciągających się aż po granice horyzontu. Widok ten denerwował go najbardziej, gdyż stanowił namacalny dowód tego, jak został oszukany. Kobieta komendant pokazała mu tylko mały skrawek Kontynentu i razem z F'larem wmanewrowali go w wyrażenie zgody na przyjęcie terenu pomiędzy dwiema rzekami. Okłamano go, dając mu do dyspozycji tak maleńką część, gdy mógł dostać znacznie, znacznie więcej. I tych dwoje komendantów wiedziało o tym. Co prawda, nawet własna żona usiłowała go przekonać, że żadne z nich nie mogło znać rozległości ziem południa, bowiem prawdziwą wielkość Kontynentu poznano dopiero wtedy, gdy po opłynięciu go spotkali się ze sobą mistrz Idarolan z mistrzem Rampesim — jeden nadpłynął ze wschodu, a drugi z zachodu. Toric nie dawał się przekonać. Pragnął mieć więcej, i gdyby komendanci nie pokrzyżowali mu planów przez to przekłete spotkanie, na pewno miałby więcej. Szczególnie że jeźdźcy smoków nie pomogli mu odzyskać dużej wyspy opanowanej przez Denola. Tego nie był w stanie nigdy przeboleć.

A teraz, gdy wszyscy troszczyli się o ścisłe wykonywanie poleceń Assigi, tej dziwnej maszyny, musiał zdobyć się na cierpliwość. Ważną rolę w jego planach na przyszłość odgrywało uwolnienie po wsze czasy Pernu od niebezpieczeństwa opadu Nici. Pozwolił nawet swojemu bratu Hamianowi, Głównemu kowalowi Siedliska, na poświęcenie całego czasu konstruowaniu i eksperymentom z nowymi maszynami potrzebnymi do zwalczania tego latającego zagrożenia. Miał też informatorów rozmieszczonych w rozmaitych miejscach, dowiadywał się więc o wszystkich ważnych wydarzeniach na Ładowisku. Pojawiał się tam zawsze, kiedy właśnie dyskutowano o zasadniczych problemach. Przy okazji wyszukiwał ludzi, którzy mogli w przyszłości okazać się mu przydatni. Jeżeli — i tutaj Toric miał pewne wątpliwości — Assigi zdoła dokonać tego, co obiecał, a mianowicie usunąć z planety Nici.

Zaczął już przygotowywać swoje plany, podsycane wrogością do komendantów z Benden. W jego notatkach znajdował się zapis o badaniach, jakie wzdłuż wybrzeży prowadził młody Piemur. Sam również podjął kilka wypraw na tyle krótkich, by jego nieobecność nie wzbudzała podejrzeń, i w terminach, kiedy nie groziła mu obserwacja ze strony jeźdźców smoków. Osobiście pragnął wyznaczać ludzi na miejsca, które zamierzał obsadzić, by mieć za sobą dostatecznie dużą ilość Siedlisk. Zakładał, że po zwalczeniu Opadu Nici wdzięczni Toricowi Lordowie Włodarze zapewnią mu przewagę głosów nad tymi idiotami z północy. Ale wszystko to zmaterializuje się, gdy nadejdzie właściwa pora... Uśmiechnął się znowu. Dominacja Strażnic nad Kontynentem Południowym zostanie poważnie ograniczona. Nie wątpił, że uzyska poparcie wśród Lordów Włodarzy, szczególnie po przedstawieniu dokumentu Starożytnych usprawiedliwiającego tę akcję. Tak, tak, kiedy nadejdzie właściwa pora...

Nazajutrz miał minąć siódmy dzień, czyli termin, w którym Boojie powinien zgłosić się do Persellana. Uzdrowiciel i jeździec dotarli na plażę o pierwszym brzasku i zobaczyli, jak rozdokazywane delfiny płyną w kierunku brzegu.

— Mam nadzieję, że Boojie nie jest jednym z tych wesołych skoczków — powiedział Persellan zrzędliwym tonem. — Porozrywa szwy, a ja nie będę go zszywał powtórnie.

T'lion uderzył kilkakrotnie w dzwon, aby mieć pewność, że ich obecność zostanie dostrzeżona. Następnie razem z Persellanem, ubranym w krótkie spodnie i niosącym na ramieniu mały worek z niezbędnym wyposażeniem, weszli do wody na spotkanie zbliżających się morskich stworzeń.

Jedno, płynące wprost na nich, zatrzymało się i obróciło na plecy. Pod samą powierzchnią morza na boku delfina ciągnęła się długa, świeża blizna.

— Gaddie, pewnie znowu będziemy cię potrzebowali... — zaczął T'lion.

— Nie, nie wydaje mi się, żebyśmy musieli trudzić Gadaretha — odparł Persellan. Delfin spokojnie leżał na wodzie, dobrze eksponując zranione miejsce do zabiegu usunięcia szwów. — Masz, придержи mi to. — Uzdrowiciel wyciągnął z worka nożyczki o tępych końcach i wręczył je T'lionowi. Potem doskonale wyszkolonymi palcami obmacał bliznę i w zamyśleniu zaczął coś mrużyć, a na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia i satysfakcji. — Rana świetnie się zamknęła, ani jeden szew nie pękł ani się nie rozciągnął. Gdybym wiedział, że tak szybko zdrowieją, mógłbym mu wcześniej zdjąć szwy. Zdziwiające.

— Dzięki słonej wodzie?

— Możliwe, ale to również wynik niezwyklego zdrowia, jakim się cieszą te dzikie istoty. Powiedz mu, żeby się teraz nie ruszał, bo nie chciałbym go pokłuć.

T'lion nachylił się nad głową Boojiego, zauważył żywe spojrzenie jego oka i poklepał go po czole.

— Leż tak spokojnie, jak tylko ci się uda, Boojie, to nie będzie bolało.

Boojie opuścił szczękę, pokazując w ten sposób, że zrozumiał, o co chodzi. T'lion o mało nie przewrócił się do tyłu, gdy pysk następnego delfina wynurzył się z wody przy samej

głowie Boojiego. Nie zauważył obecności drugiego ssaka, którym była prawdopodobnie Tana.

— Zabierz dłoń, T'lionie, chcę się upewnić, czy wszystkie szwy zostały usunięte.

T'lion zastosował się do prośby. Persellan pochylił głowę, żeby dobrze obejrzyć zagojoną ranę.

— Hmm! Tak, to nadzwyczajne. Chyba będę musiał zalecać innym pacjentom pływanie, lub co najmniej zanurzanie się w tutejszej wodzie ze względu na jej lecznicze właściwości. Jesteś zuch, Boojie! Okazałeś się wspaniałym pacjentem. Gdzie mam cię podrapać?

— Nie tutaj! — szybko powiedział T'lion i złapał Persellana za rękę, znajdującą się nieprzyzwyczajnie blisko intymnych organów delfina. — O tu, pod brodą, one to bardzo lubią.

Persellan pogłaskał Boojiego.

— Byłeś wzorowym pacjentem, chciałbym, żeby wszyscy ludzie zachowywali się równie dobrze. Trzeba przyznać, że nie musiałem cię doglądać na twoim wodnym oddziale, prawda? — mruczenie Persellana stopniowo przechodziło w chichot. — Jeźdźcy smoków też nie lubią, kiedy każe im się leżeć w łóżku! — Uzdrowiciel zrobił krok do tyłu, gdy nagle Boojie wyskoczył z wody i ich oczy znalazły się naprzeciwko siebie.

— Dziękuję ci, Peerrrrsss-lanie — wyraźnie powiedział Boojie i entuzjastycznym piśnięciem zaakcentował swoją wypowiedź.

— Byłeś bardzo miłym pacjentem, Boojie. Naprawdę cieszę się, że mogłem ci pomóc — odparł Persellan i lekko się skłonił w stronę delfina.

— Muszę przyznać, iż ludzie — pacjenci nie zawsze mi dziękują. Wiesz, T'lionie, wydaje mi się, że po tym wszystkim chętnie zostałbym uzdrowicielem delfinów. Chyba powinienem sprawdzić u Assigi, jakie ma informacje na temat chorób delfinów i sposobów ich leczenia.

T'lion uśmiechnął się, oddając uzdrowicielowi worek z narzędziami, i razem ruszyli w stronę brzegu.

— Nie widzę powodów, dla których nie miałbyś tego zrobić. Im więcej dowiemy się od Assigi, tym lepiej. Czy kontaktował się z tobą mistrz Oldive? — zapytał T'lion.

— Tak, rzeczywiście, i zrobił to w bardzo miły sposób. Dziwnym trafem to Cech Harfiarzy, a szczególnie Główna Harfiarka Menolly, poparł moje propozycje. — Persellan pytającym wzrokiem spojrzął na T'liona.

— Była w Siedlisku Rajskiej Rzeki, a Alemi jest jej bratem. Mógł powiedzieć siostrze o tym, co robi z delfinami.

— A co on takiego robi?

— Mniej więcej to samo, co ja — poznaje je i uczy naszych słów.

— Ale przecież one już je znają...

— Nie, znają słowa takie, jakich ludzie używali niegdyś — stwierdził T'lion, z trudem opanowując śmiech na widok zakłopotania uzdrowiciela. — Nasza mowa uległa pewnym zmianom od czasów, w których nauczyliśmy jej delfiny.

— To język ulega zmianom w miarę upływu czasu? — zapytał z oburzeniem Persellan.

— Tak mi powiedział Assigi.

— Jak najeźdźca, który nawet jeszcze nie walczył z Nićmi, wydajesz się mieć znakomite koneksje.

— Ja? Persellanie, to przesada. Po prostu zdarzało mi się przewozić kilku ludzi w różne miejsca — powiedział T'lion, jakby chciał się usprawiedliwić. Zależało mu na tym, żeby Persellan nie wziął go za samochwałę. To ja właśnie przewoziłem mistrza Alemiego, gdy bił w ten stary dzwon, który wydobyli z Zatoki Monako. Jego dźwięk był wezwaniem dla delfinów. W taki sposób zaczęła się moja przygoda z tymi stworzeniami.

— Jednakże ty sam zainstalowałeś dzwon tutaj.

— Assigi kazał mi to zrobić. Moim zadaniem jest pomoc w policzeniu delfinów żyjących na naszej planecie.

— Dobrze się wywiązujesz ze swoich obowiązków. Hmm, a co Gadareth myśli o tym wszystkim?

— Uzdrowicielu, widziałeś to na własne oczy. Bardzo chętnie pomagał nam w czasie zabiegu Boojiego.

— No, rzeczywiście. — W międzyczasie wyszli na polankę otaczającą Wielką Salę Strażnicy. — Dobrze, w przyszłości zawiadamiaj mnie, jeżeli będą potrzebowały zszycia ran lub innej pomocy. Potrafią być wdzięczne podobnie jak smoki! — Następnie prychnął lekceważąco i ruszył w kierunku swojej kwatery.

W Siedlisku Fort Menolly, Sebell i mistrz Oldive wraz z dwoma jego czeladnikami szli w kierunku miejscowej przystani.

— Niezwykle mnie intryguje fakt, że nikt... — mistrz Oldive przerwał na chwilę dla podkreślenia swych słów — ...nigdy nie uznał za stosowne ustalić, dlaczego ten dzwon nazywano „Dzwonem Delfinów”.

Menolly roześmiała się. Była w dobrym humorze, bo sprawiło jej przyjemność wyrwanie się z siedziby Cechu Uzdrowicieli i spacer w łagodnym powietrzu przedwiośnia. Cieszyło ją badanie przeszłości, szczególnie że ta sprawa mogła choć na chwilę oderwać Sebella od jego coraz cięższych codziennych obowiązków Głównego Harfiarza. Ostatnio zupełnie nie mieli dla siebie czasu, od kiedy cała działalność i wysiłki ludzi na planecie zostały zaangażowane w plan Assigi pozbycia się na zawsze Opadów Nici na Pernie.

— Jestem pewna, że zapisy w rejestrach Cechu Uzdrowicieli zawierają niejedną zagadkę.

— Tak, masz rację — odparł ze śmiechem mistrz Oldive. — Nawet najbardziej czytelne pozycje zawierają odniesienia do procedur dobrze znanych autorom, które jednak zostały zapomniane w ciągu stuleci. Na szczęście Assigi wyjaśnia nam coraz więcej spraw — westchnął i zamyślił się. Następnie jakby otrząsnął się z nurtujących go rozmyślań i z ożywieniem zapytał: — Czy potrafiłabyś porozumieć się z delfinami, jeżeli któryś z nich zgłosiłby się na wezwanie?

— Brat powiedział mi, że delfiny wyjawily mu swoje przywiązanie do tradycji. My natomiast wiemy o istnieniu delfinów w tych wodach. Powinniśmy więc wydzwonić odpowiedni sygnał i czekać, co z tego wyniknie.

— Spodziewam się ich przybycia — powiedział Oldive i ciężko westchnął. — Jeżeli, tak jak twierdzi Uzdrowiciel Strażnicy Persellan, potrafią wskazać anomalie wewnątrz ludzkiego organizmu dzięki tym swoim uzdolnieniom sonarowym, to może uda mi się zdiagnozować trzy zagadkowe przypadki, które bardzo mnie zaniepokoiły.

Menolly odezwała się cichym głosem, żeby jej słowa nie dotarły do uszu idących z tyłu czeladników. — Masz ciągle kłopoty z przekonaniem ludzi twojego zawodu do zabiegów „chirurgicznych”, jakie zalecają starodawne zapisy?

— Niestety — komentarz Oldivego płynął z głębi serca. — Dopuszczono stosowanie cesarskiego cięcia, by móc wydobyć noworodka z łona matki, a także można usuwać ślepą kiszkę, lecz żadne inne poważniejsze zabiegi, o których mówi Assigi, wymagające dotarcia w głąb ciała ludzkiego, nie są obecnie dozwolone. Co prawda Assigi twierdzi, że nawet w Starożytności były one stosowane tylko jako środek ostateczny. A poza tym nie mamy takich lekarstw, które pozwalały leczyć lub powstrzymywać rozwój chorób nękających niektórych ludzi, jakimi dysponowali Starożytni.

Doszli do nabrzeża, gdzie powitał ich Główny Rybak Curran i polecił członkom swojej załogi zaopiekować się biegusami, z których zsiadli jeźdźcy. Menolly zauważyła w porcie pięć statków — wszystkie, jakie liczyła rybacka flota Fortu. Skrzywiła się. Nie przewidywała spotkania z tak dużą widownią, jednakże zmuszeni byli uprzedzić Currana o swojej całodziennych wyprawie.

Mistrz Idarolan poinformował go o inteligencji delfinów. Sebell także rozpowszechniał

informacje na ten temat, lecz spotykał się z wyraźnym sceptycyzmem, szczególnie ze strony osób zamieszkałych w głębi łądu, które nigdy nie widziały delfinów eskortujących statki.

— Czeka was długa przejażdżka w chłodzie, więc proponuję wam co najmniej po kubku kłahu, zanim zaczniecie bić w jakiegokolwiek dzwony — odezwał się jowialnie Curran, zapraszając ich gestem do wejścia do wnętrza domu stojącego na niewielkim wzniesieniu w pobliżu morza. Drugi, mniejszy budynek znajdował się na poprzecznym pomoście zbudowanym w kształcie litery T i zajmował go kierownik przystani.

Menolly, którą zawsze nękały wyrzuty sumienia, kiedy znajdowała się daleko od dzieci, wolałaby nie tracić czasu, ale dobre wychowanie nakazywało skorzystać z zaproszenia. A poza tym kubek gorącego kłahu bardzo kusił. Po długiej jeździe wierzchem była nieco zeszywniała, gdyż ostatnio miała mało okazji do tego rodzaju ćwiczeń. Niemal rozdrażniła ją łatwość, z jaką poruszał się Sebell, który nieustannie jeździł na biegusach lub smokach.

Poczęstowano ich nie tylko kłahem, co stanowiło bardzo ładny gest ze strony Currana oraz jego żony Robiny. Na stole pojawiły się ostro przyprawione rolady z małych rybek, ikra rybia na zimno na okrągłych tartinkach, gorący, aromatyczny kłah i miseczki ostro przyprawionego chowderu. Mistrzowie i czeladnicy, tak samo głodni, zabrali się żwawo do pałaszowania podanych przysmaków. Nawet mistrz Oldive zjadł sporą porcją.

Wreszcie mogli wyruszyć na długie molo, a za nimi ciągnął tłum zaciekawionych rybaków i mieszkańców Siedliska. Menolly powinna się domyślać, że dla tych ludzi będzie to prawdziwe wydarzenie po długiej i nudnej zimie. Każdy z nich wynajdował jakiś pretekst, by uczestniczyć w imprezie stanowiącej miłe urozmaicenie w rutynie ich dnia powszedniego. Wszystko zapowiadało się bardzo interesująco. Gdy tylko siostra Alemiego wyszła przed dom, Beauty, Diver i Rocky sfrunęły z dachu. Beauty usiadła jej na ramieniu, a Diver i Rocky polatywały nad nią. Jeszcze pięć innych latających jaszczurek dołączyło do nich, chociaż Menolly doskonale zdawała sobie sprawę, że nie były w stanie pojąć, co się będzie działo w tym dniu.

Dzwon delfinów umieszczono w nowej dzwonnicy — zapach środka impregnującego drewno ciągle jeszcze drapał w gardle pomimo lekkich podmuchów bryzy. Sam dzwon został wypolerowany na wysoki połysk.

— Dorobiliśmy nowe serce — powiedział z dumą Curran. — Musieliśmy namówić mistrza Fandarela do odłożenia innych zleceń, żeby nasze zamówienie wykonał na czas.

— Chciałbym wiedzieć, jak ci się udało tego dokonać, mistrzu Curranie — dorzucił Oldive, cierpko się uśmiechając.

— Jak długo dzwon pozbawiony był serca? — zapytał Sebell spokojnym, uprzejmym głosem, który zazwyczaj tak bardzo mu pomagał w uzyskiwaniu informacji.

Curran podniósł w górę swoje silne ramiona od lat zaprawione w ściąganiu sieci i trzymaniu szotów.

— Ach, nie miał go już, gdy zostałem tu mistrzem.

— A czy twój mistrz tego nie zauważył? — Sebell dopytywał dalej, mrugając oczyma.

— Myślę, że zwrócił na to uwagę, ale pewnie przejął go już w takim stanie — stwierdził lekko zakłopotany Curran.

— Dzwon z Zatoki Monako także pozbawiony był serca — dodał Sebell, pragnąc uspokoić swojego rozmówcę, Menolly jednak zauważyła, że jej mąż nie powiedział, iż Dzwon z Monako przeleżał na dnie morza setki lat. — Na szczęście ma już nowe i może być wykorzystywany zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem. Menolly, czy przyjmiesz ten zaszczyt?

— Z największą przyjemnością — powiedziała Menolly i chwyciła za koniec sznura. — Wydaje mi się, Curranie, że dzwon delfinów powinien służyć im również do wzywania ludzi, żeby mogli wysłuchać ich sprawozdań.

— Ach, tego nie wiedziałem — powiedział zdziwiony Curran. — Co powinienem zrobić,

kiedy delfiny uderzą w dzwon?

Menolly uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

— Po prostu musisz zapytać o przyczynę wezwania. W ten sposób upewnią się, że dzwon znowu działa jak niegdyś. — Silnie szarpnęła sznurem, a następnie zaczęła wydzwaniać sygnał wezwania, którego nauczył ją Alemi. Miała nadzieję, że dzwonienie przyniesie pożądaną efekt, gdyż w przeciwnym razie Curran może uznać, iż niepotrzebnie marnował czas i swoje wysiłki, nie wspominając już o niepotrzebnym ponaganiu Głównego Kowala. Pozorując dłuższą sekwencję sygnału, wydzwoniła go powtórnie. — Alemi ma znakomite wyniki połowów, odkąd zaczął korzystać z informacji dostarczanych przez delfiny. Udało mu się również uniknąć zaskoczenia przez te przerażające sztormy, które panują na południowych wodach.

— Patrzcie! — zawołał jeden z rybaków, który przyszedł z nimi na molo. Beauty, siedząca na ramieniu Menolly, wydała przeszywający uszy pisk. Rocky i Diver odleciały sprawdzić, co się dzieje.

Zaczęto wyciągać z kieszeni dalekowidy, żeby wspomóc wzrok.

— Płetwy — krzyknął starszy mat z załogi Currana. — Jakies pół tuzina... nie, jest ich więcej. Płyną ze wszystkich stron. Podążają w naszym kierunku!

Curran sięgnął po dalekovid mata i patrzył na otwarte morze. Beauty rozpostarła skrzydła, zawadzając nimi o zimową czapkę Menolly, która musiała ją przytrzymać, żeby nie wpadła do morza.

— Spokojnie, Beauty, już widziałaś delfiny.

Beauty zaćwierkała, lecz posłusznie złożyła skrzydła i zamrugła swymi jasnoniebieskimi oczami.

— Urządzają dla nas wspaniały pokaz — powiedział Curran i uprzejmym gestem podał Menolly dalekovid. Uśmiechnęła się i ruchem ręki wskazała na Sebella, który jeszcze nigdy nie miał okazji obserwowania stada przybywającego na wezwanie uświęcone całymi wiekami tradycji. W jaki sposób te stworzenia zachowały w pamięci zwyczaje sprzed tak wielu wieków? A może delfiny też mają rodzaj własnych harfiarzy? Przywódców stad?

Obserwując tę scenę, Sebell aż wstrzymał oddech.

— Och, one tak szybko się poruszają i wykonują tak wspaniałe skoki... a jeden z nich zrobił w powietrzu piękne salto.

— Wydają się być zachwycone, że znowu usłyszały bicie dzwonu — wtrąciła Menolly z nostalgicznym półuśmiechem i ze ściśniętym sercem. Jakże delfinom musiało być przykro, kiedy je lekceważono i ignorowano ich zdolności, a mimo to w ciągu długich stuleci robiły, co tylko mogły, żeby pomagać ludziom. Będzie musiała napisać dla nich specjalną pieśń. Naprawdę specjalną pieśń o lojalności i radości.

Wkrótce do zgromadzonych na przystani obserwatorów dotarły wesołe piski.

— W jaki sposób one mogą mówić? — zapytał Curran.

— A jednak potrafią — odparła Menolly — tylko posłuchaj. — Spojrzała na Sebella, który stał obok niej sztywno wyprostowany i figlarnie się uśmiechał. — Pomimo wszelkich wysiłków czynionych przez nas, harfiarzy, język ulega jednak nieustannym zmianom, a delfiny przystosowują się do nowych słów.

Sebell rzucił jej gorzkie spojrzenie za tę tak dobrze mu znaną drwinę. Menolly parsknęła śmiechem, widząc zakłopotanie harfiarza wynikające z tego, że Cech dążył do zachowania „czystości języka”.

— Ja jednak przypuszczałem... — zaczął Curran i przerwał, żeby odkasznąć.

Całe stado zmieszało się teraz z przednią strażą i widzowie nie mogli nawet w przybliżeniu policzyć delfinów, które wesoło wyskakiwały w powietrze i zręcznie nurkowały.

— Gdzie jest łódź? Powinniśmy się znaleźć blisko nich — zapytała Menolly. Curran wskazał na znajdującą się z boku drabinkę. Wychylając się za krawędź mola, Menolly

zobaczyła długą łódkę kołyszącą się na cumie. Curran poprowadził Menolly i kierował jej krokami ostrożnie, by bezpiecznie mogła wsiąść do łodzi podskakującej na falach. Była to jednostka przeznaczona do przybrzeżnych połowów, zdolna do zabrania na pokład sporej ilości ludzi. Następnie zajęli w niej miejsca ci, których najwyraźniej Curran wyznaczył do wzięcia udziału w tym podniosłym wydarzeniu. Ledwo usiedli, kiedy pierwszy delfin wynurzył głowę ponad wodę.

— Dzwonon bić. Miii przyjsć! Dzwonon nie bić długo, długo! — zapiszczało stworzenie, a obok niego wynurzały się inne niecierpliwie głowy, nawzajem się przepychając, żeby móc zobaczyć ludzi w łódce.

— Jak się nazywasz? Ja jestem Nolly — powiedziała Menolly, przechylając się przez burte i wyciągając rękę, by podrapać pod brodą butelkonosęgo.

Delfin w ekstazie przyjmował pieszczotę, z wielkiego zadowolenia opuszczając szczękę do wody.

— Inka! Inka! Przywódczyni stada. Inka!

— O, do licha! — zawołał Curran, a inni rybacy zaczęli wydawać podekscytowane pomruki.

— To jest Curran — przedstawiła go Menolly. — Główny Rybak.

— Miii wiedzieć — odpowiedziała Inka.

— Podrap mnie — pisnął inny delfin, wynurzając się z wody tak, że jego pysk znalazł się na wysokości oczu Głównego Rybaka, co go bardzo zaskoczyło.

— Podrapmnie? — zapytał Curran.

— Drap! Drap! Żawna sobo.

— Żawna sobo? — powtórzył zdziwiony Curran.

— Może chciał powiedzieć „ważna osobo”? — domyślił się Sebell i wyciągnął rękę, żeby zwabić do siebie innego delfina. Jeden z nich natychmiast wychylił się nad wodę i wyciągnął w jego kierunku płetwę.

— Jak się nazywasz? — zapytał. — Tak, tak, imię człowieka? — słowa wyraźnie były wypowiedziane tonem pytającym.

— Sebell, Sebell. Tak jest!

— Sebell! Sebell, Nolly, Curran — odezwały się chórem delfiny swoimi dziwnymi głosami.

— Oldive — powiedziała Menolly, otaczając ramieniem Głównego Uzdrowiciela. — Uzdrowiciel, medyk!

— Me-dyk! Medddyk! — Delfiny zaczęły dzielić się pomiędzy sobą tą informacją. Szare ciała tłoczyły się wokół łodzi i wielkich pali mola. — Oll-diiive, meedyk! — Po tej prezentacji nastąpiła seria egzaltowanych pisków i cmokania. Woda wokół łodzi była wzburzona, tak wiele stworzeń równocześnie zmieniało pozycję w celu przyjrzenia się uzdrowicielowi. — Tyyy uzdrawiać? Tyyy wycinać ryyybawki?

— To jest wspaniale — powiedział Oldive zdziwiony, że stał się ośrodkiem zainteresowania tylu wychylających się z wody wesółych pysków.

— Tyyy uzdrawiać? — powtórzył delfin i zwrócił się do Menolly z prośbą o wyjaśnienia. — Wycinać rybawki?

— Ryby-pijawki. Są to pasożyty, które trzeba im wycinać — wyjaśniła Menolly. — Alemi usuwa je wszystkim potrzebującym ze swojego stada. Niestety, one same nie potrafią się ich pozbyć.

— Nie dziwię się, przecież mają tylko płetwy pozbawione palców. W jaki sposób mógłbym...

— Które z was mają rybawki? — zapytała Menolly, i od razu cztery delfiny z piskiem zaczęły się przepychać w jej kierunku. Miała okazję do przestudiowania taśm Assigi i teraz dała znak delfinom, żeby ułożyły się na boku.



— Ach, już widzę, o co chodzi — powiedział ze współczuciem Oldive. — To musi je bardzo boleć. Chyba należałoby użyć ostrego noża.

— Nożzza! Nożzza! — potwierdziły delfiny znajdujące się najbliżej i pokazujące swoje brzuchy. Kiwały się z boku na bok i powtarzały — wyyciąć rybawki.

— Mam nadzieję, że wiedzą, o co im chodzi... — stwierdził Oldive. Wyciągnął z pochwy zawieszanej u pasa nóż i sprawdził jego ostrze. — Wydaje mi się dostatecznie ostry.

Wychylił się za burtę łodzi. Zanim któryś z marynarzy zdołał ich ostrzec, harfiarze i uzdrowiciele wychylili się również, by obserwować zabieg. Łódź w tym momencie zakotłowała się gwałtownie, a mistrz Oldive i Menolly wpadli do wody.

— Nie, nie, zostawcie mnie w spokoju, nic się nie stało. Umiem dobrze pływać — zawołał Oldive, odpychając wyciągnięte ręce, pragnące mu pomóc w powrocie na pokład.

— Oj, woda jest zimna — zauważyła Menolly, ale również odmówiła skorzystania z oferowanej jej pomocy. Zdjęła tylko buty i podała je Sebellowi. Potem i ona wyciągnęła zza pasa swój nóż. — Ach, więc robisz to w ten sposób — przyglądała się, jak Oldive zręcznie odciął głowę ryby — pijawki i oddzielił ją od ciała delfina, następnie usunął przyssawkę. Jedynym śladem po całym zabiegu był maleńki otwór. Przyssawka miała znaczną długość, gdyż musiała przebić się przez skórę i położoną pod nią warstwę tłuszczu, żeby na koniec dostać się do żyły.

Gdy Oldive kończył zabieg na swoim pierwszym pacjencie, inny delfin przepchnął się pomiędzy pobratymcami, cmokając w tak rozkazujący sposób, że stworzenia usunęły mu się z drogi.

— Powinieneś poczekać na swoją kolej — powiedział Oldive lekko strofującym tonem. Delfin uśmiechnął się, po czym pokręcił głową w taki sposób, że jego żywe, czarne oczy spoczęły na sylwetce uzdrowiciela.

— Kłopoty z kręgosłupem! — powiedziało stworzenie spokojnym głosem.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia.

— Mój Boże! — Oldive wyciągnął rękę w stronę delfiniego nosa, jak gdyby wybacząc stworzeniu to, co przed chwilą powiedziało. — Skąd o tym wiesz? — Pomimo mokrej odzieży, lekki garb Oldivego był prawie niewidoczny pod starannie namarszczoną koszulą, a przy tym delfin obserwował go tylko od przodu.

— Wiiiidzeee, wiiiidzeee! Ja — Bit, ty Oldeeeviii medyk.

— Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem — szepnął Curran do Menolly. — I wiedział o jego... — Zamilkł, a po chwili dodał: — Jak on to mógł zobaczyć?

— Prawdopodobnie jest to związane z tym, o czym mówił Persellan. Te stworzenia mają... — Oldive poprosił wzrokiem Menolly o podpowiedzenie mu właściwego słowa.

— Sonar — uzupełniła zdanie.

— To prawda. Mamy dowód potwierdzający! — Oldive zachowywał się wesoło, nie zwracając uwagi na incydent, i po chwili nastrój się poprawił. — Co to jest sonar?

Menolly przypomniała sobie określenie usłyszane od Alemiego.

— Sonar! Delfiny potrafią wysyłać dźwięki o wysokiej częstotliwości i rejestrować drgania powracające do ich uszu. Te zdolności ułatwiają im pływanie po morzach i umożliwiają porozumiewanie się z innymi delfinami na znaczną odległość. W jakiś dziwny sposób mogą także zbadać wnętrze ludzkiego ciała.

— Skoro Bit zobaczył mój garb przez ubranie, jestem skłonny w to uwierzyć. Bit, czy chcesz, żebym usunął ci lybawkę?

— Ależ, mistrzu Oldive, proszę spojrzeć — zaczął jeden z medyków zaniepokojony tak długim przebywaniem swojego pryncypała w wodzie — ciągle przyplływają nowe. Powinieneś już wyjść z wody. Jest ich już za dużo, żebyś wszystkim wyciął ryby-pijawki.

— Dotąd naliczyłem czterdzieści sztuk — powiedział Sebell.

— Plossę, Oldiiiiive. Dużo, dużo lybawek.

— Wyyyciąć lybawki — zaczęły dochodzić okrzyki od tłoczących się delfinów.

— Dzisiaj naprawdę mogę wykonać tylko jeszcze jeden zabieg — stwierdził Oldive. — Woda jest bardzo zimna. — Zaczął szczełkąc zębami, a pozostali bez przerwy prosili go o powrót do łodzi i osuszenie się.

Menolly również trzęsła się z zimna.

— Słuchajcie, jesteśmy ludźmi, a nie delfinami. Obecni na tej łodzi potrafią rozprawić się z wszystkimi pasożytami, jakie dokuczają zebranym tu delfinom. Jeżeli nie zdążą wykonać wszystkich zabiegów dziś, to zrobią to jutro. Dobrze?

— Doobze, doobze! — zawołały z entuzjazmem delfiny. Ludzie jednak nie byli zachwyceni propozycją. Kiedy wreszcie Menolly namówiła Oldivego, żeby powrócił z nią do łodzi, i okryto ich kocami, udało jej się znaleźć wystarczającą ilość wolontariuszy do przeprowadzenia dalszych zabiegów.

W ciągu następnych kilku godzin większość obecnych na łodzi schodziła na jakiś czas do wody, ale mimo to nie zdołano pomóc wszystkim delfinom, które prosiły o usunięcie im ryb-pijawek. Gdy Sebell zauważył, że Bit i Inka, z ciemną plamą na głowie wyglądającą jak czapka, wydają się posiadać największy autorytet w stadzie, zdołał wspólnie z Menolly i Oldive namówić nowo przybywające delfiny na odłożenie zabiegu do następnego dnia.

— Kiedy wszędzie słońce — powiedziała Menolly i użyła znaku określającego „następny dzień”. — Usuniemy więcej lybawek. Zrozumieliście?

Odpowiedziały jej piski, cmokania, a także kilka wesołych popisów akrobatycznych i jednocześnie zmniejszył się nacisk delfinich ciał na burty łodzi. Jak się później dowiedzieli, Bit była jednym z najstarszych delfinów w pobliskich morzach. Z całą pewnością potrafiła zrozumieć więcej od innych i całe stado okazywało jej wielki szacunek. Bit uczyła młode delfiny, a najzdolniejsze wysyłała do Wielkich Wirów do Tillek. Imię to wywołało pewne nieporozumienie pomiędzy dwojgiem harfiarzy. Dopiero po jakimś czasie zrozumieli, że tytuł Tillek nadaje się najstarszemu i najmądrzejszemu z delfinów, który najwyraźniej jest źródłem całej wiedzy morskiej, w podobny sposób jak harfiarze, którzy chronią i przekazują z pokolenia na pokolenie ludzką wiedzę.

Sebell i Menolly zapytali, czy mogliby się spotkać z Tillek, a Bit odpowiedziała, że postara się o to dowiedzieć. Panowała opinia, jakoby Tillek bardzo szanowała kontakty z ludźmi.

— Tillek jest koobietą — powiedziała Bit, obdarzając ich głębokim spojrzeniem swoich bardzo żywych, inteligentnych oczu. — Najlepsza, największa, najmądrzejsza.

— O, z całą pewnością tak jest — potwierdziła Menolly i zaczęła zadawać Bit szczegółowe pytania dotyczące zakresu nauk pobieranych od Tillek przez delfiny.

— Tillek również śpiewa — podkreśliła Bit i opuściła dolną szczękę w najszerszym z delfinich uśmiechów, jaki kiedykolwiek widzieli.

— Jeśli idzie o mnie, to jestem w pełni usatysfakcjonowana — powiedziała z uśmiechem Menolly do Sebella. I wtedy zauważyła, że większość osób znajdujących się na łodzi prowadzi indywidualne rozmowy z poszczególnymi delfinami.

Chłód zmięzchu połączony z ostrym wiatrem z południa zmusiły ludzi do opuszczenia łodzi, ale przedtem złożono wiele przyrzeczeń dalszego utrzymywania stałych kontaktów.

— Wyyy bić dzwon, miii przyjsć. Miii obiecać. Miętać. Miii miętać! Następne słońce, więcej lybawek wyyycinać. — Jednak gdy nadeszły ciemności nocy, liczba delfinów zmniejszyła się z około stu do mniej więcej dwudziestu, które z niechęcią myślały o rozstaniu, podobnie jak ludzie zgromadzeni w łodzi.

Curran zaprosił wszystkich do swojego ciepłego domu, gdzie podano grzane wino, które w tych okolicznościach bardzo chętnie wypito. Pierwszy oficer Texur i trzech szyprów zaprosili przybyszów do swoich mieszkań, gdzie mogli wysuszyć ubrania. Robina krzątała się po domu, rozdając futrzane okrycia. Szczególnie troszczyła się o mistrza Oldivego.

— Sam się zabijasz, mistrzu, musisz bardziej dbać o swoje zdrowie — powtarzała z

nachmurzoną miną. — Co się z nami stanie, gdy ciebie zabraknie?

— Należy uderzać w dzwon delfinów — szepnął Oldive tak cicho, że usłyszeli go tylko Menolly i Sebell. — Istnieje znacznie więcej problemów, niż można było kiedykolwiek przewidzieć — ciągnął dalej w zamyśleniu, lecz już nieco głośniejszym głosem. — Musimy starać się zgłębić tak wiele, jak tylko się da. Ile tylko zdołamy. — Jego głos prawie zanikł i o mało nie wysunął mu się z ręki kubek z grzaniem winem. Menolly z uśmiechem pomogła mu go utrzymać. — Mój Boże! Od lat nie przebywałem tyle czasu na świeżym powietrzu.

— Powinniśmy odwiedzić cię na smoku — powiedziała troskliwym głosem Menolly.

— Nie, kochanie — odparł jej Oldive, prostując się na krześle. — Zawsze zalecam swoim pacjentom ćwiczenia i przebywanie na dworze, a sam nie stosuję się do tych wskazówek. To był naprawdę niezapomniany dzień.

— Kiedy osuszysz się dostatecznie, pošlę Beauty do Strażnicy Fort i odwieziemy cię do domu bezpiecznie, zdrowo i sucho — stwierdziła zdecydowanym głosem i poważnie spojrzała na Oldivego.

— O, co to, to nie, nie dzisiaj. Muszę tu poczekać i znowu pomówić z Bit. Odeślijmy jednak Worlaina i Fabryego. Mam teraz w Zakładzie szczególny przypadek. I może Bit będzie mogła pomóc mi zdiagnozować tę pacjentkę, gdyż obawiam się, że bez odpowiedniej pomocy może umrzeć. O tylu sprawach jeszcze nie wiemy — dodał, potrząsając głową.

— Ależ mistrzu — powiedział Fabry, który najwyraźniej przysłuchiwał się rozmowie — Misulea jest ostatnią osobą, którą można by skonfrontować z delfinem. Przede wszystkim to ją przerazi.

— Ona boi się również śmierci — uciął Oldive.

— Jak zdołamy ją tu przywieźć? Jazda wozem ratunkowym może wywołać wiele dodatkowych cierpień...

— Smok to załatwi.

Fabry zachnął się.

— Podróż na smoku, jeżeli zdołalibyśmy umieścić ją na nim, przestraszy ją jeszcze bardziej niż spotkanie z delfinem.

— Delfinem — automatycznie poprawił go Sebell.

— Czy jakkolwiek to stworzenie zwiecie — dokończył Fabry, rzucając Głównemu Harfiarzowi aroganckie spojrzenie, jak to potrafią zrobić niektórzy uzdrowiciele w stosunku do przedstawicieli innych zawodów.

— Jeżeli ta mieszkanka Siedliska chce dożyć urodzin wnuczki, której spodziewa się jej synowa, to musi zastosować się do moich poleceń — stwierdził Oldive, a w jego zazwyczaj bardzo łagodnym głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. Swoją delikatną dłoń o szczupłych palcach położył na ramieniu Fabry'ego, a potężnie zbudowany czeladnik przyjął postawę pełną szacunku. — Po powrocie do Zakładu, Fabry, zajmiesz się tym. Wiem, że mogę na tobie polegać. Proszę cię jednak, nie uprzedzaj jej...

— Będzie pytała o szczegóły. Zawsze chce wszystko wiedzieć — ciężko westchnął Fabry.

— Woda morską, Fabry. Trzeba spróbować takiej kuracji, która może jej pomóc — odparł Oldive, a jego pocziwą twarz i łagodne oczy rozjaśnił ujmujący uśmiech, którym zjednywał sobie ludzi.

— Kuracja morską? — wybuchnął śmiechem Fabry.

— Tak, kuracja morską — powtórzył Oldive.

Menolly wysłała Beauty do Strażnicy Fort z prośbą do N'tona, żeby przysłał smoki po osoby mające tego wieczora tam powrócić. Sama również nie skorzystała z uprzejmych zaproszeń Robiny do spędzenia nocy w jej domu, gdyż bardzo pragnęła jak najszybciej zobaczyć swoje dzieci. Sebell zdecydował się na pozostanie z Oldivem i uczestniczenie w następnym spotkaniu z delfinami. Pozostała do rozwiązania sprawa biegusów, na których przyjechali do Siedliska, Curran jednak obiecał, że za kilka dni odeśle zwierzęta z jednym ze

swoich ludzi, a przy okazji objuczy je rybami przeznaczonymi dla Strażnicy.

Po przybyciu smoków, Sebell uściskał Menolly i żegnając się dodał:

— Proszę cię, nie spędź całej nocy na komponowaniu.

— Mam na to wielką ochotę — odparła, tuląc się do niego — jednak świeże powietrze podziałało na mnie usypiająco. Tak się cieszę, że wszystko się nam udało.

— A niepokoiłaś się? — zapytał Sebell, patrząc na jej twarz badawczym wzrokiem.

— To może za dużo powiedziane, ale z całą pewnością nie spodziewałam się aż takiego wyniku! Będę musiała wszystko opowiedzieć Alemiemu, na pewno bardzo go to zainteresuje. Martwią mnie jednak pewne sprawy — dodała Menolly, wygładzając zmarszczki na żakiecie, dopiero co wysuszonym po popołudniowej kąpieli.

— Co masz na myśli?

— Dzieje się tyle rzeczy, które odwracają naszą uwagę od delfinów.

— Hmm. Masz rację, ale do końca życia będziemy mieli delfiny na naszej planecie. Obecnie najważniejszym problemem jest realizacja harmonogramu przygotowanego przez Assigi, a prowadzącego do ostatecznego zlikwidowania Nici.

— Jak zwykle masz rację, Sebell. Oczywiście, że delfiny pozostaną z nami, tak jak działo się to do tej pory. Mam nadzieję, że Lessa nie będzie z tego niezadowolona.

— A co mogłoby wywołać jej niezadowolenie? — zapytał Sebell, choć wiedział, że zdarzało się jej wygłaszać najdziwaczniejszych uwag.

— No, wiesz, jak się odnosiła do latających jaszczurek!

— Nie do twoich, kochanie. To dotyczyło wyłącznie tej dzikiej bandy. Poproszę mistrza Robintona, żeby ją w odpowiedni sposób poinformował o sprawie.

## ROZDZIAŁ VIII

— Del-finy? — zapytała Lessa, a jej brwi uniosły się w dwa czarne łuki wyrażające zaskoczenie. Oстрым wzrokiem wpatrywała się w Alemiego do momentu, kiedy Główny Harfiarz Robinton uśmiechnął się do niej.

— Delfiny, Lesso — spokojnie poprawił jej wymowę. — Informacje o nich były już przekazywane. Przybyły tu razem z pierwszymi kolonistami. Od tamtych czasów szczęśliwie zamieszkiwały morza; gdy mogły, ratowały życie rozbitkom i cierpliwie czekały, aż ludzie przypomną sobie o nich. Assigi bardzo pragnie odnowienia dawnej współpracy.

Patrząc na harfiarza, Lessa zamrugła oczami.

— No cóż, wydaje mi się, że istotnie były jakieś wzmianki o stworzeniach morskich, ale tyle innych ważnych spraw obecnie się rozgrywa... — powiedziała chłodnym tonem, dając do zrozumienia, że poruszony przez niego temat uważa za mało istotny.

— Znajdują się na tej planecie dłużej niż smoki — odparł z przekorą w głosie. — Dowiodły, że są pożyteczniejsze, na przykład, od latających jaszczurek. — Rzucił jej złośliwe spojrzenie, nawiązując do ogólnie znanego faktu, że Lessa nie przepadała za tymi stworzeniami, gdyż dokuczały jej złotej smoczyce.

Obdarzyła go bardzo kwaśną miną, a po chwili skierowała wzrok na swoją smoczycę Ramoth, która właśnie pluskała się w wodach zatoki Hołd. Towarzyszył jej w kąpielu cały rój dzikich i oswojonych latających jaszczurek.

— Smoki spotykające się z delfinami odnosiły się do nich z sympatią, Lesso — rzekł Alemi, trzymając się wskazówek harfiarza i nie pozwalając, by zastraszyła go drobna, lecz bardzo wpływowa Strażniczka z Benden.

— Które to były?

— Po pierwsze Gadareth, spizowiec młodego T'liona ze Strażnicy Wschodniej. Przewoził mnie w dniu, w którym przez przypadek wezwałem stado z zatoki Monako. — Strzeliła palcami, jakby przyjmując jego słowa do wiadomości, więc Alemi ciągnął dalej. — Mistrz

Oldive miał bardzo interesujący przypadek chorobowy i delfiny zdiagnozowały tę pacjentkę stwierdzając obecność guza w dolnej części jej brzucha.

— Ta sprawa przysporzyła mi wielu kłopotów w Cechu — stwierdziła cierpkim głosem. — Osobiście nie podobają mi się pomysły wdzierania się nożem do ludzkich organizmów — i lekko wzruszyła ramionami.

— W każdym razie nie w innym celu, jak wydobyć dziecka — powiedział Alemi wiedząc, że Lessa musiała się poddać tego typu operacji. Pewnie dlatego stała się przeciwniczką inwazyjnych zabiegów. — Kobieta powraca do zdrowia i jest bardzo wdzięczna — ciągnął z werwą. — A poza tym delfiny oddały nieocenione usługi mojemu Cechowi.

— Słyszałam, jak Mistrz Idarolan mówił coś na ten temat, jednakże obecnie nie możemy zatrzymać się w połowie drogi — powiedziała. — Nic nie powinno zakłócać programu Assigi.

— I nic takiego z powodu delfinów się nie stanie — pojednawczo odezwał się Robinton. — Sam spotkałem się z kilkoma i są naprawdę czarujące. Jakże to miło oglądać stale uśmiechnięte morskie stworzenia.

Lessa rzuciła niezwykle poważne spojrzenie i nagle wybuchnęła śmiechem.

— Zachowałam się jak stara zrzęda, prawda?

— Nie można temu zaprzeczyć — przyznał Robinton tak wesołym tonem, jakby sam był delfinem.

— Powinnaś kilka z nich poznać. Każdy z nich ma własne imię.

— Stworzenia morskie posiadające imiona? — wykrzyknęła Lessa i znowu zmarszczyła brwi. Smoki znały swoje imiona już w chwili urodzin, co było oznaką ich osobowości i inteligencji. Wiadomość o tym, że delfiny również mają imiona, zabrzmiała dla Strażniczki jak herezja.

— Powiedziano mi, że każde nowo narodzone delfiniątko od razu dostaje imię — pospieszenie tłumaczył Alemi. — Assigi twierdzi, że ich obecne imiona są wariantami imion delfinów, które przybyły na Pern razem z pierwszymi osadnikami. Wiedz też, że one mają własne tradycje. Myślę, że wkrótce zostanie utworzony następny cech ludzi zajmujących się delfinami.

— One same potrafią dobrze troszczyć się o siebie — rzekł Robinton — skoro przez tak długi czas udało im się samodzielnie przetrwać w naszych morzach.

— No tak, rzeczywiście. Jednak nie chcę, żeby cokolwiek odwracało uwagę od naszych pierwszoplanowych zadań ustalonych przez Assigi.

— Ta sprawa nie spowoduje tego — powiedział Alemi z wielkim przekonaniem, co wywołało uśmiech Lessy.

Po chwili wstała.

— Czy to już wszystko na dziś? — zapytała mistrza Robintona.

On także się podniósł. Strażniczka, widząc jego sztywne ruchy, zaniepokoiła się stanem zdrowia przyjaciela. Od ataku serca, który przydarzył mu się w Strażnicy Ista, nie poruszał się już tak zwinnie jak kiedyś, chociaż nieustannie twierdził, że czuje się dobrze. Całe to zamieszanie z Assigi i odkrycia na Lądowisku nie tworzyły atmosfery, jakiej by w tym momencie najbardziej potrzebował. A do tego...

— O, tam jest kilka bardzo interesujących osobników — powiedział Robinton, wskazując ręką na pięknie zabarwione wody swojej zatoki.

Lessa wydała pomruk niezadowolenia oznaczający odrzucenie propozycji.

— I bez tego mam dostatecznie dużo zajęć. A liczba gości, z którymi muszę się spotykać i pomagać w rozstrzyganiu spraw, praktycznie przekracza moje możliwości. — Dostrzegła wyraz rozczarowania na twarzy Głównego Harfiarza i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. — Kiedy już zrealizujemy wielki projekt Assigi, obiecuję ci, że znajdę czas na

spotkanie z tymi twoimi del... delfinami.

— Doskonale, z pewnością polubisz ich zabawy.

— Zabawy? — I znowu Lessa zmarszczyła brwi.

— Lesso, zabawy mogą być tak samo potrzebne jak praca — łagodnym tonem wyjaśnił Robinton. — Ty sama nie znajdujesz dostatecznie dużo czasu dla siebie.

— Ciągłe brakuje mi czasu na rzeczy, które muszę zrobić, więc co tu mówić o przeznaczaniu go wyłącznie dla siebie — odparła, jednak uśmiechnęła się do niego. Zdecydowała się opuścić chłodne, ocienione wnętrze budynku i wyjść na zewnątrz, w południowy upał.

Ramoth zaczęła brodzić w jej kierunku.

— Te morskie stworzenia zawsze potrafią odnaleźć swędzące miejsca i drapać mnie w nie — powiedziała do swojej jeźdźczyni.

— Naprawdę potrafią to robić? — Lessa spojrzała na wody zatoki, gdzie delfiny nurkowały i skakały z lekkością linoskoczków w czasie radosnych Spotkań. Ciągłe miały uśmiechnięte pyski. — Musiały się już takie urodzić — powiedziała sobie. — No, dalej Ramoth, musimy sprawdzić, czy uda się założyć nowe Siedlisko powyżej istniejących już w górnym biegu Rzeki Jordan. — Usadowiła się na szyi smoczycy. Ramotha w czasie kąpieli nie zanurzyła się cała, gdyż wiedziała, że będą musiały lecieć przez przestrzeń pomiędzy, a Lessa nie lubi w czasie takich podróży siedzieć na mokrej skórze.

Już od wielu tygodni usiłowała znaleźć trochę czasu na tę inspekcję, ale zawsze wypadało jej coś pilniejszego. I to wcale nie dlatego, że przydzielenie ziemi odpowiednio wyszkolonym mieszkańcom przeludnionych Pomocnych Siedlisk nie było sprawą pilną. Problem leżał w hierarchii ważności załatwiania spraw. Wzdłuż Rzeki Jordan ciągnęły się fascynujące ruiny budowli wzniesionych przez Starożytnych. Leżały one tak blisko, że łatwo można było dokładnie zbadać te tereny i ewentualnie zezwolić na założenie tam Siedlisk, nie tak wielkich co prawda jak istniejące niegdyś, ale całkiem znacznych rozmiarów. Powodem opóźniającym zasiedlenie była konieczność znalezienia odpowiedniej ilości przedstawicieli wszystkich zawodów, mogących zapewnić pełną samowystarczalność nowym siedzibom. Musiał też być co najmniej jeden czeladnik lub czeladniczka Cechu Uzdrowicieli dla zapewnienia opieki zdrowotnej w kilku sąsiadujących ze sobą osiedlach. Rzucając ostatnie spojrzenie na zaciszną zatokę, Lessa pomyślała, jak zwodnicze bywa piękno bujnej roślinności na Kontynencie Południowym. Nie wolno zbytnio się spieszyć z zakładaniem tutaj nowych Siedlisk. Przede wszystkim należało ludzi odpowiednio wyszkolić, by nauczyli się poznawać wszelkie niebezpieczeństwa zagrażające im w tych dzikich stronach.

Natomiast w Siedlisku Cove Alemi wyrzucał sobie, że nie opowiedział o najnowszych zadaniach, jakie zaproponował dla delfinów Jayge. Ostatni najazd amatorów nielegalnego osiedlenia się na jego tereny rozwścieczył Włodarza Siedliska Rajskiej Rzeki. W najmniejszym stopniu nie pocieszał go fakt, że Siedlisko nie było jedynym spośród dwunastu Włodarstw, gdzie zdarzył się taki potwierdzony przypadek. Nie życzył sobie, by coś podobnego przytrafiło mu się po raz drugi! Zwrócił się więc do Alemiego z prośbą o sprawdzenie, czy delfiny mogłyby patrolować przybrzeżne wody i meldować o każdym bezprawnym lądowaniu.

— Za kubełek ryb zrobią to z radością — powiedział Alemi włodarzowi po uprzednim wytłumaczeniu stada, jakie je czeka nowe zadanie.

— Dobre statki i złe statki — stwierdziła Afo.

— Złe statki nigdy nie mają ryb dla delfinów? — zapytał z uśmiechem Alemi.

— Masz rację! Złe statki śmierzdzą, ciekną i zostawiają paskudztwa w naszych wodach. To nieładnie. — Dla podkreślenia niesmaku strzyknęła w górę strumieniem wody ze swojego otworu oddechowego.

Alemi uznał, że te cechy można było uznać za wystarczające do rozpoznawania takich statków, gdyż kapitanowie skłonni do przewożenia nielegalnych pasażerów należeli do zupełnego marginesu w Cechu. Ci ludzie byli skłonni do zrobienia czegokolwiek za kilka marek... no nie, w tym przypadku za ciężki wór marek, Alemi poprawił sam siebie. Przybysze, którzy usiłowali wylądować na terenach Rajskiego Siedliska, zapłacili kapitanowi znaczne sumy za przewiezienie ich na południe. Statek zaś nie nadawał się do pełnomorskiej żeglugi, jego ładownie były wilgotne i ociekające wodą, żagle i kadłub połatane, a ścieki okrętowe lądowały prosto w morzu.

— Jaskinie Ingen są takie paskudne — powiedział z niesmakiem jeden z przybyszów. — Macie tutaj tyle ziemi, dlaczego my nie możemy dostać chociaż kawałka? — pytał pełen goryczy.

— Możecie, jeżeli we właściwy sposób poprosicie o to — odpowiedział mu Jayge.

— Tak! Jeźdźcy smoków zatrzymują dla siebie najlepsze tereny — w oczach intruza pojawiły się błyski zazdrości, kiedy patrzył na dostatni wygląd Rajskiej Rzeki.

— Nie jestem jeźdźcem smoków, lecz włodarzem tych terenów i w górze rzeki mam sąsiadów, którzy uzyskali prawo do ziemi.

— Za co musieli zapewne zapłacić całą górę forsy.

— Nie, nic nie zapłacili — warknął Jayge. — Złożyli odpowiednie podanie i wśród swoich kandydatów mieli żadaną liczbę przedstawicieli poszczególnych zawodów. Takie są oficjalne wymagania dla wszystkich pragnących tu zamieszkać. Trzeba pamiętać, że życie na południu nie toczy się łatwo tylko dlatego, że jest tu ciepło.

Wkrótce Jayge oddalił się z groźną miną, a Alemi poszedł jego śladem. Alemi wiedział, że Jayge i Aramina byli rozbitkami, ale uzyskali przydział Siedliska na długo przed tym, zanim Piemur ich odnalazł. Zdawał sobie także sprawę z tego, że miał wielkie szczęście, gdy zaproponowano mu założenie Zakładu Rybackiego w Rajskiej Rzece. Znał także potworne warunki bytowe bezdomnych stłoczonych w jaskiniach Ingen i innych, jeszcze gorszych miejscach na pomocy. Teraz dowiedział się także o zakładaniu osiedli w miejscach, w których istniejące ruiny były śladem, że kiedyś mieszkali tam Starożytni.

Lord Toric przyjął wiele zgłoszeń od pragnących zamieszkać na południu, nawet jeszcze przed podjęciem uchwały przez Radę Lordów Włodarzy i Komendantów z Benden ustalającą, w jaki sposób można uzyskać zgodę na osiedlenie się. Lord Toric nie przyjmował byle kogo, wybierał mężczyzn i kobiety, którzy udowodnili, że potrafią ciężko pracować i uzyskali co najmniej pozycję czeladnika w swoim zawodzie. Rządzący żelazną ręką Lord Terenów Południowych nie znosił głupków i miał już jeden przypadek, kiedy przestępcy usiłowali osiedlić się na dużej wyspie należącej do jego Siedliska. Bezskutecznie usiłowal wówczas uzyskać pomoc jeźdźców smoków do usunięcia nielegalnych przybyszów. Polityka niewtrącania się Strażnic w sprawy wewnętrzne została dodatkowo podkreślona kilka Obrotów temu przez komendantów z Benden. Alemi zgadzał się z tym. Jeźdźcy smoków muszą pozostawać bezstronni, bez względu na to, do jakiego Siedliska czy Cechu należy ich rodzina. Lecz w czasie, gdy pomagał Jaygemu wyganiać intruzów, myślał o tym, o ile łatwiej byłoby nakłonić ich do poddania się bez rozlewu krwi, gdyby w akcji uczestniczyły latające smoki.

Alemi był jednym z niewielu ludzi wiedzących, że jeźdźcy smoków pragną mieć prawo pierwszeństwa wyboru terenów na Kontynencie Południowym. Luźna uwaga, wypowiedziana przez mistrza Idarolana, pozwoliła mu domyślać się, iż chyba nic nie mogłoby spowodować zmiany jego stanowiska w tym względzie. Powodem takiej decyzji było to, że kiedy Opady Nici na Pern zostaną już ostatecznie zlikwidowane, jeźdźcy smoków powinni uzyskać jakąś nagrodę za swoją długą i wierną służbę dla dobra Cechu i Domu. A jaka nagroda mogłaby być lepsza od posiadania własnego Siedliska w miejscu, w którym pragnie się żyć?

Alemi, jako mistrz w zawodzie, z całą pewnością miał trochę inne zdanie od Lordów

Włodarzy, którzy uważali, że powinni w pełni dysponować terenami bez względu na to, gdzie są one położone. Mistrz Idarolan stwierdził, że jest zbyt wiele nie zagospodarowanej ziemi, by ludzie rozprawiali o tym, kto ile jej ma i dlaczego. Opływając cały Kontynent Południowy, Główny Rybak miał okazję stwierdzić, jak ogromne tereny ciągle jeszcze były wolne.

Z drugiej jednak strony należało przyznać, że rybacy potrzebowali tylko małych skrawków łądu, gdzie mogliby cumować swoje statki i sprzedawać złowione ryby. Żądanie większych terenów świadczyłoby o ich chciwości. Alemi zaś potępiał wszelką zachłanność.

— No tak — mruknął Główny Harfiarz, sprowadzając Alemiego do rzeczywistości — to poszło lepiej, niż się spodziewałem. Uwielbiam Lessę ze Strażnicy Benden, jednak wydaje się, że... ma obsesję na temat znaczenia smoków.

— Czy to źle? — zapytał ze zdziwieniem Alemi.

— Oczywiście, należy je doceniać — szybko dodał mistrz Robinton. — Lessa zachowuje się tak, jak powinna zachowywać się strażniczka. Jednakże czasami nie potrafi spojrzeć na inne sprawy w taki sposób, jak robimy to ty czy ja. A teraz opowiedz mi o tych dyżurach delfinów, które chcesz zorganizować w celu strzeżenia wybrzeża przed inwazją kolejnych intruzów.

— Powinienem o tym powiedzieć strażnicze...

— Nie, nie wydaje mi się, żeby to było konieczne, a nawet wskazane — rzekł Robinton z lekkim uśmiechem. — Pozwólmy jej na początek oswoić się z wiadomością, że delfiny posiadają inteligencję. A potem opowiemy jej o ich pomysłowości. Nie uważasz, że tak będzie lepiej?

— Skoro takie jest twoje zdanie — odparł Alemi, nie do końca przekonany.

— Czy stado z Rajskiej Rzeki jest teraz przygotowane do odparcia najazdu niepożądanych gości?

— Tak, i mam nadzieję, że T'gellan ze Strażnicy Wschodniej polecił młodemu T'lionowi zorganizowanie podobnej warty wzdłuż tamtejszej linii brzegowej. Chociaż — dodał Alemi zabawnie wykrzywiając twarz — moim zdaniem lekarz Strażnicy tyle samo czasu poświęca na pracę z delfinami, co T'lion.

— Opowiedz mi coś o tym — poprosił Robinton, nalewając wino dla nich obu i gestem ręki zapraszając Alemiego, żeby usiadł przy nim w chłodnym cieniu szerokiego tarasu otaczającego Dwór Cove. — Mówisz, że przyplływają, żeby leczył je człowiek?

We wnętrzu domu pozostali mieszkańcy przygotowywali lekki posiłek południowy. We Dworze Cove często zmieniali się lokatorzy, a byli nimi archiwiści i harfiarze, którzy porządkowali i systematyzowali ogromną ilość informacji nieustannie produkowanych przez Assigi. Rzadko zdarzało się, by mistrz Robinton udzielał pomocy i nadzorował pracę tak małej ilości osób — teraz w przytulnym dworze na Ładowisku zatrudnieni byli tylko jego codzienni towarzysze D'ram i Lytol.

— Tak, przyplływają — potwierdził Alemi. — Dzwon może wezwać ludzi równie dobrze jak delfiny. — Do dzwonu na Rajskim Przylądku przymocowany został długi, solidny łańcuch, którego drugi koniec spoczywał na pływaku na powierzchni morza. Delfiny miały do niego łatwy dostęp, gdyby pragnęły wezwać Alemiego. Zwykle na głos dzwonu przybiegało jedno z dzieci. Alemi zaś często bywał nagabywany przez członków swojego stada w czasie pracy na morzu.

— Więc one wydzwaniają sygnał wezwania, taki, jak mi opisałeś? — Sprawa wyraźnie zafascynowała Robintona.

— I dzwonią do momentu, aż się ktoś pojawi na ich wezwanie — powiedział z uśmiechem Alemi. Kilkakrotnie już sygnał wyrwał go z łóżka, lecz były to wyłącznie nagłe przypadki. Raz wywróciła się łódź z niedoszłymi osiedleńcami, zupełnie nieodpowiednia do żeglugi po morzu, innym razem zgłosił się delfin z rozległą raną. Zaszyla ją Temma tak zręcznie, że nawet uzdrowiacz nie zrobiłby tego lepiej, i delfiny były jej za to niezmiernie wdzięczne.



— Assigi był uprzejmy wydrukować medyczne instrukcje dla uzdrowicieli mających kontakt z delfinami — ciągnął Alemi. Na chwilę zamilkł. — Pamiętam, że kiedyś w zatoce, niedaleko szlaku Nerat, znalazłem sześć martwych delfinów. Nigdy nie ustaliliśmy, co się im stało, gdyż nie miały żadnych zewnętrznych obrażeń. Delfiny mogą chorować tak jak ludzie i mają podobne problemy z przewodem pokarmowym, płucami, sercem, nerkami i wątrobą jak my.

— Naprawdę? — harfiarz z wyrazem zdziwienia na twarzy popatrzył na Alemiego. — Nigdy bym nie pomyślał, że ryby... przepraszam — poprawił sam siebie, zanim jeszcze Alemi odważył się to zrobić — ssaki... cierpią na podobne dolegliwości, jakimi natura obciążała istoty ludzkie. Ale co, u licha, może wywołać atak serca u delfina?

Alemi wzruszył ramionami.

— Stres, wyczerpanie fizyczne, a nawet wady wrodzone, co wiemy z zanotowanych obserwacji. — Wtedy przypomniał sobie o wycofaniu się mistrza Robintona z czynnego życia w związku ze stresami i fizycznym wyczerpaniem na długo przed osiągnięciem przez niego wieku kwalifikującego do przejścia na emeryturę. Rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku harfiarza, który najwyraźniej rozmyślał nad otrzymanymi przed chwilą informacjami.

— Sześć zawałów równocześnie? — zapytał zdziwiony Robinton.

— Nie, tamto musiało zostać spowodowane czymś innym. W sprawozdaniu Assigi wymienione są dosyć częste przypadki wyrzucania nieżywych delfinów na brzeg na Starej Ziemi, gdzie uważano, że uległy zatruciu w zanieczyszczonej wodzie. Nasze morza są jednak kryształowo czyste.

— I takie pozostaną! — wtrącił z niespodziewaną energią w głosie mistrz Robinton. — Korzystając ze wskazówek Assigi nie popełnimy tych samych błędów, co nasi przodkowie w swoim świecie. — Zamilkł, a po chwili ciągnął dalej z łagodnym uśmiechem: — W każdym razie nasze błędy nie będą takie same i nie będą spowodowane tymi samymi przyczynami. Możemy się też cieszyć z tego, że na Pernie nie dysponujemy tym, co mieli Starożytni. To będzie naszym wybawieniem.

— Ach, tak? — zdziwił się Alemi, jakby prosząc o dalsze wyjaśnienia.

Żywa twarz Robintona rozjaśniła się uśmiechem znamionującym głęboką znajomość przedmiotu.

— Pomimo tego wszystkiego, co przeszliśmy od czasu, gdy „Siostry Jutrzenki” weszły na orbitę wokół naszej planety, udało nam się przestrzegać zasad ustalonych przez założycieli kolonii. Oczywiście nie można było przewidzieć, do jakiego stopnia zostaniemy tymi nakazami skrepowani — i robiąc łobuzerską minę zwrócił się do Alemiego — ale istotne jest to, że zdołaliśmy ograniczyć technologię do poziomu niezbędnego dla naszego przetrwania. Gdy tylko niebezpieczeństwo Nici zostanie ostatecznie zlikwidowane, będziemy mogli polepszyć warunki życia na Pernie, bez naruszania dawnych zasad. Utrzymamy ten świat bez wymyślnych gadżetów i technologii, które stanowiły taką obsesję naszych przodków. Z powodzeniem potrafimy się bez tego obejść.

— A Strażnicy? — Alemi nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania.

Robinton przestał się uśmiechać, lecz wyraz jego twarzy wskazywał raczej na zamyślenie niż niepokój.

— Oczywiście będą musieli znaleźć dla siebie jakieś nowe zajęcie, ale jestem głęboko przekonany, że całkowita likwidacja zagrożenia Nićmi nie spowoduje zniknięcia smoków. — Po chwili znowu się uśmiechnął, tym razem tajemniczo, jakby miał jakieś wiadomości, którymi nie mógł podzielić się z Alemim. Mistrz Rybacki uznał to za całkowicie zrozumiałe. Zupełnie mu wystarczały uspokajające wyjaśnienia Głównego Harfiarza, chociaż udzielił ich w tak okreśny sposób.

Alemi z przykrością pomyślał o konieczności opuszczenia tarasu i uwolnienia mistrza Robintona od siebie. Wiedział, że nie powinien zajmować mu już dłużej czasu. Tak wiele

spraw czekało na harfiarza, a nie miał już tyle energii co dawniej. Alemi był bardzo dumny, że udało mu się odbyć z nim tak długą rozmowę.

T'liona drażniły ustawiczne napomnienia ze strony szefa rekrutów, H'mara, żeby nie zaniedbywał swojego smoka z powodu nowego hobby, delfinów. Trzymał jednak język za zębami, szczególnie wtedy, kiedy Gadareth gwałtownie protestował tłumacząc H'marowi — a co ważniejsze jego spizowcowi Janarethowi — że ani przez moment nie czuł się lekceważony, a delfiny pomagają mu nawet utrzymać czystość.

Przez większość wieczorów T'lion był wyznaczany jako jeździec mający przewieźć harfiarza Boskoneya z Rajskiej Rzeki do Budynków Administracji. Bardzo lubił Boskoneya, więc zadanie to nie było dla niego ciężarem. Pozwalało mu także, w przypadku nieco wcześniejszego przylotu, na poświęcenie kilku chwil, by lepiej poznać Kiba i Afo, członków stada z Rajskiej Rzeki, oraz by przekazać im pozdrowienia od Natuy, Tany i Boojiego. Czasami spotykał się z Alemim, który dziękował stadu za pomoc w połowach i informacje o pogodzie.

— Stado wykonuje również służbę wartowniczą — powiedział mu Alemi uśmiechając się. — Pływa wzdłuż wybrzeża należącego do Siedliska, żeby zapobiec lądowaniu nowych intruzów. W ten sposób unikniemy skompromitowania ciebie, T'lionie, chociaż mogę zapewnić, że jesteśmy naprawdę wdzięczni za pomoc, jaką nam okazałeś dwa miesiące temu.

T'lion wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Byle tylko nie dowiedział się o tym mój komendant.

— Na pewno od nas się o tym nie dowie.

T'lion lekko zmarszczył brwi.

— Lecz w ten sposób tylko wy jesteście chronieni — wskazał ręką na wschód. — Tam znajduje się ogromny, zupełnie nie strzeżony kawał lądu — od tego miejsca aż po Siedlisko Południowe.

Teraz z kolei Alemi wzruszył ramionami.

— Słuchaj, to nie jest mój problem. Nie mówię zresztą, że nie złożę odpowiedniego meldunku, jeżeli w czasie rejsu zobaczę innych intruzów.

— Macie tutaj tyle ziemi — stwierdził T'lion, powoli kiwając głową.

— Chłopcze, nie możesz kłopotać się o wszystko. I tak zasługujesz na pochwałę za wzięcie na siebie dodatkowych obowiązków. A teraz pomóż mi nakarmić te rybie mordy.

— Ciii... — T'lion wyglądał na zakłopotanego. — Nie lubią, kiedy nazywa się je... — i połknął to okropne słowo.

Alemi się roześmiał.

— Ja mam ich dyspensę! Jestem rybakiem. — Po czym oficjalnie przedstawił T'liona.

— Nie trza! — odparł Kib podnosząc głowę nad powierzchnię wody. — Tana i Natua powiedzieć. Dobry człowiek, jeździec smoka.

— O, dziękuję — zawołał T'lion bardzo zadowolony z tak ciepłego przyjęcia.

— Zaszyć Boojie — Kib włożył nos do wody i opryskał T'liona.

— Umrę z przeziębienia przez te rozmowy z delfinami — stwierdził T'lion, wyzymając przód przemoczonej koszuli. — Teraz już nauczyłem się brać ze sobą zapasowe ubranie. Dobrze, że nie udało mu się dosięgnąć mojej kurtki.

— Ja natomiast nauczyłem się w ogóle nie nosić ubrania — zauważył Alemi z porozumiewawczym uśmiechem. Jego opalone ciało osłaniała tylko opaska na biodrach. Dla wielu rybaków stanowiła jedyny strój w czasie gorącej pory roku. — A więc, Afo, gdzie jutro będą ryby?

Afo przekazała mu informacje uzyskane między innymi dzięki „odczytowi” sonaru.

— Wiedzą, gdzie są ławice ryb, ale potrafią określić to miejsce jedynie czasem potrzebnym na odebranie sonatowego echa — wyjaśnił Alemi. — Zaczynam dochodzić do

perfekcji w obliczaniu tą drogą odległości.

— To jest... naprawdę zadziwiające — przyznał T'lion z wielkim przejęciem.

— Ach, to drobiazg w porównaniu z zszyciem rany Boojiego — Alemi uśmiechnął się widząc zdziwienie T'lionia. — Słyszeliśmy o wszystkim. Potrafią przekazywać sobie ogromną ilość informacji... jeżeli mają na to ochotę.

— Smoki jednak ciągle są najbardziej odpowiedzialne — zauważył T'lion, z dumą patrząc na swojego wspaniałego spizowca.

— Nigdy tego nie kwestionowałem, chłopcze. Każda istota na Pernie ma swoje własne zadania.

— To mi przypomniało, że spóźnię się na spotkanie z Boskoneyem. — T'lion wspiął się po drabince na molo i idąc w kierunku smoka ściągnął z siebie mokrą koszulę. Ledwo zdążył wyciągnąć suchą z zawiniątka i założyć ją, gdy Gadareth wzbił się w powietrze i pokonał tę niewielką odległość dzielącą ich od celu.

Gdy T'lion z Gadarethem przygotowywali się do lądowania przed domkiem Boskoneya, w drzwiach pojawił się harfiarz i obserwował ich lot

— Za chwilę będę gotowy — zawołał.

T'lion znał te „chwile” harfiarzy, więc rozłożył koszulę na rosnącym obok krzaku, by wyschła, a potem wygodnie oparł się o garb Gadaretha i spokojnie czekał.

Po jakimś czasie pojawił się obok nich jakiś opalony chłopiec, uśmiechnął się na widok smoka i bez wahania zbliżył do niego.

— Ty pewnie jesteś T'lion, a to jest Gadareth — powiedział przybysz i wyciągnął rękę do pyska smoka. Gadareth dotknął jej w uprzejmym geście powitania. — Boskoney uprzedził mnie, że przylecicie tutaj po niego, a więc mogłem przybiec, żeby się z wami spotkać.

— A ty kim jesteś? — zapytał T'lion rozbawiony zachowaniem chłopca. Nie mógł mieć więcej niż siedem Obrotów.

— Nazywam się Readis, jestem synem włodarza Jaygego i Araminy. Myję Rutha, smoka lorda Jaxoma, kiedy tylko tu przylatują. Czy będę mógł przy nadarzającej się okazji umyć Gadaretha? — Potem spojrzał na potężnego spizowca, który nie osiągnął jeszcze wielkości właściwej dorosłym osobnikom. — O, on jest znacznie większy od Rutha, ale może chociaż zdołam pomóc przy kąpieli.

T'lion zaczął się śmiać.

— Oczywiście, że będziesz mógł, jeżeli tylko uda nam się zatrzymać tu dostatecznie długo. Na ogół to delfiny pomagają mi go myć.

Chłopcu ze zdumienia zaokrągliły się oczy, co wywołało następny wybuch śmiechu T'lionia.

— Rozmawiasz z delfinami?

Teraz T'lion był zaskoczony — chłopiec nie tylko wiedział, że delfiny potrafią mówić, ale również prawidłowo wymówił ich nazwę.

— A ty także z nimi rozmawiałeś? — zapytał. Może to ten chłopiec zgłaszał się na wezwanie delfinów za Alemiego. Byłoby to odpowiednie zajęcie dla młodego syna włodarza.

— Tylko w dniu, w którym uratowały mi życie. Ale Wujlemi mówi, że zawsze dopytują się o mnie.

— Uratowały ci życie? Opowiedz mi, jak to się stało. — Często T'lion tęsknił za najmłodszym ze swoich braci, Tikinim, który zachowywał się równie rezerwowo, jak ten syn włodarza. Dwaj bracia byli ze sobą bardzo zżyli.

Właśnie w tym momencie Boskoney wyszedł ze swego domku. Pot kapał mu z czoła, gdyż ubrany był w ciężką kurtkę przeznaczoną do lotów.

— Readisie, ruszaj teraz do domu — zwrócił się do chłopca — a my wzniesmy się ponad ten upał, T'lionie.

— Postaram się spotkać z tobą, Readisie! — zawołał T'lion, szybko wskakując na kark

Gadaretha, a następnie pomógł Boskoneyowi zająć miejsce na szyi smoka. Kiedy wznosili się spiralnym lotem w górę, ponad duszną atmosferę rozgrzanego Siedliska, widział, jak chłopiec kiwał ręką na pożegnanie, dopóki nie zniknął im z oczu.

W ciągu kolejnych kilku tygodni, gdy T'lion przylatywał po harfiarza, spotykał się z Readisem. Chłopiec niezmiennie dopytywał się o nowiny ze stada T'liona — który delfin zachorował, którego wyleczono, a młody jeździec był szczęśliwy mogąc rozmawiać z kimś, kto tak żywo chłonał jego opowieści. Nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko zapadło mu w głowę zainteresowanie delfinami, do czasu gdy zaczął o nich rozmawiać z Readisem. Chłopiec reagował entuzjastycznie — z płonącymi oczyma i drżeniem ciała wysłuchiwał tych opowiadań, jakby chłonał je całym swoim jestestwem.

— Jeżeli zechcesz, to będziesz mógł znowu porozmawiać z delfinami — pewnego dnia powiedział T'lion do Readisa.

— Nie wolno mi samemu zbliżać się do wody — odparł chłopiec. — Obiecałem to.

— No, ale jeżeli znajdziesz się tam ze mną i Gadarethem, to przecież nie będziesz samotny.

Readis rozważał w skupieniu słowa T'liona i palcem bosej nogi dłużał w piasku.

— Tak, towarzystwo jeźdźca i smoka chyba wystarczy, bym nie złamał mojej obietnicy — uśmiechnął się promiennie do T'liona. — Ale gdzie? — i ręką skinął w kierunku rozległego ujścia rzeki.

— Ach, to jest proste i zupełnie bezpieczne — rzekł T'lion. — Czy znasz miejsce, w którym staje na kotwicy statek mistrza Alemiego? Wolno ci chodzić tak daleko?

Readis energicznie skinął głową, aż podskoczyły jego ciemne loki. Spoważniały mu oczy i cała jego twarz wyrażała wielkie pragnienie.

— Spotkamy się tam jutro po południu, powiedzmy o czwartej, więc będę miał jeszcze całą godzinę do odlotu z Mistrzem Boskoneyem.

— Och, przyjdę, przyjdę, przyjdę! Dziękuję ci!

Popołudniowe spotkania z delfinami zaczęły się całkiem niewinnie i po jakiś czasie stały się dla nich obydwu przyjemnym przyzwyczajeniem. Gdy matka pytała Readisa: „Gdzie się podziewałeś?” lub: „Z kim byłeś?”, mógł z czystym sumieniem odpowiadać, że przebywał w towarzystwie T'liona i Gadaretha. Po prostu nie dodawał, że także pływał z delfinami koło tratwy Alemiego.

T'liona zachwycała nie tylko odwaga chłopca w wodzie i zabawach z delfinami, ale także szybkość, z jaką uczył się rozumieć ich dosyć dziwną mowę. One natomiast bardzo lubiły jego wysoki głos i ostrzeżone przez T'liona, że Readis jest jeszcze młodym stworzeniem, nigdy go nie przytapiały i postępowały z chłopcem delikatnie nawet wtedy, gdy głęboko nurkował i pływał z nimi pod wodą.

— Płuca masz jak smok, dzięki czemu możesz tak długo przebywać pod wodą — powiedział mu pewnego popołudnia T'lion, kiedy prawie wpadł w panikę, że chłopiec zbyt głęboko zanurkował. Po chwili zobaczył jednak, jak w towarzystwie Viny, najmłodszego dziecka Afo, wyskakuje na powierzchnię zatoki o dobre dwie długości smoka od tratwy.

— Nie rób tego więcej, Ready — krzyknął T'lion. — Teraz chodź tutaj i odpocznij!

Readis roześmiał się i pozwolił, żeby Vina przyholowała go do tratwy. Z uśmiechem, bardzo zadowolony z siebie, wdrapał się na pływający pomost.

— Nurkowaliśmy bardzo głęboko, ale nie udało nam się dotrzeć do dna — Vina zasygnalizowała, że dno jest za daleko — więc wypłynęliśmy na powierzchnię. Fantastycznie się z nią pływa.

— Teraz rozumiem, dlaczego twoi starzy chcą, żeby zawsze był ktoś z tobą, kiedy pływasz — stwierdził T'lion, ciągle jeszcze nie mogąc otrząsnąć się z przerażenia. — Musisz mi przyrzec, że już nigdy więcej nie zostaniesz pod wodą przez tak długi czas.

— No dobrze, przyrzekam. Ale muszę ci powiedzieć, że to była wielka przyjemność. Sam spróbuj. W towarzystwie delfina można zejść na znacznie większą głębokość.

— Jestem tego pewien, ale następnym razem zrobimy to wspólnie. Obiecujesz?

Potem Readis popatrzył zirytowany na Afo, trącającą go nosem w nogę.

— K'lec! Zły k'lec! — powiedziała i zaczęła popiskiwać na T'liona.

— Czy boli cię noga?

Readis spojrział obojętnie na przyjaciela, a potem skierował wzrok na swoją nogę.

— Och, od czasu do czasu. Nadepnałem na coś, ale kiedy pływam, nic mnie nie boli.

— Pokaż mi nogę.

Readis obrócił się na tratwie, żeby wykonać prośbę. T'lion zaczął naciskać małą silną stopę o zgrubiałej skórze, ale nie udało mu się wymacać bolącego miejsca.

— Zły k'lec! — upierała się Afo.

— Tam nic nie ma, Afo — stwierdził Readis i nachylił się tak nisko, że jego twarz znalazła się na wysokości jej pyska. Wyciągnął rękę i drapał ją pod brodą, dokładnie tak, jak lubiła najbardziej. — Nic mnie nie boli!

Afo gwałtownie potrząsnęła głową i przy pomocy szerokiego nosa ochlapała ich wodą.

— Readisie, może powinienes pokazać tę nogę swojej mamie albo ciotki Temmie. Zdaje się, że jest uzdrowicielem Siedliska.

— Ach, nic mi nie jest, jeszcze trochę popływajmy...

— Nie — T'lion powiedział to tak zdecydowanym tonem, że Readis nawet nie usiłował z nim dyskutować. — Muszę już lecieć po Boskoneya.

— On zawsze się spóźnia — przekomarzał się Readis.

— Co nie znaczy, że ja nie powinienem stawić się tam punktualnie. No, zbierajmy się.

Tak się złożyło, że tego dnia albo oni przylecieli nieco później niż powinni, albo Boskoney był bardzo punktualny. T'lion zsadził Readisa na ziemię, pomógł Boskoneyowi wdrapać się na smoka i w końcu zabrakło mu czasu, żeby przypomnieć chłopcu o konieczności opatrzenia nogi.

Przez następne dni zajęty był różnymi sprawami związanymi z Opadem Nici. Najpierw dostarczał worki z krzemieniem dla bojowych eskadr stacjonujących daleko nad ogromnym, śródlądowym jeziorem. Następnie wysłano go po Głównego Kowala, uczestniczącego w niekończących się dyskusjach, które codziennie odbywały się w Budynkach Administracji. Dopiero po trzech dniach znowu oddelegowano go do przewożenia Boskoneya. T'lion dotarł na tratwę Alemiego zadowolony, że spotka Readisa, ale chłopca tam nie zastał. Gdy wraz z Gadarethem wrócił, żeby zabrać Boskoneya, zapytał go, czy nie widział chłopca.

— Nie, Readis jest chory. O ile wiem, poważnie chory.

T'liona ogarnęło uczucie strachu. Niech to licho! Readis obiecał mu, że pójdzie do ciotki Temmy.

— Dostał gwałtownego napadu gorączki, co często przydarza się dzieciom w jego wieku — dodał Boskoney, sadowiąc się pomiędzy wyrostkami na szyi spizowca. — Za dzień lub dwa wszystko mu przejdzie. To bardzo silne dziecko.

— Tak, masz rację — odparł T'lion, a jego niepokój ustąpił tylko częściowo. Jedna z jego siostr zmarła z powodu takiej gwałtownej gorączki, ale była młodsza od Readisa i znacznie delikatniejsza niż zahartowany syn włodarza.

— Może delfin powinien go zbadać. One naprawdę mają wielkie zdolności do stawiania diagnoz.

Boskoney wybuchnął śmiechem i protekcyjnie poklepał po ramieniu młodego jeźdźca.

— Ach, nie przypuszczam, żeby jego stan był na tyle ciężki i wymagał pomocy twoich przyjaciół, T'lionie, ale to ładnie z twojej strony, że się tak troszczysz o chłopca.

— Traktuję go jak brata.

— Powiem mu, że dopytywałeś o niego.

— Proszę cię, zrób to.

Następnego dnia T'lion wszedł na tratwę i uderzył w dzwon. Pierwszego delfina, który zgłosił się na wezwanie, poprosił o sprowadzenie Afo.

— Afo, jaki kolec wbił sobie w nogę Readis? — zapytał niecierpliwie.

— Pływaj z nami — pisnęła Afo i z radości zaczęła cmokać. — Już od trzech słońc nie biłeś w dzwon.

— Nie, bo Readis jest chory.

— Zły k'lec. Powiedziała mu.

— Czy kolec mógł wywołać wysoką gorączkę?

— Zły k'lec. Morski k'lec, nie z lądu. Żlejszy.

— A więc muszę to powiedzieć jego matce — stwierdził T'lion i kazał się zawieźć Gadarethowi do domku włodarza.

Tam zastał nie tylko rodziców chłopca i jego ciotkę Temmę, ale także Głównego Uzdrowiciela z Ładowiska. Wszyscy wyglądali na ogromnie zatroskanych, a matka była bardzo smutna i wymizerowana z powodu niewyspania. Nawet na twarzy Jaygego widać było napięcie i zdenerwowanie.

— Usłyszałem, że Readis jest chory — zaczął T'lion, nerwowo ściskając swoją pilotkę. — Czy mógłbym w czymś pomóc? Jak wiecie, delfiny potrafią dobrze rozpoznawać, co komu dolega.

— Delfiny! — Aramina ze wstrętem wyrzuciła z siebie to słowo. — On bredzi o delfinach. — Obróciła twarz w kierunku Jaygego. — Przecież chyba nie wspomina znowu tamtego ocalenia, prawda?

— Ona boi się delfinów, T'lionie — powiedział Gadareth.

— Ale dlaczego!

— Boi się ich ze względu na Readisa.

I w tym momencie w głowie T'lionia zaświtała myśl, że może niewłaściwie postępował, zabierając chłopca na tratwę Alemiego, choć pilnował go tam jak należy i mały nie złamał przyrzeczenia danego swojej lękliwej matce.

Główny Uzdrowiciel z uwagą przyglądał się T'lionowi.

— Ty jesteś jeźdźcem spiżowego smoka i pomagałeś Persellanowi w Strażnicy Wschodniej?

— Tak, Mistrzu, jestem T'lion, jeździec spiżowego smoka.

— Twoja propozycja jest bardzo uprzejma, jeźdźcu smoka, ale to jest tylko przypadek dziecięcej gorączki. Ma znacznie ostrzejszy przebieg niż normalnie, ale nie widzę tu żadnych problemów, które delfiny mogłyby pomóc rozwiązać.

T'lion się zawahał.

— A czy on nie biegał zazwyczaj boso? Nie chciałbym, żeby to przyjęto jako wyraz krytyki, włodarzowo Aramino — dodał po chwili, kiedy zobaczył, że Aramina zachnęła się na jego uwagę. — Ja też chciałbym tak chodzić, gdybym tylko mógł — i wskazał gestem na swoje ciężkie buty, w których pociły mu się nogi. — Lecz wiem, jak groźne bywają kolce, a z taką łatwością mogą...

— Ma obie nogi spuchnięte — powoli wycedził uzdrowiciel.

— Obie nogi — powiedziała Aramina i rzuciła T'lionowi tak rozdrażnione spojrzenie, że wrzucił ramionami, jakby żałując wygłoszonych sugestii.

— Lecz prawa noga spuchła w niespotykany sposób... — Uzdrowiciel mruczał, idąc szerokim korytarzem do pokoi sypialnych, a za nim spieszyły Aramina i Temma.

— Ja już sobie pójdę — powiedział T'lion do Jaygego. Zrobił wszystko co mógł w danym momencie. — Wkrótce pokażę się tu znowu. Codziennie przewożę Boskoneya. — Z niepokojem spojrzał na Temmę i Jaygego.

— Dobrze o tobie świadczy, jeźdźcze, że tak się troszczysz o chłopca — rzucił uprzejmie

Jayge, ale T'lion wiedział, że myśli włodarza biegną w stronę pokoju, w którym leży chory.

— To zrozumiałe, Readis jest takim miłym chłopcem, przypomina mi brata... — I T'lion szybko wyszedł, bardzo przejęty.

— Przecież nie zrobiliśmy niczego złego, prawda, Gadarecie? On chciał rozmawiać z delfinami. Już przedtem z nimi rozmawiał. Jego matka była naprawdę zdenerwowana.

— Ona dobrze słyszy smoki. Musimy uważać, żeby za głośno nie rozmawiać. To ją drażni. Może delfiny również ją drażnią.

T'lion szybko szedł w kierunku domku Boskoneya. Jeżeli zada właściwe pytania, to może dowie się tego, na czym mu zależy. Jeżeli postąpił źle, musi się do tego przyznać, w przeciwnym razie mogą go spotkać prawdziwe nieprzyjemności ze strony T'gellana. To, że jest jeźdźcem smoka, nie zabezpiecza go przed popełnianiem czasem pomyłek. W jaki sposób mógł przewidzieć bieg spraw?

— Nie, nie mogłeś tego wiedzieć — Boskoney powiedział z głębokim westchnieniem, po tym jak T'lion zdał mu sprawę z przebiegu wypadków. — Nie uważam twojego postępowania za niewłaściwe. To po prostu zbieg okoliczności, że wszystko tak źle się skończyło. Więc powiadasz, że jeden z delfinów „widział” ten morski kolec w jego nodze cztery dni temu? — Westchnął znowu. Obaj byli wychowani w tropikach i zdawali sobie sprawę z tego, jak zdradzieckie mogą być kolce tkwiące w ludzkim ciele. Harfiarz uspokajającym gestem położył swoją dłoń na ramieniu młodego jeźdźcy. — Chłopcze, zrobię wszystko co będzie w mojej mocy. Odwołałem posiedzenie zaplanowane na dziś wieczór. Oni teraz tutaj mnie potrzebują. Ty możesz wracać do siebie. Porozmawiaj ze swoim komendantem. To najlepsza rzecz, którą w tej sytuacji możesz zrobić. Odnajdę Alemiego i przekażę mu wszystko co mi powiedziałeś.

W wyniku całej sprawy T'lion i Gadareth zostali oddelegowani do innych zadań, a Boskoneya woził teraz niebieski smok ze swoim jeźdźcą. W siedmiodzień później Boskoney zjawił się w Strażnicy Wschodniej będąc w drodze na Ładowisko, żeby powiedzieć dręczonemu wyrzutami sumienia jeźdźcowi spiżowego smoka, że Readisowi spadła gorączka i wkrótce wyzdrowieje. Nie chcąc ranić uczuć T'liona, harfiarz nie powiedział mu, że trucizna uszkodziła prawą nogę chłopca zaciskając ścięgna, co prawdopodobnie trwale ograniczy jej sprawność.

— Alemi zdołał nakłonić ich, aby zanieśli chłopca do delfinów i Afo dokładnie wskazała miejsce, w którym tkwił kolec. Trucizna w międzyczasie dotarła już do kolana. Powiedziano mi, że mogła posuwać się dalej do samego serca i wtedy zabiłaby go.

T'lion skulił się na hamaku i ukrył twarz w dłoniach.

— Powinienem był wtedy wszystko im wyznać!

— Słuchaj, chłopcze, nie bierz sobie tego aż tak do serca. Powiedziałeś mnie, a ja im wszystko przekazałem.

— Czy mógłbym... go zobaczyć?

Harfiarz uprzejmie skinął głową.

— Jest za słaby, żeby widywać kogokolwiek, a mimo to prosił Alemiego, by wytłumaczył ci, dlaczego tak długo się nie pokazywał.

T'lion lamentował dalej.

— Powinienem... powinienem od razu zaprowadzić go do uzdrowiciela. Natychmiast po tym, jak Afo powiedziała, że to groźny kolec! Bałem się jednak, że spóźnię się na spotkanie z tobą...

— A ja byłem zdenerwowany i tego dnia popędzałem cię. To nie twoja wina, T'lionie, i nie możesz tak się tym zamartwiać. A w ogóle... — harfiarz zaczął mówić pogodniejszym tonem i lekko się uśmiechnął — ...wszyscy uzdrowiciele zalecają Readisowi codzienne pływanie, co może pozwolić mu na odzyskanie pełnej władzy w nodze.

— Naprawdę mu to zalecają? — zapytał T'lion i poczuł, jakby zmniejszył się

przygniatający go ciężar.

— To daje największe szansę pełnego powrotu do zdrowia.

— A... jego matka?

Uśmiech Boskoneya stał się ironiczny.

— Musiała zaakceptować tę kurację. Jest jedynym sposobem, żeby znowu normalnie chodził.

— Ach! — T'lion ukrył twarz w dłoniach i zaczął się kiwać z boku na bok. — Był dla mnie jak brat...

— Słuchaj, T'lionie, dość już tego poczucia winy. To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności. A teraz muszę ci powiedzieć, że Readis jest zachwycony. Nie uważa za żaden ciężki obowiązek konieczności codziennych kontaktów z delfinami. Słyszałem, jak tłumaczył swojej matce, że w wodzie lepiej chodzi niż na lądzie.

T'lion roześmiał się pogodnie.

— No pewnie, dlaczegoż by nie. Och, jaki to dzielny chłopak.

— Wszystko z nim będzie w porządku. I z tobą także.

## ROZDZIAŁ IX

W ciągu następnych czterech Obrotów, kiedy Readis pilnie ćwiczył swoje nogi w ciepłych wodach wokół Rajskiego Przylądka, bardzo ważne wydarzenia rozgrywały się na Lądowisku, w Strażnicy Benden oraz w Siedliskach Cove i Fort. Zgodnie z radą i wskazówkami Assigi Strażnice, Cechy i Siedliska połączyły swoje wysiłki i z pomocą technologii od niego uzyskanej zmieniły orbitę Czerwonej Gwiazdy na taką, która już nigdy nie pozwoli jej na zbliżenie się do planety i zagrożenie Opadem Nici. Wszyscy świętowali koniec tyranii Nici w dniu, w którym dokonano eksplozji silników poruszanych antymaterią, zainstalowanych na trzech statkach kosmicznych, które przywiozły na Pern kolonistów, a wydarzenie było obserwowane przez soczewki dalekowskocznych. Jednak Nici nie przestały opadać i fakt ten zmieszał wielu, nie wyłączając Readisa.

— Więc co takiego świętujecie? — zapytał ojca cztery dni później, gdy Nici opadły na Siedlisko Rajskiej Rzeki.

— Ponieważ zagrożenie Nićmi się skończy... to jest ostatnie Przejście.

— Tak myślisz? Harfiarz powiedział, że to zdarzało się już od stuleci i za każdym razem, kiedy wydawało się, że zagrożenie się skończyło... po długiej przerwie... Nici jakoś znowu się pojawiały.

Jayge uśmiechnął się do swojego syna, tak bardzo wyrosniętego jak na jedenaście Obrotów, i starał się nie patrzeć na jego kaleką prawą nogę. Stąpając na niej Readis musiał dotykać podłoża tylko koniuszkami palców. Ojciec pogładził chłopca po kręconych włosach i pomyślał, jakie to niesprawiedliwe, że w ich rodzinie chłopcy mają loki, a dwie córki zupełnie proste włosy.

— Jeźdźcy smoków udali się na Czerwoną Gwiazdę i tak nią pokierowali, żeby nie mogła się zbliżyć i kiedykolwiek przynieść znowu Nici na Pern.

— W jaki sposób mogli zmienić bieg gwiazdy? — zapytał Readis. — Jest za wielka nawet jak na możliwości smoków.

— Wykorzystano silniki z „Siostr Jutrzenki”. Zepchnęły Gwiazdę z orbity przebiegającej zbyt blisko Pernu. Czy rozumiesz to, co ci tłumaczę?

— Oczywiście! Harfiarz powiedział nam wszystko o systemie gwiazd. Położył na ziemi orzech kokosowy, który miał symbolizować słońce, a potem odszedł aż na brzeg rzeki, żeby umieścić tam mały kamyczek jako Pern — zachichotał Readis. — Powiedział, że to są proporcjonalne wielkości i odległości. — Tak naprawdę mógł tylko powtórzyć to, co usłyszał, gdyż niezupełnie rozumiał zawilosci problemu. — Oczywiście wiem, że Pern nie



jest tak mały jak ten kamyk!

— Zrozumiesz wszystko, jak dorosisz.

— Każdy mi to mówi — odparł oburzony chłopiec.

— Kiedyś przekonasz się, że to prawda — powiedział Jayge i jakby usłyszał echo swojego własnego głosu z lat dziecińczych. — Boskoney sugerował, żeby zapisać cię do szkoły na Ładowisku.

— Co? Ja miałbym opuścić Rajską Rzekę? — Już sama myśl o tym przerażała Readisa.

— Tylko w ciągu dnia, sześć razy na siedmiodzień, z wakacjami w porze gorącej.

— Tato!

— Zostaliście przyjęci, ty, Kami i Pardure. Rajska Rzeka miała wielkie szczęście dostając trzy miejsca z ogólnej liczby dwudziestu pięciu dla specjalnych uczniów...

— To znaczy, że z powodu mojej nogi będę musiał opuścić to miejsce?

— Przecież Kami i Pardure są zupełnie zdrowi, mój młody człowieku — poważnym tonem wyjaśnił mu ojciec.

Readisa nie uspokoiło to całkowicie. Nie cierpiał, gdy ktoś go specjalnie wyróżniał. Jeździł wierzchem na małym biegusie, którego Lord Jaxom wytrenował dla niego, tylko z tego powodu, że Ruth stwierdził, iż on, biały smok, wybrał to stworzenie dla Readisa, który przez wiele Obrotów tak wspaniale potrafił go szorować. Niewielkie zwierzę umożliwiło Readisowi razem z innymi dziećmi z Siedliska wędrować po okolicy. Był on równie dobrym jeźdźcem, jak pływakiem. Aramina była zadowolona, kiedy korzystał z biegusa Delky'ego... pragnęła, żeby chłopiec trzymał się jak najdalej od delfinów. Nie dała się przekonać, że to nie delfiny winne były jego choroby i kalectwa. To właśnie Aramina dowiedziała się o specjalnych kursach w Budynku Administracji, na których uczono posługiwania się maszynami informacyjnymi, spuściznie po Assigi. Menolly zawiadomiła o przyjęciu Alemiego, który zwrócił się z prośbą o miejsce nie tylko dla swojej najstarszej córki, ale również dla Readisa, a Menolly zawiadomiła, że zostali przyjęci.

— No dobrze, ale jak się będę tam dostawał? — zapytał ojca Readis, w geście niemal impertynenckim wysuwając podbródek.

— Latając na smoku. Chyba nie będziesz miał nic przeciw temu? — Jayge wiedział, że kwestia transportu może stać się ostatecznym argumentem.

— Codziennie? — Readis prawie całkowicie się udobruchał. — Będziemy musieli latać na smoku każdego dnia rano i wieczorem?

Miał nadzieję, że to T'lion i Gadareth będą ich przewozili. Nigdy nie udało mu się przekonać matki, że T'lion nic nie zawinił w związku z jego chorobą. Ciągłe jej powtarzał o poleceniu pójścia do ciotki Temmy, jakie dwukrotnie dał mu T'lion, a on o nim zapomniał. Jego choroba i kalectwo nie były winą T'liona — to on sam zawinił.

Znowu usłyszał, co do niego mówił ojciec.

— Jest to specjalny przywilej dla całej waszej trójki i tak będzie do czasu wybudowania internatu dla uczniów.

— Jazda na smoku dwa razy dziennie? — Readis nie dosłyszał drugiej części zdania. Na myśl o regularnym lataniu na smoku wesoło zabłyśły mu oczy.

— Tylko w przypadku takich postępów w nauce, że będziecie zasługiwali na ten zaszczyt — dorzucił poważnym tonem ojciec.

Boskoney w swoim sprawozdaniu opisał Readisa jako najlepszego ucznia, który wyprzedził Kami i pilnego Pardurea, najstarszego potomka czeladnika Cechu Tkaczy Parrena. Pardure musiał ciężko pracować na swoje sukcesy, natomiast wydawało się, że nauka bardzo łatwo przychodziła Readisowi, który mógłby wiele skorzystać współzawodnicząc w lepiej zorganizowanym i stwarzającym odpowiedni klimat systemie nauki. Walka o miejsca była bardzo zacięta, lecz twórca systemu Mistrz Robinton nalegał, żeby wszyscy uczniowie mieli odpowiednie rekomendacje od harfiarzy i byli wybierani proporcjonalnie z rodzin należących

do Strażnic, Cechów i Siedlisk. Mistrz Robinton chciał jak najwcześniej zapewnić tej nowej generacji naukę, by mogła wchłonąć i spożytkować ogromną wiedzę dostępną dzięki Assigi. Zaczął od specjalnej klasy złożonej z kilku odpowiednich uczniów, będących dziećmi mieszkańców Ładowiska, i z każdym Obrotem powiększał liczbę młodzieży uczęszczającej do swojej szkoły. Assigi zaakceptował to twierdząc, że łatwiej będzie uczyć dzieci, gdyż nie przyswoiły sobie jeszcze błędnych wiadomości, które należałoby korygować. Szkołąc od nowa mężczyźni i kobiety, trzeba było zmieniać ich nabyte przez całe lata przyzwyczajenia w zakresie sposobu myślenia i nauki. Teraz, kiedy główna sprężyna pobudzająca wszystkich do działania — projekt Czerwona Gwiazda został zakończony, Cechy mogły się zająć upowszechnianiem nowych urządzeń, dzięki którym podniesie się poziom życia na Pernie. Gdy nadejdzie moment, kiedy energia będzie wytwarzana w Siedliskach, Cechach i Strażnicach, specjalne urządzenia, z których dzięki Assigi ludzie nauczyli się korzystać, zostaną rozmieszczone na całej planecie, zamiast być scentralizowane na Ładowisku.

Jayge ze swoimi fachowcami badał działanie generatorów wiatrowych i pływowych, pragnąc ustalić, jakie źródła energii najlepiej się nadadzą. Korzystając z mechanicznych warsztatów tkackich, czeladnik Parren mógł produkować duże ilości tak poszukiwanych materiałów, tkanych z włókien miejscowych roślin. Lepsze światło zdecydowanie pomagało w każdym domu, a wentylatory w porze gorącej czyniły życie przyjemniejszym. Badano również inne zastosowania energii elektrycznej, a zwłaszcza wytwarzanie sztucznego lodu, dzięki któremu złowione ryby dałoby się przechowywać przez dłuższy czas. Alemi był wielkim zwolennikiem tego postępu. Jaygemu trudno było pojąć niektóre nowe idee, więc cieszył się z okazji, jaka się przytrafiła Readisowi. Rozpocznie zapoznawanie się z tymi nowymi cudami w wieku, w którym nauka przychodzi łatwiej. Taka edukacja może ułatwić przyjęcie chłopca do Rady Włodarzy, kiedy nadejdzie czas potwierdzenia go na Włodarstwie. Zanim to jednak nastąpi, Jayge postanowił udoskonalać Siedlisko i jego zasoby. Podstawowa nauka rachunków, czytania i pisania wpajana przez harfiarzy wraz z tradycyjnymi balladami i pieśniami zupełnie wystarczała tym, którzy mieli stać się terminatorami w różnych rzemiosłach, natomiast włodarz potrzebował szerszego, pełnego spojrzenia na świat. Jayge nauczył się zarządzania metodą prób i błędów dawno temu, gdy razem z Araminą znaleźli się jako rozbitkowie na tym terenie, ale dla swoich synów i córek pragnął czegoś lepszego.

Readis był całkowicie przygotowany do szkoły na pierwszą lekcję, która miała się odbyć następnego dnia rano — jego tornister był zapakowany, lotnicza kurtka i pilotka, chroniące w czasie lotu w przestrzeni pomiędzy, naszykowane. Wtedy właśnie na tarasie zjawiała się z piskiem latająca jaszczurka. Usłyszał jej nerwowe kwilenie w tej samej chwili, co reszta rodziny. Wbiegł na taras w momencie, gdy jego ojciec odpinał tubę na meldunki, którą miało na sobie małe stworzonko. Natychmiast gdy uwolnił ją od przesyłki, jaszczurka rozpaczliwie zawodząc odleciała, a za nią pobiegł smutny krzyk jej miejscowego pobratymca.

— Nie, nie, to jest niemożliwe — powiedział Jayge z niedowierzaniem potrząsając głową po zapoznaniu się z treścią notatki. — Nie, to się nie mogło stać!

— Co się wydarzyło, tato? — zapytał Readis. Jeszcze nigdy nie widział takiego bólu na twarzy ojca.

Jayge opuścił głowę na piersi i zgarbiony ciężko oparł się o balustradę. Zasłonił oczy jedną ręką, w drugiej wciąż trzymając wąski pasek papieru zawierający wiadomość.

— Tato? — Readis poczuł, że ogarnia go lęk. Musiało stać się coś strasznego. — Tato? — Pragnął dowiedzieć się, o co chodzi.

— Readisie, jedź do Boskoneya i poproś, żeby do nas przyszedł. Weź Delky'ego. — Ręką wskazał na małego biegusa stojącego przy rogu domu.

Readis wskoczył mu na grzbiet, obejrzał się i popatrzył na ojca, który stał nieruchomy i wyraźnie przybity. Chłopiec ścisnął piętami zebra wiernego stworzenia i w jednej chwili pomknęli do domku harfiarza. Chłopiec cieszył się z posiadania Delky'ego i możliwości

jazdy na nim, ale to nie to samo co pływanie z Kibem lub Afo. Pomimo cierpliwości i oddania Delky nie potrafił mówić, a z delfinami i smokami można było rozmawiać. Uznał więc, że Delky ma poważne braki. Nawet latające jaszczurki potrafiły reagować na ludzką mowę. Delky robił tylko to, co mu nakazano, choć mimo to był bardzo użyteczny. Readis przesunął się na zad i Delky, tak jak był wyszkolony, gwałtownie stanął, a wzniesiony tuman piasku wpadł w otwarte drzwi domku harfiarza.

— Co to za pośpiech, młody człowieku? — zainteresował się Boskoney, podchodząc do drzwi.

— Tata chce, żebyś przyszedł. To bardzo pilne. Latająca jaszczurka przyfrunęła z wiadomością, która go ogromnie poruszyła.

— Poruszyła go?

Readis gestem zaprosił Boskoneya do zajęcia miejsca za nim. Nogi harfiarza dotykały krzaków. Posłuszny Delky wykonał zwrot na zadzie i ruszył w kierunku domu. Podwójny ciężar nie robił na nim najmniejszego wrażenia, zachowywał się tak, jakby niósł tylko lekkiego Readisa.

— Co to za wiadomość? — zapytał Boskoney, wyciągając rękę pod ramieniem Readisa, żeby chwycić za grzywę Delky'ego.

— Nic mi nie powiedział, tylko kazał sprowadzić ciebie. Od czasu przeczytania tej wiadomości nawet nie drgnął — szepnął Readis do Boskoneya, podczas gdy harfiarz zsiadał z biegusa przy schodach tarasu. Teraz Readis naprawdę się zmartwił. Złe wieści rzadko docierały do Rajskiej Rzeki. Kiedy zdarzało się coś niepomyślnego, ojciec był raczej skłonny do gwałtownych reakcji — nigdy nie zdarzało się, żeby tak uporczywie milczał i zamknął się w sobie.

Usłyszawszy kroki harfiarza, Jayge wyciągnął w jego kierunku rękę z kartką zawierającą wiadomość. Boskoney rzucił na nią okiem. Właśnie wchodził na schody i zatrzymał się z nogą podniesioną w powietrzu, a po chwili wolno dotarł na najwyższy stopień, złapał się rękoma za głowę i zaczęły mu się trząść ramiona. Readis skierował Delky'ego za dom do kuchennych drzwi, przy których jego matka przygotowywała kolację.

— Mamo — powiedział Readis wchodząc do mieszkania, po czym dotknął jej ramienia — myślę, że powinnaś pójść i zobaczyć, co takiego stało się tacie.

— A co też mogło mu się stać, kochanie? — zapytała i nagle wydało się Readisowi, że matka mówi zbyt głośno.

— Otrzymał jakieś złe nowiny i wysłał mnie po Boskoneya. Teraz siedzi na tarasie i... Mamo, co mogło spowodować, że harfiarz się rozplakał?

Aramina rzuciła synowi zdziwione spojrzenie, następnie zdjęła z ognia ciężki rondel i prawie biegiem ruszyła w stronę frontowego tarasu. Readis pokuśtykał za nią, prawą nogę opierając tylko na czubkach palców — nauczył się w ten sposób chodzić prawie tak szybko, jak ludzie poruszający się na dwóch zdrowych nogach. Zanim dotarł na taras, usłyszał płacz matki, co prawda nie tak głośny jak wtedy, gdy dowiedziała się o śmierci dziadziusia, ale ogromnie przejmujący, jakby wypełniający ją ból stał sienie do zniesienia. Objęła Jaygego i sama płacząc usiłowała go pocieszać.

Readis nie mógł znieść tego widoku, wskoczył na Delky'ego i pognał do osiedla małych domów na brzegu rzeki.

— Wydaje mi się, że powinniście pójść do dworu, ciociu Temmo i wujku Nazerze. I ty również, wujku Swacky — dodał, gdy w drzwiach pojawiła się zwałista postać groźnego, starego żołnierza. — Nie wiem, co się stało, ale tata, mama i nawet Boskoney płaczą.

Nie czekał, żeby sprawdzić, czy zastosowali się do jego prośby, ale zawrócił Delky'ego i galopem przemknął obok dramatycznej sceny na tarasie swojego domu. Kierował się do mieszkania Alemiego. Mistrza Rybackiego wziął na biegusa, a Ketrin i inni rybacy poszli za nimi na piechotę.

Kiedy przybył Alemi, Temma, Nazer, Swacky, Parren, jego żona i ich najstarsza córka stali na tarasie i łkali. Pasek papieru podano Alemiemu, który zaczął spazmatycznie oddychać i przetykać ślinę, a łzy toczyły mu się po policzkach. Widząc nadarżającą się okazję, Readis przyciągnął do siebie rękę mężczyzny i w ten sposób mógł przeczytać tę straszną wiadomość.

— Mistrz Robinton i Zair nie żyją. Skończył się także Assigi. Nie od razu zrozumiał znaczenie tych złowieszczych słów. Mistrz Robinton nie mógł umrzeć. Przecież wszyscy go potrzebują. Readis doskonale to wiedział. A w jaki sposób mogła umrzeć maszyna? Wiedział, że Assigi był maszyną, niezwykle inteligentną, posiadającą ogrom wiadomości, ale jednak tylko maszyną. Maszyny nie umierają, one się... po prostu zużywają? Ulegają zniszczeniu?

Nagle powietrze wypełniło się mnóstwem latających jaszczurek, wszystkie wydawały z siebie niesamowite żałobne dźwięki, bardzo wysokie i drażniące uszy. Były to odgłosy, jakich nigdy dotąd nie słyszał. Jaszczurki nurkowały w powietrzu, ostro opadały na dach dworu, potem znowu się podrywały, niezdolne do usadowania się gdzieś choćby na chwilę, a wszystko to odbywało się przy akompaniamencie tego okropnego hałasu.

— Co się dzieje? Moja latająca jaszczurka jest bardzo zdenerwowana — zawołał Lur, jeden z rolników, który przed chwilą przybiegł do dworu.

Za nim na ścieżce Readis widział innych rzemieślników i rolników podążających do siedziby włodarza. Ściągnęło ich tu wszystkich niezwykle zachowanie latających jaszczurek. Alemi zsunął się z grzbietu Delky'ego i dołączył do żałobników stojących na tarasie, więc Readis skierował swojego biegusa w stronę Lura i pokazał mu kartkę. Twarz Lura zrobiła się biała pod ciemną opalenizną i musiał się oprzeć o najbliższe drzewo. Wybuchnął gwałtownym łkaniem. Readis ruszył na biegusie wzdłuż ścieżki, pokazując idącym nią ludziom kartkę z wiadomością. Wkrótce wszyscy zebrali się wokół tarasu — panował tam płacz i głęboki smutek. Dzieci mieszkańców Siedliska jeszcze niezupełnie rozumiejące ogrom straty, zgromadziły się z daleka od dorosłych, zmieszane panującą atmosferą i widokiem zmartwionych rodziców.

Dla Readisa był to najdziwniejszy wieczór w jego dotychczasowym życiu. Widział, ile czasu zajęło ojcu zwabienie Torka, jego latającej jaszczurki i wysłanie go z wiadomością. Niektóre z kobiet weszły z jego matką do wnętrza domu i po chwili ukazały się, niosąc wino. Inna grupa wróciła do domów, żeby przynieść coś do jedzenia, ale tylko najgłodniejsze dzieci energicznie zabrały się do poczęstunku.

Gdy zaszło słońce, ciągle jeszcze nikt nie miał zamiaru odchodzić. Harfiarz siedział na stopniach schodów, obracając w dłoniach kieliszek z resztką wina, a Aramina i Jayge dolewali mu trunku. Readis zauważył, że po twarzy Boskoneya wciąż płyną łzy i nie robi on nic, by je osuszyć. Był uczniem Robintona, więc można zrozumieć jego żal po stracie Mistrza. Readis uważał, że dodatkową przykrością był fakt, iż razem z Głównym Harfiarzem zmarła jego latająca jaszczurka. Myśl o tak wielkim przywiązaniu dławiła go w gardle, pomyślał nawet, że Delky, Kib lub Afo mogłyby umrzeć z nim, gdyby miał wkrótce zakończyć życie. A przecież prawie tak się stało, gdy chorował po wbiciu sobie kolca w nogę. Słyszał, że smoki umierają razem ze swoimi jeźdźcami, lecz w Rajskiej Rzece nie umarł jeszcze żaden posiadacz latającej jaszczurki, więc chłopiec nie wiedział, jak to się z nimi dzieje. W pewnym momencie zauważył, że dorośli siedzący na trawniku o czymś cicho rozmawiają. Kami uznała, że powinni postarać się o płonące łuczywa. Readis zaprowadził ją i Pardurea, który zaoferował swoją pomoc, do miejsca gdzie je przechowywano. Przynieśli stamtąd dostateczną ilość łuczyw, żeby móc oświetlić tę pamiętną scenę.

W wiele Obrotów później Readis pamiętał tę noc i cienie rzucane na posmutniałe z powodu wielkiej straty znajome twarze. Wspominał także, że chociaż opróżniono mnóstwo bukłaków wina, to jednak nikt się nie upił na wesoło. Nie było śpiewów, co stanowiło dziwny przypadek podczas tak liczego zgromadzenia. Readis zaczął się, dziwić dlaczego nikt z dorosłych nie każe jemu i innym dzieciom iść spać. Najmłodsze pozasypiały tam, gdzie się

akurat znalazły — na kolanach rodziców lub obok nich na gołej ziemi. W końcu chłopiec wstał i przyniósł okrycia dla Aranyi, Kami i jej siostr, a także dla siebie, Pardurea i Askono. Jego najmłodszy braciszek spał na tarasie, w hamaku obok matki. Sam usiłował bronić się przed zaśnięciem, żeby zobaczyć, jak wygląda czuwanie przez całą noc, lecz cichy szum smutnych głosów ukołysał go do snu.

Następnego ranka obudził się we własnym łóżku. Wyglądając na dwór zobaczył, że wiele osób spędziło tę noc śpiąc na trawie. Boskoney zajął hamak, a okrył się drogą kapą Araminy. Był to dzień, w którym Readis miał rozpocząć naukę. Jego szkoła była pomysłem mistrza Robintona, więc teraz całe przedsięwzięcie stało pod znakiem zapytania. Readis był niezadowolony, że może go ominąć taka okazja, szczególnie że miał obiecanne dojazdy do szkoły na smoku.

Kiszki mu marsza grały, gdyż ostatniego wieczoru zjadł bardzo niewiele, pragnąc w ten sposób wyrazić swój szacunek dla zmarłego. Poszedł do spiżarni, próbując znaleźć coś do zjedzenia. Aranya, ostrzeżona odgłosami krzątania Readisa, weszła do kuchni, ciągnąc obok siebie małą Almie.

— Jestem głodna — powiedziała wyraźnie dziewczynka wydymając wargi. Chociaż Aranya ubrana była w czysty kombinezon, Almie ciągle miała na sobie pogniecione rzeczy, które nałożyła poprzedniego dnia. — Mam pusto w brzuszku.

— Zaraz cię nakarmię, uspokój się — odpowiedział Readis cicho. Wyczuwał, że rodzice chcieliby dłużej pospać. Jego najmłodszy braciszek będzie spał, dopóki ktoś albo jakiś głośny dźwięk go nie obudzi. Nie chciał, żeby sprawczynią przerwania małemu snu była Almie. Naszykował miseczki, nappełnił je przygotowanymi wcześniej krojonymi owocami, które zawsze znajdowały się w chłodziarce, i zrobił grzanki, dzięki temu jego siostry zachowywały się cicho. Posmarował chleb dla Almie słodką masą, którą uwielbiała, gdyż wiedział, że w przeciwnym razie zacznie się tego głośno domagać. Z Aranyą łatwiej można było sobie poradzić niż z Almie. Następnie naszykował ziarno i nakarmił drób, a także Delky'ego, cierpliwie czekającego przed tylnymi drzwiami na garstkę zboża. Psy gwałtownie się ożywiły, kiedy postawił im na wybiegu miski z żarciem. Potrafiły wyć tak głośno, że, jak często mówiła matka Readisa, mogłyby obudzić umarłego. Wrócił do kuchni, zagotował wodę i zmełł nową porcję kory klahu, widząc opróżniony sój po nim. Jednego był pewien, będzie potrzeba dużo świeżo zaparzonego klahu.

Namówił Aranyę, żeby zabrała Almie do dzieciennego pokoju, umyła ją i ubrała. Aranya bardzo lubiła grać rolę mamy wobec swojej siostry. Właśnie usiadł, żeby zjeść swoją grzankę, gdy tylnymi drzwiami wślizgnęła się Kami. Jej niebieskie oczy rozszerzyły się pod wpływem emocji wywołanych ostatnimi wiadomościami i wyglądała na bardzo przejętą.

— To straszne, prawda? — wyszeptwała do niego.

— Jeszcze ciągle śpią — cicho powiedział Readis. Pokiwał w jej kierunku widelcem wskazując grzanki, lecz dziewczynka odmówiła ruchem głowy, natomiast łakomie patrzyła na stojący na stole dzbanek z sokiem owocowym, więc nalał jej szklanekę.

— Do mojego ojca wiadomość dotarła dziś rano — rzekła — Mamy wszyscy popłynąć do Monako w celu odprowadzenia harfiarza do morza.

Readis poczuł, jak żal ściska mu gardło. Boskoney śpiewał kiedyś wzruszającą pieśń o pełnym godności pogrzebie morskim innego harfiarza, pierwszego mistrza cioci Menolly. Ta ceremonia ma być podobna.

— Wszyscy mamy płynąć? — zapytał z trudem Readis przez zaciśnięte gardło. — Wszyscy z Rajskiej Rzeki? — Miał na myśli dzieci i dorosłych.

Kami skinęła głową na potwierdzenie.

— Ojciec mówi, że popłyniemy trzema statkami, więc prawie wszyscy będą mogli oddać hołd naszemu Głównemu Harfiarzowi. Według słów taty nigdy nie wolno nam zapomnieć tego, co zawdzięcza my mistrzowi Robintonowi.

— A więc mimo wszystko będziemy chodzić do tej szkoły? — zapytał Readis.

— Ach, jak możesz myśleć o czymś takim jak szkoła, gdy cały świat jest w żałobie? — Kami aż podniosła głos oburzona jego niewinnym pytaniem.

— To jest właściwe pytanie — odezwał się z progu Jayge. — O, klah. No, ktoś okazał się przewidujący — dodał i nachylił głowę w stronę Readisa. — Dobry z siebie chłopiec. Czy twoje siostry są nakarmione i mają jakieś zajęcia? Dziękuję ci! — Nalał trzy kubki, do dwóch wsypał słodzik i postawił je na tacy. — Zaraz wrócę. Przygotuj mi kilka grzanek, Readisie. Myślę, że nikt z nas nie jadł wiele ostatniego wieczoru.

— Chwileczkę, włodarzu Readisie — zaczęła formalnie Kami i wzięła głęboki oddech. — Mój ojciec mówi, że otrzymał wiadomość z prośbą o przybycie ludzi z Siedliska do Zatoki Monako jutro rano. Twierdzi, że dotarcie tam na czas będzie możliwe, jeżeli statki zostaną załadowane i odbiją o północy.

— Wszystkie trzy? W takim razie znajdzie się tam miejsce dla wszystkich mieszkańców?

Kami skinęła głową z wielką powagą.

— Tak, proszę pana! Powiedział, że wszyscy, którzy będą mogli popłynąć, powinni się zgłosić. Wiadomość zawierała takie polecenie.

— Doskonale. Czy możesz zawiadomić wszystkich mieszkańców? Świetnie, dziękuję ci, Kami.

Kami wysunęła się przez kuchenne drzwi i Readis zobaczył ją przez okno, jak biegła ścieżką w kierunku chat.

— Poproszę cię o chleb, Readisie, i odpowiednie porcje dla mamy i Boskoneya.

Był to bardzo dziwny dzień. Ludzie wykonywali swoje normalne zajęcia, ale wszyscy mieli smutek na twarzach. Oczy niektórych były zaczerwienione od płaczu, a wielu głośno pociągało nosem. Szczególnie wyraźnie widział to Readis, gdy w roli gońca rozdawał przysłane mu przez Alemiego przydziały miejsc na statku. Zastanawiał się nad tym, czy wuj zawiadomił delfiny. Najwyraźniej to zrobił, gdyż kiedy w środku nocy wsiadali na „Pomyślny Wiatr”, widział mnóstwo płetw grzbietowych i wysmukłe ciała srebrzyście połyskujące w świetle gwiazd. Niestety, nie mógł czuwać tak długo, jak by chciał — ostatni wieczór i noc były bardzo męczące, a dzień najdziwniejszy jaki przeżył. Delfiny również śpiewały pieśni pełne smutku. Readis zwinął się w swojej kryjówce na dziobie „Pomyślnego Wiatru” i zasnął ukołyszany szumem fal, pieśnią delfinów i łagodnymi przechyłami statku na spokojnym morzu.

Kiedy wpłynęli do Zatoki Monako, znajdowało się tam już wiele statków i mniejszych łodzi, a w wodzie pływały setki delfinów. W powietrzu fruwały wielkie stada latających jaszczurek, było ich jeszcze więcej niż wczoraj w Siedlisku, chwilami dosłownie zasłaniały słońce. Tak się zapatrzył na jaszczurki, że początkowo nie zauważył statku, całego udekorowanego na czarno, który zacumowany był do nabrzeża. „Pomyślny Wiatr” zakotwiczył dość daleko, z drugiej strony zatoki i dopiero ojciec zwrócił mu uwagę na kondukt — niewielką kolumnę żałobników kierującą się w stronę przystani. Readisowi pozwolono przyglądać się przez dalekovid Wulemiego.

— Chciałbym, żebyś to zapamiętał, chłopcze — powiedział ojciec, podając mu długą rurę. — Zmarł wielki człowiek.

Następnie patrzyli, jak rozwijano na statku żagle obrębione czarnymi szarfami i jak je powoli wydymał łagodny wiatr. Statek majestatycznie odbił od nabrzeża. Alemi także postawił żagle, gdy żałobny statek przepływał obok nich. Następnie „Pomyślny Wiatr” ruszył jego śladem. Readis przez cały czas denerwował się, żeby jakiś delfin nie został zraniony, tak liczną tworzyły eskortę.

Chłopiec z tego dnia najlepiej zapamiętał, poza niezwykłą powagą panującą na statku i okrytymi zwłokami spoczywającymi na jego dziobie, widok smoków wypełniających

nieboskłon, eskadra obok eskadry, w zwartych formacjach nieruchomo zastygłych w powietrzu podczas trwania całej ceremonii. Zapamiętał również potężne ich zawroscenie w chwili, gdy zwłoki Głównego Harfiarza zsuwały się do wody. Dźwięk tych głosów przeszywał najgłębsze zakamarki jego ciała i jeżył mu włosy na głowie. Te odgłosy były znacznie gorsze od szumu robionego przez latające jaszczurki. Piski i cmokania delfinów uzupełniały panujący hałas. Czy delfiny знаły Głównego Harfiarza? Wszystkie stada wykonały pożegnalny skok, a Readis nieświadomie i wstrzymał oddech w chwili, gdy zniknęły pod wodą. Tak długo jednak nie wypływały, że był zmuszony zaczerpnąć powietrza, bo czarne płatki zaczęły mu krążyć przed oczami. Potem spojrział daleko na morze, ale w zasięgu wzroku nie mógł dostrzec nawet pojedynczej płetwy.

Zorientował się, że na niebie pozostał tylko jeden smok. Niewątpliwie był to Ruth, jego biała skóra wyraźnie rysowała się na błękitnym niebie. Zawisł w bezruchu na tak długo, że Readis zaczął się martwić, czy mu się coś nie stało. Ruth pozostał na straży, gdy Alemi, sam przy kole sterowym, skierował statek w stronę macierzystego portu i rozpoczął rejs powrotny. Wreszcie zniknęła w oddali sylwetka Rutha, a może smok opuścił swój podniebny posterunek. Readis pomyślał, że było to najsmutniejsze ze wszystkiego, co przeżył w tym dniu.

Delfiny pokazały się dopiero wtedy, gdy „Pomyślny Wiatr” wpłynął na przybrzeżne wody.

Na trzeci dzień po pogrzebie przyleciał T’lion, by zawieźć uczniów na Ładowisko. Nie zaprowadzono ich do Budynku Administracji, czego spodziewał się Readis, ale do innego gmachu, gdzie oczekiwał tłum młodych ludzi. O wyznaczonej godzinie ukazał się w drzwiach Mistrz i czystym, zdecydowanym głosem poinformował o przydziale sal dla poszczególnych klas. Gdy starsi uczniowie weszli do budynku, gestem poprosił pozostałych, żeby podeszli do niego.

— Jesteście więc tymi uczniami, którzy rozpoczynają w naszej szkole semestr — stwierdził, lustrując grupę. — Nazywam się Mistrz Samvel, jestem pryncypałem tej szkoły, a wy będziecie określane mianem Klasy Dwudziestej Pierwszej, gdyż mamy właśnie dwudziesty pierwszy rok obecnego Przejścia. Nazwa, obawiam się, nie jest zbyt oryginalna, ale to określenie pozwoli was zidentyfikować i adresować komunikaty przeznaczone dla waszej klasy jako całego zespołu. W ciągu kilku następnych dni zapamiętam wszystkie imiona. Na razie witam was serdecznie i zapraszam do sali D, gdzie będziemy mogli zacząć informowanie was o szkole i programie.

W ten sposób zaczął się okres, który, jak później dowiedział się Readis, nazywany był Fazą Przejściową. A on w nim uczestniczył.

## ROZDZIAŁ X

W trzy Obroty później czterystu uczniów mieszkało w internatach na Ładowisku i odbywało naukę na kursach, które oferowała teraz szkoła w bardzo szerokim wyborze. Po zainstalowaniu generatorów we wszystkich większych Siedliskach, uruchomiono dalsze szkoły, od uczących podstaw wiedzy do doskonalenia absolwentów. W Cechu Harfiarzy Główny Harfiarz Sebell rozpoczął całkowicie nowatorski kurs dla Czeladników Szkolenia i wykształcenie muzyczne przestało odgrywać dominującą rolę w programach nauczania w Cechu. Udało mu się wprowadzić tę nową formułę tylko dlatego, że mistrz Robinton przed swoją śmiercią przedstawił odpowiednią propozycję Radzie Cechu. Początkowo była ona nie do zaakceptowania, lecz po jakimś czasie Menolly i Sebell z rozbawieniem zaobserwowali, że starzy i konserwatywni mistrzowie nastawali na przyjęcie tego programu. Menolly ciężko przeżyła zmianę kierunku nauczania, natomiast Sebell podkreślał jego zalety i usilnie, całymi dniami pracował nad tym, by wszystkie etapy programu opracowanego przez mistrza

Robintona wprowadzić w życie.

Przy poważnych naciskach ze strony Fandarela i Oldivego Cechu Kowali i Uzdrowicieli wprowadziły obowiązkowe doksztalcanie mistrzów w zakresie zastosowania wiedzy uzyskanej od Assigi. Po sukcesie misji Czerwona Gwiazda, mistrz Fandarel miał znacznie mniejsze trudności z przekonaniem mistrzów swojego Cechu do korzystania z nowych technologii. Usiłował także skonstruować radio, które według opinii Assigi mogłoby stać się wygodnym środkiem porozumienia na duże odległości. Pern obfitował w surowce niezbędne do wyprodukowania tranzystorów potrzebnych do budowy radia.

Mistrz Oldive nie był w tak szczęśliwym położeniu — spotkał się z oporem ze strony starszych uzdrowicieli, więc z konieczności skoncentrował swoje działania na przekonywaniu młodych czeladników, posiadających otwarte, nie obciążone niczym umysły. Pomimo udowodnienia, że uzdrowiciele mogliby ratować życie, oszczędzać ludziom cierpienie i poprawiać możliwości życiowe przy pomocy umiarkowanego korzystania z doświadczeń chirurgii, mistrzowie w jego Cechu sprzeciwiali się stosowaniu tych metod, co działało na szkodę dla zdrowia ludzi, a na pewno nie przedłużało im życia. Według Oldivego był to poważny błąd Cechu i nie można było pozwolić, i taki stan trwał dłużej. Wszędzie, gdzie mógł, wprowadzał nowe metody, ale jego nauki najchętniej przyjmowali ludzie młodzi. Już po krótkim szkoleniu gorąco pragnęli nieść ulgę w cierpieniach swoim pacjentom. Natomiast zmiany w samym Cechu Uzdrowicieli były naprawdę nieznaczne.

Po pierwszym eksperymencie z delfinami, Oldive zebrał ochotników chętnych do pracy z tymi bystrzymi ssakami, którym w zamian za pomoc oferowano usługi w usuwaniu ryb-pijawek. Curran z zadowoleniem wyraził zgodę na wybudowanie małej chaty dla uzdrowicieli w Siedlisku Fort Morski. Pływający pomost został przycumowany do końca mola, co umożliwiała przenoszenie pacjentów do wody, gdzie delfiny diagnozowały wykorzystując swój sonar. Podobne urządzenia powstały w czterech innych nadmorskich osiedlach: w Iście, Ingen, Neracie i Zatoce Monako, czyli na terenach Strażnicy Wschodniej.

Assigi spędził wiele czasu z mistrzem Oldive i jego bardziej postępowymi mistrzami i czeladnikami. Niejednokrotnie wyjaśniał, że na Pernie nie ma możliwości podniesienia praktyki medycznej na taki poziom, jaki osiągnęli Starożytni, ale wiele innowacji poprawiłoby skuteczność działania członków Cechu. Delfiny stanowiły doskonały substytut używanych przez Starożytnych aparatów Roentgena i innych urządzeń do badania wnętrza ciała, tak ułatwiających pracę uzdrowicieli.

Była jedna niedogodność w korzystaniu ze zdolności delfinów do wykrywania anomalii u badanych przez nich ludzi. Nie potrafiły one powiedzieć dokładnie, jaki charakter ma wykryty guz, ani jak należałoby go leczyć, wskazywały jedynie, że w organizmie pacjenta znajduje się coś, czego nie powinno tam być. Niemniej jednak ich odczyty sonarowe dawały uzdrowicielom informacje o nieprawidłowościach, których nie można było zobaczyć ani wyczuć dotykiem.

Mistrz Oldive często odnosił wrażenie, że Assigi nie wspominał mu o wielu urządzeniach, które kiedyś istniały. Myśląc o tym, żałośnie wzdychał i dalej trzymał się metod stosowanych przez uzdrowicieli od stuleci, korzystając z dostępnych środków i sposobów, które w powszechnym przekonaniu były skuteczne.

Po zainstalowaniu wiatraków na wulkanach w pobliżu Siedliska Fort, w pokojach Oldivego w siedzibie Cechu Harfiarzy umieszczono terminal komputerowy. Dwa inne stanowiły główne wyposażenie sal lekcyjnych. Lord Włodarz Groghe usiłował zaangażować swój znaczny autorytet, by uzyskać terminal dla dworu Fort, lecz do czasu, gdy Cech Kowali, a właściwie nowy Cech Komputerowców, zdoła wyprodukować dostateczną ilość komponentów, terminale przydzielano tylko jednostkom upowszechniającym naukę.

Lekcje w szkole na Ładowisku nie zajmowały uczniom całego dnia, gdyż zdaniem mistrza



Sanwela młodzi ludzie w równym stopniu potrzebowali ćwiczeń umysłowych jak i fizycznych. Wiele starodawnych gier zostało zapisanych w pamięci Assigi i niektóre z nich Samvel przywrócił. Wśród nich znalazły się koszykówka, piłka nożna i polo, sport, w którym wyróżniał się Readis, podobnie jak w innych sportach wodnych, do których uprawiania zaczęto używać stawu znajdującego się obok płyty Ładowiska. Chłopiec czasem podejrzewał, że mistrz Samvel przywiązuje tak dużo uwagi do sportów wodnych ze względu na jego, Readisa, kalectwo, ale przecież wszyscy ludzie powinni umieć pływać ze względu na częste odbywanie długich podróży morskich.

Mistrz Sanwel uzyskał zgodę ze Strażnicy w Benden na przewiezienie klasy Dwudziestej Pierwszej szkolną pól eskadrą smoków do Honshu, gdzie uczniowie mogli zobaczyć wyroby użytkowe pozostawione przez Starożytnych w ich niedostępnych siedzibach górskich. Do najciekawszych dzieł należały piękne freski zdobiące ściany. Uczestnicy wycieczki widzieli na taśmach ilustrujących ten okres historii Pernu, jak używa się niektórych przyrządów, ale teraz mogli dotknąć maszyn, które należały do Starożytnych. Kami była oczarowana malowidłami, Pardure natomiast uważał za bardziej interesujące stare sanki, duże krosno i pięknie wykonane drobne narzędzia. Readis podziwiał fascynujący widok, jaki roztaczał się z wielkiej sali — była to rozległa panorama gór i dolin, dająca pojęcie o ogromie tego, prawie nie zbadanego, Kontynentu Południowego.

F'lessan, jeździec spiżowego Golantha, jedyny syn F'lara i Lessy, uczynił to miejsce strażniczym gospodarstwem. Tłumaczył uczniom, że ta unikatowa historyczna siedziba powinna być udostępnić wszystkim, którzy chcieliby ją zwiedzić i obejrzeć piękne freski dekorujące ściany głównej sali. Sam siebie mianował kustoszem i spędzał tu więcej wolnego czasu niż w Strażnicy Brenden. Znalazła się też tutaj grupa osiedleńców prowadzących hodowlę zwierząt i uprawiających zboża i jarzyny na terenach, które kiedyś były polami ogrodzonymi kamiennymi murami zbudowanymi przed setkami lat.

— Ty nazywasz się Readis, prawda? — zapytał F'lessan, przysiadając się do chłopca na kamiennej ławce ustawionej na górnym tarasie, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok. Pozostali uczniowie buszowali po niższych poziomach. — Prosiłem mistrza Samvela, żeby mi ciebie wskazał. Znam twoją matkę. — Oparł się o urwistą ścian skalną. — Przez jakiś czas przebywała w Strażnicy, dopóki słuchanie smoków stało się dla niej nie do wytrzymania. K'van, obecny Komendant na Południu, był jednym z rekrutów w mojej eskadrze, twoja matka i on byli sobie bardzo bliscy do czasu, kiedy Lessa wysłała ją do Siedliska Benden. — Przez chwilę obserwował piękną panoramę, po czym zapytał: — Czy już zdecydowałeś, czego chcesz się uczyć na Ładowisku?

— Teraz mamy program ogólny — odparł Readis. — Mistrz Samvel nazywa to kursem przygotowawczym. Jest tak dużo tematów do studiowania. — Czasem Readisa obezwładniała ilość wiedzy dostępnej na Ładowisku. Przygnębiała go świadomość, że jest tak wiele spraw, o których nie ma pojęcia. — Mistrz Sanwel twierdzi, że sam ciągle się uczy.

F'lessan uśmiechnął się do chłopca.

— Samvel należy do tego typu ludzi, którzy nigdy nie przestają się uczyć.

— Mnie od tego czasami boli głowa — nieśmiało przyznał Readis.

— Mnie by także bolała — pocieszał go F'lessan. — Nigdy nie byłem dobrym uczniem. Nawet mistrz Robinton zrezygnował z wpajania mi nauki.

Readis rzucił mu krótkie, zaciekawione spojrzenie.

— Mistrz Robinton był twoim nauczycielem? F'lessan parsknął z pogardy dla samego siebie.

— Tak, przebywałem w klasie, w której wykładał, ale nie przywiązywałem do nauki większej wagi. — Uśmiechnął się. — Byłem wtedy zbyt zakochany w sobie jako jeźdźcu Golantha. Moim zdaniem Jaxom, Menolly i Benelek byli prawdziwymi uczniami.

— Mistrz Benelek z Cechu Kowali? Ten, który obsługuje maszynę Assigi?

— Tak, właśnie ten. — F'lessan dostrzegł zachwycony wyraz twarzy chłopca. — Kto wie, do czego mogą dojść twoi szkolni koledzy? Albo ty sam kim zostaniesz?

— Och, ja wiem, co mnie czeka — powiedział Readis. — Mam zostać włodarzem Rajskiej Rzeki. — Wskazał palcem na swoją prawą nogę. — Mam się jak najwięcej uczyć, żeby nawet to nie przeszkodziło w zatwierdzeniu mnie.

— Twój ojciec jest silnym, zdrowym człowiekiem. Możesz bardzo długo czekać na zajęcie stanowiska po nim. A co masz zamiar robić w międzyczasie?

Readis też o tym myślał. W czasie pierwszych Obrotów spędzonych na Ładowisku zrozumiał, jak wiele nauczył się przebywając z ojcem i słysząc, jak wydaje polecenia. Zarządzanie Siedliskiem nie byłoby takie trudne.

— Chciałbym zostać delfiniarzem.

— Kim? Ach tak, to ty rozmawiałeś z tymi stworzeniami?

— Teraz nie ma delfiniarzy — w każdym razie takich, jacy istnieli u Starożytnych — a delfiny są bardzo użyteczne dla Cechu Rybaków i Uzdrawiaczy. My po prostu wzywamy je, kiedy czegoś od nich potrzebujemy. Zaś dla nich, poza usuwaniem od czasu do czasu ryb-pijawek, nie robimy wiele. — Readis przerwał, gdyż nie chciał robić wrażenia, że pomniejsza dokonania delfinów, przy tym musiał być szczery w stosunku do jeźdźca smoków. — Teraz nie robią nic tak wielkiego jak kiedyś, gdy badały oceany i całą linię brzegową.

— Z tego, co wiem, linia brzegowa ulega ciągłym zmianom. Mapy powinny być aktualizowane, prawda? Czy uczysz się kartografii?

— Nie tyle, ile bym chciał. Jestem dobry z matmy, ale żeby pracować nad kartografią intensywnie, potrzebne są specjalne przyrządy.

— Rozumiem, że Mistrz Fandarel produkuje takie instrumenty, gdyż wszyscy są zainteresowani zdobyciem na własność kawałka Kontynentu Południowego — zachichotał F'lessan.

— Czy jeźdźcy smoków nie mają prawa pierwszeństwa?

— Skąd o tym wiesz? — F'lessan rzucił chłopcu badawcze spojrzenie.

Readis wzruszył ramionami.

— Ach, na Ładowisku można usłyszeć różne rzeczy.

— Nie wątpię w to — parsknął F'lessan. — Czy udało ci się dotrzeć w bibliotece do taśm o delfinach?

— W czasie pierwszego semestru, zaraz po przyjęciu mnie do szkoły — odparł Readis z uśmiechem. Po chwili zademonstrował rękoma kilka sygnałów używanych przez Starożytnych Delfiniarzy. — W ten sposób wydawali delfinom polecenia pod wodą. A one ciągle jeszcze pamiętają te sygnały.

— Mieszkając nad Rajską Rzeką, tak blisko morskiego brzegu, zapewne dobrze umiesz je wykorzystywać?

Readis bąknął coś niezobowiązującego. To nie była właściwa pora do czynienia zwierzeń na temat domowych problemów, nie była to też osoba, której można by się zwierzać.

Zauważywszy wahania chłopca, F'lessan ciągnął dalej.

— Mógłbyś nawet założyć swój własny Cech. Tak właśnie uczynił Benelek, kiedy już dokładnie opanował wszystkie tajniki całej dostępnej wiedzy na temat terminali Assigi.

— Naprawdę to zrobił?

— Oczywiście! — F'lessan łobuzersko uśmiechnął się do Readisa. — Właśnie teraz ty i wszyscy inni uczniowie z Ładowiska macie wyjątkową okazję do uczynienia Pernu takim miejscem, jakiego pragnęli Starożytni, zanim Nici przerwały postęp na tej planecie. — Jeździec gestem ręki wskazał znajdujące się za nim freski. — Mamy dostęp do całej ich wiedzy oraz do wyników badań, jakich dokonali. Tylko od nas, i od was jako następnego pokolenia, zależy podjęcie realizacji ich planów i doprowadzenie do tego, żeby Pern stał się tym, czym może się stać. Pojmujesz? Tego właśnie pragnął mistrz Robinton. Do tego również

dążą moi rodzice. Ale wielu włodarzy i Starszych Cechu jest innego zdania. Stale trzymają się tylko znanych im rzeczy i jest im z tym wygodnie. — Lekko zmrużył oczy, pragnąc ocenić, jakie wrażenie zrobiły jego słowa na rozmówcy. — Teraz, po zlikwidowaniu Nici, nastąpi bardzo trudny okres co najmniej dwudziestu Obrotów, w którym życie na Pernie będzie przekształcone.

— Lecz Nici nie zostały jeszcze zlikwidowane? F'lessan rzucił mu krótkie spojrzenie i uśmiechnął się:

— Już niedługo to nastąpi.

— Czy to ty... — zaczął niepewnie Readis — ...byłeś jednym z jeźdźców smoków, którzy dostarczyli silniki na Czerwoną Gwiazdę?

F'lessan przytaknął skinieniem głowy.

— Tak, Golanth i ja.

Readis ze zdziwienia szeroko otworzył usta.

— Jeźdźcowi smoków wszystko to zajęło jeden roboczy dzień. — powiedział F'lessan zamykając temat.

Stojący na szczycie strażniczej siedziby Golanth podniósł głowę i zatrąbił sygnał powitania.

— O, nadlatuje wasz transport — F'lessan podniósł się, jednak Readis niczego nie widział na pogodnym niebie. — Pomyśl, Readisie, o tym co ci powiedziałem, a także o delfinach i o przyszłości Pernu.

Readis skinął głową i zapatrzył się przed siebie, czekając... Nagrodą był wspaniały widok, który zawsze powodował u niego przyspieszone bicie serca — w oddali ukazała się półeskadra smoków. W powietrzu wyglądały przepięknie. Nie wszyscy jednak cieszyli się nimi. Z delfinami łatwiej było się spotykać. A on sam może zostać delfiniarzem i włodarzem. Zorganizować nowy Cech? Ta myśl spodobała się Readisowi i zaczął rozmyślać o jej realizacji. Oczywiście matka zawsze ostro reaguje, kiedy słyszy choćby słówko wypowiedziane przez niego na temat współpracy z delfinami. Ona ciągle uważa, że to delfiny spowodowały zagrożenie dla jego życia, podczas gdy w rzeczywistości uratowały go. Ojciec może go zrozumieć, szczególnie teraz, kiedy udowodniono tak wielką przydatność delfinów — przecież one strzegą morskich wybrzeży, ostrzegają o silnych sztormach i wskazują dobre tereny połowów. Z całą pewnością kierowanie nowym Cechem udowodni Lordom Włodarzom, że Readis, syn Jaygego i Araminy, ma doskonałe kwalifikacje do zarządzania tak ważnym Siedliskiem na Południu, jakim jest Rajska Rzeka.

— Dziękuję ci, F'lessanie — powiedział.

— Za co? — zapytał jeździec spiżowca, uśmiechając się do chłopca. Nagle Readis poczuł się bardzo onieśmielony i żeby to ukryć, wykonał szeroki ruch ręką, jakby wskazując całe strażnicze osiedle.

— Za to, co przed chwilą mi powiedziałeś.

F'lessan znowu się uśmiechnął i położył palec na ustach, co oznaczało wspólny sekret.

— Przemyśl to sobie, chłopcze. My jesteśmy jeźdźcami smoków, zapewniam cię o tym!

Zanim Readis zdołał go zapytać, co oznaczały te tajemnicze słowa, F'lessan oddalił się na poszukiwania mistrza Sanwela.

Po powrocie do szkoły, Readis każdą chwilę wolnego czasu spędzał przy klawiaturze komputera, usiłując dowiedzieć się, w jaki sposób Starożytni pragnęli urządzić Pern, zanim Nici zniweczyły ich plany. W końcu udało mu się odnaleźć Kartę Praw i dała mu ona wiele materiału do rozmyślań. Miał wielką ochotę porozmawiać znowu z F'lessanem. Dzięki zręcznym zabiegom ustalił, że syn F'lara i Lessy uchodził za doskonałego i godnego zaufania Komendanta Eskadry, lecz, zanim odkrył budynek Strażnicy Honshu, nie powierzano mu ważniejszych zadań. Te informacje kazały Readisowi bardziej cenić słowa wypowiedziane

tamtego dnia przez jeźdźca spiżowego smoka.

Oczywiście, smoki nie zostały opisane w Karcie, gdyż w czasie jej powstawania jeszcze nie istniały. Inne zbiory archiwalne, takie jak PRAWO, RZĄD, WETERYNARIA czy ROLNICTWO również nie zawierały żadnych wzmianek o nich. Informacje na temat smoków znajdowały się w zbiorze zatytułowanym BIOGENETYKA, jednak Readis nie mógł zrozumieć większości występujących tam terminów i zrezygnował z prób rozszyfrowania niezrozumiałych zapisów laboratoryjnych.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że za mniej więcej dwadzieścia Obrotów Nici przestaną spadać na Pern i później już nigdy nie zaatakują tej planety. Co wówczas stanie się z jeźdźcami smoków? Z całą pewnością pozostaną jakąś specjalną grupą. Readis wzruszył ramionami. Trudno byłoby sobie wyobrazić Pern bez smoków. Ich inteligencja zachwycała go. Nauczył się dostatecznie dużo z biologii, żeby zrozumieć ideę biogenetyki, chociaż obecnie nie było nikogo na Pernie, kto potrafiłby prowadzić prace w tym zakresie. Co będą robiły smoki, gdy Nici znikną z powierzchni planety? Głowił się nad tym zagadnieniem przez kilka tygodni nowego semestru. Smoki wykonywały dużo dodatkowych zadań, do podejmowania których nie były angażowane w czasie, kiedy walczyły z Nićmi. Przewoziły ludzi, a ostatnio nawet materiały, których przesłanie wozem lub statkiem zajęłoby wiele dni. Czynności te należały do obowiązków smoków niebieskich, zielonych, a czasem również brązowych oraz do młodszych spiżowców, zanim rozpoczynały one zwalczanie Nici. Dla dorosłych smoków prace te byłyby trochę upokarzające. Nie mógł sobie wyobrazić królowej dźwigającej towary z jednego Cechu czy Siedliska do drugiego.

Niektóre sprawy można było powierzyć tylko delfinom, gdyż żyły w morzu. Żywiołem smoków było powietrze i niektóre zadania tylko one mogły wykonywać.

Rozterki Readisa zostały dostrzeżone. Mistrz Samvel zobaczył, jak chłopiec wpatruje się w ekran, na którym widać smoki odbywające pierwsze loty. W owych czasach były znacznie mniejsze, odpowiadające obecnym rozmiarom dużego biegusa.

— Chciałbym porozmawiać z tobą, Readisie — powiedział Samvel, siadając na krześle obok chłopca. — Nie bierzesz tak czynnego udziału w lekcjach jak dawniej. Czy masz jakieś kłopoty?

Readis odetchnął głęboko.

— Mistrzu Samvelu, co się stanie ze smokami?

Samvel ze zdumienia zamrugał oczyma, następnie uśmiechnął się i poklepał chłopca po głowie, chociaż był to u niego zupełnie wyjątkowy gest.

— Nie ty jeden, Readisie, rozmyślasz o tym problemie.

— Tak, ale co one będą robić po zlikwidowaniu Nici?

— To wielka Planeta, Readisie, i wiele czeka nas pracy przy zasiedlaniu całego dostępnego lądu. Teraz smoki starannie badają z powietrza ogromny Kontynent Południowy i sporządzają jak najdokładniejsze jego mapy. Znamy tylko małą jego część, cała reszta jest nie do przebycia na piechotę nawet do końca bieżącego Przejścia i nie nadaje się do zamieszkania. Nie martw się o smoki. Ich jeźdźcy zajmą się nimi, tak jak to zawsze robili. Ale twoja troska o nie zasługuje na pochwałę. Tu, na Pernie, nie wolno nam zapomnieć, ile smoki dla nas zrobiły w ciągu ubiegłych dwóch i pół tysiąca Obrotów.

— Jak moglibyśmy o tym zapomnieć? — zapytał Readis, przerażony na samą myśl o takiej niewdzięczności.

Samvel uśmiechnął się smutno.

— Często już nam to się zdarzało. Teraz energicznie zajmij się nauką, chłopcze, i pozwól, żeby załogi Strażnic same zatroszczyły się o swoje sprawy. Ty powinieneś skoncentrować się na swojej przyszłości.

Słowa te przypomniały Readisowi o tym, co mu powiedział F'lessan — żeby nauczył się jak najwięcej o delfinach. Sięgnął więc jeszcze raz po te informacje, chociaż wiele spraw z tej

dziedziny znał już prawie na pamięć, a swoją znajomość nadawania podwodnych sygnałów rękoma doprowadził niemal do perfekcji.

„Podwodny” to było kluczowe słowo. Co prawda, Readis nauczył się wytrzymywać bez oddychania przez czas wystarczający do nurkowania na mniejszych głębokościach, jednak Starożytni mieli aparaty pozwalające im na dłuższe przebywanie pod wodą. Pływakom przypinano na plecach zbiorniki, kształtem przypominające pojemniki miotaczy ognia, tylko nieco mniejsze. Na twarze wkładano maski zasłaniające usta i nos w taki sposób, żeby można było oddychać powietrzem dostarczonym przez rurkę ze zbiornika. Aparat robił wrażenie prostego urządzenia i Readis łamał sobie głowę, w jaki sposób go zdobyć. Uzbierał niewielką garstkę marek pochodzących z wynagrodzenia, jakie dostawał od ojca za pomoc przy zbiorach, wątpił jednak czy suma jest wystarczająca. W nowej sytuacji, gdy heroiczne wysiłki wszystkich Cechów zmierzające do wprowadzenia w życie planu Assigi stały się częścią historii, może jakiś rzemieślnik zechciałby przyjąć takie zamówienie. Zapewne wiedziałby nawet, jak zrobić taki aparat, gdyż rzemieślnicy również uzyskali dostęp do specjalistycznych informacji znajdujących się w pamięci Assigi.

Readis postanowił, że w czasie następnego pobytu w Rajskiej Rzece poradzi się w tej sprawie wujka Alemiego. Przywiózł ze sobą plany urządzenia. Wieczorem skierował Delky’ego skrótami na cypel i, tak jak się spodziewał, spotkał tam Alemiego z synem Alekim udających się na swoje codzienne spotkanie z delfinami.

Readis powiedział kilka uprzejmych słów i tak szybko, jak tylko mógł, przystąpił do przedstawiania swych planów Alemiemu.

— Gdybyśmy mieli coś takiego, czego używali delfiniarze, moglibyśmy lepiej funkcjonować w środowisku delfinów.

Alemi rzucił mu zdziwione spojrzenie i po prostu wybuchnął śmiechem.

— Bardzo dużo nauczyłeś się w tej szkole, co? Kami zachowuje się bardzo podobnie, posługując się określeniami, które peszą jej biednych rodziców. A teraz pokaż mi, co tam masz, czym chcesz wpędzić w zakłopotanie starego żołnierza. — Idąc oglądał rysunki.

— Wujku Alemi, nie jesteś stary, więc myślę, że akwalungi nie wywołają u ciebie zakłopotania.

— Hmm. Więc tak nazywasz to urządzenie?

— Tak to odczytałem.

Alemi nie traktował swoich rozmówców tak protekcyjnie, jak to się zdarzało innym mistrzom, ale lubił się przekomarzać, a Readis nie był w odpowiednim nastroju do żartów. Traktował swój pomysł ze śmiertelną powagą.

— Przeglądałem wszystkie taśmy pokazujące delfiny i delfiniarzy. Kiedy opiekunowie mieli wykonać jakieś podwodne prace lub daleko popłynąć, ludzie zawsze korzystali z tego rodzaju aparatów, oraz ze specjalnych piankowych kombinezonów.

— Konieczny jest odpowiedni strój chroniący skórę w czasie długotrwałego przebywania w wodzie. — Alemi dokładnie przyglądał się rysunkom. — Wydaje się, że Starożytni mieli odpowiednie urządzenia do wszelkich czynności, prawda?

— Chyba tak, ale nie wiadomo, czy my kiedykolwiek to osiągniemy. Preambuła Karty stwierdza, że stworzono Kolonię Pern w celu uniknięcia dalszego rozdrobnienia specjalizacji, które rozwarstwiły kulturę na Ziemi. Dążyli do osiągnięcia zadowalającego poziomu życia, przy wykorzystaniu możliwie najniższego poziomu technologii, niezbędnej do zapewnienia podstawowych usług i dobrego, spokojnego bytu.

Alemi uśmiechnął się do Readisa.

— Jesteś znacznie gorszy od Kami. Czy Karta naprawdę zawiera takie stwierdzenia?

Readis skinął głową i również się uśmiechnął. Jedno było pewne, że Alemi nie odrzucił zdecydowanie jego pomysłu.

— W związku z tym, że wykonanie tego rodzaju aparatu nie wykracza poza nasze

możliwości techniczne... tak, widzę pewne podobieństwa i wiem, że dysponujemy odpowiednią technologią — dodał Alemi, stukając palcem w rysunek maski i zbiornika. — Istnieje tylko problem odtworzenia widniejących tu elementów składowych. Lepiej się stanie, jeżeli zamówienie takie wyjdzie od Głównego Rybaka, zgłoś się więc do mnie, żebym wystawił odpowiednie zlecenie.

Readis entuzjastycznie potrząsnął głową, bardzo zadowolony, że Alemi zrozumiał wszystko bez zbędnych słów.

Alemi oddał arkusz papieru Readisowi i westchnął głęboko.

— Wiesz, co twoja matka myśli o tobie i delfinach. Wydaje mi się, że nie powinienem świadomie wspomagać cię w pogłębianiu kontaktów z tymi stworzeniami.

— Och! — Readis opadł na zad Delky'ego, który zgodnie z tym, jak był wytrenowany, stanął dęba.

— Wiesz przecież, że się myli...

— Jednak jest twoją matką i moją włodarzową. Wiem, że powinienem być wobec niej lojalny. Miewałem już wyrzuty sumienia pozwalając ci na pływanie tutaj ze stadem. Ach, wiem, że robiłeś to, ale dopóki nie widziałem cię w wodzie razem z nimi, mogłem udawać, że niczego się nie domyślam. — Alemi lekko się uśmiechnął. — Delfiny zupełnie nie rozumieją opinii twojej matki na ich temat, ponieważ to Afo powiedziała ci o kolcu.

Readis jęknął:

— To był mój błąd, nie Afo ani żadnego innego delfina.

— Masz rację. Słuchaj, chłopcze, jestem po twojej stronie, ale muszę zachowywać się ostrożnie. Mógłbyś... — Alemi na chwilę przerwał — zbadać, co twój ojciec o tym myśli.

— Nie będnie chciał denerwować mamy. Alemi podniósł ręce w geście bezradności.

— Musisz spróbować, Readisie. Jak wiesz, łatwo się z nim rozmawia o sprawach mogących poprawić sytuację w Siedlisku. Poza tym on nigdy nie oskarżał delfinów. — Alemi obrzucił szybkim spojrzeniem chłopca. — Wie, na czym polegał błąd.

Po czym dodał przyjaznym tonem:

— Afo i Kib zawsze dopytują się o ciebie. Przyłączysz się te do nas?

Spotkanie ze stadem poprawiło Readisowi humor, szczególnie! gdy Kib i Afo wykonały entuzjastyczny spacer na ogonach po zobaczeniu kilku sygnałów dłońmi, których chłopiec nauczył się ze starych taśm.

— Miętam! Miętam! — krzyknął Kib, popiskując z radości wydmuchując otworem oddechowym fontannę wody. — Ty robić dobrze! Bardzo dobrze. Lepiej najlepiej! Zaraz nurkujesz?

— Nie dzisiaj, Kib. Ale na pewno kiedyś to zrobię — obiecał uszczęśliwionemu delfinowi.

— Stare, stare czasy wracać — oświadczyła Afo z nisko opuszczoną szczęką i zaczęła wesoło popiskiwać.

Readis nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na Alemiego z wyrzutem, że nie poparł jego planu zdobycia aparatu do oddychania pod wodą.

Było już zupełnie ciemno, gdy dotarli z powrotem do dworu. Na pytanie, gdzie się podziewał tak długo, zupełnie uczciwie odpowiedział matce, że odwiedził Alemiego i bawił się z Alekim.

W nocy przyszedł mu do głowy inny sposób rozwiązania problemu. Poczł się zdradzony, gdy Alemi odmówił mu pomocy w zdobyciu akwalungu. Aparat ten uczyniłby pływanie z delfinami bardziej bezpieczne. Można by pomyśleć, że Alemi powinien również dostrzec ten aspekt sprawy. Readis miał jednak jeszcze jednego, nawet bardziej oddalonego sprzymierzeńca w osobie T'liona. Kiedy wróci na Lądowisko po tych feriach, poprosi o przekazanie wiadomości, że pragnie zobaczyć się z T'lionem. Poza wykonywaniem obowiązków członka bojowej eskadry, jeździec spizowca często był oddelegowany do

pracy na Ładowisku. Ostatnio nie widywali się zbyt często, ale ich przyjaźń była tego rodzaju, że gdy się spotykali, zupełnie nie odczuwali upływu czasu od ostatniego widzenia.

Pewnego popołudnia w siedmiodzień później, T'lion odszukał go.

— Przykro mi, Readisie, że tak długo pozwoliłem ci na siebie czekać, ale w związku z Opadem i w ogóle... — jeździec spizowego smoka zawiesił głos.

— Nie ma o czym mówić — odparł Readis i zaczął grzebać w papierach leżących na stole, poszukując rysunku aparatu. — Popatrz, co odkryłem — podał arkusz przyjacielowi.

— O ho, ho. To jest wspaniałe — rzekł T'lion, przyglądając się z zapartym tchem. — Akwalung? Hej, przydałoby się nam jedno takie urządzenie. Nie widzę żadnego problemu. Już to zamówiłeś?

— Jestem tylko uczniem, T'lionie. — I szybko dodał: — Próbowałem namówić Alemiego, żeby mi pomógł, lecz nie wyraził zgody, bo matce nie podobają się moje kontakty z delfinami i w ogóle.

T'lion chrząknął i lekko się uśmiechnął.

— Po prostu nie chcą ci pozwolić przebywać na takich głębokościach, co?

— Najwyraźniej nie chcą! — Readis nie był w stanie ukryć smutku. — Taki aparat będzie kosztował kupę pieniędzy.

— Hmm! W zasadzie tak. Na szczęście nie tylko my pływamy z delfinami przy każdej nadarzającej się okazji. Możesz mi to dać? — Gdy Readis potwierdził energicznie, T'lion starannie złożył arkusz i schował go do wewnętrznej kieszeni. — Masz trochę czasu, żeby zobaczyć moje stado?

— Twoje stado? — zapytał chłopiec, ze zdziwieniem unosząc brwi.

— No wiesz, stado, które zjawia się na dźwięk mojego dzwonu — uśmiechnął się T'lion. — Idziemy?

W odpowiedzi Readis chwycił ciepłą kurtkę i opaskę do pływania. Tylko na chwilę przystanął przed tablicą ogłoszeniową przy wejściu do internatu, gryzmołąc na niej, że wychodzi z T'lionem. Był już na tyle duży, że nie musiał prosić o zgodę na krótkie oddalenie się z budynku.

Po dotarciu na odcinek wybrzeża w pobliżu Strażnicy Wschodniej, Readis pomógł T'lionowi zdjąć z Gadaretha podróżną uprząż. T'lion uderzył w dzwon wybijając sygnał zaproszenia — był on mniej katoryczny od sygnału wezwania i dawał delfinom możliwość zignorowania go, gdyby nie miały ochoty na spotkanie. Rzadko tak postępowały, lecz czasami zjawiał się tylko jeden lub dwa. Zanim chłopcy zdążyli włożyć przepaski do kąpielni, w wodach zatoki znalazło się pół tuzina skaczących i szybko płynących ku brzegowi zwierząt. Gadareth wspiał się na tylnych nogach, rozpostarł skrzydła i przechylił do tyłu głowę, żeby zatrąbić na powitanie. W powietrzu natychmiast zaroilo się od latających jaszczurek, ponieważ nic nie było dla nich większą przyjemnością od zabawy w wodzie z ich wielkimi kuzynami. Gadareth złożył skrzydła na grzbiecie, wszedł do wody i wypłynął na spotkanie delfinów, a nad nim polatywał cały rój jaszczurek.

Jedną z rozrywek najbardziej ulubionych przez delfiny było szorowanie smoków, więc zaczęły „pomagać” ludziom przy myciu Gadaretha. Kilka razy chłopcy o mało nie utonęli, usiłując współzawodniczyć z delfinami w akrobatycznych sztuczkach. W połowie kąpielni latające jaszczurki odfrunęły, by zająć się swoimi sprawami.

— Naprawdę potrzebne... są nam te... aparaty do oddychania — wykrztusił T'lion do Readisa, gdy pozwolili sobie na chwilę odpoczynku, uwiesiwszy się na skrzydle, które Gadareth rozłożył do mycia. — Ty, gdy chcesz, możesz wstrzymać oddech na dość długo.

— Nie mogę... robić tego... zbyt często. Zaczyna mi się... kręcić w głowie — powiedział Readis. — Inną potrzebną... rzeczą jest... porządna piłka... którą moglibyśmy... bawić się z nimi.

— Żeby mogły ją ukraść? — zapytał T'lion. — Tak jak zrobiły to ze wszystkimi, które

dotychczas zrobiłem dla nich?

— Nowa gra? Nowa gra? — dopytywał się Boojie. Trzymał głowę wysoko nad wodą, pokazując całą swą uśmiechniętą gębę.

— Nie dzisiaj, Booj — odpowiedział mu T'lion. — Zamęczycie nas. No dalej, Gadareth, wyłazimy na brzeg.

Boojie płynął do tyłu, chlapiąc płetwami i popiskując z radości.

— Zamęczeni! Zamęczeni! Lepiej bawić się dalej!

T'lion i Readis pozwolili Gadarethowi odholować się na plażę. Trzymali jego ogon, aż pod stopami poczuli pochyłość dna blisko brzegu.

Gadareth znalazł dla siebie miejsce na piasku, a po chwili przyleciały jaszczurki, obsiadły go i zaczęły sennie mamrotać. T'lion delikatnie wyjął z kieszeni rysunek i dokładnie się mu przyglądał.

— Mamy szkło — powiedział stukając palcem w maskę — jest też materiał na uprząż, zbiorniki nie powinny stwarzać żadnego problemu, rurka również. Zawory wyglądają jak te, które Cech Kowali montował na miotaczach ognia, ale wykonanie pozostałej części maski może nastęrczać trudności. Masz jakieś zaoszczędzone marki?

Readis przewrócił się na brzuch, wbił łokcie w piasek i podparł głowę dłońmi. Wykrzywił się.

— Ba, gdybym wiedział, nie wydałbym tyle w czasie Spotkania na Ładowisku. Może mi jeszcze zostały trzy całe marki Cechu Kowalskiego i kilka ćwiartek. Mam już prawie piętnaście lat i tata płaci mi za pomoc przy zbiorach — powiedział to z odcieniem dumy w głosie, gdyż ciężko się napocił zdobywając te marki.

— No cóż, ja również mam kilka, dzięki pewnym operacjom handlowym.

— Operacjom handlowym? — ożywił się Readis. Od wielu lat sporo słyszał od Temmy, Nazera i własnego ojca na temat handlu, stanowiącego rodzinną tradycję Lilcampów.

— Czym handlowałeś?

— Och... — T'lion wzruszył ramionami, demonstrując swoją niechęć do dalszej rozmowy na ten temat. Po chwili jednak podjął decyzję i ciągnął dalej. — Widzisz, to wygląda tak. Większość jeźdźców smoków rozgląda się po tym kontynencie za miejscem do osiedlenia się po zakończeniu obecnego Przejścia. W okresach Opadu Nici i innych niebezpieczeństw Siedliska i Cechy wpłacają dziesięcinę do Strażnic, więc nie musimy się martwić o te sprawy. Prawdę mówiąc nie czujemy się zobowiązani wobec nikogo...

— Przecież Siedliska i Cechy zawsze płaciły dziesięcinę na Strażnice... — zaprotestował Readis, doskonale obeznany z Tradycją.

T'lion uśmiechnął się.

— Ale tak nie będzie, gdy zniknie zagrożenie Nićmi.

— Ach.

— Tak, więc szukamy dobrych miejsc dla siebie.

— Takich, jak je nazywa F'lessan, strażniczych osiedli? T'lion skinął głową.

— A ty już znalazłeś coś dla siebie?

— Och, znalazłem kilka miejsc, które podobają mi się, ale musimy uczestniczyć w przetargach i kiedy nadejdzie czas, komendanci zadecydują, kto i gdzie ma się osiedlić. Obecnie sporządzamy mapy, co powinno ułatwić dzielenie ziemi. To jest przyczyną moich częstych wizyt na Ładowisku, gdzie z Gadarethem rejestrujemy sprawozdania z przelotów.

— Czy odnalazłeś jakieś ruiny? Podobne do tych, które odkrył F'lessan?

T'lion zachnął się.

— A, ruiny, znalazłem. Ale nawet w połowie nie są zachowane tak dobrze, jak Honshu. Tamte są naprawdę wspaniałe. W rzeczywistości jest to jedyne miejsce, w którym wzniesiono niegdyś budynki we właściwy sposób. Reszta to sklecone byle jak lepianki na otwartej przestrzeni.



Readisa zdumiało tak głupie postępowanie. Starożytni mieli przecież rozległą wiedzę, czemu więc postępowali lekkomyślnie i wznosili domy na otwartych przestrzeniach?

— Oczywiście — ciągnął T'lion lekko protekcyjnym tonem — przez kilka pierwszych lat nie wiedzieli o istnieniu Nici, więc niej musieli budować solidnie.

— No tak, masz rację — przyznał Readis. — A więc, gdzie widziałeś te miejsca?

— Gaddie chciałby mieć jezioro, i jest ich tam dużo, a także kilka szerokich rzek, które są chyba lepsze niż jeziora. Na tym wielkim śródlądowym morzu, nazwanym przez Starożytnych Morzem Kaspijskim, jest kilka pięknych wysepek. Jedna z nich stanowiłaby doskonale miejsce. — Westchnął. — Ja jednak będę na końcu listy kandydatów do zajęcia tak pierwszorzędnej siedziby. Inne miejsce, które mi się podoba, znajduje się obok starej kopalni, gdzie w tej chwili pracuje mistrz Hamian. Miejsce to Starożytni nazwali Karaczi. Ładna nazwa, no nie? Ponadawali mnóstwo dziwnych nazw. W Łańcuchu Południowym jest klif ze sporą jaskinią. Widok z niej jest urzekający, a przed jaskinią znajduje się półka skalna, na której mógłby drzemać Gad. — T'lion spojrzał na swojego uśpionego smoka. — Problemem byłoby tylko zdobycie towarzyszkę życia i założenie rodziny. Za każdym razem, żeby wyjść lub wejść, musielibyśmy czekać na Gaddiego.

— To rzeczywiście byłoby niewygodne, ale czy nie mógłbyś zbudować tam schodów, takich jak w Honshu?

— Myślę, że dałoby się to zrobić... — T'lion przerwał i zamyślił się. — Jaskinia znajduje się na znacznej wysokości, trzeba by nałupać wiele skały. Poza tym należałoby znaleźć jakąś pracę. W kopalniach zawsze będzie coś do przewożenia... — Gdy Readis sapnął ze zdziwienia, T'lion dodał: — Widzisz, przewóz towarów nie jest złym zajęciem dla smoka i jego jeźdźca. To bardzo dobra praca dla wielkiego i silnego spizowca, jakim jest Gaddie, przy tym znacznie bezpieczniejsza od walki z Nićmi.

— No tak, na pewno masz rację. Jednak gdy osiądziesz w głębi łądu, znajdziesz się daleko od morza i delfinów. Jak wiesz, one nie poruszają się w wodach śródlądowych. W takim środowisku mają trudności z pływaniem, a także zapadają na choroby skóry.

— Hmm. — T'lion ponownie zaczął rozmyślać i zamilkł.

— Nie znalazłeś żadnego ładnego miejsca nad morzem?

— Och, pełno jest zatok na prawo i lewo. — T'lion machnął ręką. — Masz jednak rację, brakowałoby mi Boojego, Natuy i Tany. Moim zdaniem problem polega na tym, żeby chcieć tego, co jest dostępne. Inne zespoły prowadzą badania terenów na wschód od tego miejsca.

Wydaje mi się, że mógłbym poprosić o zmianę, ale te ziemie, nad którymi prowadzimy obserwacje, są naprawdę wspaniałe. Nie uwierzyłbyś, ile tam jest wolnego miejsca!

— Opowiedz mi o tamtych okolicach — poprosił Readis. Jeszcze przed zapadnięciem ciemności chłopiec był całkowicie przekonany, że najlepszym miejscem jest Siedlisko Rajskiej Rzeki. Jego rodzice mieli wielkie szczęście dostając je. Poza tym przyjemnie było mieć sąsiadów w górze rzeki. Teraz też mogli zjawić się nowi ludzie na wybrzeżu, ale pod warunkiem, że znajdą dostatecznie dużo kamieni na budowę chat.

— Dlaczego to komendanci decydują, kto dostanie ten, a nie inny kawałek ziemi? — zapytał ubierając się, by powrócić na Ładowisko.

— To nie tylko komendanci, Readisie — zauważył T'lion z uśmiechem. — Wiele do powiedzenia będą mieli Lordowie Włodarze i Starsi Cechów. Tym razem jednak załogi Strażnic mają zapewnione pierwszeństwo wyboru.

— W pełni na to zasługują. Żeby tylko zdołali dostać to, czego pragną. Stado uprzedziło nas, że nowa grupa próbuje wylądować na zachód od rzeki.

— Naprawdę?

— Tata wypłynął z Alemim, więc zrezygnowali. Mieliśmy przewagę liczebną — powiedział Readis, dumny z postawy swojego Siedliska. — Kiedyś oni mogą mieć przewagę — dodał cichym głosem.

— Wiele decyzji czeka na podjęcie, prawda? — T'lion ciężko westchnął.

Gadareth i T'lion odwieźli Readisa na Ładowisko. Patrząc z góry na oświetlone budynki i ludzi krążących po ścieżkach, chłopiec poczuł się dumny, że stanowi część tego miejsca o tak wspaniałej przeszłości, a obecnie tworzącego nową przyszłość. Przyszłość, która już bardzo dawno temu została zaplanowana dla tej planety.

T'lion obiecał znaleźć w nadchodzącym siedmiodniu czas na odwiedzenie Zakładu Cechu Kowali w Telgar i powiadomić Readisa o wynikach tej wizyty.

— Może przez dłuższy czas nie będziesz mógł wydać ani grosza w czasie Spotkań — powiedział — ale zapewniam cię, że ja będę w takiej samej sytuacji.

T'lion wrócił po trzech dniach i wyglądał na bardzo rozbawionego, kiedy wolnym krokiem wchodził do kwatery Readisa.

— Nie byliśmy jedyni — oświadczył.

— Do czego jedyni? — zapytał Readis, ciągle jeszcze pochłonięty zadaniami matematycznymi, które właśnie rozwiązywał.

— Jedyni, którzy znaleźli projekt akwalungu i chcą, żeby Główny Kowal go zrobił. Ale ja miałem rację.

— W jakiej sprawie?

— Maski. Nie ma żadnego elastycznego materiału, z którego można by wykonać maskę przylegającą ściśle do twarzy i chroniącą przed kontaktem z wodą.

— O.

T'lion jednak nie robił wrażenia przejętego.

— Wygląda na to, że jakiegoś rodzaju elastyczne materiały są potrzebne do produkcji wielu urządzeń używanych niegdyś przez Starożytnych. W związku z tym mistrz Hamian i jedna lub dwie osoby z jego Cechu w Siedlisku Południowym przeprowadzają eksperymenty.

— A kto jeszcze chce mieć akwalungi?

— Po pierwsze Idarolan, on rzeczywiście usiłuje wzbudzić powszechne zainteresowanie delfinami. Mistrz Fandarel powiedział mi...

— Widziałeś samego Fandarela?

T'lion uśmiechnął się.

— Obawiam się, że będzie mi bardzo brakowało przywilejów, z jakich korzystają jeźdźcy smoków — stwierdził i westchnął ze smutkiem. — Spotkałem się z nim, lecz dopiero po rozmowach z tuzinem czeladników i mistrzów. Najwyraźniej Idarolan denerwuje się, bo jest już za stary, by móc wiele zdziałać w sprawie delfinów... za stary i zbyt zajęty na stanowisku Głównego Rybaka.

Readisa ogarnęły sprzeczne uczucia. Ktoś o takim prestiżu jak Starszy Cechu zabiega o kontakty z delfinami. Przecież on posiada większy autorytet, niż Readis może mieć kiedykolwiek, i ten człowiek może obawiać się konkurencji w przejęciu jego dotychczasowej współpracy ze stadem, która zresztą była minimalna. Ze złością myślał też o uprzedzeniach swojej matki, utrudniających mu otwarte współdziałanie z tymi wspaniałymi stworzeniami.

— Przestań robić takie żalosne miny — powiedział T'lion. — Świat się jeszcze nie kończy! Pomyśl, z iloma stadami nawiązaliśmy kontakt, a o ile więcej pływa ich jeszcze w oceanach. Twoje pozostaną twoimi. I tak już masz je razem z Alemim. A poza wszystkim innym masz zostać Włodarzem Rajskiej Rzeki.

— Jest to także Włodarstwo morskie, więc delfiny są dla nas bardzo ważne. Kto wie, kiedy i w ogóle czy... — Readis klepnął się po kolanie kalekiej nogi — zostanę włodarzem. Mój ojciec jest krzepkim mężczyzną... — Przypomniał sobie słowa usłyszane w Honshu od F'lessana: „A co masz zamiar robić w międzyczasie?” Miał także młodszego brata Anskono ze zdrowymi nogami, który z roku na rok stawał się coraz silniejszy i wyższy. Readis mógł zostać pominięty na korzyść cieszącego się dobrym zdrowiem młodszego brata.

— Rajska Rzeka, Readisie, jest wielką posiadłością — ciągnął T'lion. — Dostatecznie dużą, żeby ją podzielić na dwie części, dla twoich rodziców i dla ciebie. Twój ojciec zagospodarował ledwie jej środek, i to przy współpracy wszystkich tych ludzi, których do siebie ściągnął w czasie kilku ostatnich Obrotów. Ma też długie wybrzeże morskie.

To rozwiązanie nigdy dotąd nie przyszło do głowy Readisowi, chociaż stanowiło rutynowe postępowanie pomocnych Lordów Włodarzy, którzy tam, gdzie to było możliwe, tworzyli mniejsze Siedliska dla swoich synów. Był to jeden z powodów, dla których tak wielu ludzi z pomocy z zazdrością spoglądało na rozległe, wolne przestrzenie znajdujące się na Kontynencie Południowym. Wszelkie nadające się do zagospodarowania tereny w ważniejszych Siedliskach na pomocy były już od dawna zajęte. Readis dowiedział się w czasie rozmów na Spotkaniach, że Lord Toric zezwalał na to, by młodszy synowie niektórych Włodarzy prowadzili włodarstwa na południu. Jednak nie każdy kandydat mógł sprostać wysokim wymaganiom stawianym przez niego, a również nie wszyscy chcieli pracować pod tak autorytarnym kierownictwem.

— Mógłbyś zorganizować własną bazę delfinów i zostać delfiniarzem. To by ci nie zaszkodziło.

— Na pewno nie! — z roztargnieniem potwierdził Readis, myśląc o swojej matce. Czuł niesmak na myśl o tym, że oszukiwał ją i ojca. Przecież oni nie mieli pojęcia, ile czasu spędzał ze stadem z Rajskiej Rzeki. Chyba że powiedział im o tym Alemi.

— Lord Toric jest kolejną osobą, która chce mieć akwalung — oznajmił T'lion. — Właśnie ten człowiek! — Potrząsnął głową. — On nigdy nie traci okazji. Zamówił dziesięć aparatów do oddychania.

— Czy ma zamiar założyć Cech Delfiniarzy?

— Nie! — stwierdził T'lion z wymuszonym uśmiechem. — Wtedy musiałby się zgodzić, żeby i inni mogli wstąpić do organizacji. — Grymas uśmiechu zniknął z jego twarzy. — Przy tym nie miałby żadnych szans współzawodnicząc o delfiny z mistrzem Idarolanem,

Readis odetchnął z ulgą.

— Nie martw się, Readisie — ciągnął T'lion. — Już zacząłem wyrabiać ci dobrą opinię.

— Naprawdę? — Readis poczuł z jednej strony ulgę, a z drugiej strach, że teraz matka dowie się o jego nieposłuszeństwie.

— Nic się nie bój. Mistrz Idarolan tylko pytał mnie, ilu ludzi poważnie interesuje się delfinami. Wymieniłem ciebie, gdyż zostałeś wtedy uratowany przez delfiny i z wdzięczności za to nauczyłeś się wybijania dzwonem wszystkich sygnałów oraz porozumiewania przy pomocy znaków pokazywanych rękoma.

Readis nie był przekonany o słuszności takiej rekomendacji.

— Nie bądź taki smutny, Readisie. Wszystko pójdzie dobrze. Przekonasz się.

Chłopiec mruknął jakąś banalną odpowiedź, a potem dodał:

— W każdym razie dziękuję ci, T'lionie. Czy Mistrz Fandarel podał jakiś orientacyjny termin, kiedy możemy dostać akwalung?

— Ma nadzieję, że nastąpi to wkrótce, ale nie był w stanie dokładnie określić datę. Cały jego Zakład montuje wyłącznie terminale. Czy twoja rodzina ma już terminal? Nie? To powinni się o niego postarać. Fandarel mówił, że muszą zdobyć jakiś materiał uszczelniający, bez niego do maski dostanie się woda, co uniemożliwi korzystanie z niej. My jesteśmy w szczęśliwym położeniu, bo tutejsza woda jest idealnie przejrzysta. Morza na pomocy są mętne. Będę cię informował na bieżąco, Readisie.

— Bardzo ci dziękuję, T'lionie.

— Nie ma za co. — I T'lion oddalił się, wesoło machając ręką.

## ROZDZIAŁ XI

Mnementh poinformował Lessę i F'lara, że nadchodzą mistrz Fandarel i mistrz Nicat.

— Zastanawia mnie, czego może chcieć Główny Kowal — powiedziała Lessa, która właśnie głośno czytała R'martowi ze Strażnicy Telgar, G'dendowi z Isty i czeladnikowi harfiarzowi Talmorowi ostatnie sprawozdanie, dotyczące najnowszych przybyszów. Talmor był głównym asystentem komendantów z Benden do spraw przesiedleń.

Harfiarz wskazał gestem na stół konferencyjny, cały zasłany mapami i raportami stanowiącymi przedmiot dyskusji. F'lar wzruszył ramionami.

— Zostaw, składanie tego wszystkiego jest nieekonomiczne — rzekł komendant, czym wywołał uśmiechy na twarzach obecnych, bowiem zacytował słowa często używane przez Głównego Kowala. On i Assigi nieustannie korzystali ze słowa „ekonomiczny”. Pewnie zresztą Mistrz Fandarel najbardziej z nich wszystkich odczuwał brak Audio Systemu Sztucznej Inteligencji.

— Może doszedł wreszcie do tego „radia”, które tak bardzo chciał zbudować — stwierdziła Lissa, lekko się uśmiechając namyśl o wysiłkach potężnego Kowala, żeby dla osób nie posiadających smoków ani latających jaszczurek stworzyć system natychmiastowego porozumiewania się. Pracował nad tym od czasu osiągnięcia pewnych sukcesów na początku obecnego Przejścia.

— Wskazywałaby na to obecność mistrza Nicata — dodał F'lar. Główny Górnik współpracował z Głównym Kowalem przy wyszukiwaniu surowców takich jak metale, kryształy i niektóre plastiki wskazane przez Assigi jako niezbędne do produkcji urządzeń „elektronicznych”.

Sala Posiedzeń Rady w Benden była ogromna, lecz postać mistrza Fandarela sprawiała, że wydawała się mniejsza niż w rzeczywistości, podobnie zresztą jak inni dobrze zbudowani mężczyźni znajdujący się w tym pomieszczeniu. Nawet wysoki harfiarz, czy R'mart, który ostatnio wyraźnie nabralł ciała, z całą pewnością nie dorównywał ogromnemu Kowalowi.

Fandarel zatrzymał się w drzwiach, spojrzął na zavalony papierami stół i zmarszczył czoło.

— Przykro mi to powiedzieć, ale będziecie musieli zwolnić akcję osiedleńczą na południu — zagrzmał.

— Co? — wykrzyknęła Lessa, wpatrując się w Głównego Kowala. Było to ostatnią rzeczą, której mogła oczekiwać z jego strony, nigdy j przecież nie był przeciwnikiem przesiedleń. Wszyscy zebrani zareagowali podobnie jak Lessa. Ręka Talmora zawisła w bezruchu nad ostatnim sprawozdaniem Cechu Kowali.

— To jest pierwszy przypadek, że ktoś nas prosi o spowolnienie akcji — wykrzyknął F'lar. — Witamy, mistrzu Fandarelu. Czy wiesz, ilu ludzi oskarża nas o rozmyślne przeciąganie sprawy przesiedleń?

— Ja to też słyszałem — odparł Fandarel ze zwykłą u niego powagą i pochylił swą wielką głowę. Wyraźnie postarzał się od czasu, gdy pomógł wymontować silniki z trzech statków kosmicznych kolonistów, i Lessa zauważyła, że jego obecna powolność wpływała raczej ze starczego niedołęstwa niż z wyrachowania. — Wiem, że to nie jest prawda, i mówię to. Słyszałem także, że czeladnikom płci męskiej i żeńskiej oraz mistrzom proponuje się pełne sakiewki marek za opuszczenie ich stanowisk i osiedlenie się na południu.

— Wydawało mi się, że szedł tu z tobą mistrz Nicat — powiedziała Lessa, próbując dojrzeć, czy zwalista postać Fandarela nie zasłania znacznie mniejszego, pulchnego

Głównego Górnika.

— Ach! — Fandarel ściągnął brwi i potrząsnął przedmiotem, który prawie całkowicie nikał w jego wielkiej dłoni. — mistrzu Nikacie, czy mnie słyszysz?

— Oczywiście, że tak. Tylko jestem jeszcze u podnóża schodów. — Charakterystyczny głos zabrzmiał bardzo wyraźnie, chociaż niezbyt głośno, z aparatu, który teraz Fandarel pokazał zebranym.

— O, widzę, że zbudowałeś radio! — zawołała Lessa.

— Skonstruowałem urządzenie elektroniczne — poprawił ją Fandarel. — Instrument udoskonalony w porównaniu z radiami opisywanymi w zasobach archiwalnych i bardziej podobny do urządzeń, z których korzystali Starożytni, kiedy zakładali swoje pierwsze osiedla. Stary satelita meteorologiczny podający prognozę pogody wysyła również sygnały, podobnie jak statek kosmiczny Jokohama. Przy pomocy tych niewielkich urządzeń łatwo możemy się porozumiewać na duże odległości... oczywiście po ulepszeniu konstrukcji.

— A czy ja mogłabym to wypróbować? — spytała Lessa, przesuając się w stronę Fandarela i wyciągając rękę po aparat. — Jakie lekkie! — zważyła urządzenie w dłoni i odwróciła się, by wszyscy mogli zobaczyć trzymany przez nią owalny przedmiot.

— Jeżeli chcesz mówić, to przyciśnij i przytrzymaj czerwony guzik. Później trzeba będzie wystukać numer kodu aparatu, z którym chcesz uzyskać połączenie, ale na razie, ponieważ poza tym aparatem istnieje tylko ten, który trzyma mistrz Nicat, ta czynność nie jest konieczna. A więc wciśnij guzik i mów do tego końca urządzenia.

— Mistrz Nicat? — Lessa z taką siłą gniotła guzik, że aż jej zbieleły stawy palców, i mówiła bardzo głośno do wskazanego miejsca w aparacie.

— Nie musisz tak krzyczeć — wyraźnie usłyszeli cierpką odpowiedź Nicata.

— Do porozumienia zupełnie wystarczy szept — stwierdził Fandarel ze zrozumiałą dumą.

— Gdzie teraz jesteś, mistrzu Nicacie? — lekkim tonem zapytała Lessa.

— Dokładnie tam, gdzie znajdowałem się dwie minuty temu.

— Fantastyczne! — powiedział F'lar, podchodząc do swojej partnerki i biorąc od niej aparat. Nacisnął przycisk. — Czy mogę?

— Oczywiście — równocześnie odpowiedzieli Lessa i Fandarel.

— I to także usłyszałem — wtrącił Nicat.

F'lar przycisnął czerwony guzik. — Teraz chodź już do nas.

— Z największą przyjemnością, tym bardziej że tutaj pada deszcz.

F'lar i Lessa wymienili rozbawione spojrzenia. Uczestniczyli w posiedzeniu już od dobrej godziny i nie mieli pojęcia, że poranne zamglenie przeszło w opady.

— Mistrzu Fandarelu, a może kubek kłahu? — zapytała Lessa, biorąc z tacy kubek oraz izolowany dzbanek, stanowiący jedno z najpraktyczniejszych urządzeń w wyposażeniu jej kuchni.

— Bardzo proszę — odparł i ruszył, żeby usiąść na krześle wskazanym mu przez F'lara.

Po chwili wszedł Nicat, nieco zasapany po pokonaniu stromego podejścia do Strażnicy. W rękę trzymał przemoczony płaszcz, który odebrał od niego Talmor i powiesił na zapasowym krzeselku, żeby wysechł. Na powitanie dostał również kubek gorącego kłahu i poproszono go o zajęcie miejsca. Dwa aparaty przekazywali sobie z ręki do ręki siedzący przy stole uczestnicy zebrania.

— A teraz, mistrzu Fandarel, powiedz mi o tych swoich podwładnych, którzy są przekupywani — poprosił F'lar, zmieniając temat rozmowy. — To poważna sprawa.

— Bardzo mnie ona niepokoi, również moich czeladników i mistrzów, gdyż podrywa to dyscyplinę w naszym Cechu oraz poczucie honoru i lojalności, którymi zawsze kierowaliśmy się.

Na to oświadczenie Nicat mruknął:

— Patrzcie, co to się dzieje.

— Kto przekupuje? — pragnął się dowiedzieć R'mart.

— Toric? — Komendant z Telgar nie ukrywał swojej nieufności wobec południowego włodarza.

— Nie tylko.

— A więc kto jeszcze? — zapytał zdziwiony R'mart.

Farandel wzruszył ramionami.

— Niech pozostaną anonimowi, komendancie. Nasi specjaliści i kobiety nie przyjmują łapówek i informują mnie o każdej próbie przekupstwa. Martwię się jednak o terminatorów, którzy mogą nie mieć takiego poczucia lojalności.

G'dened zachnął się.

— Słyszałem o łapownictwie w Siedlisku Ista. Lord Warbert był nieprawdopodobnie wściekły. On też stracił grupkę młodych mężczyzn i kobiet dużo już wiedzących o sprawach morza, którzy jeszcze formalnie nie zostali uznani za terminatorów. No, i tu natrafiamy na ślady Torica lub jego wysłanników, którzy wiele obiecują, ponieważ mieszkańcy Isty znają niebezpieczeństwa Kontynentu Południowego żyjąc w warunkach tropikalnych — wyrzucił z siebie.

— Jednak nie są to takie same warunki — stwierdził F'lar. — Ista została skolonizowana dawno, dawno temu i nie ma już tam tych zagrożeń, jakie ciągle masowo występują na Kontynencie Południowym.

— Masz rację, a poza tym... — zaczął G'dened.

— W chwili obecnej nie mamy zbyt dużo przygotowanych wolnych terenów — powiedział Talmor, zaglądając do swoich dokumentów. — I nie jest to tylko sprawa osiedlenia tam wyszkolonych fachowców, mistrzu Fandarelu. Chodzi o tereny łatwo dostępne. Dotychczas koncentrowaliśmy się na ziemiach położonych nad rzekami lub brzegami oceanu, co pozwalało na korzystanie co najmniej z jednego środka transportu i możliwości przesyłania informacji. Szczególnie dla osób urodzonych na północy, które nie miały szans zdobycia latających jaszczurek. Oczywiście, to twoje urządzenie może stanowić ogromne ułatwienie w tym względzie. — Skinął głową w kierunku aparatu.

— Mam jeszcze dla ciebie złą wiadomość — rzekł Fandarel z ciężkim westchnieniem. — Potrzebujemy dodatkowych pracowników do produkcji niezbędnych tranzystorów oraz do montażu podzespołów. Będzie trzeba ich przeszkolić. Niezależnie od tego musimy dostać chociaż jedną osobę z uprawnieniami czeladnika do nadzorowania pracy. Mistrz Benelek chce mieć do dyspozycji całą młodzież, żeby ją kształcić w dziedzinie terminali i nie jest w stanie poświęcić Cechowi ani chwili więcej ze swojego czasu. Ja zaś mam długą listę osób, które złożyły zapotrzebowanie na to wydajne i ekonomiczne, niewielkie urządzenie.

Lessa, słysząc jego ulubione słowa, zasłoniła sobie ręką twarz, żeby ukryć uśmiech. Teraz w leksykonie Fandarela wyrazy „wydajnie” i „ekonomicznie” zawsze występowały razem. Ironią było to, że kiedy wreszcie skonstruował urządzenie zaspokajające jego wysokie aspiracje, to zabrakło mu ludzi do podjęcia masowej produkcji.

— Niezależnie od tego — dodał — nasz Cech ma tyle innych zamówień, że byłem zmuszony zlecić ich realizację mistrzowi Terry'emu i trzem asystentom, rezygnując równocześnie z innej, jakże wydajnej i ekonomicznej produkcji. — Westchnienie Fandarela bardziej oznaczało żal niż zadowolenie z posiadania pełnego portfela zamówień.

— Ja także jestem przeciążony, komendancie — wtrącił mistrz Nicat. — Wszystkie znane Cechowi kopalnie działają, podobnie nowe, otwarte na podstawie zapisków Starożytnych. W takiej sytuacji zmuszony byłem poprosić starych górników, którzy powrócili do Cechu, by pracować nad programem Assigi, o pozostanie na swoich stanowiskach w charakterze doradców. Nie mogę pozwolić sobie na utracenie choćby jednej zdolnej do pracy osoby zatrudnionej w Zakładzie. A tu jeszcze — uniósł w górę ręce — ludzie zaczęli zgłaszać się do mnie z licznymi zapotrzebowaniami na kamieniarzy. Zwykle nie było dużego popytu na ich

pracę, ponieważ większość włodarzy rozbudowuje swoje mieszkania w miesiącach zimowych, murarstwo zaś nie jest zawodem ściśle związanym z zakresem działania Cechu Górników. Jednak nikt inny nie szkoli ludzi do prac kamieniarskich. Wszystkie ociosane teraz kamienie eksportuje się na południe! Pytam się, jak to można zrobić? — Nie dał poznać po sobie, czy dostrzegł znaczące spojrzenie R'marta i porozumiewawcze mrugnięcia oczu, jakie wymienili F'lar i Lessa. — Wydaje się, że jedyną rzeczą, jakiej Assigi nie miał w swojej obszernej pamięci, to informacje o rozwiniętej technologii w zakresie kamieniarstwa i murarstwa. — Nieoczekiwanie słaby uśmiech pojawił się na okolonej siwymi włosami twarzy Nicata.

— Naprawdę? To jest prawie krzepiące dowiedzieć się, że Assigi nie był nieomylny — sucho zauważył F'lar. — A czy ty masz ludzi wyszkolonych do prac kamieniarskich?

— Obecnie szkolimy kilku — powiedział Nicat, wykrzywiając twarz i wzdychając. — Ten facet, no, ten rzeźbiarz, Edwinrus, ma kilku synów, przyjął też paru chłopców, wyglądających na zdolnych. Zrezygnował z realizacji zamówień z dziedziny sztuki i stara się mi pomagać. Mógłbym szkolić jeszcze o połowę więcej terminatorów w tym zawodzie i tyleż samo w górnictwie, a Hamian z Karaczi ciągle potrzebuje nowych wyszkolonych górników. Sam będzie musiał przyjąć terminatorów i szkolić ich, jeżeli potrzebni mu są fachowcy. Byłem nawet w tych jaskiniach koło Laudey, żeby się zorientować, czy tam nie ma jakichś ludzi nadających się do tej pracy.

— To w jaskiniach w Laudey ciągle jeszcze mieszkają ludzie? — zapytała zdziwiona Lessa. — Myślałam, że wszyscy zostali skierowani do pracy przy projektach specjalnych.

— Niektóre z nich zostały już zakończone, jak wiesz — wyjaśnił Nicat. — Część bezdomnych wróciła tam. A w jaskiniach mieszkają przeważnie ludzie starzy i chorzy. Larad co prawda twierdzi, że mógłby zwolnić pewną ilość więźniów — ciągnął Nicat. — Tych, którzy w jego ocenie odbyli już dostatecznie długą karę i mogliby z pożytkiem zostać wykorzystani w innym miejscu. W każdym razie oni są obeznani z pracami kamieniarskimi.

— W istocie przyczyną ograniczającą możliwość osadnictwa na niektórych równinnych terenach są wysokie ceny odpowiednio obrobionych kamieni — powiedział Talmor przekładając z miejsca na miejsce różne mapy i sprawozdania.

— Obszary te będą dostępne dopiero po zakończeniu obecnego Przejścia — stwierdził Talmor, pragnąc zakończyć dyskusję na ten temat. — Czasem zastanawiam się, dlaczego daliśmy się namówić na przyjęcie odpowiedzialności za rozwój Kontynentu Południowego...

— Dlatego, że tylko komendantom można było powierzyć tak odpowiedzialne zadanie — huknął Fandarel i w tej samej chwili Nicat podniósł się ze swojego miejsca, by wyrazić aprobatę dla wygłoszonej opinii. Popatrzyli na siebie, obaj bardzo zdziwieni tak obcą ich charakterom gwałtownością reakcji.

G'dened i R'mart uśmiechnęli się.

— Z moralnym poparciem ze strony Cechu Harfiarzy — dodał Talmor łagodnym tonem — i przy entuzjastycznej zgodzie wszystkich Lordów Włodarzy oraz Starszych Cechu...

— Z wyjątkiem Torica. Istotnym wyjątkiem — dodała Lessa, drwiąco się uśmiechając.

— Niech się stanie, co ma się stać — ciągnął F'lar. Z wdzięcznością skinął głową w stronę dwóch Starszych Cechu. — Jeźdźcy smoków mają mnóstwo obowiązków: zwalczają opad Nici na całej planecie, opracowują mapy i świadczą usługi transportowe. W najbliższym czasie będziemy musieli utworzyć Strażnicę w okolicach

Honshu.

— Z pewnością nie w Zamku Honshu — oświadczył Fandarel.

— Prawdopodobnie nie — odparł ze śmiechem F'lar, spoglądając na Lessę, żeby zapobiec jakiemuś złośliwemu komentarzowi z jej strony. — Niemniej będziemy potrzebowali głazów na wybudowanie przyzwoitej Strażnicy, gdyż tam na południu nie udało się nam znaleźć żadnego odpowiedniego krateru.

— Czy pamiętasz o swoim przyrzeczeniu, które kiedyś złożyłeś T'borowi? — zapytał R'mart i z dziwnym uśmiechem pochylił się w stronę F'lara.

— Że będzie mógł przekazać komendę nad Wysokimi Szczytami i wrócić na południe? — F'lar pokiwał głową. — Kiedy się skończy obecne Przejście, będzie mógł robić, co tylko zechce.

— Kiedy to Przejście się skończy... — zadumał się Nicat i westchnął głęboko.

Zapanowała chwila uroczystej ciszy.

— Korzystając z okazji, mistrzu Fandarelu — powiedział R'mart, wziął jedną mapę ze stosu znajdującego się na stole i podał kowalowi. — Udało się nam zlokalizować dla ciebie ten łańcuch górski, który zgodnie z przestrzennymi mapami Starożytnych stanowił miejsce pozyskiwania żelaza.

— Gdzie się znajduje? — Fandarel stał się od razu czujny i wyciągnął swą długą rękę po ofiarowywany mu dokument.

— O tam, u podnóża wzgórz. Miejsce to dla łatwiejszego odnalezienia oznakowaliśmy kółkami i chorągiewkami. Doskonale miejsce, do tego w pobliżu przepływa rzeka. Mógłbyś rozważyć zbudowanie tam kolejnego Zakładu.

R'mart pozwolił sobie na małą dawkę drwiny, znając przywiązanie mistrza Fandarela do Głównego Zakładu w Talgar.

— Pewnie w odpowiednim czasie rozważymy ten problem — odparł Fandarel, wpatrując się w mapę i prowadząc swój ogromny palec wskazujący wzdłuż biegu rzeki. — Nie byłoby uczciwie organizować wszystkie najważniejsze Zakłady na północy. Dajcie szansę kilku moim wspaniałym mistrzom pokazać, co potrafią.

— Łatwiej będzie wydobywać rudę żelazną i przetwarzać ją w tym samym miejscu — dodał mistrz Nicat, wstając ze swego krzesła, by zerknąć przez ramię Fandarela na mapę. — Czy znaleźliście tam czarny kamień?

— Nie szukaliśmy go, mistrzu Nicat, ale możemy to zrobić — odpowiedział R'mart. — Obok ciągną się ładne pasma lasu. Jest tam także piękna, nieduża dolinka, w której można by prowadzić uprawy rolne.

— Ach, otwierają się teraz nieograniczone możliwości, prawda? — stwierdził z wielkim zadowoleniem Nicat.

— Żebyśmy tylko mieli odpowiednio wyszkolonych mężczyzn i kobiety — dorzucił pogrążony w zadumie Fandarel.

— No dobrze — zaczął F'lar — to jasne, że w sprawie zasiedlania Południa nie możemy działać szybciej niż dotychczas, bez względu na to, na jakie narazimy się oskarżenia.

— Musimy zrobić, co w naszej mocy, by temu przeciwdziałać — rzekł Fandarel, patrząc na Nicata, który potwierdził to energicznym skinieniem głowy. — Powinniśmy także wykazać, że brak odpowiedniego personelu hamuje całą akcję. Poinformuję o tym mój Cech, mistrzów, czeladników i terminatorów. — Popatrzył na mistrza Nicata, który skwapliwie potwierdził, że również tak postąpi.

— Kiedy możemy liczyć na więcej takich urządzeń? — zapytał F'lar, potrząsając jednym z aparatów do porozumiewania się.

— Zastanawiałem się nad sposobem najbardziej ekonomicznej ich produkcji. — I Fandarel zwrócił się do mistrza Nicata. — Czy ci starzy i chorzy ludzie w Igen są dostatecznie inteligentni, byśmy mogli wykorzystać ich manualne zdolności?

Nicat zmarszczył brwi i spojrzał na oparte o stół koniuszki swych palców.

— Tak jest, wydaje mi się, że będą umieli coś robić.

— A więc dobrze. Wszystko, czego potrzebujemy, to dobry wzrok i zwinne palce. Już wcześniej zatrudniliśmy kilka starszych osób i mogę wam powiedzieć, że były one bardzo zadowolone z możliwości zarobienia kilku marek.

— A poza wszystkim innym stanowi to ekonomiczne wykorzystanie siły roboczej,



prawda? — Lesse skomentowała wypowiedź Fandarela starając się zachować poważną minę, chociaż Talmor dostał ataku kaszlu, a R'mart i Gdened usiłowali nie patrzeć na nią ani na kowala.

— Jedno z tych urządzeń wam zostawię, F'larze i Lesso — oznajmił Fandarel z oficjalnym ukłonem w momencie przekazywania aparatu. — Przy jego pomocy w razie konieczności będziecie mogli porozumiewać się ze mną, gdy będę w Zakładach Kowalskich.

— To jest naprawdę niezwykle użyteczne urządzenie — dodał Nicat. — Zupełnie nie wiem, jak kiedyś mogłem sobie radzić bez tego.

F'lar wyprowadził obydwu Starszych Cechu z Sali Rady. Wtedy Lessa pozwoliła sobie na cichy chichot, a pozostali wybuchnęli głośnym śmiechem. F'lar powrócił także z uśmiechem na twarzy i zatarł ręce.

— Proponuję, żebyśmy na tym zakończyli nasze posiedzenie, zgoda?

— Już chyba niewiele zostało do dodania? — powiedział Talmor. — A nam się wydawało, że jesteśmy zajęci wykonując polecenia Assigi!

— Zastanawiam się nad tym, czy on wiedział, do jakiego stopnia zmienia całe nasze życie? — Lessa wykonała szeroki ruch ramieniem.

— Prawdopodobnie tak — wtrącił drwiąco R'mart. — I zapewne dlatego opuścił nas, zanim w głowach powstała nam myśl o wyłączeniu go.

— Mógłby chociaż pozostać z nami do zakończenia procesu transformacji — zauważyła Lessa z odcieniem buntu w głosie.

— I dalej znosić twoje pretensje, kochanie? — zapytał F'lar i z łobuzerskim błyskiem oczu spojrzął na swoją towarzyszkę życia.

Lessa zareagowała parsknięciem.

— Jedno jest pewne, musiał wiedzieć, że co najmniej jedna osoba zrobi wydajny i ekonomiczny użytek z Biblioteki — z uśmiechem dodał Talmor.

— Dostyc już tego, przestań pleść, harfiarzu — krzyknęła Lessa z udaną złością. — R'marcie, powiedz mi, czy udało ci się znaleźć tam miejsce w jakimkolwiek stopniu nadające się na strażnicę?

— Ani jednej jaskini, ani jednego krateru wśród tamtych wzgórz, które moglibyśmy użyć — stwierdził R'mart ze zniechęceniem.

— Jest tam jednak wiele kamienia dla mistrza Nicata — dodał G'dened. Tamor spokojnie robił notatki na marginesach map, wzdychając od czasu do czasu.

— Spójrz, tutaj nie mam żadnych specjalnych komentarzy — powiedział i podsunął brzeg mapy R'martowi.

— Bo tu rzeczywiście nie ma niczego specjalnego. Same wzgórza, doliny, rzeki i skały.

— Tak, ale skały mogą się przydać — stwierdził Talmor, czyniąc odpowiednią notatkę.

— Dopiero, gdy zakończy się Przejście...

Trwało ponad godzinę, zanim komendanci zakończyli swoje obrady na temat map zbadanych ostatnio ziem, i goście rozjechali się.

— Będę bardzo szczęśliwa po zakończeniu opracowywania map całego Kontynentu — oświadczyła Lessa, głęboko wzdychając.

— Wątpię, czy w najbliższym czasie uda nam się przeprowadzić wszystkie zamierzone badania... Nie posiadamy tam odpowiedniej liczby ludzi — dodał F'lar. Zmierzając do pomieszczenia, Ramoth przystanął, by przytulić do siebie jej drobne ciało.

Wielka złota smoczyca spała, lekko poruszając przez sen nozdrzami, a szponami przednich łapach skrobiąc swoje kamienne legowisko. Na przemian zaciskała i otwierała pazury — najwidoczniej coś jej się takiego śniło, że...

— A może jest głodna?

— Nie powinna — odparła Lessa. — W tym siedmiodniu dużo polowała na południe od

Lądowiska. Południowa zwierzyna lepiej jej smakuje.

— Całe to zamieszanie warte jest wysiłku, Lesso — przypomniał jej F'lar. — Nie możemy zawieść okazanego nam zaufania, że dokonany przez nas podział ziemi będzie bezstronny. Jeźdźcy smoków otrzymają własne działki na Kontynencie Południowym. I nigdy nie będziemy mieli żadnych zobowiązań w stosunku do Cechów i Siedlisk.

Lessa wiedziała, że nie potrafił zapomnieć o sytuacji, jaka wytworzyła się w Benden na zakończenie Ostatniego Interwału, kiedy to tylko trzy Siedliska wpłaciły dziesięcinę na samotną Strażnicę i jeźdźcy smoków zmuszeni byli do życia w tak skromnych warunkach, jakich nie zniósłby najuboższy nawet włodarz. Na ironię zakrawał fakt, że z powodu ostatecznego zlikwidowania zagrożenia Nićmi przestały także istnieć powody, dla których jeźdźcy smoków cieszyli się licznymi przywilejami. Assigi zapewnił ich tylko o jednym — smoki nie przestaną istnieć tylko dlatego, że została zmieniona orbita Czerwonej Gwiazdy. Stały się, podobnie jak delfiny, gatunkiem zadomowionym na Pernie, i w dalszym ciągu będą tam hodowane, aczkolwiek prawdopodobnie w mniejszej ilości. Niskie loty godowe spowodują mniejsze wylęgi. Wymaga to roztoczenia większej kontroli nad królową i spizowcem, ale jest to możliwe do wykonania. Zazwyczaj w ciągu Interwału królowe rzadziej wylatują na gody.

— Nie — powiedziała Lessa z przebiegłym uśmiechem i błyszczącymi oczyma — to oni będą mieli zobowiązania wobec nas za osiągnięcie pokoju i bezpieczeństwa po zakończeniu obecnego Przejścia! — Poczula się podniesiona na duchu.

— Niemniej, kochanie, musimy cierpliwie poczekać na odpowiednią chwilę — stwierdził, ale również uśmiechnął się na myśl o przyszłości.

— Trzymam każdy zakład, że to Toric stale używa różnych wykrętów — oświadczyła. — Jest zachłanny i ciągle nie może nam darować, że wprowadziliśmy go w błąd co do wielkości Kontynentu Południowego. — Jej uśmiech stał się równocześnie słodki i złośliwy na wspomnienie odniesionego zwycięstwa.

— Zawsze to powtarzasz, kiedy w rozmowie pojawia się ten temat, a więc pewnie masz rację, jeżeli idzie o niego — odparł F'lar spokojnym tonem. — Mimo wszystko, zrobił więcej niż ktokolwiek inny dla odpowiedniego urządzenia się tam nowych osiedleńców.

— Szczególnie dotyczy to tej grupy, która usiłowała zagarnąć należącą do niego wyspę. — I Lessa roześmiała się z zadowoleniem jak mała dziewczynka. — Nigdy nam tego nie zapomni. A jednak uważam, że mieliśmy rację nie interweniując wówczas.

— Tak, wówczas! — dodał F'lar znaczącym tonem. Podeszli do stołu, przy którym niedawno jedli lekki posiłek, i w tym momencie zjawił się Talmor. Podniósł kubek z klahem i spróbował napoju. — Zimny. Zobaczmy, co słychać w dolnej jamie. Tam będzie trudniej nas znaleźć.

Uśmiechnęli się konspiracyjnie i trzymając za ręce wrócili do wewnętrznych schodów Strażnicy, zeszli nimi do Sali Rekreacyjnej, a następnie do kuchni.

Delfiny podniosły alarm, bijąc w dzwony, które obecnie umieszczone były w dziesięciu miejscach. Wcześniej rano uderzyły w wielki dzwon w Siedlisku Morza Tilleka, chociaż siedziba Tillek położona była bardziej na pomoc od trasy huraganu. Stado zajmujące wody wielkich zatok wiedziało, że Główny Rybak Idarolan jest przywódcą stad wszystkich jednostek rybackich i powinien być informowany o każdym wydarzeniu dotyczącym jego Cechu. Z wdzięczności za pomoc, jakiej delfiny udzielały wszystkim pracownikom morza, mistrz Idarolan zbudował naprawdę doskonale schronisko dla delfinów, gdzie mogły znaleźć opiekę wszystkie chore i ranne zwierzęta z Morza Zachodniego.

Idarolan osobiście zgłosił się na sygnał dzwonu. Był dobrze opatulony, by zabezpieczyć się przed chłodem przedświt.

— Zły podmuch, zły, zły, zły podmuch — powiadomiła go przywódczyni stada kręcąc

głową, a jej towarzysze potwierdzali to energicznymi skinieniami. Delfiny nie mogły mierzyć szybkości wiatru i podawać jej w jakikolwiek zrozumiałym dla ludzi sposób. Wichry morskie nie były dla nich żadnym utrudnieniem. Kiedy morze szalało, szukały spokojniejszych akwenów lub skakały po powierzchni. W rzeczywistości często cieszyły się ze wzbudzonych fal, gdyż pozwalało im to na wypróbowanie swoich pływackich umiejętności. Rozumiały jednak, jakie niebezpieczeństwa takie sztormy niosą dla ludzi.

— Statki mogą tonąć w złym, złym, złym podmuchu. Rozbijać się o skały. — A było ich wiele na tych mało gościnnych zachodnich wybrzeżach.

— Czy możecie mi dokładnie określić miejsce, w które nadciąga sztorm? — zapytał Idarolan. Poleciał jednemu z harfiarzy specjalizującemu się w rysunkach przygotowanie ogromnej mapy Pernu, na której morza oznaczono jasnym kolorem, żeby delfiny mogły je rozpoznawać, zaś lądy pomalowano na ciemno. Opuścił teraz tę mapę dostatecznie nisko, żeby Iggy mogła pokazać nosem przewidywaną trasę sztormu.

Wskazała na rozległy obszar wód bezpośrednio poniżej Prądu Wschodniego, przesunęła nos pod Boli i dalej prosto na Strażnicę Południową i Siedlisko.

— Tam wielki podmuch! Najpierw ląd. Podmuch cały dzień, całą noc, cały dzień, całą noc! Dłuuugi podmuch. Ciepła woda, dużo zimne powietrze. — Iggy potrząsnęła głową, żeby podkreślić groźne zestawienie żywiołów. — Podmuch, podmuch, podmuch, zły, zły, zły.

Pozostali członkowie stada zaczęli piszczeć wysokim, donośnym tonem dla zwrócenia uwagi na wielkie niebezpieczeństwo.

— Mamy kilka statków na pełnym morzu... — Idarolan szybko sprawdził listę statków, które wyszły z tego portu. — Łowią...

— Popłyniemy, spotkamy ich, powiemy — obiecała Iggy. — Ostrzegamy Iddie, przywódcę stada. — Iggy bardzo lubiła wymawiać imię Głównego Rybaka, gdyż przypominało jej własne.

— Bardzo ci za to dziękuję, Iggy. — Wyciągnął pierwszą rybę z kubelka, który zawsze wypełniony okazami z ostatnich połowów stał obok dzwonu. Iggy z gracją uniosła głowę ponad wodę i przyjęła poczęstunek. Następnie Idarolan zaczął rzucać ryby innym czekającym pyskom. Potrafił znakomicie celować, i żadne ze stworzeń towarzyszących przywódczyni nie zostało pominięte.

Mistrz Idarolan wolnym krokiem wrócił do swojego ciepłego dworu i rozpoczął pisanie depesz, które następnie dostarczą adresatom latające jaszczurki. Robił to ciężko wdychając, gdyż prawdopodobnie flotylla pływających w głębinach morskich przyjaciół wcześniej przekazała ostrzeżenia, niż on zdoła wysłać swoich posłańców. Pierwszą skierował do lorda Torica, domyślając się, że ten człowiek zasypałby jego Cech skargami, gdyby taka wiadomość nie została mu dostarczona w pierwszej kolejności.

W okresie ostatnich dwóch Obrotów było wiele sztormów i do mistrza Idarolana docierały plotki, że powodem ich było zmienienie orbity Czerwonej Gwiazdy. Mistrz Wansor z Cechu Kowali i jeden z jego najlepszych kapitanów, który studiował u Assigi meteorologię, wyśmiewali co prawda te pogłoski, ale nie powstrzymywało to uporczywego ich powtarzania. Wiele osób nie posiadających wystarczającej specjalistycznej wiedzy wierzyło w te brednie. Idarolan wysłuchiwał informacji Assigi o prognozowaniu pogody, informacji o wiatrach i prądach morskich, na ile tylko pozwalał mu czas. Zawsze przecież istniała jakaś sytuacja baryczna i albo powstawała z niej piękna, spokojna pogoda, albo tworzyły się sztormy. Satelity meteorologiczne ulokowane na orbitach przez Starożytnych ciągle jeszcze przekazywały na planetę dane, które jednak nie zawsze były właściwie interpretowane. Delfiny stanowiły bardziej wiarogodne źródło informacji od urządzeń zainstalowanych na Lądowisku, tak bardzo oddalonym od obszarów depresyjnych. Nie po raz pierwszy Idarolan zastanawiał się, w jaki sposób ludzie mogli dawać sobie radę bez pomocy delfinów.

Lorda Torica z głębokiego snu wyrwał głośny szczebiot latającej jaszczurki, która właśnie się pojawiła, oraz hałas podniesiony przez jego własną jaszczurkę na widok przybysza. Nie obudził się w najlepszym nastroju. Pracował do późna w nocy nad mapami sporządzonymi przez jego zwiadowców, przemyślując wielokrotnie swoje następne posunięcie. Porozumiał się ze wszystkimi, którzy według jego oceny byli skłonni mu pomóc w jego dramatycznej akcji. Usiłował także wybrać spośród Lordów Włodarzy ludzi myślących tak jak on — że nie należy załogom ze Strażnicy Benden dawać w prezencie ziem południowych. Nawet lord Groghe zaczął się chwiać w swojej lojalności wobec komendantów. Poza wszystkim innym miał dziesięciu synów, których też musiał gdzieś dobrze ulokować. Na każdym Spotkaniu w Forcie w ciągu ostatnich trzech Obrotów, Toric zaszczepiał w głowach chłopców idee, że powinni mieć takie same możliwości jak Benelek lub Horon. Zamieszał w umyśle młodemu Kemowi z Crom, trzeciemu synowi lorda Nessela oraz drugiemu synowi Nabola. Znalazł także czeladników zazdroszczących, że ich koledzy zostali wcześniej od nich promowani na mistrzów.

Przeklinał czytając otrzymaną od Idarolana wiadomość o zbliżającym się sztormie, bowiem oznaczała ona konieczność opóźnienia realizacji jego wielkiego planu. A mogło to spowodować także, że ktoś — w tym wypadku słowo „ktoś” należało odczytać jako „jeździec smoka” — odkryje dokładnie zakamuflowane miejsca na Siedlisku. Mogli też zacząć się interesować zwiększonymi dostawami na wszystkie jednostki niewielkiej floty rybackiej Siedliska. Jak dotąd młody komendant K`van przyjął naprędce podane wyjaśnienie, że przed porą gorącą Toric pragnie odpowiednio zaopatrzyć położone na krańcach południowych kopalnie. Działki po drugiej stronie rzeki nie zostały dotąd odkryte, bo zasłaniała je gęsta roślinność. Jeźdźcy smoków już dawno temu zbadali ten odcinek brzegu. Cała ta ziemia... Jego Siedlisko pełne było ochoczych, nowych, starannie wybranych osiedleńców zdecydowanych wznosić i modernizować domy dla siebie. Ludzie ci byli mu oddani, gdyż pozwolił im na realizację ich największych marzeń.

Musiał przelknąć wiele upokorzeń i zniewag ze strony komendantów z Benden, którym się wydawało, że to oni będą dzielić tę ziemię według własnej woli. A teraz czeka ich konfrontacja z jego planami. Zbyt wielu ludzi znało już rzeczywistą powierzchnię rozległego Kontynentu Południowego, i bardzo byli niezadowoleni z uzurpowania sobie przez jeźdźców smoków prawa pierwszeństwa. Przez wiele Obrotów mieli dostęp do wszystkiego, co Pern miał im najlepszego do zaoferowania. Kiedy Przejście się zakończyło i ich usługi stały się niepotrzebne, inaczej zagra się im do tańca. I on sam dopilnuje, żeby tak się stało.

Usłyszał dźwięk dzwonu, zainstalowanego na skutek nalegań Mistrzów Rybackich w głębszej części przystani. Ryby-przewodnicy mogły być pożyteczne, kiedy informowały załogi o miejscach pobytu ławic ryb, ale on nie miał zamiaru troszczyć się o te stworzenia. Nie cierpiał gadających ssaków — mowa jest atrybutem człowieka. Nie mogą się przecież równać z istotami ludzkimi. Nie było żadnego sposobu, żeby mógł zmienić swoje zdanie na ten temat. Ludzie byli zdolni do przewidywania przyszłości i planowania, delfiny tylko współpracowały z nimi i czerpały z tego rozrywkę. Ludzie wymyślali także dla nich „gry” i bawili się z nimi. Ale życie nie jest nieustanną zabawą! Sama myśl o dostarczaniu zwierzętom rozrywek ogromnie denerwowała Torica. Szczególnie nie cierpiał ich ostatniej „gry” — patrolowania wybrzeży. Miał własne plany dotyczące brzegów. W zamyśleniu dotknął palcami ust.

W czasie sztormu będą szukały bezpiecznego miejsca w Prądach i to może być najlepszy moment do przeprowadzenia jego planu, zanim wiatr ucichnie i delfiny powrócą na swoje zwykłe akweny.

Wstał z łóżka i ubrał się, nie zwracając uwagi na senne mruczenie żony. Jeżeli chce zrealizować swój plan pod koniec burzy, to czeka go jeszcze wiele pracy.

Gdy sztorm runął na półwyspy wysunięte z Kontynentu Południowego w kierunku północnym, porażająca siła wiatrów była najgroźniejszym żywiołem, jaki wielu ludzi spotkało w czasie całego swego życia. Nawet najstarsi rybacy byli zaskoczeni. Chociaż oko cyklonu znalazło się daleko na południe od Boll i Isty, to jednak nadmorskie siedziby chłostały porywiste wichury, a morze zalewało niżej położone tereny, wrzucając piach z plaż do zatopionych domów oraz na pola, które normalnie znajdowały się wysoko ponad poziomem wody. Sztorm, który przyszedł w dniu zrównania dnia z nocą, szalał ze zdwojoną siłą zarówno nad morzem jak i nad lądem, aż po odległe wzgórza. Wzdłuż południowych wybrzeży powyrywał słabiej zakorzenione drzewa, zwykle dostatecznie giętkie, by elastycznie poddawać się uderzeniom wiatru. Toczył gigantyczne fale zalewające strome skały i Strażnicę aż po Główną Salę, druzgocząc część dachu i burząc wiele małych domów zajmowanych przez jeźdźców. Nic nie mogło mu się oprzeć. A szczególnie plan Torica. W głębokiej części przystani, będącej normalnie bezpiecznym miejscem do cumowania, szalały fale tak wysokie jak na otwartym morzu, a ludzie usiłovali ratować statki na pół wyładowane do wyprawy w górę rzeki. Niektóre załogi, usiłujące w czasie sztormu wyprowadzić w morze swoje statki, doznały poważnych strat i musiały pozostać w przystani. Do czasu oddalenia się sztormu z Siedliska Południowego po trzech długich dniach i nocach, rannych żeglarzy musiały opatrywać ich żony.

Nawałnica z coraz większą szybkością przesuwała się łukiem w kierunku południowo-wschodnim, waląc wprost na Rajską Rzekę i Mroźny Dwór.

Pomimo natychmiastowego przekazania ostrzeżenia przez stado delfinów do wszystkich zainteresowanych, definicja siły sztormu „zły, zły, zły” wyjaśniła się dopiero wtedy, gdy pogoda fatalnie się pogorszyła, a wściekle, wyjące wiatry rozszalały się nad lądem. Nikt nie przewidywał tak długiej i tak gwałtownej burzy.

Poziom Rajskiej Rzeki znacznie się podniósł. Jej wody zalały rząd chat, co zmusiło Jaygego i jego rodzinę do przeniesienia się na najbliższe wyżej położone tereny, które również okazały się wkrótce zagrożone. Pola uprawne wzdłuż rzeki zostały zatopione. Uprawy sezonowe wcześniej zebrano i bezpiecznie zmagazynowano pod zwykłymi wiatami, których zawieszono na słupach i miały chronić zbiory przed słońcem. Z większości tych konstrukcji wicher pozrywał pokrycie, wywiewając całą ich zawartość. Było już za późno na związywanie bel i skrzynek — wiatr miotał nimi niemiłosiernie, czyniąc z nich niebezpieczne latające przedmioty. Antylopy i biegusy pasące się na nieosłoniętych łąkach znajdowano później zawieszono jak dziwaczne dekoracje na odartych z liści drzewach. Całe dni zajęło odszukiwanie zwierząt, które uciekły przed przerażającą burzą. Niektóre sztuki poranione lub z połamanymi nogami trzeba było dobijać.

Na Lądowisku wywieszono sztormową flagę. Tam straty były stosunkowo małe, ponieważ w jakiejś mierze chroniły go sylwety trzech wygasłych wulkanów, a wiatr wiał od strony morza. W zatokę Monako uderzyła wysoka fala i porwała tratwę, z której porozumiewano się z delfinami, lecz dzwon ocalał i dźwięczał przez długie godziny w czasie trwania nawałnicy. Strażnicę Wschodnią nawiedziły fale deszczu chłostane szalejącymi wichrami, nie było to jednak tak niszczące, jak na terenach nadbrzeżnych.

W momencie, gdy stało się to tylko możliwe, Readis odbył w deszczu podróż do zatoki, żeby zapytać Altę i Dara, czy coś nie stało się jego rodzinie w Siedlisku Rajskiej Rzeki. Kami uparła się, żeby pójść z nim do zatoki, gdyż z Siedliska Cove nadeszła groźna wiadomość o zalaniu domu mistrza Robintona i zniszczeniu wielu cennych zbiorów harfiarza. Ogromnie się lękała, że Rajska Rzeki mogła ucierpieć w podobny sposób. Musieli długo czekać, zanim delfiny odpowiedziały na sygnał wezwania. Doszło do tego, że na zmianę szarpali linę dzwonu.

Kiedy wreszcie pojawiła się Alta, powiedziała im, że kilkoro członków stada pozostało na służbie, czuwając, gdyby jakiś statek zaryzykował żeglugę w czasie burzy, ale reszta

popłynęła na północne, na spokojniejsze wody. Zgodziła się na przesłanie wiadomości do stada Południowej Rzeki. Tak więc Readis i Kami musieli czekać do zapadnięcia prawie całkowitych ciemności, zanim przyszła odpowiedź. Sztorm był zły, zły, zły, ale ludziom się nic nie stało, są mokrzy i zmęczeni.

— Delfiny poranione. Pójść pomagać?

— Jak ciężko ranne?

Alta zanurzyła głowę w wodzie i po chwili znowu wysunęła ją na powierzchnię. — Nie wiem. Ty iść?

Jeszcze bardziej zmartwiony tą niespodziewaną wiadomością, Readis podziękował Alcie, przeprasząc, że nie może poczęstować jej rybą.

— Och, w głębinie jest dużo ryb — powiedziała mu, a następnie odpłynęła.

— Który delfin został ranny? Jak ciężko? — Readisa nękały pytania, kiedy wyruszyli już z Kami w długą drogę powrotną. — Czemu Alta nie wyjaśniła tego dokładniej? Do licha! To potrwa całe wieki, zanim wszystkiego się dowiemy.

— Readisie, jestem pewna, że mistrz Alemi już im pomaga — pocieszała go Kami.

Oboje byli zaskoczeni i Readis zawołał z ulgą, gdy usłyszeli nad sobą trąbienie smoka. Jego głos prawie zupełnie utonął w szumie ciągle jeszcze silnego posztormowego wiatru. To leciał T'lion na Gadarecie.

— T'lionie, czy mógłbyś nas zawieść do Rajskiej Rzeki? — poprosił Readis, gdy smok z jeźdźcem wylądował obok nich. — Tam jakieś delfiny są ranne, lecz Alta nie mogła nam wytłumaczyć, jak ciężko. T'lion nawet nie zsiadł ze smoka, tylko nachylił się, żeby pomóc im wgramolić się na jego szyję.

— To zła wiadomość. — Jeździec wyglądał na bardzo zmartwionego, a Gadareth odwrócił głowę, żeby pokazać pomarańczową barwę troski w swoich oczach. — Właśnie byłem na Ładowisku, i tam mi powiedzieli o waszej wyprawie. Słuchajcie, muszę się zgłosić w Dworze Cove. Został poważnie zalany. Najpierw jednak, z całą pewnością, odwiezę was do domu. Teraz na szczęście wiatr tak ucichł, że smoki mogą zaryzykować loty. Gaddie nie mógł oderwać się od ziemi dostatecznie wysoko, by dostać się w przestrzeń pomiędzy. Ten sztorm był niesamowity.

Gdy tylko Gadareth poderwał się z drogi, w całą trójkę uderzył wiatr... Readis przycisnął się do T'liona, który miał zapięte bezpieczeństwa, a Kami tak mocno przytuliła się do chłopca, że aż zaboląły go żebra. Zwykle podróż na smoku bywała bardzo łagodna, jednak tego ranka nawet Gadareth wpadał chwilami w turbulencje, zanim osiągnął przelotowy pułap.

W Rajskiej Rzece wiatr nie był wiele słabszy i kiedy Gadareth obniżył lot, mogli dostrzec ogrom zniszczeń w Siedlisku. Całe rzędy drzew zostały powalone, rośliny szerokolistne poszarpane, brzeg rzeki zalane błotem, a dachy znajdowały się we wszystkich miejscach z wyjątkiem tych, gdzie być powinny. Readis boleśnie jęknął. „Wszędzie kręcili się ludzie zajęci usuwaniem zniszczeń.

Readis ścisnął T'liona za ramię i krzyknął mu do ucha:

— Zawieź nas do przystani. Delfiny bardziej będą potrzebowały mojej pomocy.

— Och, Readisie, przecież muszę dostać się do domu. Tylko spojrzysz! — Kami zalała się łzami na widok ich nigdy tak schludnego domu. Dach nad gankiem był powyginany, błoto i morskie wodorosty pokrywały cały budynek, a komin leżał w gruzach. Połamane stojaki na sieci wały się po ziemi, mogli też dojrzeć sieci zwisające i w strzępach z wysokich konarów drzew.

— Przede wszystkim delfiny. Stamtąd nie będziesz miała daleko do domu.

Readis niepokoił się również o statki rybackie. Właściwie był pewien, że Alemi przy pierwszej możliwej okazji pobiegł zobaczyć, co się z nimi dzieje, i wtedy prawdopodobnie opatrzył też delfiny. Gdyby tak było, chłopiec mógłby wrócić do domu i tam pomagać. Matka nawet nie domyśliłaby się, że najpierw odwiedził delfiny.

Gadareth miał spore kłopoty ze znalezieniem wolnego miejsca do wylądowania. Molo w dużej części zostało zburzone, a tratwa i dzwon znikły. Z krwawiącym sercem Readis przyglądał się dwóm małym statkom wyrzuconym na brzeg. Leżały na burtach ze zdruzgotanymi masztami, porwanym olinowaniem i dziurami w kadłubach. „Pomyślny Wiatr” był w niewiele lepszym stanie, ale chłopak dostrzegł ludzi pracujących na jego pokładzie, którzy usuwali porwane płótna i strzaskany maszt główny. Drugi maszt pozostał na miejscu, jednak bez olinowania. Szkuner robił wrażenie tkwiącego głęboko w wodzie. Czyżby powstały przecieki w kadłubie, a może nabrał tylko tak dużo wody?

W zasięgu wzroku nie było widać płetw grzbietowych i to jeszcze bardziej zmartwiło Readisa. Ile delfinów odniosło rany? Jak będzie mógł je wezwać, gdy zniknął gdzieś dzwon?

Kiedy Gadareth energicznie lądował na plaży, dla zrobienia sobie miejsca spychając na boki połamane pnie drzew, T’lion obrócił się w stronę Readisa.

— Nie ma dzwonu. Gaddie będzie mógł je wezwać spod wody. Już to przedtem robił. No nie, mój stary? — I T’lion przyjaźnie poklepał Gadaretha po karku,

— Zatrąbię. Przypląną. Mój ryk jest równie dobry jak ich dzwon. Gdy pasażerowie zsiadli, Readis rozejrzał się dokoła i pokiwał głową na widok zniszczeń. Jest tyle do zrobienia. Kami pociągała nosem, wiedząc, że Readis nie lubi, jak jest w takim nastroju. Uważał, że trzeba umieć zapanować nad swoimi emocjami, ale jej naprawdę chciało się płakać na widok uszkodzonych statków. Ojciec tak się będzie tym martwić!

Gadareth wchodził do wody z wysoko uniesionymi skrzydłami do momentu, aż zaczął unosić się na powierzchni. Zanurzył łeb. Obserwujący nic nie słyszeli, widzieli tylko bańki powietrza, wydobywające się na powierzchnię, a spowodowane jego trąbieniem. Po chwili uniósł głowę i spojrzał w kierunku morza, czekając na efekt wezwania. W tym momencie T’lion i Readis dostrzegli, że ktoś gwałtownie do nich macha z pokładu „Pomyślnego Wiatru”. Statek znajdował się za daleko, żeby można było usłyszeć głos. Gadareth już szykował się do powtórzenia sygnału, kiedy ukazała się pojedyncza płetwa i zaczęła się szybko zbliżać. Gadareth wyciągnął szyję w kierunku nadpływającego delfina, ale on płynął w kierunku brzegu tak daleko, jak na to pozwalała głębokość wody i dopiero tam podniósł głowę. Był to Kib z nowymi bliźniami na łbie.

— Zły, zły, zły, zły podmuch. Gorszy! Dwa młode ranne. Możesz pomóc?

— Postaramy się — odpowiedział mu Readis. — A co ze statkiem?

— Kadłub pełen wody. My pomóc Lemi.

— Ładnie z waszej strony, że to zrobicie pomimo ran młodych delfinów.

Kib wydmuchnął wodę przez otwór oddechowy. — My pomóc. Nasz obowiązek!

— A więc my też pomożemy. To nasz obowiązek — wtrącił T’lion. — Sprowadźcie tu rannych. Gaddie potrafi znakomicie podtrzymywać.

Gdy zwierzęta dostarczyły pokiereszowane młode, Readis i Tli wymienili zrozpaczone spojrzenia. Obydwa wymagały zszycia szerokich i głębokich ran. Potrzebny był uzdrowiciel.

— Czy twoja ciotka Temma zechce się tym zająć? — zapytał Readisa T’lion. — Mam nadzieję, że T’gellan to zrozumie i wybaczy mi, że przyleciałem tutaj zamiast do Dworu Cove. Tam zapewne nadeszła już potrzebna pomoc.

Z tonu jego głosu Readis wywnioskował, że T’lion wcale nie był taki pewny, czy komendant zaakceptuje jego spóźnienie. Jednak Gadareth był tu niezbędny do podtrzymywania młodych delfinów w trakcie zszywania ran. Samice na przemian to popiskiwały do ludzi prosząc o pomoc, to usiłowały uspokajać swoje młode. Obie też miały rany, lecz nieporównywalnie mniej groźne od tych odniesionych przez lżejsze i mniej doświadczone delfiniątka.

— Zrozumiem cię, jeżeli postanowisz, że nie możesz tu zostać — powiedział Readis.

— Nie przejmuj się mną i T’gellanem — rzucił T’lion, podejmując nagłą decyzję. — Jest mnóstwo ludzi, którzy mogą pomóc innym ludziom, ale tylko niewielu może zatroszczyć się

o delfiny.

— Byłam przekonana, że delfiny wypływają poza strefę sztormu — nieśmiało wtrąciła Kami. Na jej ładnej twarzyczce widać było smutek.

— Zwykle mogą to zrobić — powiedział Readis.

T'lion potrząsnął głową. — To nie był taki sobie zwyczajny sztorm! Czy mam was zawieźć do Siedliska?

— Lepiej, żebyś ty tam poleciał i poprosił Temmę o pomoc. Ona potrafi doskonale szyć rany. Jak mówi wujek Nazar, ma ogromne doświadczenie. Ty też z nim polecisz, Kami — zdecydował Readis, widząc, że dziewczynka za bardzo się martwi o swój dom, żeby tutaj na coś się przydać. — Ja tymczasem zajmę się pacjentami.

— Dasz sobie radę? — zapytała Kami w ciężkiej rozterce pomiędzy chęcią pokazania Readisowi, jak może być tutaj pożyteczna, a pragnieniem znalezienia się blisko matki w tak dramatycznym momencie.

— Oczywiście! — odparł z przekonaniem Readis. Stał po pas w wodzie, mając z obu stron ranne zwierzęta. Otaczały go samice i delfiny pielęgniarze.

Temma była zbyt zajęta opatrywaniem poranionych ludzi, by móc ich opuścić i zająć się delfinami. Powiedziała, że pójdzie do nich, kiedy tylko znajdzie chwilę wolnego czasu. T'lion podziękował jej i poprosił Gadaretha o zawieszenie go do Strażnicy Wschodniej. Tam znacznie lepiej przetrwano sztorm niż w jakimkolwiek innym miejscu. Namówi Persellana do udzielenia pomocy. Niestety Persellana zabrano do Dworu Cove.

— Czy potrzeba mu więcej sprzętu i medykamentów? Co tam się dzieje? — zapytała zatroskana Mirrim.

— Na całym wybrzeżu panuje bardzo zła sytuacja, Mirrim — stwierdził T'lion. — Wezmę to, co jest potrzebne — dodał, i ponieważ Mirrim nie zadawała mu dalszych pytań, wszedł do chaty uzdrowiciela, żeby zaopatrzyć się w przedmioty, które przydadzą się jemu i Readisowi. Było tam wszystko w ilościach większych, niż potrzebowali. Postanowił zawiadomić Persellana o tej pożyczce później. Zabrał także podręcznik — nieoceniony skarb uzdrowiciela, będący kompendium wiedzy medycznej uzyskanej z pamięci Assigi. T'lion dostatecznie często obserwował Persellana przy wykonywaniu zabiegów na delfinach, żeby wiedzieć, jak należy postępować. Jednak posiadanie podręcznika dodawało mu pewności siebie.

Nie zdawał sobie sprawy, ile to wszystko zajęło mu czasu, ale Readisowi wydawało się, że upłynęły całe Obroty. Radosnymi okrzykami powitał lądującego wreszcie Gadaretha.

— Co tak długo? Obrona delfiniątek przed rybami-pijawkami kosztowała mnie wiele wysiłku. Dlaczego nie ma z tobą Temmy? — Readis zbladł i w jego oczach pojawił się strach graniczący z paniką.

— Przywiozłem z chaty Persellana jego podręcznik oraz wszystko, co będzie nam potrzebne do zabiegu — wyjaśniał T'lion, odpinając pasy bezpieczeństwa i zdejmując ubranie. Pozostał tylko w przepasce na biodrach. Trochę drząc, gdyż wiatr ciągle jeszcze niósł chłód sztormu, wszedł do wody. Podręcznik i torbę z medykamentami trzymał nad zmarszczoną powierzchnią morza.

— No, chodź tu, Gaddie, ciebie też potrzebujemy. — Gadareth podążył za nim, poruszając się bardzo ostrożnie i jednym okiem obserwując płetwy grzbietowe oraz głowy wystające ponad powierzchnię.

— Co się stało z Temmą? — zatroszczył się Readis. — Jeszcze nigdy w życiu niczego nie zszywałem. A ty? Co gorsza, należy włożyć na miejsce wnętrzości Angie. — Angie była starszym z dwóch rannych delfiniątek. Cori urodziła się tej wiosny.

— Ooo, zastanawiam się, czy powinieneś...

— Niestety muszę, T'lionie — odparł Readis, ze zdenerwowania ton jego głosu stał się piskliwy. — Nie można pozwolić jakiejś rybie-pijawce na przyssanie się do jej wnętrzości.



Zeżarłyby je od środka.

— Zaczekaj chwilę. Właśnie szukam... — T'lion kartkował podręcznik, trzymając go wysoko nad wodą i chroniąc przed zachlapaniem. — Nooo! Uf! — na chwilę zamilkł, opuścił nieco książkę i zaczął się w nią wpatrywać. — A, tutaj! Ludzkie wnętrzości. — Nachylił się nad ranną Angie. — Gaddie, potrzyj mi ją. Nie bój się, Angie, Gaddie cię nie skrzywdzi.

Młodziutka delfinica piszczała rozdzierająco. Jej matka i Afo popychały ją nosami, więc musiała się im poddać. Gaddie objął ją swoimi pazurami.

— Nachyl ją troszkę, Gaddie. — I spiżowy smok, z pochyloną głową, żeby sam mógł obserwować zabieg, przechylił na bok małe ciało. — Och. — Przez T'liona przebiegł dreszcz na widok wystających z rany wnętrzości.

T'lion zawiesił torbę na przedniej nodze smoka tak, by mieć narzędzia w zasięgu ręki. Następnie starannie zaczął upychać wystające zwoje kiszek. Od czasu do czasu coś czytał w podręczniku poruszając bezgłośnie ustami. Trudniejsze, techniczne wyrazy sylabizował z trudem. Potem wzruszył ramionami.

— No widzisz, książka nie daje żadnych innych instrukcji poza poleceniem „wsuń okrężnicę na miejsce w odwrotnej kolejności niż była wyciągana”. Hmm! Niewiele się z tego dowiedziałem.

— Ja już kiedyś je wkładałem — powiedział Readis. — Widziałem biegusy z rozprutymi brzuchami. Tata pakował wnętrzości do środka, zaszywał rany i z nadzieją czekał na rezultaty. Większość z nich przeżyła.

— A więc i my miejmy nadzieję, że przeżyją, skoro są ssakami tak jak my i biegusy — odparł T'lion, podwijając rękawy koszuli. — Dobrze, zacznijmy od tego — i wręczył Readisowi wielki słoć wypełniony zieleń oszałamiającym. — Oblóż tym brzegi rany. Jak pamiętam, ziele pomogło Boojiemu i nie piszczał, kiedy zszywał go Persellan.

Readis wykonał skwapliwie polecenie.

— Dostatecznie często przyglądałem się temu, jak Persellan zaszywał smoki, pomagałem mu także w czasie ratowania Boojiego — zaczął T'lion, biorąc igłę i nawlekając ją cienką, wytrzymałą nicią wyprodukowaną specjalnie dla Cechu Uzdrowicieli zgodnie ze wskazówkami Assigi. — Mam nawet pojęcie, w jaki sposób wiąże się węzły.

— Więc zrób to — wtrącił niecierpliwie Readis — zanim straci jeszcze więcej krwi. To jej z pewnością nie służy.

Z energicznym sapnięciem T'lion sięgnął po nawleczoną igłę. Ziele oszałamiające działało nadzwyczaj szybko, znieczulając tkanki ludzi, smoków i, jak miał nadzieję, także delfinów.

Odkrył, że bycie wykonawcą różni się zdecydowanie od bycia obserwatorem. Nawet przekłuwanie ostrą igłą twardego i śliskiego żywego ciała jest odmienne od szycia odzieży czy reperowania uprząży lotniczej. Muskuly na boku Angie naprężyły się i musiał wbijać igłę z dużą siłą. Nie piszczała, co zaczęło go martwić. Inne delfiny wydawały uspokajające dźwięki, co w jakiś tajemniczy sposób powodowało drgania wody wokół jego nóg. Gaddie pilnował, żeby reszta ciała delfiniątka znajdowała się w lekko falującej wodzie, ale trzymał je mocno, dzięki czemu igła trafiała we właściwe miejsca.

— Wie, że robisz to dla jej dobra — powiedział Readis, gładząc małą uspokajającym gestem. Stworzonko poddawało się tym ruchom, a to koło mu nerwy. Również co chwila sprawdzał, jak bije w piersi jej wielkie serce. Uderzyło go, że delfiny podobnie jak ludzie mają serca po lewej stronie ciała.

Cori, drugie ranne delfiniątko, miała zaledwie kilka miesięcy i rana stanowiła dla niej poważne niebezpieczeństwo. Po założeniu Angie ostatnich szwów T'lion poprosił Gaddiego o wzięcie w łapy Cori, żeby Readis mógł natrzeć ją ziołami oszałamiającymi. Stworzonko zaczęło wydawać dziwne odgłosy i gwałtownie machało ogonem, ale Afo wytłumaczyła, że są to oznaki ulgi po ustąpieniu bólu.

— Doobrze człowiek zrooobił — powiedziała dosyć wyraźnie. — Ziiiieeee

osalaamiaajaaące? — zapytała.

Readis roześmiał się — napięcie ustąpiło miejsca zadowoleniu, że delfiny posługują się coraz większą ilością wyrazów.

— Tak, ziele oszalamiające — potwierdził. — Widzę, T'lionie, że wiele nauczyły się od ciebie. — Nie chciał, by zazdrość pojawiła się w jego głosie.

— Nie myślę, żeby to była moja zasługa, nie... na pewno nie — T'lion zaprzeczył i zmarszczył czoło, skupiając się na wiązaniu ostatnich szwów w skomplikowane węzły. — Może Persellan użył tych słów w trakcie zabiegu na Boojiem. Ale wtedy nie było tam Afo. No, nareszcie! Teraz rana cała jest zaszyta. Hej! — T'lion przedramieniem otarł pot z czoła, oczyścił igłę i schował ją z powrotem do małego pudełka.

— Dobrze człowieki... ludzie — powiedziała Afo i otarła się o ich nogi, stukając ich lekko w genitalia, by wyrazić specjalną sympatię.

— Ej! Nie rób tego, Afo — krzyknął Readis. Widząc jego reakcję T'lion roześmiał się.

— Afo, nie zapomnij podziękować również Gaddiemu — powiedział, a Afo w odpowiedzi dmuchnęła fontanną wody w pierś smoka.

Gadareth wynurzył się z wody i fala, którą spowodował, zalała dwóch młodych ludzi.

— Uważaj, co robisz! Mam zupełnie przemoczone ubranie, a dzisiaj nie jest za ciepło — skarżył się Readis. — Cały przesiąknąłem wodą. — Spojrzał na pomarszczoną skórę na palcach. — Czy jeszcze któreś z was potrzebuje pomocy, Afo?

— Nie, dz'kujemy. Zajmiemy się teraz dziurami w kadłubie statku. Lemi wdzięczny. Afo wdzięczna, Cori, Angie, Mel wdzięczni i szczęśliwi.

— Za trzy dni... trzy wschody słońca przyplynie tu z małymi na zdjęcie szwów, Afo.

— Słyszeć ciebie — powiedziała Afo, gdy cała czwórka wolno odpływała w kierunku zachodnim.

Dwaj przyjaciele wrócili na plażę, wyczerpani niezwykłym dla nich wysiłkiem zarówno umysłowym, jak i fizycznym.

— Mam nadzieję, że zrobiliśmy wszystko dobrze — stwierdził T'lion potrząsając głową. — Potrzebny nam jest podręcznik leczenia zwierząt. Słyszałem, że Główny Farmer Andemon wreszcie wystąpił o coś takiego... O do licha! — T'lion zatrzymał się i zaczął przetrząsać torbę. — Co się stało z książką?

Jego ręce nie natrafiły na nią w torbie, więc rozglądał się mając nadzieję, że dojrzy gdzieś podręcznik pływający po wodzie. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy go widział po raz ostatni. Pamiętał tylko, że oparł go na przedramieniu Gaddiego.

— Gaddie, gdzie się podziała książka? Readisie, zawołaj z powrotem Afo. Czy od razu wyszliśmy z wody? Jak daleko zapuściliśmy się w morze?

— Nie panikuj, T'lionie — rzekł Readis i zaczął sobie przypominać przebytą trasę. — Stałem w wodzie do wysokości pasa... który tak nasiąknął solą, że już nigdy nie zmięknie...

— Martwisz się o swój pasek? — ryknął T'lion — kiedy, być może, ja zgubiłem książkę Persellana?

— Wydaje mi się, że staliśmy mniej więcej tutaj — rzekł Readis i zanurzył się pod wodę.

— Gaddie, i ty zajrzyj pod wodę. Spróbuj odszukać tę książkę. Morze było jeszcze bardzo zmacone po sztormie.

— Prawie nic nie widzę — odpowiedział Gadareth, chociaż jasno wynikało z ruchów jego szyi, że się naprawdę rozgląda. — Czego mam szukać?

— Książki. No, książki, którą się posługiwałem, położyłem ją na twoim ramieniu. Wiesz przecież, jak wyglądała. — Poważnie zdenerwowany T'lion rękoma pokazał format tomu, chociaż smok ciągle trzymał głowę pod wodą i nie mógł tego widzieć.

Readis wychylił się na powierzchnię.

— Tu wszystko zmacone, piasek jest wszędzie. Nic nie widać. Gaddie się kręcił, może ją wdeptał w dno.

— Wdeptał w dno? — Ze zdenerwowania ton głosu T'liona podniósł się o oktawę.

— Uspokój się, T'lonie — krzyknął Readis, zaczerpnął trzy głębokie oddechy i znowu zanurkował.

T'lion ledwie mógł dojrzeć pływającego w zmaconej wodzie syna włodarza. Zaczął krążyć po miejscu, w którym wydawało mu się, że stali, mając nadzieję nadeptnięcia na książkę. Gaddie nie mógł jej wdeptać w piasek — przednimi łapami podtrzymywał delfiny, a tylne były znacznie dalej.

— Gaddie, zawołaj Afo. Powiedz jej, że jest nam potrzebna. Gaddie posłusznie zaryczał. Głos jego trąbienia najwyraźniej był donośny, gdyż żeglarze pracujący na „Pomyślnym Wietrze” zaczęli do nich kiwać. Ale młodzi ludzie nie dojrzeliby ani jednej płetwy zbliżającej się do nich.

— Spróbuj pod wodą, Gaddie. Afo musi cię usłyszeć. Potrzebna jest nam jej pomoc.

Afo jednak nie zjawiła się, pomimo trąbienia Gadaretha nad i pod wodą, kiedy go o to prosił T'lion.

Readis ciągle nurkował, wykonując coraz większe koła w miejscu, gdzie mogła leżeć cenna książka. Wreszcie jego organizm zaczął odczuwać niedobór tlenu, chłopiec zbladł pod opalenizną i nawet T'lion wiedział, że powinien już przestać zanurzać się pod wodę.

— Jeszcze jedno nurkowanie, to wszystko na co mogę ci pozwolić — powiedział jeździec smoka do swego młodszego przyjaciela. — Wyglądasz okropnie.

— Ba, gdybyśmy mieli maskę... — spojrzenie Readisa zawierało oskarżenie.

— Robię co mogę, naprawdę robię co mogę! — wyjaśnił T'lion napiętym głosem. Mózg świdrowała mu myśl, jak się zachowa Persellan na wiadomość o utracie swojej bezcennej książki.

Potem Readis jak zwykle kilka razy głęboko odetchnął i zanurkował. Tym razem bardziej przypominał delfina niż chłopca.

— Ostatnia próba okazała się szczęśliwa! — zawołał. Wyskoczył z wody jak korek, unosząc wysoko nad głową książkę.

— Nie mocz jej jeszcze bardziej — krzyknął T'lion, wyciągając rękę w geście wdzięczności na widok odnalezionej zguby.

Kiedy Readis włożył mu książkę w dłoń, czarne stróżki farby powiedziały im, że tekst musiał ulec poważnym uszkodzeniom. T'lion jęknął i drżącymi palcami usiłował odchylić okładkę, po czym natychmiast ją zamknął, wznosząc oczy ku niebu i znowu jęcząc.

— Jest całkowicie zniszczona. Nieczytelna! Persellan obedrze mnie ze skóry!

— Powstała na podstawie danych zawartych w pamięci Assigi, prawda? A więc należy tylko odbić kolejny egzemplarz — powiedział Readis pragnąc pocieszyć przyjaciela.

— Tylko odbić? — powtórzył T'lion. — Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak długo trzeba czekać, żeby coś „tylko odbić”?

Readis potrząsnął głową, zdecydowany pomóc koledze.

— Przez cały czas tam przebywam, T'lonie. Mogę skopiować wszystko, co potrzeba, nie ruszając się od mojego biurka. — Po chwili dodał, jakby na pocieszenie: — Mogę dołączyć równocześnie trochę materiału na temat leczenia zwierząt.

— Och, na razie nie mogę o tym myśleć — jęknął T'lion przerażony stratami, jakie spowodował moment nieuwagi.

— Dobrze jednak, że miałeś ten podręcznik, bo przynajmniej wiedzieliśmy, jak włożyć na miejsce wnętrzości.

— Można to będzie naprawdę ocenić dopiero wtedy, kiedy delfiniątko wyzdrowieje i wszystko okaże się w porządku — odparł T'lion. Potrząsając głową wpatrywał się w książkę, z której ciągle jeszcze skapywały krople zabarwione atramentem.

— Wychodźmy z wody. Trzeba zobaczyć, czy na słońcu nie uda się wysuszyć chociaż niektórych stron — zaproponował Readis i obaj ruszyli w kierunku brzegu. — Według mnie

mamy pewne zobowiązania wobec delfinów, powinniśmy o tym wiedzieć.

— Myślisz, że mamy zobowiązania.

Readis ze zdziwieniem spojrział na przyjaciela.

— Moim zdaniem tak. Przecież osiedliły się tutaj z nami. Nie musiały, a jednak przybyły na tę planetę, żeby nam pomóc w badaniach morskich. Pomagały w tym wszystkim i nasza odpowiedzialność za nie wcale się nie skończyła. Co o tym sądzisz? Smokami będziemy się zajmować także po zlikwidowaniu Nici. — Gdy T'lion, zdziwiony gwałtownością wypowiedzi Readisa, obrócił się w jego stronę, ten poczuł lekkie zakłopotanie. — Widzisz, my ludzie... stworzyliśmy smoki. I jak wiesz, wiele im zawdzięczamy.

Powoli na twarz T'liona wypłynął uśmiech. — Pragnąłbym, żeby więcej ludzi myślało tak jak ty.

Readis odwrócił twarz z zażenowaniem.

— Przez całe życie lepiej znałem smoki niż większość dzieci mieszkańców Siedlisk. Często je szorowałem. — Następnie zerknął w kierunku słońca. — Trzeba ustawić tę książkę tak, aby słońce mogło ją wysuszyć. Myślę, że sam także powinienem starać się wyschnąć — dodał, widząc krople wody na swoich dłoniach. — Bo tata na pewno domyśli się, gdzie byłem, zamiast siedzieć w domu i pomagać jemu i mamie.

— Przypuszczasz, że książka dobrze wyschnie? — niespokojnie zapytał T'lion, kładąc ją na szerokim liściu, by dodatkowo nie uszkodził jej piasek. Środkowe strony były dostatecznie mocno zaciśnięte, więc z powodu zatopienia ucierpiały wyłącznie ich obrzeża, jednak farba drukarska poplamiła niektóre ilustracje.

T'lion znowu jęknął po zbadaniu uszkodzeń.

— Persellan nie będzie tym zachwycony!

— Powiedziałem ci, że wszystko naprawię.

— To nie twoje zmartwienie, ja ją pożyczyłem bez pozwolenia właściciela, a nie ty!

— Przecież byś jej nie wziął, gdybym cię nie prosił o ratunek dla delfiniątek. — Readis ze zdecydowaną miną wysunął podbródek. — Poczuję się do współodpowiedzialności.

— Nie mylicie się — powiedział jakiś głos i dwaj młodzi ludzie obejrżeli się. To Temma i Jayge wychodzili z dżungli okalającej brzegi zatoki. — Co to za historia z tymi delfinami potrzebującymi pomocy medycznej? Gdzie się podziewaliście? Kami już dawno dotarła do domu i powiedziała, że razem przylecieliście.

Readis zerwał się na równe nogi i usiłował zasłonić książkę przed wzrokiem ojca. — No więc, jak widzisz... — zaczął się plątać.

— Powiedziałam T'lionowi, że przyjdę, jak tylko będę mogła — wyjaśniła Temma i przechyliwszy głowę zerknęła to na jednego, to na drugiego. Potem popatrzyła na morze. — Co, nie ma żadnych delfinów wymagających zabiegu?

— Sami to zrobiliśmy — oświadczył Readis. — To znaczy, T'lion obserwował Persellana przy pracy, a były także ryby-pijawki usiłujące... a te młode delfiny były bardzo pokiereszowane... miały ogromne otwarte rany... ich wnętrzości wisiały na zewnątrz...

— A więc uznaliście, że te wasze zwierzaki zasługują na pomoc wcześniej niż ludzie? — Jayge skrzyżował ręce na piersiach w swoim najgroźniejszym geście.

Readis przełknął ślinę. Nieczęsto zdarzało mu się słyszeć od ojca ostre napomnienia czy wymówki, lecz znał pozę, którą Jayge przybierał strofując nieposłusznych pracowników Siedliska lub osoby zachowujące się niezgodnie z ustalonymi przez niego zasadami. Teraz chłopiec zdobył się na odwagę.

— Tak, ojczule! One cierpią i krwawią w podobny sposób jak my. Nie było nikogo, kto mógłby się nimi zająć, a ludzi opatrywało wie osób z ciocią Temmą włącznie. Czy ktoś został ciężko ranny? — Readis zwrócił się do Temmy.

— Nie — odparł Jayge. — Lecz powinniśmy to sprawdzić wcześniej, niż mógłbyś nawet pomyśleć o zjawieniu się tutaj. — Spojrzął na Readisa i groźnie zmarszczył brwi. — Jesteś

moim synem i przyszłym włodarzem. Jaki dajesz przykład... — szerokim gestem wskazał na morze — ...przychodząc tutaj przed dowiedzeniem się, jakiego rodzaju pomocy potrzebuje twoje Siedlisko!

— W czasie przelotu nad dworem wydawało nam się, że w peni panujesz nad sytuacją, ale nikt nie troszczył się o nasze delfiny...

— Nasze delfiny? — Wyraz twarzy Jaygego stał się jeszcze groźniejszy. — A od kiedy to mamy jakieś własne delfiny?

— Stado... delfiny pływające w tych wodach... w jakimś sensie są nasze.

— Proszę pana, to była moja wina — wtrącił T'lion, a Jayge uciszył go skinieniem ręki.

— Dlaczego wtrąciłeś się w tę sprawę, T'lionie?

— Bo on był... — zaczął Readis.

— Jeźdźcy smoków sami potrafią odpowiadać, Readisie.

— Tak, ale on...

— Wyznaczono mnie do współpracy z delfinami na wodach Strażnicy Wschodniej, włodarzu Jayge — oświadczył T'lion, sztywniejac na baczność. — Na Lądowisku dowiedzieliśmy się, że członkowie tutejszego stada odnieśli rany i zwrócili się o pomoc. W tej sytuacji...

— W jaki sposób wiadomość o tym mogła dotrzeć na Lądowisko...

Zanim Readis zdążył wykorzystać to, że ojciec źle zrozumiał informację, i zasugerować, że dostali takie polecenie od kogoś z Lądowiska, T'lion ciągnął. — Naprawdę, proszę pana, to usłyszeliśmy o tym w Zatoce Monako, dokąd poszli Kami i Readis, żeby się dowiedzieć, co się dzieje w Rajskiej Rzece.

A więc dowiedzieliście się w Zatoce Monako, że w Rajskiej Rzece przebywają ranne delfiny?

— Tak, proszę pana!

Jayge jeszcze bardziej się nachmurzył. — A więc, Readisie, nie dostałeś pozwolenia od mistrza Sanwela na opuszczenie szkoły?

— Mistrz Samvel powiedział mi, że Readis poszedł nad Zatokę Monako — potwierdził T'lion, usiłując grać na zwłokę, gdyż rozumiał, do czego zmierzał Readis.

Jayge potrząsnął głową.

— Czy moglibyście, chłopcy, nie wyręczać się wzajemnie w odpowiedziach na zadawane wam pytania? Readisie, uciekłeś ze szkoły i nie wywiązałeś się z obowiązków wobec swojego Siedliska. A ty, T'lionie, gdzie powinieneś być, gdy zajmowałeś się leczeniem delfinów?

— Poleciałem do Zatoki Monako, gdy dowiedziałem się, że są tam Readis i Kami — powtórzył.

— Jeszcze raz cię pytam, dokąd kazano ci lecieć?

— Do Dworu Cove — odparł T'lion. — Tam jednak pomocą zajmowało się wielu ludzi i nikt nie... — Na moment przerwał.

— ...pomagał tutaj delfinom — dokończył za niego Jayge. — Obaj musicie uporządkować skalę wartości, jaka kieruje waszym postępowaniem. Oczekuję, że złożysz T'gellanowi sprawozdanie ze swojej dzisiejszej działalności, T'lionie. Powinieneś się zgłosić jeszcze przed zakończeniem dnia tam, gdzie ci polecono. — Włodarz nie mógł uzurpować sobie wydawania bezpośrednich rozkazów, które nie dotyczyły spraw związanych z Opadem Nici, jeźdźcowi smoka, nawet tak młodemu jak T'lion. Jednak ton jego głosu bardzo przypominał polecenie.

— Tak jest, proszę pana! — T'lion się zawahał. Musiał zabrać ze sobą książkę w takim stanie, w jakim była, ale nie chciał nikomu pokazywać, do jakiego stopnia została uszkodzona.

— No, tak... T'lion się skrzywił.

— A co to za kupa śmieci? — zapytał Jayge wyciągając rękę. Gdy T'lion niechętnie podał mu książkę, Jayge gwizdnął, poczuwszy, że jest mokra. Przerzucił kilka stron i zrozumiał, jak cenne jest to dzieło, rozgniewany spojrzał na syna i jeźdźca smoków.

— Wiemy, że została uszkodzona. Spadła do wody z łapy Gaddiego — wyjaśnił T'lion. — Musiałem sprawdzić, w jaki sposób włożyć wnętrzności na miejsce...

— Korzystając z najcenniejszego skarbu swojego uzdrowiciela? — zapytała Temma, rozłoszczona widokiem książki, którą Jayge trzymał w ręku. — Jestem przekonana, że nie podziękuje ci za to!

— Mogę odbić uszkodzone strony — wtrącił szybko Readis. — Mam dostęp do pamięci. Zdołam także dodać materiał z zakresu weterynarii...

— Czy chociaż dostałeś pozwolenie na posługiwanie się tym podręcznikiem? — usiłował ustalić Jayge. — No tak, widzę, że nie — stwierdził widząc czerwieniącego się T'liona.

— Nie zastałem Persellana, więc nie mogłem go zapytać — przyznał T'lion. — Mirrim widziała mnie i nie wyraziła zastrzeżeń.

— Prawdopodobnie co do medykamentów i narzędzi — powiedziała Temma — ale nie pożyczania tak cennego dzieła należącego do uzdrowiciela.

— Potrafię wszystko naprawić — upierał się Readis.

— Dość już tego — powiedział Jayge do syna i dodał: — a ty, T'lionie, powinieneś wracać do swoich obowiązków.

Temma chwyciła jeźdźca smoków za ramię, zanim zdążył się oddalić.

— A co z delfinami?

— Pozszywaliśmy je i odpłynęły ze swymi matkami — odparł T'lion stłumionym głosem.

— Naprawdę pozasztywaliście je? — Temma wyglądała na bardzo zdziwioną.

— Pomagałem Persellanowi i nauczyłem się zawiązywać odpowiednie uzdrowicielskie węzły, zabezpieczające szwy. To było najważniejsze, gdyż wtedy ryby-pijawki nie mogą dostać się do ran.

— Najważniejsze?

T'lion zamarł i spojrzał na starszą kobietę. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

— Zrobiłem, co mogłem, za trzy dni przekonamy się, czy to wystarczyło.

Wyraz twarzy Temmy nieco złagodniał.

— Masz pewność, że wykonałeś wszystko, co było potrzebne? Chciałabym to sprawdzić.

Nie oglądając się, młody jeździec smoków podszedł do kupki swojej garderoby, ubrał się, wsunął księgę Persellana do kieszeni lotniczej kurtki i dosiadł Gadaretha. Spizowiec poderwał się do lotu w kierunku wschodnim i szybko oddalił od obserwujących go w milczeniu osób.

Readis nie patrzył na ojca, ale wyczuwał jego hamowany gniew w sile uścisku, z jaką Jayge chwycił go za ramię i popchnął w stronę leżącego na ziemi ubrania.

— Natychmiast załóż buty, bo znowu wbijesz sobie w nogę jakiś kolec.

Readis poczuł lód w piersiach po usłyszeniu tej nieprzyjemnej uwagi. Dotąd ojciec nigdy nie poruszał tematu jego kalekiej nogi, nigdy nie przypominał mu wypadku ani okoliczności, w jakich do niego doszło. Lecz ojciec nie wiedział, że Readis lepiej czuje się w wodzie, gdzie porażona noga zupełnie mu nie przeszkadza. Droga do domu była zbyt krótka, by chłopiec zdążył się przygotować na oczekujące go teraz potępienie ze strony matki. Już ona tego dopilnuje, żeby w przyszłości nigdy nie mógł pójść nad zatokę. Na pewno wymusi na nim przyrzeczenie, że nie będzie się już nigdy zajmował delfinami. A to byłaby obietnica, której Readis nie mógłby złożyć. Przerwanie tych kontaktów stało się dla niego niemożliwe. Przebieg dzisiejszych wypadków uświadomił mu z całą mocą, że delfiny potrzebują co najmniej jednego zdeterminowanego obrońcy w każdym z nadmorskich Siedlisk, jednego delfiniarza oddanego ich sprawie. Zgodnie z przewidywaniami Readisa po usłyszeniu od ojca o jego wszystkich przewinieniach w stosunku do Siedliska, o lekceważeniu wskazówek rodziców oraz nadużywaniu ich tolerancji, spiskowaniu z delfinami i ucieczce ze szkoły na

Ładowisku, matka wygłosiła taką tyradę, że nie mógł nawet pisać słowa we własnej obronie. W każdym razie do czasu, gdy zarzuciła mu brak sumienia, poczucia lojalności i honoru wynikający z jego niecznych kontaktów z rybami—przewodnikami.

— Z delfinami, mammo, z delfinami — wtrącił. — I zawsze dotrzymywałem słowa, które ci dałem.

Przerwała łajanie, zbladła i wpatrywała się w niego z szeroko otwartymi oczyma. Ciekące jej po policzkach łzy dręczyły Readisa, ale niesprawiedliwa ocena spowodowała, że zaczął się bronić.

— Nie dotrzymałeś słowa!

— A właśnie, że tak! Nigdy sam nie spotykałem się z delfinami ani nie chodziłem nad morze. Zawsze ktoś mi towarzyszył.

— Nie o to mi chodzi.

— Oczywiście, tego dotyczyła moja obietnica. W dniu, w którym delfiny uratowały mnie i Wulemiego, przyrzekłem ci, że nigdy nie pójdę sam pływać, i dotrzymałem danego słowa. Przez dziesięć Obrotów ani razu nie złamałem przyrzeczenia!

— Byłeś małym dzieckiem, jak możesz wszystko pamiętać?

— A jednak pamiętam, mammo. I byłem ci posłuszny. Nigdy nie doznałem najmniejszej krzywdy od delfinów...

— Ale zlekceważyłeś potrzeby własnej rodziny i Siedliska, kiedy niezbędna była pomoc i okazanie lojalności...

— Delfiny stanowią także część Siedliska Rajskiej Rzeki — zaczął Readis, ale w tym momencie matka z całej siły uderzyła go w twarz. Zatonął się do tyłu i o mało nie upadł, gdyż kaleka noga dawała mu słabe oparcie.

Na chwilę w pokoju zapanowała martwa cisza. Aramina rzadko stosowała kary fizyczne, a klapsy, które czasami wymierzała, stanowiły raczej upomnienie. Odkąd syn zaczął naukę w szkole na Ładowisku, najwyżej stuknęła go w rękę, by lekko skarcić.

— Delfiny... nie należą... do tego Siedliska — oświadczyła bardzo ostrym tonem, cedząc słowa dla podkreślenia gniewu i chcąc wzmocnić ich znaczenie. — Jestem przekonana, że ojciec zaraz znajdzie dla ciebie jakąś pracę. Zajmiesz się nią i nigdy więcej w mojej obecności nie wspomnisz nawet o tych przeklętych stworzeniach. Zrozumiałeś, co powiedziałam?

— Tak — zdołał wydusić z siebie Readis. — Zrozumiałem. — W tej chwili nie był w stanie powiedzieć do niej „mammo”. Spojrzał na ojca w oczekiwaniu dalszych poleceń.

Jayge, z twarzą nie zdradzającą żadnych uczuć, nie odezwał się, tylko skinieniem ręki polecił chłopcu pójść za sobą.

Na szczęście wszystkie nadbrzeżne domy zostały przez Starożytnych zbudowane na kamiennych kolumnach, dzięki czemu ich podłogi znalazły się o trzy, cztery stopnie ponad ziemią. Stwarzało to możliwość przewiewu, który chłodził pomieszczenia w czasie pory gorącej, a także stanowiło zabezpieczenie na wypadek powodzi. Mieszkańcy błogosławili swoich przodków za te konstrukcje, bowiem kiedy gnane wiatrem fale wdarły się na najwyższy stopień, a nawet zalały podłogę na ganku przed drzwiami, to nie przelewały się jednak przez próg domu. Magazyny potraciły lekkie dachy, wszędzie walały się jakieś szczątki, które należało uprzątnąć. Trzeba było przykryć ocalone zapasy, sprawdzić, czy pojemniki i skrzynki nie uległy zamoczeniu, wywiesić ubrania do suszenia oraz usunąć zdechłe zwierzęta. Ranni ludzie i inwentarz domowy zostali już opatrzeni. Readis pracował przy obdzieraniu ze skóry padłych zwierząt i przy rozbiorze mięsa. Należało to zakończyć przed zachodem słońca i zamrozić tusze.

Nazer znowu uruchomił generator, więc w Siedlisku był prąd potrzebny do oświetlenia i chłodziarek. Readis pracował razem z innymi mieszkańcami, szczęśliwy, że nikt nie wiedział

o zaniedbaniu przez niego domowych obowiązków. Najwyraźniej to, iż razem przylecieli do Rajskiej Rzeki, Kami powiedziała tylko swoim rodzicom. Readis był przekonany, że nie mógłby znieść dalszego strofowania. Gdy nauczył się odpowiedniego wykorzystywania swojej kalekiej nogi, zawsze starał się znaleźć jakieś solidne oparcie... teraz musiał szybko pracować przy przygotowywaniu tusz do zamrożenia. Z nadmiernego wysiłku już około północy mięśnie obu nóg odmawiały mu posłuszeństwa, był też całkowicie wyczerpany. Nie pozwoliłby sobie jednak ani na chwilę wypoczynku, dopóki inni pracowali. Kiedy przyniesiono jedzenie, wypił kubek kłahu i zjadł kanapkę z rybą, co w jakimś stopniu zaspokoilo jego głód. Nie miał nic w ustach od rannego posiłku w szkole.

Gdy ostatnia partia została przygotowana do chłodzenia, Nazer kazał wszystkim iść spać. Readis ruszył w stronę domu, lecz w połowie drogi zatrzymał się. Widział zostawione na ganku światło, ale w tym momencie nie mógł, po prostu nie mógł wrócić pod dach swoich rodziców. Skreślił do szopy dla zwierząt. Pomyślał, że pomimo lekkiego chłodu niesionego przez morską bryzę będzie mu w tym prowizorycznym schronieniu wystarczająco ciepło. Ze zmęczenia mógłby usnąć w każdym miejscu, w którym się tylko położy. I rzeczywiście tak się stało.

Niespodziewanym, gwałtownym szarpnięciem został wyrwany ze snu.

— Ach, więc tutaj się ukryłeś! — oskarżającym tonem zawołała jego siostra Aranya. — Ojciec wszędzie cię szukał, ale wujek Alemi przysięgał, że nie widział ciebie. Mama okropnie się zdenerwowała twoim beznadziejnym...

— Wolę to usłyszeć... bezpośrednio od mamy — odpowiedział Readis i trzasnął pięścią Aranyę, widząc z satysfakcją, jak cofnęła się w przestachu. — ...nie musisz mi tego przekazywać, Rannie. — Następnie zdecydował się na drobną zemstę na dobrodusznej zazwyczaj siostrze. — Noga mnie tak bolała, że nie mogłem zrobić ani kroku więcej. — Po czym zaczął masować zwiotczałe mięśnie.

— Och, Readisie, ojciec wie od Nazera, że wczoraj wieczorem pracowałeś ze wszystkimi aż do zakończenia całej roboty. Najpierw tam ciebie szukali. Potem mama była przekonana, że poszedłeś do tych przeklętych stworzeń, które stały się przyczyną wszystkich twoich kłopotów.

— Delfiny — z naciskiem wymówił ich właściwą nazwę — nie są niczemu winne. To wszystko spowodował ten diabelski kolec!

— Ale mama mówi, że nie wbiłbyś go sobie w nogę, gdyby... — przerwała, gdy zobaczyła, że znowu się na nią zamierza. — Powinieneś wrócić do domu, albo powiem im, gdzie ciebie znalazłam, i to wystarczy.

Lecz tak się nie stało. Matka znowu była bliska hysterii, a ojciec po obliczeniu strat, jakie sztorm spowodował w Siedlisku, był w bardzo kwaśnym nastroju.

Potem Readis uświadomił sobie, w jakim napięciu wszyscy żyli. Nerwy całkowicie odmawiały im posłuszeństwa. Gdy matka zaczęła nalegać, żeby przyrzekł jej nigdy więcej nie mieć nic wspólnego z rybami–przewodnikami, to zarówno użyte przez nią określenie jak i ton jej głosu wyprowadziły go z równowagi.

— Takiej obietnicy po prostu dać ci nie mogę!

— Musisz mi to przyrzec i dotrzymać słowa — powiedziała matka z oczami pełnymi gniewu — albo wynoś się z tego Siedliska.

— Jak sobie życzysz — odpowiedział jej spokojnym głosem, chociaż cały drżał wewnętrznie. Pokuśtykał do swojego pokoju, gdzie spakował do torby podróźnej wszystko, co wpadło mu w ręce.

— Obiecałeś mi, Readisie — matka krzyczała na niego z sieni. — Przyrzekłeś... — Stanęła w drzwiach jego pokoju. — Co ty tutaj wyrabiasz?

— Odchodzę, ponieważ nie mogę ci obiecać tego, czego ode mnie żadasz, mamó.



— Idziesz do tych wstrętnych stworów?

— To zupełny nonsens — rzucił z pogardą. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, w tym momencie wyraził się zupełnie jak ojciec. Aramina zmieszała się. Zdołał przecisnąć się obok niej i wyjść, zanim opanowała się na tyle, żeby mu przeszkodzić.

Tak szybko, jak pozwalała mu jego kaleka noga, pokuśtykał do kuchni i przenikliwie gwizdnał na Delky'ego. Kiedy z Aranyą szedł z szopy, widział go pasącego się jak zwykle niedaleko domu. Przy stole zauważył swoje rodzeństwo siedzące nad nie zjedzonym śniadaniem. Mieli szeroko otwarte ze zdziwienia oczy — widocznie usłyszeli kłótnię. Gdy doszedł do drzwi kuchennych, Delky zarżał na powitanie. Pomimo bólu nogi Readis zdołał wskoczyć na jego grzbiet i umieścić przed sobą torbę podróżną. Usłyszał, jak matka na cały głos krzyczy, żeby natychmiast wrócił do domu. W tym momencie spał Delky'ego, który ruszył cwałem szybko powiększając odległość pomiędzy nim a jego nieustępliwymi rodzicami.

Delky musiał omijać zwalone drzewa i szczątki zabudowań, przez co chłopiec kilka razy o mało nie spadł na ziemię, ale szybko zbliżali się do rzeki. Most został już częściowo odbudowany, dzięki czemu przywrócone zostało połączenie między obydwoma brzegami. Leżało na nim jeszcze dużo desek, co zadziwiło Delky'ego. Usłuchał jednak poleceń swojego pana. Stąpając i bardzo ostrożnie omijając wszystkie dziury, przeszedł na drugą stronę. Tam Readis pognął biegusa wzdłuż piasków, a potem w busz. Zwalniał tylko wtedy, gdy szybka jazda mogła grozić zwierzęciu poranieniem. Zatrzymał się dopiero daleko w dżungli, gdzie nikt nie mógłby odnaleźć go z powietrza. Tam zsunął się na ziemię, usiadł na torbie i rozplakał się ze złości, zniechęcenia i poczucia krzywdy.

## ROZDZIAŁ XII

K'van wkroczył do kwatery komendantki, nieznacznie schylając głowę przed śpiącą na swoim posłaniu Ramrothą.

— Lesso, F'larze, znowu problemy z lordem Toricem — zaczął komendant Strażnicy Południowej, gniewnie uderzając o uda podróżnymi rękawicami. Zatrzymał się obok stołu, przy którym gospodarze pili wieczorną szklaneczkę wina i studiowali sprawozdania o stratach spowodowanych przez sztorm na Kontynencie Południowym.

Najmłodszy obecnie Komendant Strażnicy, K'van, był w tym samym wieku co F'lar, kiedy Mnemoth po raz pierwszy poleciał z Ramothą, a to umożliwiło mu awans na komendanta. Osiągnąwszy swój obecny wiek, był bardzo wysoki, rozrośnięty w ramionach i długonogi. Gdy obaj z F'larem stanęli naprzeciwko siebie, ich oczy spotkały się na tej samej wysokości. F'lar gestem ręki zaprosił K'vana do stołu i nalał mu kieliszek wina.

— Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

— Rzeczywiście wino dobrze mi robi — odparł K'van, z ciężkim westchnieniem opadając na krzesło naprzeciwko Lessy. — Ale wam również.

— Czym Toric zaskoczył nas tym razem? — zapytała Lessa wesołym tonem.

— Na razie jeszcze niczym, ale szykuje się. Chce jechać za rzekę i tam osiedlać swoich wybrańców. Już przygotował dla nich miejsca. Nigdy nie był w najmniejszym stopniu altruistą, musi więc mieć w tym jakiś interes i mogę się nawet domyślać, jaki. — K'van poczuł satysfakcję, widząc, z jakim gniewem komendanci przyjęli informację o ostatnim akcie samowoli Torica. — Znaleźliśmy niewątpliwe dowody na istnienie dużych schronów w ośmiu różnych miejscach nad brzegiem morza, w pobliżu rzek i w głębi lądu. Jego bosman portowy wyjaśniał, że statki mają zawieźć normalne zaopatrzenie w górę rzeki, ale ja nie wierzę w to gładkie kłamstwo.

Lessa gniewnie wyduła usta i zaiskrzyły się jej oczy.

— Toric nigdy i niczym nie jest usatysfakcjonowany, prawda? — zadała retoryczne

pytanie i uderzyła pięścią w stół. — Jest po prostu chciwy. Ma już przecież większe Siedlisko, niż kiedykolwiek wyznaczali Starożytni — Nachyliła się do F'lara. — Nie możemy pozwolić, żeby mu to uszło na sucho, F'larze. Nie dopuścimy do tego!

— Lesso, nie jesteś w stanie mu przeszkodzić.

— Dlaczego nie? — zapytała.

— Nie wolno nam mieszać się w sprawę Lorda Włodarza. — Komendant groźnie zmarszczył brwi, tym razem zirytowany, że tradycja ograniczała im możliwość działania.

— Jednak Toric nie prowadzi teraz działań w swoim Siedlisku, ale po drugiej stronie rzeki — zauważył K'van bardzo łagodnym tonem. Na twarzy miał nieśmiały uśmiech. — Ach, wiem o tym, że prosił nas o pomoc przy okazji sprawy z Denolem i tą grupą pragnącą siłą przejąć wyspę Ierne, ale stanowiła ona część terytorium, którą mu przydzieliliście. Natomiast teraz chodzi o ziemie znajdujące się poza granicami jego posiadłości.

— Jesteś tego pewien, K'wanie? — zwrócił się do niego F'lar.

— Że działa poza granicami własnego Siedliska? Absolutnie tak, bo nawet wschodni brzeg rzeki już nie należy do niego. W każdym razie tak wskazuje posiadana przeze mnie mapa, opisująca Siedlisko Południowe, od rzeki do morza, włącznie z wyspą Ierne...

— Wówczas upierał się, że należała do niego — stwierdziła Lessa. Ze złości dostała czerwonych plam na ogorzałych słońcem policzkach. Zaciśnęła pięści. — Ugięliśmy się przed jego żądaniami tylko dlatego, żeby Jaxom dostał Sharę.

F'lar odrzucił do tyłu włosy, które w takich momentach często spadały mu na oczy.

— Masz rację, on coś knuje. Nagle pomyślałem sobie o pewnej możliwej niegodziwości... — F'lar potrząsnął głową i machnął ręką, jakby chciał odpędzić tę dręczącą go myśl. — Nie, jednak chyba powinienem poczekać, aż moje podejrzenia się potwierdzą — cierpko uśmiechnął się do K'vana i Lessy. Wyraz oczu młodego komendanta wskazywał, że może on myśleć podobnie.

— Jakie podejrzenia? Jeżeli dotyczą Torica, to musi być jakaś podłość. O co jednak chodzi? — usiłowała się dowiedzieć Lessa.

— Później ci wyjaśnię, kochanie. Powiedz mi, K'wanie, czy ma on zebranych kolonistów, spakowanych i gotowych w każdej chwili do osiedlenia się?

K'van skinął głową.

— Do tej pory nie znalazłem nic specjalnego, ale cały czas bacznie śledziłem poczynania Torica. Oczywiście zachowywaliśmy dyskrecję. W ciągu ostatnich miesięcy do Portu Południowego przyływała znacznie większa niż zwykle liczba wyładowanych statków. Każdy z nich przywoził od dziesięciu do dwudziestu pasażerów, czasem całe rodziny, nieraz pojedyncze osoby. Wiesz o tym, że wybudował cztery przybrzeżne statki? No dobrze! Są to niezgrabne jednostki, ale o małym zanurzeniu i dużych ładowniach. W każdym razie zebrał wiele osób w swoim Siedlisku i jego najbliższych okolicach. Ci ludzie nie powędrowali w głąb łądu, czego należałoby się spodziewać, gdyby byli nowymi osiedleńcami. Nigdy nie ukrywał, że rekrutuje fachowców. To wszystko robi zupełnie legalnie, gdyż jeszcze w pełni nie zasiedlił swoich posiadłości. Nie istnieją na razie powody, dla których komendant miałby tam wtykać nos, szczególnie gdy nie należy to do jego obowiązków.

K'van skrzywił się z cynicznym błyskiem w oczach. Młody komendant postępował zgodnie z tradycją rządzącą stosunkami pomiędzy Strażnicą i Włodarstwem, wiedząc, że Toric podniósłby piekło w wypadku naruszenia uprawnień którejsz ze stron.

Ale skoro nikt nie opuszczał Włodarstwa morzem czy łądem, nie pozostawało mi nic innego niż czekanie na jakieś wydarzenie, o którym powinienem ci zameldować. Na ostatnim Spotkaniu liczne marki płynęły z północnych Cechów i Włodarstw, a plotka mówi, że Toric sprzedaje działki. Ma prawo to robić we własnym Włodarstwie, ale... — K'van podniósł rękę — nie po drugiej stronie rzeki!

— Nie odważyłby się na to! — oburzenie i rozdrażnienie powiększyły gniew Lessy. — Ma

czelność żądać zapłaty za to, co osiedleńcy mogą uzyskać dzięki własnej ciężkiej pracy?

— Chytry plan — stwierdził F'lar z szyderczym uśmiechem. — Nie zdziwiłbym się, gdyby zapłata w markach była później powiększana o inne świadczenia — K'van potaknął i F'lar ciągnął dalej — kiedy Rada Włodarzy będzie głosowała wolne wnioski.

Lessa ze zdziwienia otworzyła usta, a jej czarne oczy zrobiły się wielkie, gdy zaczęła pojmować rozmiar planu Torica.

— Podłość to nie jest dostatecznie mocne określenie tego, co on zamierza zrobić. Wiem, że popełniliśmy błąd wprowadzając całkowity zakaz osiedlania się — powiedziała — biorąc nawet pod uwagę zdanie Fandarela i Nicata oraz zupełny brak przygotowanych miejsc. Nie rzucaliby się z takim zapalem na oferty Torica, gdyby mogli zgłosić się do nas.

— Czy masz dowody wdarcia się Torica na nie przydzielone mu tereny? — zapytał F'lar.

— Rzeczywiście, mam. Sztorm położył całe ogromne połacie lasu, i co się okazało? Odkryło się pięć osiedli doskonale widocznych dla moich zwiadowców. Zaczęliśmy więc badać, czy nie ma ich więcej. Wszystkie były całkowicie wykończone i gotowe na przyjęcie osiedleńców. A Toric ma pełen port ciężko wyładowanych statków... — K'van wzruszył ramionami, żeby pokazać, że nie musi już niczego więcej dodawać.

— Nie stracił żadnych statków w czasie sztormu? — zapytał F'lar z lekkim rozdrażnieniem w głosie, wskazując na leżące na stole sprawozdania zawierające spisy szkód wyrządzonych przez burzę.

K'van uśmiechnął się. — Wiem o tym, że Mistrz Idarolan przekazał otrzymane od delfinów ostrzeżenie jemu i do Strażnicy, a więc Toric miał wiele czasu i zdrowego rozsądku, żeby przygotować swoje statki do sztormu. Toric nic nie pozostawia działaniu ślepego losu.

— Czy wie, że przelatywaliście nad tymi nielegalnie zbudowanymi przez niego osiedlami? — zapytała Lessa ochryplym z gniewu głosem.

— Wydaje mi się, że nie — odparł K'van. — Kiedy moi ludzie zorientowali się, co znaleźli, w drodze powrotnej ominęli Siedlisko Południowe.

— To naruszenie prawa możemy potraktować na kilka sposobów — powiedział F'lar, odchylając się do tyłu w fotelu. Ze złośliwym uśmiechem na twarzy leniwie przebierał palcami po nóżce swojego kieliszka.

— Istnieje tylko jedna droga... — zaczęła Lessa, ale F'lar podniósł do góry rękę.

— Posłuchajcie mnie. Moglibyśmy rozebrać te osiedla i wtedy osiedleńcy nie... nie mieliby gdzie mieszkać po dopłynięciu na miejsce. Byliby zmuszeni do powrotu do Siedliska Południowego. Teraz nie jest właściwa pora do życia bez dachu nad głową, szczególnie jeżeli ostatni sztorm był wstępem do ciężkiej zimy na południu. Chciałbym jednak pokazać innym Lordom Włodarzom, którzy byli uprzejmi poświęcać sprawie swój czas, do jakich sztuczek zdolny jest Toric, każąc ludziom płacić za ziemię, do której mają prawo!

— Jest przekonany, że najlepsze działki zachowaliśmy dla siebie — wtrąciła Lessa, dając ujście swojemu oburzeniu. — Tylko dlatego, że był nieobecny na posiedzeniu Rady, kiedy lordowie zwrócili się z prośbą do Komendantów Strażnic, żeby zechcieli zająć się tą sprawą, nie wierzy, że nie chcemy mieć nic wspólnego z nowym osadnictwem i protestowaliśmy przeciwko obciążaniu nas taką odpowiedzialnością!

F'lar obserwował swoją drobną towarzyszkę raczej z rozbawieniem niż ze złością.

— No, kochanie, tak bardzo nie protestowaliśmy.

— Tylko dlatego, że było jasne, co się stanie, jeżeli nie pokieruje tym ktoś bezstronny. I to my właśnie nalegaliśmy, żeby wszyscy Komendanci Strażnic, a nie wyłącznie z Benden, brali w tym udział, co początkowo proponowali Larad i Asgenar. Również żądaliśmy, żeby Cech Harfiarzy prowadził rejestr wszystkich aktów nadania.

— Wiem, że Toric jest przekonany o uprzywilejowanym traktowaniu jeźdźców smoków — zaczął K'van.

— A nie powinni być tak traktowani? — zapytała Lessa młodego komendanta.

— Jestem zdania, że się to nam należy — odpowiedział zdecydowanym głosem K'van, doskonale znając charakter komendantki i nie chcąc jej drażnić. — Będzie to zresztą ostatni przywilej, jakiego możemy oczekiwać od Pernu. Adrea i ja znaleźliśmy miejsce, gdzie naszym zdaniem moglibyśmy szczęśliwie zamieszkać. Odkryłem je w czasie pierwszego lotu zwiadowczego przy pracach nad sporządzaniem map.

— Czy Adrei też się podoba? — zainteresowała się Lessa, na chwilę odwracając uwagę od Torica.

— Tak, byliśmy tam kilka razy... żeby upewnić się o trafności wyboru — K'van uśmiechnął się — i za każdym razem, gdy tam jesteśmy, bardziej się nam podoba. Jest to wymarzone dla nas miejsce, chociaż wątpię, czy wielu ludzi uznałoby je za tak doskonałe.

— To właśnie miałam na myśli — ciągnęła Lessa, na razie zapominając o Toricu. — Nasze potrzeby i upodobania są tak indywidualne, a tam jest tyle miejsc... — Wykonała jeszcze jeden szeroki gest. — A on jest nieposkromionym chciwcem biorąc marki... — I myśl o tym odjęła jej mowę. — Ten człowiek po raz ostatni nadużył mojej cierpliwości.

— Kochanie, jestem przekonany, że masz rację — dodał F'lar, stale się uśmiechając. — A ponieważ wykroczył poza swoje terytorium, mamy go. I możemy potraktować to jako przykład dla innych z podobnymi skłonnościami. Lekcja powinna zostać zapamiętana do końca obecnego Przejścia.

— W pełni się z tobą zgadzam, F'lar — K'van podniósł w górę kieliszek. — Powiedz mi, w jaki sposób chcesz mu dać tę nauczkę? — zapytał po chwili. — Pamiętaj o tym, że możesz być pewny pełnej współpracy ze strony Strażnicy Południowej. Były już takie momenty, że z trudem trzymałem język za zębami w obecności tego wielkiego i chciwego lorda Torica. Przy tym nie jestem w Strażnicy jedynym, który uważa, że on zadziera nosa i jest arogancki.

W bursztynowych oczach F'lara pojawiły się takie oranżowe błyski, że K'van zaczął się zastanawiać, czy pewne bojowe cechy Mnemetha nie przeszły na jeźdźca. Jego coraz pełniejszy uśmiech stawał się zarazem groźny i radosny.

— Myślę, że w pewnym stopniu wykorzystam bogatą przeszłość Strażnicy Benden. Ile czasu zajmie Toricowi usunięcie szkód wyrządzonych przez sztorm jego flocie i przygotowanie jej do wypłynięcia?

— Ooo, F'lar, w tej chwili nie mam pojęcia, ale mogę to ustalić — oświadczył K'van. — Ile ci potrzeba czasu na przygotowanie tej twojej lekcji dla Torica?

F'lar roześmiał się i wstał od stołu. — Nie więcej, niż zajęło mi to za pierwszym razem. — Wziął zwój map z pojemnika i dał znak Lessie i K'vanowi, żeby zrobili na stole miejsce, po czym wprawnym gestem rozłożył arkusze. — Czy możesz oznaczyć mi dokładne położenie każdego z tych osiedli?

— Oczywiście, że tak. — K'van wyciągnął kilka notatek z wewnętrznej kieszeni. — Sprawdzalem je na naszej mapie tego obszaru. — Posługując się od czasu do czasu notatkami i piórem, F'lara kreślił małe krzyżyki na mapie. Wszystkie znalazły się na wschód od rzeki nazywanej przez Starożytnych Rzeką Wysp. Jeden znaczek znalazł się tam, gdzie rozgałęziała się ona w kierunku starego osiedla zwanego Tesalią, drugi daleko na wschód od jeziora Drake'a. Trzy postawił przy nadbrzeżnych zatokach i dalsze trzy w głębi łądu.

— To właśnie cały Toric! — powiedziała z rozdrażnieniem Lessa. — Jest... jest chciwy, zachłanny, skąpy, zawistny i niezmiennie drapieżny! Jest po prostu... okropny!

— Czy obecnie ktoś mieszka w tych osadach?

— Kilku ludzi, głównie budowlni.

— Czy przygotowali pola pod uprawę?

K'van potrząsnął głową. — Gdyby to zrobili, zlokalizowalibyśmy ich znacznie wcześniej, tego możesz być pewny!

— Myślę, że tak rzeczywiście by się stało. A czy we własnym Włodarstwie prowadzi jakąś działalność?

K'van znowu potrząsnął głową i uśmiechnął się. — Jego wszystkie załogi znajdują się tam, gdzie być nie powinny. — Postukał palcem w mapę w miejscach zaanektowanych przez Torica.

Lessa napełniała ich kieliszki. W pewnym momencie spojrzała na F'lara i wybuchnęła śmiechem.

— Zrozumiałaś, o co tu chodzi, kochanie? — zapytał. Wyjął bukłak z jej trzęsących się od śmiechu rąk. — Słuchaj, skarbie, nalewałaś doskonale czerwone wino z Benden. Na pamięć naszego poczciwego Robintona — szanuj je.

— Gdyby to widział Robinton, pękałby ze śmiechu, sam wiesz o tym, F'larze — powiedziała.

— Naprawdę, nie powiem nikomu. Wiesz, jaki potrafię być dyskretny — prosił K'van, nie bardzo wiedząc o co chodzi.

F'lar po przyjacielsku klepnął go w ramię. — Wszystkiego się dowiesz. Musisz nas tylko zawiadomić, kiedy Toric będzie chciał wypłynąć. Zrobisz to?

— Tak, mogę was zawiadomić. Co prawda wysłał kilka swoich latających jaszczurek, żeby obserwowały budynek Komendy Strażnicy, ale nie wie o tym, że dwie z nich mogą się bawić w informowanie obydwu stron. — K'van niechętnie się podniósł, gdyż zrozumiał, że już nie wyciągnie dalszych wiadomości od pary Komendantów z Benden. Widząc ich niedawne rozdrażnienie z powodu wykazanej przez Torica zachłanności w anektowaniu nowych ziem, bardzo się zdziwił ich nieoczekiwanym wybuchem wyjątkowo dobrego humoru. — Poinformuj mnie, proszę, kiedy i jak Strażnica Południowa może udzielić wam pomocy.

— Zawiadomimy cię we właściwym czasie — odpowiedział F'lar, kładąc rękę na ramieniu K'vana, kiedy odprowadzał młodego komendanta do wrót Strażnicy. — Obiecuję ci, że dowiesz się pierwszy — dodał i zachichotał na myśl o swoim tajemnym planie.

Na trzeci dzień po dokonaniu przez T'liona i Readisa zabiegów na rannych delfiniątkach, Jayge, Temma i Alemi poszli nad brzeg niedaleko portowej redy. Alemi spuścił na wodę mały ponton, bo nie było dostatecznie dużo czasu na odbudowanie tratwy, z której korzystali ludzie w czasie spotkań z delfinami. Jayge liczył na pojawienie się syna, choćby tylko w celu sprawdzenia przebiegu rekonwalescencji młodych pacjentów. Ostatnie trzy dni odcisnęły się ciężkim brzemieniem na psychice Jaygego. Uważał, że Aramina nie powinna być aż tak wymagająca w stosunku do Readisa, i postawienie mu ultimatum było poważnym błędem. Pomimo tego, że rozumiał jej niepokój i podobnie jak ona uważał postępowanie chłopca za niewłaściwe, to jednak znał go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, iż zmuszanie go do złożenia obietnicy sprzecznej z jego przekonaniem doprowadzi do otwartego buntu. Chłopiec właśnie doszedł do wieku, w którym nie poddawał się już narzucanym przez matkę ograniczeniom. Jayge miał gorącą nadzieję, że trzy pełne emocji dni wystarczą Readisowi do zademonstrowania swojego zdania i pozwolą mu na powrót z honorem. Tego poranka Aramina wychodziła z siebie, pełna żalu po wygnaniu z domu najstarszego dziecka. Jayge przypuszczał, że już nie ponowi swojego zakazu spotykania się z delfinami, ale także był zupełnie pewien, że nigdy nie przestanie obwiniać tych stworzeń o przysporzenie kłopotów jej samej i jej bliskim.

T'gellan wysłał, za pośrednictwem latającej jaszczurki, poufną prośbę do Jaygego o potwierdzenie udzielenia przez T'liona pomocy delfinom w Rajskiej Rzece. Jayge zwięźle odpowiedział, że tak istotnie było.

Widok nadlatującego smoka był czymś normalnym; dopiero, gdy w powietrzu pojawił się drugi spizowiec, włodarz się zadziwił. Pierwszym, jak się okazało, był Gadareth z T'lionem, a drugim — Monarth wiozący T'gellana i jakiegoś pasażera. Po wylądowaniu nieznajomy został przedstawiony jako Persellan, uzdrowiciel ze Strażnicy Wschodniej. Od chwili zejścia

z szyi Monartha, uzdrowiciel nawet nie spojrział na T'liona i wszystkie swoje pytania dotyczące zdrowia delfinów kierował w przestrzeń, choć wyraźnie były one adresowane do młodego jeźdźca, który odpowiadał na nie potulnie cichym głosem. Jayge nie obwinał Persellana o zimne traktowanie T'liona. I tak jeździec miał wiele szczęścia, że wykręcił się sianem za samowolne wypożyczenie bezcennego podręcznika bez zgody właściciela. Co gorsza, zniszczył przy okazji tę unikatową książkę. Uzupelnienie uszkodzonych stron będzie częścią pokuty Readisa.

— Czy wyraźnie im polecono — Persellan mówił z wydętymi wargami, udając, że nie zniża się do rozmowy z T'lionem — żeby wróciły w to miejsce po trzech słońcach? — Patrzył w kierunku pełnego morza.

— Tak, i Afo to zrozumiała.

Persellan osłonił oczy i spojrzął na kołyszący się na kotwicy „Pomyślny Wiatr”. Część olinowania została już odtworzona, a dziury poniżej linii wodnej naprawione z pomocą delfinów. Kilka z nich jeszcze pływało koło statku, pracując wspólnie ze znajdującymi się w wodzie członkami załogi.

— I wiedziały, że mają przyplłynąć tu, na plażę?

— Tak.

Nagle Alemi wskazał na zachód.

— Tam widać płetwy grzbietowe, opływają właśnie przylądek. Można je pochwalić za punktualność. Co ty na to, T'lionie? Chyba dokładnie o tej porze byliście tu wtedy z Readisem. Pamiętam, bo widziałem was na tej plaży.

Główny Rybak kochał morze i swój szkuner, a teraz starał się zmniejszyć panujące w grupie napięcie. Przez chwilę patrzył w przeciwnym kierunku, na wąską piaszczystą łachę po wschodniej stronie zatoki, a potem przez ramię rzucił okiem na dżunglę.

— Wyobrażałem sobie, że Readis już tu będzie — rzekł T'gellan i spojrzął na Jaygego, jakby oczekiwał od niego wyjaśnień.

— Ja też myślałem, że się zjawi — odparł krótko Jayge, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo liczył na spotkanie się z Readisem. Trzy dni stanowiły dostatecznie długi okres, by zademonstrować swoje zdanie, a z całą pewnością wystarczyły, aby pograżać Araminę w rozpacz i niepokój o to, czy chłopiec nie zrobił sobie krzywdy, czy nie spadł z Delky'ego, czy nie przydarzyło mu się jakieś nieszczęście. Troska walczyła z uzasadnionym gniewem na Readisa, że tak im się odplaca za te wszystkie lata pełnej poświęcenia opieki!

Tymczasem delfiny przyprowadziły swoje młode na płyciznę. T'lion rozebrał się i włożył przepaskę na biodra w momencie, gdy Alemi zobaczył zbliżające się zwierzęta. Teraz wszedł do wody i ruszył na ich spotkanie, a Gadareth skierował się w jego ślady.

Mrucząc coś pod nosem, Persellan także zdjął ubranie, T'gellan natomiast tylko zsunął buty i podwinął nogawki spodni. Jayge, Temma i Alemi mieli na sobie odpowiednie stroje, więc zrzucili tylko sandały i weszli do morza.

— Przychodzimy trzy słońca — powiedziała Afo, równocześnie cmokając i wydmuchując wodę. Zderzyła się z Persellanem.

— Ty uzdrowiciel. Wszystko o tobie usłyszeć. Ty dobry człowiek. Dz'kuję ci!

— Witam cię, cieszę się ze spotkania — odpowiedział Persellan. — A teraz, który to... ach... — Angie wpłynęła w zanurzone tuż pod powierzchnią wody szpony Gadaretha.

Jaygego przez chwilę zdziwiła inicjatywa smoka, ale potem domyślił się, że T'lion porozumiał się z nim przy pomocy telepatii.

Smoki czasem mogły zaskakiwać swoich jeźdźców, ale w tym przypadku twarz T'liona nie zdradzała żadnych uczuć. Stał po prostu z boku, żeby nie przeszkadzać Persellanowi w badaniu pacjenta.

Angie przechyliła swoje smukłe ciało w taki sposób, żeby pokazać szwy. Palce Persellana delikatnie przesuwają się po obrzeżach zaszytej rany.

Wreszcie Jayge również zobaczył bliznę i musiał przyznać, że decyzja Readisa, by udzielić pomocy delfinom, była słuszna. W Siedlisku nikt nie był tak ciężko ranny — tylko kilka złamanych kości, parę siniaków i naciągnięcia mięśni, gdzie ból ustępował natychmiast po natarciu zieleń oszałamiającym. Oczywiście Temma musiała decydować, które z antylop należało od razu dobić, ale robione to było szybko i bez zadawania zbędnego bólu. Przyglądając się potwornej ranie młodego delfina, Jayge mimo woli się wzdrygnął.

— Tu jest zbyt naciągnięta skóra — szorstko stwierdził Persellan, naciskając to miejsce. — Muszę poprawić. Rana goi się dobrze, ale szew wkrótce może rozerwać skórę. — Siegnął do torby i wydobyl z niej nożyczki, przeciął nić i delikatnie wyciągnął ze skóry. Kiedy to robił, wszyscy wstrzymali oddech. — Hmm, wiele można by powiedzieć o leczniczych właściwościach słonej wody. — Następnie zwrócił się do Afo, która uważnie mu się przyglądała jednym ze swoich połyskujących czarnych oczu. — Czy coś ją boli, kiedy tutaj dotykam?

— Sam ją zapytaj — cicho pisnęła Afo — ma na imię Angie.

— Angie, powiedz mi, czy jak cię tutaj dotykam palcem, to czujesz ból? — głośno zapytał Persellan. Angie, która trzymała głowę nad wodą i pochylała ją w taki sposób, żeby móc się jednym okiem przyglądać Persellanowi, wydmuchnęła fontannę wody przez otwór oddechowy.

— Tak jak małe dziecko, które nie wie, czy ma zaufać swojemu uzdrowicielowi — szepnęła do Jaygego i Alemiego stojąca obok Temma.

Persellan delikatnie opukiwał ranę sprawdzając jej długość.

— Jak powinienem ją o to zapytać? Angie, czy robisz to regularnie?

Temma chrząknęła, starając się opanować śmiech. Angie pisnęła tonem, który wyraźnie znaczył: „Powtórz, bo nie rozumiem, o co ci chodzi”. Temma krótko zachichotała.

— Czy jadasz normalnie? — zapytał Persellan.

— Ja głodna. Ja jeść!

Wtedy zakłopotany Persellan zdecydował się wreszcie zwrócić bezpośrednio do T’liona.

— Jak mam jej wytłumaczyć, że powinna także wydalac część tego, co je?

— Jej kiszki pracować — wtrąciła Afo tonem, który wskazywał na to, że nie podoba się jej zakłopotanie uzdrowiciela. — Gdyby nie, być tu wcześniej!

— No, to jest dobra nowina — mruknął Persellan. — Usunę jeszcze kilka szwów, żeby rozluźnić jej tkanki. Bardzo szybko dochodzi do zdrowia. — Ten, w pewnym sensie, komplement spowodował, że napięcie, w jakim trwał młody jeździec smoków, ustąpiło. — Słuchaj, Angie, musisz wrócić tu znowu za trzy dni, żeby ci zdjęto pozostałe szwy. — Popatrzył na Temmę, która skinieniem głowy potwierdziła, że to robi.

Angie wywinęła się z pazurów Gadaretha i jej miejsce posłusznie zajęła mniejsza Cori.

— Wydaje mi się, że tu już wszystko można usunąć — stwierdził Persellan, a jego głos nie brzmiał tak oskarżające jak na początku. — Szwy są dosyć krzywe, ale jak widzę, rana też musiała być postrzępiona. A to kto?

— Cori — odrzekł z wielkim uczuciem ulgi zupełnie blady T’lion.

— Cori. Widzisz, jesteś bardzo szczęśliwą młodą... delfiniczką — powiedział Persellan, łapiąc się na tym, że omal nie wyrwało mu się „małą dziewczynką”.

Był tak odprężony, że nawet uśmiechał się podczas starannego rozcinania i wyciągania szwów. Następnie poklepał Cori i na pożegnanie podrapał ją pod brodą. Mała pisnęła, zaczęła cmokać i płynąć w kierunku pełnego morza, ale po chwili zawróciła, spojrzała uzdrowicielowi w oczy i wyraźnie powiedziała:

— Perslan dobry człowiek. Dz’kuję ci, dz’kuję ci, dz’kuję ci. Potem jej matka, Mel, otarła się o T’liona. — Tlon ręka — powiedziała.

— Ręka? — powtórzył T’lion i zaskoczony podniósł do góry obie dłonie.

— Wsadź do wody otwartą dłoń — poradził mu Alemi, odgadując zamiary delfinicy.

— Mam włożyć rękę do wody? — zapytał młody jeździec i zrobił to, co mu radził Alemi. W tym momencie z pyska Mel wypadło coś na jego otwartą dłoń. Podniósł ją do góry i zobaczył gładką, owalną muszelkę połyskującą w blasku słońca wszystkimi kolorami tęczy.

— O, jaka piękna — krzyknął i zapominając o wiszącej nad nim atmosferze potępienia, pokazał podarunek wszystkim obecnym.

— To jedna z tych dwuskorupkowych muszli — wyjaśniła zaskoczona Temma — rzadko można je znaleźć w nieuszkodzonym stanie.

— Dziękuję ci, Mel, zachowam ją jak największy skarb — powiedział T'lion, a delfinica patrzyła, jak wkłada podarunek za swoją opaskę na biodrach.

Następnie Angie podpłynęła do Persellana i zadziwiła wszystkich wyskakując nad wodę na wysokość pozwalającą jej dotknąć nosem ust uzdrowiciela.

— Całus, dz'kuję ci. Umieć 'miętać stary, dz'kuję ci. — W tym momencie zanurkowała i odpłynęła, jakby zawstydzona swoim postępowaniem.

— A to ci historia — mruknął Persellan i ze zdziwieniem dotknął palcami ust.

— Delfiny bardziej cię lubią niż dzieci ze Strażnicy, Persellanie — stwierdził ze śmiechem T'gellan. — Może powinieneś polecić skopiowanie informacji na temat leczenia zwierząt, jak również tych stron, które zostały zamoczone.

— Niestety nie wiem, jak postąpić w tej sytuacji, komendancie — odparł Persellan, ale z wyrazu jego twarzy można było sądzić, że jest skłonny zmienić dotychczasowe stanowisko. Spojrzał w stronę T'liona, chociaż nie całkiem wprost na niego. — Znacznie bardziej zdenerwowało mnie zabranie bez pozwolenia czegoś, o czym wiedział, że jest bezcenne...

T'lion ze spuszczoną głową przyglądał się drobnym falom łamiącym się przy jego nogach i wykonywał rękoma bezradne gesty w trakcie monologu Persellana.

— Jednakże, podchodząc do sprawy uczciwie, po zobaczeniu, jak dobrze wykorzystał informacje zawarte w książce, pomimo tego, że ją zniszczył, nie mogę zachować do niego urazy.

W oczach T'liona pojawiło się uczucie ulgi i niedowierzania.

— Przepraszam cię, Persellanie, ale naprawdę nie wiedziałem, co mam zrobić, a nie miałem się kogo spytać... — Jeździec spiżowca wyciągnął do uzdrowiciela rękę na zgodę.

— Następnym razem poproś o pozwolenie — odparł Persellan z powagą. — Myślę, że w przyszłości obaj powinniśmy wiedzieć, jak postąpić. Więc według ciebie istnieje obszerna dokumentacja traktująca o leczeniu chorób delfinów?

— Tak. I D'ram pozwolił mi skopiować wszystko, co będzie ci potrzebne...

— To Readis miał wykonać tę pracę — wtrącił Jayge.

T'lion, jeszcze czerwony po przeżytych emocjach, z niepokojem spojrzał na włodarza.

— Byłem pewien, że Readis się tu zjawi. To zupełnie niepodobne do niego, że nie przyszedł. Może...

— Ja również miałem nadzieję spotkać go tutaj — powiedział cichym głosem Jayge.

Nagle zapadło milczenie. T'gellan odchrząknął i zaczął wychodzić z wody, Alemi, Persellan i Temma ruszyli za nim.

— Przecież wrócił z tobą do Siedliska? — zapytał T'lion z niepokojem w oczach. Rozejrzał się po brzegu, jakby spodziewając się, że nagle Readis wyjdzie z gęstych chaszczki.

— Następnego dnia zniknął z domu i od tej pory nikt go nie widział.

— Och. — T'lion unikał spojrzenia w twarz włodarzowi.

— Ty też go nie widziałeś? — Jayge z góry wiedział, że usłyszy przeczącą odpowiedź.

T'lion potrząsnął głową. — Cały wolny czas spędziłem na Ładowisku. Persellan stwierdził, że skoro ja wziąłem książkę, to moim obowiązkiem, a nie Readisa, jest jej skopiowanie. Myślałem, że zatrzymasz go tutaj — T'lion gestem wskazał na dwór — żeby pomógł w sprzątaniu.

Jayge potrząsnął głową.



— To nie jest w stylu Readisa, proszę pana — z przejęciem odezwał się T'lion. Otworzył usta chcąc zadać następne pytanie, lecz zamknął je nie wypowiedziawszy ani słowa. — Gdybyś poprosił T'gellana, może pozwoliłby mnie i Gaddiemu przeszukać te okolice?

Jayge spojrział T'lionowi w oczy i zobaczył w nich zatroskanie. Skinął głową.

— Dobrze, zapytam. Będę bardzo wdzięczny za udzielenie mi pomocy. Ostatni raz widziałem go, jak na Delkym przejechał przez most i skierował się na zachód.

— Jeżeli pojechał na Delkym, to na pewno ich z Gadarethem znajdziemy.

Po tych słowach wyszli z wody i dołączyli do reszty osób, które suszyły się i ubierały. Jayge zapytał T'gellana, czy pozwoli T'lionowi odbyć loty poszukiwawcze.

T'gellan obrzucił drugim spojrzeniem Jaygego i następnie strzelił palcami na znak zgody.

— T'lion ma dziś wieczorem wykonać wyznaczoną normę przepisywania, ale przedtem może poszukać Readisa.

T'lion był przekonany, że po kilku przelotach wzdłuż wybrzeża wspólnie z Gadarethem odnajdą uciekiniera, wyruszył więc na poszukiwania w bardzo dobrym nastroju. Readisa na pewno ucieszyłaby wiadomość o szczęśliwym wyniku zabiegów dokonanych na delfinach i o burkliwej pochwalę wyrażonej przez Persellana oraz o jego przyrzeczeniu zajęcia się w przyszłości sprawą leczenia delfinów. Następnym krokiem miało być uzyskanie zgody uzdrowiciela na asystowanie mu, a może nawet na pracę w charakterze terminatora, choćby tylko ograniczającą się wyłącznie do sprawowania opieki nad delfinami. Jak dotąd na Pernie nie istniał Cech zajmujący się medycyną stworzeń morskich, a Główny Rolnik Andemon wyraźnie stwierdził, że dziedzina ta nie leży w obszarze zainteresowań jego Cechu. Skoro jednak delfiny ulegały wypadkom, to także powinny mieć prawo do pomocy medycznej. Nawet jeżeli na całej Planecie tylko on i Readis byli jedynymi, którzy poważnie myśleli o konieczności rozwiązania tego problemu. Dwóch to skromna liczba, ale na pewno sprawa była dużej wagi i wymagała podjęcia jakichś działań.

— Dokąd on mógł dotrzeć, Gaddie, mając do dyspozycji jedynie Delky'ego? — pytał T'lion swojego smoka, kiedy przelatywali tuż nad wierzchołkami drzew tam, gdzie nie były one powalone przez ostatni sztorm. Ta część wybrzeża bardzo ucierpiała, co powinno znacznie ułatwić poszukiwanie Readisa.

Kiedy po godzinnych poszukiwaniach na obszarze przybrzeżnym nie natrafili na żaden ślad przyjaciela, T'lion skierował Gadaretha bardziej w głąb lądu i zmienił sposób szukania. Latali tam i z powrotem, lądując od czasu do czasu na polankach, żeby sprawdzić, czy nie wypatrzą śladów po ognisku lub innych znaków świadczących o niedawnej obecności człowieka. W pewnym momencie zaskoczyli jakąś wielką, porośniętą gęstym futrem bestię i tylko wielkość spiżowego smoka spowodowała, że zamiast zaatakować T'liona zwierz rzucił się do gwałtownej ucieczki.

Zapadły ciemności. Zmęczony i zniechęcony T'lion postanowił w powrotnej drodze zatrzymać się na chwilę w Siedlisku Rajskiej Rzeki, by zawiadomić Jaygego o bezskuteczności dotychczasowej akcji.

— Poproszę T'gellana o zgodę na dalsze poszukiwanie jutro. Readis nie mógł oddalić się zbyt daleko stąd, gdyż upłynęły zaledwie trzy dni, proszę pana. Może nie rozpoznał mnie i Gaddiego i gdzieś się ukrył. Jeszcze raz spróbuję i będziemy go głośno wołać. Przy tym... — T'lion miał dostatecznie dużo zdrowego rozsądku, żeby przerwać widząc wchodzącą Araminę, która zjawiała się w nadziei usłyszenia jakiejś dobrej nowiny. — Przypuszczalnie nie poleciałem tak daleko w głąb lądu, jak powinienem — dodał samokrytycznie. Matka Readisa była zapłakana i wyglądała okropnie. — Jutro znowu podejmę przeczesywanie terenu. A teraz proszę się nie martwić. Muszę już wracać do mojej Strażnicy, bo inaczej narażę się na gniew T'gellana. — Wygłaszając to zdanie T'lion wycofał się za próg i pobiegł w stronę Gadaretha, aby uniknąć dodatkowych pytań ze strony matki. Z całą pewnością nie miał na nie odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ XIII

Belieth, królowa Adrei, przekazała Ramoth sygnał nadania alertu. Natychmiastową reakcją smoka było donośne trąbienie, które wypełniło Czasę Strażnicy Benden. Ryk zaskoczył całą załogę i wszyscy jeźdźcy wybiegli z Dolnych Jaskiń, gdzie właśnie spożywali posiłek.

— Lesso, K'van informuje, że nadszedł czas — powiedziała królowa.

— Czy to Toric rozpoczął swoją akcję? — zapytała Lessa. Właśnie mieli zasiąść do spóźnionego, lecz doskonałego obiadu. — Wyruszyli, korzystając z porannego przypiływu. Z wielką radością dostarczę Toricowi na deser to, na co zasłużył.

F'lar ze smutkiem popatrzył na dymiący na stole smakowity klops i podaną wraz z nim kompozycję nowalijek, a także na świeżutkie ciasto i słodkie jagody, które miały być ukoronowaniem wspianego posiłku. Wielkimi krokami podszedł do ściany, gdzie wisiało oporządzenie, zdjął je, i wręczył Lessie należący do niej komplet.

— Wiedziałem, że powinniśmy zjeść obiad razem z innymi — mruknął, odłamał kawał ciasta i wepchnął go sobie do ust. Następnie porwał ze stołu garść jagód i też usiłował je szybko połknąć. Kiedy zdejmował z kołka uprząż Mnementha, jagodowy sok ściekał mu po brodzie.

Lessa poszła za jego przykładem i zanim odeszła z uprzężą Ramothy, resztę ciasta wsunęła za pazuchę nie dopiętej kurtki. Królowa z opuszczoną głową czekała na założenie upręży, kołysząc się na boki.

— Czy wszyscy jeźdźcy i jeźdźczynie wiedzą już, dokąd mają się udać? — zapytała Lessa Ramothę w czasie, gdy złota królowa potrząsając głową zsuwała uprząż na właściwe miejsce w dole szyi. Lessa zapięła popręgi i włożyła rękawice.

— Tak — odpowiedziała Ramoth posługując się telepatią. Jej oczy jarzyły się jasno oranżowym blaskiem entuzjazmu. — O, będzie fajna zabawa. Nie to, co walka z Niemi.

— Niech ci tylko zanedo nie przypadnie do gustu, moja piękna królowo — powiedziała Lessa. Zapięła kurtkę, owinęła swój pojedynczy warkocz wokół głowy, nałożyła pilotkę i zapięła ją pod brodą. Korzystając ze zgiętej przedniej łapy Ramothy, zwinnie wsunęła nogę w strzemień i wskoczyła na miejsce pomiędzy dwoma wyrostkami na końcu szyi królowej.

— Jestem głęboko przekonana, że tej akcji nie będziemy już nigdy musieli powtarzać! — Potem się uśmiechnęła. — No tak, robimy to już po raz drugi. — Dalej, ruszamy, skarbie!

Ramoth przeszła parę kroków na skraj swojego wybiegu. Mnementh znajdował się nad nią z prawej strony, F'lar wcześniej był już gotowy do drogi.

Kilka spizowych smoków i pozostałe królowe ze Strażnicy Benden, wyznaczone do wzięcia udziału w zaplanowanej akcji dydaktycznej, wdrapywały się na obrzeże Czaszy. Mnementh zapytał Lessę, czy wszyscy uczestnicy wyprawy zostali już zaalarmowani. Ramotha potwierdziła, że Beljeth przekazał wiadomość do wszystkich innych strażnic. Lessa uśmiechnęła się.

— F'lar uważa, że już czas ruszać — poinformował komendantkę Mnementh.

Ramoth jeszcze raz zatrąbiła, skoczyła w powietrze i ciasnymi spiralami zaczęła wznosić się ponad skrajem Czaszy, której brzeg w zachodzącym słońcu wyraźnie rysował się na tle pobliskich wzgórz.

Mnementh dumie leciał obok swojej królowej, od czasu do czasu spoglądając na nią.

— Prawda, że uwielbiasz swoją królową, Mnementh? — zapytała Lessa.

— Dobrze się nam razem lata — zabrzmiała jej w głowie odpowiedź. Komendantka uśmiechnęła się, wyczuwając w tonie spizowego smoka samozadowolenie. Żaden inny nigdy nawet nie przybliżył się do Ramothy w czasie jej godowych lotów, pomimo iż wszystkie spizowce oraz dwa niezwykle śmiałe brązowe czyniły takie próby.

W momencie, w którym F'lar ocenił, że znaleźli się dostatecznie wysoko nad Strażnicą,

Mnemenh rozkazał Ramoth lecieć w przestrzeń pomiędzy.

Tego dnia manewr trwał nieco dłużej niż wtedy, gdy F'lar pojmał żony włodarzy próbujących zdobyć Strażnicę Benden. Tym razem Lordowie Włodarze wcześniej zostali zaproszeni do towarzyszenia komendantom wszystkich Strażnic, a jeźdźcy spizowców oczekiwali na ich przybycie w nielegalnie zajętych osiedlach. Złociste królowe miały za zadanie dopilnować, by statki, które tak radośnie wypłynęły z portu Torica, wróciły tam tą samą drogą.

F'lar i Lessa sprawdzili wszystkie z ośmiu nielegalnych osiedli, by się upewnić, czy zostały one skontrolowane przez Lorda Włodarza i komendanta, a znaleźieni tam ludzie przetransportowani na smokach do Siedliska Południowego. Królowe oddelegowane do zawrócenia statków powiedziały Ramoth, że jeszcze nigdy nie miały takiej dobrej zabawy. Zresztą statki te nie odpłynęły jeszcze zbyt daleko od poru macierzystego i po zawróceniu mogły bez trudu zdążyć na konfrontację z Toricem organizowaną właśnie przez komendantów.

Lord Włodarz Siedliska Południowego, jedząc w sali swojego dworu spóźniony poranny posiłek, usłyszał hałas i okrzyki trwogi. Niedawno osobiście oglądał statki opuszczające port i cieszył go widok żagli wydętych rześkim wschodnim wiatrem. Mistrz Idarolan nie znając powodów, dla których Toric prosił, by zawiadomić go o nadejściu pogody sprzyjającej dalekiej żegludze, przysłał latającą jaszczurkę z informacją, że dzisiaj będzie pomyślny wiatr i podobne warunki utrzymają się przez kilka dni. Toric zauważył nawet, że statkom wychodzącym z portu towarzyszyły wyskakujące z wody i nurkujące w swój bezmyślny sposób delfiny. Wrócił następnie do domu i spędził przyjemną godzinę na obliczaniu zysków z tego przedsięwzięcia. Doszedł do wniosku, że wystarczą one na pokrycie kosztów założenia nowego Siedliska na półwyspie Seminole. Bardzo nie lubił powracania do nazw nadawanych niegdyś przez Starożytnych. Miały one swoje dni chwały i utraciły je z powodu Nici, lecz od czasu gdy Assigi wskazał te miejsca na podstawie danych ze swojej pamięci, stare nazwy geograficzne z Kontynentu Południowego zostały z wielkim entuzjazmem przywrócone „dla zachowania spuścizny przodków”. Toricowi to się nie podobało. Miał własne plany na przyszłość i starał się je realizować, kiedy wszyscy inni mieszkańcy planety grzebali się w dokumentacji osiągnięć dawnych pokoleń i nie ustawiali w wysiłkach, by zrekonstruować wszelkiego rodzaju dawne urządzenia. Był prawdopodobnie jednym z niewielu, którzy nie żalowali zamilknięcia Assigi i odejścia na zawsze starego harfiarza, który tylko zakłócał istniejący porządek.

Toric osobiście selekcionował „odpowiedni” rodzaj przesiedleńców spośród ludzi zgłaszających się do niego z pełną sakiewką, miał więc podstawy, by sądzić, że nie powtórzy się historia jak ze zdradą Denola. Zakwalifikowani do pozostania w Siedlisku Południowym będą ślepo posłuszni. Wysyłał tylko tych, których znał dobrze i wiedział, że w każdych okolicznościach będą musieli słuchać jego rozkazów. Zresztą tylko tego od nich oczekiwał. Mieli wykonywać jego polecenia. W przeciwnym bowiem razie... uśmiechnął się do własnych myśli. Gdy tylko skończy się obecne Przejście...

Uśmiech jednak zamarł mu na ustach, gdy zorientował się, że zmienił się rodzaj hałasu panującego przed jego dworem, dawał się bowiem słyszeć agresywny pomruk przerywany groźnymi okrzykami. Nie był to rodzaj dźwięków, których należało oczekiwać po rozpoczęciu dzisiejszego porannego przedsięwzięcia. Zdawał sobie sprawę z tego, że stali mieszkańcy Siedliska od wielu miesięcy narzekali na zagęszczenie, jakie spowodował kwaterując kandydatów na osiedleńców w ich domostwach, ale przecież ci dodatkowi lokatorzy właśnie wyjechali. Po odpłynięciu statków z przesiedleńcami jego ludzie mogli odetchnąć, odzyskując ciszę swych gospodarstw.

Podniósł się od stołu rozgniewany zakłócaniem mu rozmyślań oraz posiłku z jakichś

głupich powodów, lecz w tym właśnie momencie w drzwiach pojawili się Komendanci z Benden.

— Co wy tutaj oboje robicie? — zdziwił się, bardzo niezadowolony. Miał nadzieję, że statki odplynęły już dostatecznie daleko, zanim ta para dotarła do jego Dworu.

— Lordzie Toric z Siedliska Południowego, proponuję, żebyś wyszedł na zewnątrz i przekonał się — odpowiedział F'lar, a jego uśmiech nie był zbyt przyjazny. Natomiast uśmiech komendantki był szeroki i pełen jadu.

— No, słuchajcie, wy z Benden...

— Nie, to ty popatrz — przerwała mu Lessa i wskazała ręką w kierunku sieni — tam! — Odsunęła się na bok, żeby mógł zobaczyć czekających przy drzwiach Groghego z Fortu, Larada z Talgaru i Asgenara z Lemos.

— Żądamy twego wyjścia na dziedziniec, Toricu — powiedział Larad, a jego twarz nie zdradzała żadnego uczuć.

— I to im prędzej to zrobisz, tym lepiej — dodał Groghe. — Zostałem tu ściągnięty, pomimo wielu bardzo pilnych spraw w Fort, gdzie nastąpiła awaria dwóch generatorów...

Toric z wściekłości o mało nie dostał ataku apopleksji. Z furją przeszedł obok równych mu rangą dostojników, minął sieni i znalazł się na zewnątrz dworu. Gwałtownie zatrzymał się na szczycie schodów wiodących na ogromny dziedziniec, wypełniony po brzegi mieszkańcami jego Siedliska oraz ich niedawnymi gośćmi. Zaskoczony tym widokiem spojrzął ponad głowami tłumu w kierunku przystani. Zaklął, zobaczywszy tam swoje statki zakotwiczone, ze zwiniętymi żaglami. Nad każdym z nich krążył złocisty smok i to wyjaśniało przyczynę ich powrotu.

Przyglądając się dokładnie zebranemu tłumowi, dostrzegł w pierwszych szeregach twarze ludzi, których osadził już wcześniej w osiedlach po drugiej stronie rzeki. Nie powinno ich być teraz tutaj — mieli oczekiwać u siebie na przybycie osiedleńców. Wszyscy robili wrażenie oburzonych i zdenerwowanych. Starali się trzymać z daleka od jeźdźców smoków oraz pozostałych Lordów Włodarzy. Torica zaskoczył i przeraził fakt, że prawdopodobnie zjawili się u niego wszyscy Lordowie Włodarze.

— Co tu się dzieje? — głośnym, władczym tonem zapytał Toric, chociaż już sam domyślał się przyczyn całego zamieszania.

— Wydaje mi się, Toricu, że to powinno być dla ciebie zupełnie jasne — stwierdził F'lar, starając się znaleźć w odpowiedniej odległości od rozwścieczonego Lorda Włodarza. — Chciałem, żeby lordowie na własne oczy mogli zobaczyć, jak świetnie prowadzisz interesy, zakładając nielegalne osiedla poza terenem twojego Siedliska.

— A co w tym złego? — Toric usiłował natychmiast zminimalizować wszelkie mogące pojawić się zastrzeżenia. — Tereny te są puste. Całymi miesiącami szkolilem tych mężczyzn i kobiety — szerokim gestem wskazał na zgromadzonych — w umiejętności radzenia sobie z wszystkimi niebezpieczeństwami, występującymi na ziemiach południa.

— Toricu, Kontynent Południowy nie należy do ciebie, więc nie możesz rozdawać tam działek — stwierdził Groghe.

— Również oni nie są jego właścicielami — warknął Toric, wskazując dłonią w stronę komendantów z Benden. — Należy do tego, kto jest dostatecznie silny, żeby go utrzymać...

— Jednak nie do osoby, która już posiada więcej, niż nakazywałby sprawiedliwy podział — powiedział z groźnie błyszczącymi oczyma Groghe i ruszył w kierunku o wiele potężniej zbudowanego Torica. Larad i Asgenar poszli jego śladem, żeby podkreślić, iż Groghe występował także w ich imieniu.

Toric warknął w kierunku Groghego.

— Nigdy nie mogłeś strawić tego, Groghe, że twoje maleńkie Siedlisko Fort zniknie wśród moich rozległych posiadłości!

— To nie ma nic do rzeczy, człowieku — powiedział Larad. — Zostało wspólnie

uzgodnione...

— Ja niczego z wami nie uzgadniałem — przerwał mu Toric z lekceważącym parsknięciem, pragnąc wciągnąć ich w spór odwracający uwagę od sedna sprawy.

— Zdecydowałeś się nie brać udziału w naszym spotkaniu, lecz jego postanowienia obowiązują wszystkich.

— Ale nie mnie!

— Zamknij się, Toricu! — krzyknął F'lar i skinął na smoki siedzące rzędem na brzegu stromej skały.

— Od kiedyż to jeźdźcy smoków mogą się wtrącać w wewnętrzne sprawy Siedlisk? — wybuchnął Toric, zwracając się w kierunku jeźdźcy.

— Kiedy to nie jest tylko wewnętrzna sprawa Siedliska, Toricu — odparł N'ton ze Strażnicy Fort, postępując kilka kroków do przodu.

— Jeźdźcy smoków nie mieszały się w sprawy Siedlisk — krzyknął R'mart ze Strażnicy Telgar. Za nim szli całą grupą T'gellan ze Wschodniej, G'dened z Isty oraz jego ojciec, dawny komendant tej Strażnicy, G'narish z Ingen, T'bor z Wysokich Szczytów, K'van z Południowej i F'lessan ze Strażniczego Dworu w Honshu. — Zapobiegliśmy bezprawnemu zawłaszczeniu przez Lorda Włodarza ziemi nie przeznaczonej jeszcze do kolonizacji, podczas gdy dotychczas zagospodarował zaledwie jedną piątą swojego własnego terenu.

— Usiłujecie zachować najlepsze miejsca dla siebie — wrzasnął Toric szyderczym tonem.

— Całkowicie się mylisz — wyjaśnił N'ton z uśmiechem, lekko odwracając się w kierunku tłumu, żeby ludziom pokazać swą twarz. — Chcemy jedynie zapewnić sobie jakieś działki, kiedy skończy się zagrożenie Opadem Nici.

— Lecz ono ciągle trwa — zawołał ktoś z głębi tłumu. Okrzyk wyrażał zniechęcenie, oburzenie i gniew.

— Jeszcze dwadzieścia dwa Obroty — powiedział F'lar — i potem już nigdy nie będziecie musieli płacić dziesięciny na Strażnice. A my... — na chwilę przerwał, i skończył zdecydowanym, twardym głosem — ...my wreszcie dostaniemy ziemię, na której będziemy mogli pracować i pobudować własne domy! — Jego wypowiedź wyraźnie odnosiła się do obietnicy, powtórzonej po raz kolejny im wszystkim oraz sobie samemu. — Ze wszystkich ludzi żyjących na Pernie tylko jeźdźcy smoków mogą zbadać tereny nadające się do zasiedlenia. Na wyraźne życzenie Lordów Włodarzy podjęliśmy to zadanie, które wykonujemy pomiędzy Opadami Nici. Zebrani tu lordowie mogą potwierdzić... — powiedział i skinął głową w stronę stojących na brzegu dziedziców włodarzy — ...że założono już wiele osiedli, w których zamieszkały grupy ludzi przeszkolonych w radzeniu sobie z drapieżnymi zwierzętami, chorobami oraz innymi znanymi wam niebezpieczeństwami. Doskonale wiecie, co może stać się z ludźmi, którym wydaje się, że przeżycie w tych okolicach polega wyłącznie na zebraniu z drzewa następnego posiłku. — Tłum wydał pomruk zgody na tę gorzką prawdę. — Siedliska stałe są przydzielane ludziom przygotowanym do odpowiedniego ich zagospodarowania. Postępujemy tak, jak to robili Starożytni.

— A co wam, jeźdźcy smoków, daje prawo podejmowania decyzji, kto będzie należał do uprzywilejowanej garstki i gdzie się osiedli? — wyrzucił z siebie Toric, znowu szydząc z F'lara. — Karta Starożytnych dawała każdemu prawo do wybierania sobie działki i zakładania własnego gospodarstwa. I ja pragnę tylko zapewnienia wszystkim sprawiedliwego i pełnego wykorzystania przysługujących im praw.

— Lordzie Toricu, czy ty przy tej okazji nie rozszerzałeś swoich posiadłości? — zapytał Asgenar z pozorną łagodnością w głosie.

— Ale skądże znowu. Dlaczego miałbym to robić?

— I nie żądałeś opłat za oferowane siedziby?

— Opłat? O czym wy mówicie? — Toricowi udało się zrobić minę wyrażającą pełne

zdziwienie i oburzenie.

— Chodzi o opłaty! — rzekł F'lar i ręką wskazał na kilku mężczyzn stojących w pierwszym rzędzie.

— No, oczywiście były pewne koszty związane z budową odpowiednich pomieszczeń... — zaczął Toric, lecz przerwał zobaczywszy, że przed gromadę wychodzi jeden z rozrabiaczy, którego już od dawna pragnął się pozbyć z Siedliska Południowego.

Hobson, czwarty syn włodarza z Wysokich Szczytów, był mężczyzną potężnej budowy i obdarzonym stalową siłą woli. Pragnął udowodnić ojcu i innym ludziom, że to on powinien przejąć rodzinne siedlisko. Gdyby Toric był bardziej spostrzegawczy, zrozumiałby, że cechy, które tak go drażniły, stanowiły dumę tego człowieka.

— Mogliśmy sobie zbudować własne siedliska — stwierdził Hobson. — Od momentu, kiedy zaakceptowałeś nas jako osiedleńców, musieliśmy płacić i płacić! — wyrzucił te słowa z wielkim oburzeniem i z tłumionym gniewem. — Płaciliśmy za każdy kęs strawy i każde wzięte do ręki narzędzie. Byłoby nam znacznie lżej, gdybyśmy nielegalnie zajęli te tereny! — Powiedziawszy to rzucił groźne spojrzenie na T'bor, komendanta z Wysokich Szczytów oraz na komendantów z Benden, jakby to oni byli winni doznanych przez niego upokorzeń.

— Nie bylibyście w stanie wznieść odpowiednich schronień — ryknął na niego Toric. — Do ich budowy potrzebne są głazy chroniące mieszkańców przed Nićmi!

— Ale jak powiedziałaś — odparł Hobson, potrząsając pięścią w stronę Torica — Nici nie zdarzają się na tych terenach. My sami widzieliśmy...

— Jednak z chwilą, gdy zetniecie liście z drzew i skosicie trzciny, Nici zaczną przenikać przez nie tak, jak i przez wasze ciała — rzekł T'bor. — Sam tu mieszkałem, więc wiem.

— Och! — zdziwił się Hobson.

— Brak łatwo dostępnych kamieniołomów — dodał F'lar — jest jednym z powodów, dla których nie możecie się osiedlać tam, gdzie chcecie. To zbyt niebezpieczne. Lord Toric wyświadczył wam przysługę, budując z kamienia.

— Uprzejmie dziękuję — odparł szydlerzo Toric.

— No tak, ale za te kamienie płaciliśmy najwyższe ceny — ciągnął Hobson. — Podobnie zresztą jak za wszystko inne, a potem jeszcze więcej za zaopatrzenie pozwalające nam przetrwać niekorzystną porę roku, która zaczęła się w momencie, gdy dobry lord Toric wreszcie wyrwał z nas ostatni grosz. Wtedy dopiero pozwolił nam stąd odejść. — Powiedziawszy to spojrział na Torica prowokująco.

— Niezależnie od pory roku Kontynent Południowy jest lepszy niż Wysokie Szczyty — stwierdził T'bor. — Teraz znamy już twoje zdanie.

Hobson z uśmiechem odwrócił się w stronę T'bora.

— Tego akurat nie jestem pewien, jeżeli sztorm, który przeżyliśmy przed siedmiodniem, miał być próbką czekających nas tu niespodzianek. Wystarczy zresztą to, co się teraz dzieje. — Przyjął agresywną postawę, patrząc groźnie na F'lara.

— My musimy przedstawić swoje stanowisko, Hobsonie, które dotyczy także ciebie — oświadczył F'lar, a jego ugodowy ton i miło brzmiący głos spowodowały, że Hobson nieco złagodniał. — Wiemy, gdzie się osiedliłeś, i jeżeli dowiedziesz swojego prawa do Siedliska, zostanie ci ono oficjalnie przydzielone.

— Bezpłatnie i ostatecznie? — zapytał Hobson i odwracając się od F'lara wyzywająco spojrział na Torica.

— Tak, bezpłatnie i ostatecznie — potwierdził F'lar i skinął głową. Przez tłum przebiegł szmer zadowolenia i pełna napięcia atmosfera zaczęła powoli ustępować.

— To w takim razie po co zostaliśmy wszyscy tu ściągnięci? — zawołał ktoś z placu.

— Czemu królowa zawróciła mój statek? — krzyczał jeden z kapitanów, przepychając się przez tłum. — Czy tak będzie się działo po zakończeniu Przejścia? Czy smoki będą prześladowały uczciwych ludzi?

— Przybyliśmy tu, żeby wszystko uregulować — oznajmił F'lar.

— Nikogo nie krzywdzimy — dodał R'mart, patrząc na gromadę robotników przywiezionych z odległych osiedli. — Chociaż muszą przyznać, że z pewnością zaskoczyliśmy niejednego.

— Królowe są dostatecznie wielkie, by móc zawrócić statek, ale nie odpłynęliście tak daleko, żeby powrót był bardzo kłopotliwy — powiedziała Lessa. — A my... — wskazała gestem na Lordów Włodarzy i komendantów — ...Jesteśmy odpowiedzialni za ukrócenie tak bezczelnych nadużyć.

— Jeźdźcom smoków nie wolno się wtrącać w wewnętrzne sprawy Siedlisk — stwierdził Hobson.

— No tak, ale to właśnie stanowi sedno sprawy — odparł F'lar z szerokim uśmiechem i ręką wskazał na Hobsona. — I pozwól mi powtórzyć to, by każdy pojął różnicę. Tereny, na których byliście osiedlani, nie stanowią niczyjej własności... W każdym razie jeszcze nie teraz. I z całą pewnością nie może nimi dysponować lord Toric.

— Dość już tych bzdur, komendancie! — Cierpliwość Torica uległa wyczerpaniu. Rzucił się groźnie w kierunku F'lara.

Mnementh, siedzący na skale górującej nad dziedzińcem, natychmiast rozpostarł skrzydła i zatraził. Ramoth także podniosła skrzydła i warknęła coś w stronę rozszierzonych spiżowców i złocistych, które natychmiast się uspokoiły. Tłum wstrzymał oddech i zbił się w zwartą gromadę, usiłując znaleźć się jak najdalej od smoków. F'lar wykonał zwinny unik przed ciosem Torica i odskoczył na bezpieczną odległość, przyjmując równocześnie obronną, bokerską postawę. Larad, Asgenar i Jaxom, młodszy i bardziej ruchliwi od pozostałych lordów, otoczyli Torica, chwycili go za ręce i uniemożliwili powtórzenie ataku.

— To, co mamy ci do powiedzenia, Toricu, powinno być przedstawione na osobności — stwierdził Jaxom, ostrzegając brata swojej żony silnym ściśnięciem za ramię.

— Nie mam wam nic do powiedzenia — warknął Toric, usiłując się im wyrwać. — Żadnemu z was!

— Dla nas to nie ma najmniejszego znaczenia — powiedział cichym, wesołym głosem Larad. — To my pragniemy rozmawiać z tobą lub przemówić do ciebie, a ty powinieneś mieć wystarczająco dużo rozumu, żeby wysłuchać nas z uwagą. — Po czym zwrócił się do R'marta. — Pozwólmy już osiedleńcom odjechać. Jeszcze zdążą dotrzeć do swoich siedzib o odpowiedniej porze.

Następnie zmusili Torica, żeby w ich towarzystwie wszedł do dworu. Ramala, żona Torica, bez słowa usunęła się z drogi, gdy Larad i Asgenar wchodzili za Jaxomem do głównej sali dworu. Następnie dotarli tam pozostali lordowie i komendanci. W chwili, gdy grupa przekraczała próg, Toric wyswobodził się i wykonał zwrot, zamierzając zaatakować przeciwników.

Lekko sapiący z wysiłku Groghe, Dekter Lord z Nabol, Toronas z Benden i surowy Oterel z Tillek stanęli na przodzie, a jeźdźcy smoków utworzyli za nimi obszerne półkole.

— Nie wolno ci, Toricu, wykorzystywać nieobecności na decydującym posiedzeniu do ignorowania postanowień, które na nim zapadły — rzekł Groge. — Miałeś wówczas okazję...

— Ech! — mruknął szyderczo Toric.

— Tak, miałeś okazję. W trakcie trwania posiedzenia — dodał Oterel. — Zanim zapadły jakiegokolwiek decyzje...

— Nie wmawiajcie mi takich głupstw — rzekł Toric, nie przyjmując do wiadomości wyjaśnień.

— Chcę ci powiedzieć, że nie byłem zdecydowany, jak mam postąpić — stwierdził Laudey z Igen. Nieważne, co sobie teraz myślisz, ale w takiej samej rozterce byli obecni tu Bargaen i Begamon. Nie mieliśmy jednak wątpliwości, że żaden z nas — dodał po chwili, wskazując gestem na Lordów Włodarzy — nie mógł być uważany za bezstronnego w sprawie

rozdziału ziemi. Żaden z nas także nie miał żadnej możliwości zrobienia inwentaryzacji wolnych terenów.

— Przecież Starożytni pozostawili wszystkie te mapy...

— Są zdezaktualizowane i nie zawierają potrzebnych nam danych.

— Więc pozwoliliście to zrobić jeźdźcom smoków...

— Składając Radzie szczegółowe raporty.

— Takie same, jakie dostawałeś od Piemura — dorzucił żartobliwym tonem Corman z Keroon.

— Które on przekazał Głównemu Harfiarzowi — przemknęło przez głowę Toricowi.

— Sprawozdania o terenach za twoimi posiadłościami, to oczywiste — powiedział Groghe. — Opracowaliśmy szczegółowe procedury, sporządziliśmy listy potencjalnych kolonistów, w każdej grupie miał się znajdować co najmniej jeden czeladnik z każdego Cechu, co zapewniałoby możliwość korzystania z jego umiejętności. Miałeś dokładnie taką samą szansę jak każdy z nas, żeby zapobiec nadużywaniu posiadanych już wcześniej informacji o najlepszych terenach osiedleńczych.

— Dane o tych obszarach zostały powielone i udostępnione w pełnych kompletach — dodał Larad — żeby udowodnić, iż jeźdźcy smoków nie korzystają z żadnych specjalnych przywilejów. Zauważyć można nawet pewną prawidłowość, iż na ogół występują oni o tereny, które nas nie bardzo interesują.

— Odrażające! Co ty też wygadujesz.

— My także — ciągnął spokojnie Groghe — nie traktowaliśmy w żaden specjalny sposób naszych nie posiadających ziemi synów. Ani córek. Ma się rozumieć, że nie dotyczy to ciebie, gdyż dysponujesz wolnymi terenami dla swojego potomstwa.

Toric tylko groźnie spojrzał.

— Tak, być może — powiedział Toronas z Benden. — Najważniejszą sprawą jest to, że nikt, powtarzam, nikt z nas, ani spośród jeźdźców smoków, nie może przejąć ziemi bez zgody pozostałych. Nie wyłączając ciebie. I powinieneś to wszystko, co zostało już powiedziane, potraktować jako obowiązującą instrukcję działania.

— Mam nadzieję, Toricu, że będziesz musiał zastosować się do tych postanowień — stwierdził R'mart — ponieważ my wszyscy — i wskazał ręką na pozostałych komendantów — dopilnujemy, żeby w przyszłości nikt nie złamał tych reguł w taki sposób, w jaki usiłowałeś dokonać tego dziś rano.

— Czy macie zamiar zachowywać się w ten sposób, kiedy już nie będziecie musieli wypalać Nici? Chcecie stać się strażnikami ładu na Pernie? — Toric rzucił prowokujące spojrzenie w kierunku F'lara.

— Tak, w każdym razie na pewno niektórzy z nas będą to robić — spokojnie odpowiedział mu F'lar — oczywiście w przypadku... — tu zrobił znaczącą przerwę — ...kiedy taki nadzór będzie konieczny.

— A czy można zapytać, kto będzie o takiej potrzebie rozstrzygał?

— Oczywiście możesz to zrobić i...

— Zostaną przygotowane odpowiednie instrukcje — przerwał ich dyskusję Larad.

— Zdecydujemy o nich my — powiedział Groghe — jako Rada, a potem zorganizujemy specjalne spotkania, na których w tej sprawie będą mogli wypowiedzieć się wszyscy — włodarze, Cechy i jeźdźcy smoków. A może na takie spotkanie również się nie stawisz?

— Przejście się jeszcze nie zakończyło. Czy przypadkiem wasza interwencja nie jest przedwczesna? — Toric kwaśnym tonem zwrócił się do F'lara.

— Lordzie Toricu, po raz kolejny powtarzam, że nie mieszamy się w wewnętrzne sprawy Siedlisk — rzekł F'lar z lekkim ukłonem. — Już wyjaśnialiśmy, na czym polega różnica.

— I chciałbym dodać, że panuje całkowita jednomyślność na ten temat — oświadczył Groghe, a pozostali lordowie zgodnym mruknięciem wyrazili swoje poparcie. — Toric,



dostałeś więcej niż zadowalającą część ziem południowych. Zajmij się wyłącznie nimi, a nie będzie dalszych powodów do niezgody i nieporozumień.

— Nie traktuj go w tak łagodny sposób — powiedział ostrym tonem Oterel z Tillek. — On doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił. I wie, w jaki sposób będziemy postępować w przypadku dalszych najazdów.

— Sprawa Faxa wystarczyła jako nauczka na całe życie — dorzucił z brutalną szczerością Groghe.

— Tak, masz całkowitą rację — powiedział Sangel z Boli i z oburzeniem wzruszył ramionami. — Nie myśl, że pozwolimy, aby taka rzecz znowu się wydarzyła! Dopóki żyję nie dopuszczę do tego!

Toric wyniosłym spojrzeniem zmierzył starego i niezbyt skutecznego w działaniach lorda z Boli, jakby sugerując, że on nie może stanowić wielkiej przeszkody.

— A do tego masz trzy, cztery razy więcej ziemi, niż kiedyś zagarnął Fax — ciągnął Sangel. — Przyjmij moją dobrą radę i ciesz się swoją posiadłością.

Toric obraźliwie parsknął.

— Czy już zakończyliście dzisiejsze kazania?

— W związku z tym, że byłeś uprzejmy wysłuchać — stwierdził Larad z wystudiowaną uprzejmością — tego, co mieliśmy ci do zakomunikowania, możemy już wracać do swoich domów.

— Ostrzeżliśmy cię — poważnym tonem dorzucił Laudey z Igen. — Swoje skargi będziesz mógł przedstawić na następnym posiedzeniu Rady i poddasz się jej decyzjom.

— A jeżeli nie?

— Nie wydaje mi się, żebyś chciał się tego naprawdę dowiedzieć — oświadczył R'mart z Talgar, a na jego twarzy pojawił się jadowity uśmiech. — Tak, jestem przekonany, że nie chcesz się tego dowiedzieć. — Odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali, za nim podażyła jego towarzyszka życia oraz jeźdźcy i jeźdźczynie królowych i szpizowców.

— K'van! — ryknął Toric, i kiedy młody komendant zjawił się przed jego obliczem, podniósł do góry zaciśniętą pięść. — Jeżeli kiedykolwiek zobaczę chociaż jednego z twoich jeźdźców w pobliżu tego Siedliska...

— Zapewniani cię, Lordzie Toricu, że z pewnością do tego nie dojdzie — wyjaśniał K'van z łagodnym uśmiechem na twarzy. — Byłeś zbyt zajęty, żeby zauważyć pustą Strażnicę. Przenieśliśmy się w znacznie lepsze, dotychczas nie zajęte jeszcze miejsce.

— Posiadamy na to oficjalną zgodę Rady Lordów Włodarzy — uzupełnił Larad. — Żegnaj cię, lordzie Toricu z Siedliska Południowego.

## ROZDZIAŁ XIV

Readisowi udało się odnaleźć nadmorskie jaskinie, które kiedyś widział z pokładu „Pomyślnego Wiatru”. Wybrał najodpowiedniejszą do swoich potrzeb i w miarę skromnych możliwości starał się ją urządzić. Niektóre jej otwory w czasie wysokiego przypiływu były zalewane, ale to stanowiło zaletę dla przyszłej siedziby delfinarzy. Cały szereg jaskiń i grot znajdował się u podstawy stromych nadbrzeżnych skał. Jaskinie łączyły się korytarzami z rzeką płynącą głębokim wąwozem, która na mapach pozostawionych przez Starożytnych została nazwana Rubikonem. Większość jaskiń była bardzo nisko sklepiona i dostępna po trudnej wspinaczce po zdradziecko chwiejących się głazach. Tylko jedna jaskinia nadawała się od biedy do zamieszkania i dzięki wyżłobionemu przez morze przejściu mógł do niej wprowadzić Delky'ego i urządzić mu rodzaj stajni. Dalej półka skalna prowadziła do dwóch wewnętrznych komór, z których jedna wydawała się odpowiednia na urządzenie w niej sporego mieszkania. Obie znajdowały się powyżej śladów pozostawionych przez przypiływ morza.

W drodze do tych jaskiń musieli przeczekać pierwszy Opad Nici pod nawisem skalnym i Delky drżał ze strachu, kiedy Nici z sykiem spadały o cal od jego boku.

Readis miał bardzo wiele czasu, żeby żałować swojego nagłego odejścia z domu. Rozmyślał też o wielu przedmiotach, które powinien był zabrać ze sobą, a które teraz ułatwiłyby mu organizowanie nowego życia. Lecz opuszczenie domu nie było przecież zaplanowane.

Usiłował nie myśleć o innych przykrych sprawach, na przykład o przerwanej nauce, która dawała mu tyle satysfakcji i rozwijała duchowo. Dręczyło go także to, co się z nim stanie po zakończeniu Przejścia. Żałował utraty dostępu do bogactwa informacji zawartych w pamięci Assigi i możliwości skopiowania zniszczonych stron w podręczniku Persellana jak również dodania informacji o leczeniu delfinów. Troszczył się o to, w jaki sposób T'lion zakończył swój konflikt z uzdrowicielem i jaka kara spotkała go od komendanta Strażnicy. Najbardziej jednak martwił się o Cori i Angi. Czy szwy założone przez T'liona były dostatecznie mocne? Czy młode stworzenia wyzdrowiały? Kto się nimi zajmował? Jak uda mu się skontaktować ze stadem zamieszkującym te wody? I czy delfiny uznają za stosowne zawiadomić innych ludzi o tym, że on tu mieszka. Przecież wszystko to robił z myślą o nich, dlatego znalazł te nadmorskie jaskinie z łatwym dostępem od strony wody. Spokojne zagłębienia zalewane przyływami będą się znakomicie nadawały do opiekania się w ich wodach chorymi delfinami, a przy długiej półce skalnej przed jaskiniami będzie wystarczająco dużo miejsca, by bez ścisku rozmawiać z całym stadem. Pod półką morze było głębokie... w każdym razie nurkując nie sięgał dna.

Wielki Prąd przepływał w dużej odległości od tego miejsca, za daleko, żeby delfiny, które tam lubiły pływać, mogły zobaczyć Readisa. Nigdy się nie dowiedzą, że przebywa tu człowiek. Readis nie miał dzwonu ani żadnej możliwości, żeby go zdobyć. Gdyby tu zjawił się T'lion z Gadarethem, to smok zdołałby zwabić delfiny swoim trąbieniem. Na pewno jednak jeździec spizowca został wyznaczony wyłącznie do zadań na terenie Strażnicy. Readis miał nadzieję, że T'lionowi nie zakazano kontaktowania się z delfinami. Z całą pewnością T'gellan zrozumiał, jaka to ważna sprawa... A jednak nie znalazło to akceptacji jego własnych rodziców, pomyślał nagle Readis, dlaczego więc komendant Strażnicy miałby zajmować sobie głowę delfinami? Chociaż z drugiej strony to właśnie delfiny ostrzegły jeźdźca Path, że Mirrim jest w ciąży, i potem urodziła dorodnego syna. Ale czy to miałyby wystarczyć?

Prawdopodobnie nie. Jego rodzice nie pamiętali o tym, że delfiny w czasie sztormu uratowały jego i Alemiego. Ale to wydarzyło się już tak dawno.

Readis nie miał wiele czasu na rozmyślania. Musiał zdobywać żywność, co o tej porze roku oznaczało długie i często daremne poszukiwania. Główny sezon zbiorów już minął. To, co udało mu się znaleźć, musiał magazynować, rozglądał się więc za złożami gliny, którą wreszcie odkrył nad brzegiem strumyka. Ulepił z niej kuchenne naczynia i dla utwardzenia wypalił w ognisku. Musiał kilkakrotnie próbować, zanim udało mu się zrobić dzban i miskę, które nie przepuszczały wody. Miał więcej wiadomości teoretycznych, niż mógł je wykorzystać w codziennym życiu. Zdołał sobie zrobić materac z liści paproci, dzięki czemu bardzo wygodnie mu się spało, a z cienkich traw utkał przykrycie. Grubsze posłużyły mu do uplecenia liny, którą uwiązywał Delky'ego, gdy nie chciał, żeby biegus opuszczał jaskinię. Z włosów z jego ogona sporządził żyłkę do wędki, czego zresztą nauczył go Wulemi. Nóż przytroczony do pasa nieustannie ostrzył i miał nadzieję, że stalowe ostrze wystarczy mu do czasu zdobycia nowego. Ostrząc go widział, jak klinga codziennie staje się coraz węższa. Szukał największych orzechów palmowych, robił w nich dziury i wypijał sok, a skorupy zachowywał jako naczynia na wodę. Wiele osób uważało sok z orzechów za smakołyk i wiedział, że Swacky po przefermentowaniu robił z niego napoje na przyjęcia z okazji ostatniego dnia siedmiodnia, ale jemu ten płyn nie smakował — był za słodki i niemal

wywoływał mdłości. Odżywiał się rybami, przybrzeżnymi mięczakami i od czasu do czasu znajdował gniazda dzikiego ptactwa, więc jego dieta zawierała dostateczną ilość białka. Nie nastąpiła jeszcze pora lęgów latających jaszczurek, chociaż dokładnie przeszukiwał każdą piaszczystą zatokę, na jaką natrafiał w czasie swoich wypraw po okolicy. To był naprawdę zły sezon na lęgi jaszczurek. Nigdy dotąd nie chciał mieć latającej jaszczurki, ale teraz na pewno by mu się przydała. Delky nie był zbyt dobrym towarzyszem. Tak więc, zanim zdoła nawiązać kontakt z delfinami, będzie mógł rozmawiać wyłącznie z samym sobą.

Na ogół bywał zanadto zajęty, żeby odczuwać samotność, a wieczorami tak zmęczony, że dobrze spał, mimo nachodzących go rozterek. Dla nawiązania kontaktów z delfinami musiałby wypłynąć bardzo daleko w morze, ale nie był jednak na tyle szalony, żeby ryzykować taką wyprawę nie zabezpieczywszy się kamizelką ratunkową. Pewnego razu znalazł włóknistą roślinę, z której robiono takie kamizelki. W ciągu kilku dni zaprojektował i wykonał jedną na swój użytek.

Z rybich ości zrobił igły i przy pomocy niezgrabnych, lecz mocnych ściągów uszył zadowolający strój zabezpieczający. Następnego ranka przeprowadził tak długą próbę, że pływające w pobliżu ryby przyzwyczały się do jego obecności i zaczęły go szczypać w palce nóg. Wykazywały tym niezwykłą odwagę, gdyż wcześniej nałapał ich już bardzo dużo. Kamizelka pod koniec próby unosiła go równie dobrze jak na początku, nabrał więc pełnego zaufania do jej skuteczności. Przygotował dla Delky'ego dostatecznie dużo paszy i wody w jego glinianym garnku... garnek ten jednak lekko przeciekał i pewne miejsca na jego powierzchni stały się wilgotne, zanim Readis ponownie włożył na siebie kamizelkę ratunkową.

Tego dnia morze było zupełnie spokojne, tylko lekkie podmuchy wiatru marszczyły jego powierzchnię. Mógł się już nie zdarzyć podobnie piękny dzień w tym sztormowym sezonie. Po raz ostami więc sprawdził węzły na swojej kamizelce ratunkowej, wszedł do morza i skierował się w stronę głębin. Zaczął płynąć, wykonując energiczne ruchy. Jeżeli dopisze mu szczęście, wróci na grzbiecie delfina.

Gdy oddalił się już na znaczną odległość od brzegu, zaczęły go ogarniać wątpliwości. Poczł zmęczenie ramion, a jego oddech stracił równy rytm. Przestał płynąć dalej, przewrócił się na plecy i oparł szyję na kołnierzu kamizelki. Zamknął oczy, broniąc się przed oślepiającym blaskiem słońca, ale nawet pod powiekami czuł jego siłę. Po jakimś czasie zaczął znowu równo oddychać. Nigdy nie bał się wody i także w tym momencie nie napawała go ona strachem. Niewielkie fale od czasu do czasu zalewały mu twarz, ale wtedy tylko wydmuchiwał wodę z nozdrzy bez zmieniania pozycji. W ten sposób wypoczywał, lekko kołysząc się w rytmie fal. Mógłby niemal zasnąć oczarowany łagodnym ruchem. Szeroko rozłożył ramiona i zaniechał nawet lekkiego poruszania dłońmi. Musiał dobrze odpocząć przed wyruszeniem w powrotną drogę.

W pewnej chwili poczuł w wodzie pod sobą jakiś ruch. Przybrał pozycję pionową i nogami namacał śliski przedmiot, dostrzegł też potężną sylwetę kierującą się ku powierzchni morza. W tym momencie zobaczył w pobliżu kilka płetw delfinów. Nagle tuż przed nim wyłonił się z wody roześmiany pysk,

— Ocalić człowieka? Nie ma sztorm. Niedobrze daleko od ląd?

— Szukałem was.

— Szukać Cal? — donośnie pisnął zdziwiony delfin i przepłynął koło Readisa, nie spuszczając z jego twarzy błyszczącego czarnego oka. — Kto ty?

— Cal, ja jestem Readis.

Delfin gwałtownie wrócił i zatrzymał się tuż przed nim.

— Stada szukać Readisss.

— Naprawdę mnie szukają?

— Wszystkie stada szukać Readis — powtórzyła Cal i zanurkowała. Ogromnie zaskoczyła

tym Readisa, a ponieważ nie chciał, żeby go odnaleziono, więc równie szybko zanurkował i mocno złapał Cal za lewą płetwę. Usiłował jej przeszkodzić w wystaniu po wodzie wiadomości.

— Nie mów innym stadom, że mnie odnalazłaś — powiedział do niej, prawie przyciskając swoją twarz do pyska zwierzęcia.

— Nie mów? — Delfinica obróciła głowę tak, że mogła wpatrywać się swoim bystrym okiem w Readisa, a całe jej zachowanie wskazywało na bezbrzeżne zdumienie. — Ty zgubiony! Ty znaleziony!

— Nie zgubiłem się. Nie chcę być odnaleziony. Nie przez ludzi.

— Jesteś człowiekiem. Ludzie trzymają się razem. Żyją w stadach na lądzie. W morzu tylko odwiedzają delfiny. Nie mieszkają w wodzie. To delfiny mieszkają w morzu. — Odpowiedź Cal jak na delfina była bardzo długa, a jej słowa wyrażały szok i najwyższe zdziwienie.

— Pragnę żyć z delfinami, leczyć je, gdy się zranią, po prostu chcę być delfiniarzem.

Bardzo głośny pisk Cal został przerwany wydmuchnięciem fontanny wody przez jej otwór oddechowy.

— Ty być delfiniarzem? — wysoki ton pisku osiągnął crescendo. — Ty być delfiniarzem Cali?

— No, widzisz, dopiero co poznaliśmy się. Jeszcze niewiele wiesz o mnie...

— Delfiniarzem! Delfiniarzem! — piszczała zachwycona Cal. — Czy więcej ludzi znowu zostanie delfiniarzami? Będą pływać ze stadami, polować ze stadami, kontrolować zmiany linii brzegowej ze stadami? Nowe rafy, nowe kanały, nowe rzeczy? Będą przepływać przez otchłań i odwiedzać Tillek?

Wcześniejsze, krótkie zanurzenie Cal widocznie wystarczyło jej do wysłania sygnału wzywającego całe stado. Z różnych stron zaczęły zbliżać się do niej delfiny, płasząc po wodzie, popiskując i cmokając z takim entuzjazmem, że o mało nie utopiły Readisa. Jednak, gdy został wepchnięty pod wodę, zdołał chwycić za jakąś płetwę grzbietową, jak się potem okazało należącą do Cal, i wraz z nią po pewnym czasie wypłynąć na powierzchnię. Woda morska wypełniła nos Readisa i musiał mocno prychnąć, żeby zacząć normalnie oddychać. Postanowił, że musi zdobyć akwalung. Bez niego stanie się ciężarem dla stada delfinów, a nie, jak się spodziewały, pomocnym partnerem.

— Posłuchaj mnie, Cal — powiedział i chwycił delfina za obydwie płetwy, ciągnąc najpierw jedną, potem drugą, żeby zmusić ją do uwagi. — Chciałbym tu zostać. Nie mów o mnie ludziom.

— Dlaczego? — Cal była ogromnie zdziwiona, a inne delfiny wysuwały głowy przysłuchując się ich rozmowie.

— Po prostu pragnę tu być sam ze stadem. Uczyć się, żeby zostać delfiniarzem.

— Bez długich stóp — odezwał się jakiś delfin. — Delfiniarze mieli długie stopy.

— Można wiedzieć, jak masz na imię? — zapytał Readis, łapiąc go za jedną płetwę.

— Ja Delfi.

Następnie wszystkie inne zaczęły z piskiem wymawiać swoje imiona: Tursi, Loki, Sandi, Tini, Rena, Leta, Josi. Trącały go pyskami lub zbliżały się do niego z rozpostartymi płetwami. Z wielkiej uciechy stale go oblewały wodą.

— Hej, hej! — Podniósł ramiona, prosząc zebrane zwierzęta o spokój. — Zachowujcie się spokojnie, bo możecie mnie utopić.

— Nie utopić pośród delfinów! — zawołała Delfi i z piskiem zanurzyła się w morzu.

— Oczywiście, że mnie utopicie, ja na czubku głowy nie mam otworu oddechowego!

Ta uwaga wywołała wiele pisków i cmokania. Delfiny uznały ją za znakomity żart. Readis zaś pomyślał, że jego wielka idea zostania delfiniarzem wcale nie była taka dziecinna. W każdym razie delfiny ją zaakceptowały. Czymże było jednak jego postanowienie, żeby opiekować się delfinami, skoro nie obchodziło to innych ludzi zamieszkujących tę planetę!

— Odkryłem jaskinie z wejściami od strony morza i rozlewiska doskonale nadające się do spotkań z delfinami, a chore stworzenia mogą się tam zgłaszać na leczenie. Potrafię też wycinać ryby–pijawki oraz zaszywać rany. Chcecie zobaczyć te jaskinie?

— Zobaczyć, zobaczyć — odezwał się chór delfinów.

— Który z was mnie tam zawiezie? — zapytał Readis, podnosząc prawą rękę, żeby chwycić za płetwę.

— Ja! — krzyknęła Cal i zaczęła się przepychać w kierunku chłopca.

Nastąpiła ogólna chlapanina i niektóre stworzenia usiłowały odepchnąć go od Cali.

— Zaraz, zaraz, uspokójcie się! Możecie mnie wozić na zmianę — zawołał Readis i poczuł, że ma pełne usta wody. Gdyby nie kamizelka ratunkowa, pewnie nie utrzymałby się na powierzchni.

Prawie natychmiast szamotanina ustała. Dwa delfiny podtrzymały go, dopóki nie zaczął normalnie oddychać, jednak czuł, że mdli go morską wodą, której przed chwilą się opił.

— No, już wszystko w porządku, mówię do całego stada. Dajcie teraz spokój biednemu człowiekowi. Będziecie mnie wieźć na zmianę w ten sposób, żadne z was się nie zmęczy.

— Zmęczy? Co jest zmęczy?

— Och, wyczerpie się, straci siły, pozbędzie się energii. — Readis wykonał gesty, jakby płynął z wielkim trudem. — Jak ludzie, których ratowaliście, wszyscy bardzo zmęczeni po zatonięciu statku.

Z otworów oddechowych wystrzeliły fontanny wody na znak pogardy, dwa delfiny zaczęły się lekceważąco obracać wokół własnej osi.

— Delfiny potrafią opłynąć cały Pern dookoła i nie są wyczerpane — stwierdziła Cal, z uśmiechem jeszcze szerszym niż zwykle. — Dopłyniecie z tobą do brzegu jest łatwe. Łatwe, łatwe, łatwe! — powtarzała, leciutko pocierając nosem twarz Readisa. — No, — zaczynamy. Będą zmiany. Podnieś w górę rękę.

I zaraz potem został odholowany do brzegu, ale ze znacznie mniejszą szybkością niż wtedy, w czasie sztormu, kiedy delfiny przewiozły go na plażę razem z Wulemim. Holujący go członkowie stada ciągle się zmieniali i zawsze jakiś delfin czekał na swoją kolejkę. Zobaczył Cal, która wróciła, żeby ciągnąć go po raz drugi, ale już przed nimi rysowały się kontury brzegu.

— Płyn w prawo... — Readis wskazywał ręką. — No, w prawo na burzę.

— Wiedzieć lewo. Wiedzieć prawo. Cal być mądra!

— No, oczywiście! A byłeś już przy tych jaskiniach?

— Taaak, byyyłam w zalewach. Dobre miejsce. Readis mądry, znaleźć dobre miejsce. — Jej głos rozległ się silnym echem wśród skał i przeraził Delky'ego, który zarżał ze strachu.

— Wszystko w porządku, Delky — zawołał Readis. Chłopiec obawiał się, że spłoszone zwierzę zerwie się z liny uplecionej z winorośli.

— Masz koniaaa? — zapytała Cal, wysoko unosząc się nad wodę, żeby zobaczyć spłoszone stworzenie.

— Konia? — zaśmiał się Readis. — Delky to biegus. A do tego dość nie wyrośnięty. Uspokój się, mały. Wszystko jest w porządku.

— Wygląda końsko — upierała się Cal. — Nazywać się Delky? Delky, ja jestem Cal.

— Biegusy nie mogą mówić, Cal.

— Wielka szkoda. My móc mówić lepiej teraz kiedy rozmawiać z tobą.

— Wydaje mi się, Cal, że ty całkiem dobrze mówisz — rzekł Readis wychodząc z wody. Kamizelka ratunkowa dobrze utrzymywała go na powierzchni, ale otarła mu skórę pod pachami, na ramionach i szyi.

Postanowił wyłożyć ją czymś miękkim. Otarcia bardzo go piekły. Dokuczało mu także pragnienie. — Zaczekaj tu chwilkę, Cal, dobrze?

Podniósł się i musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Nie zdawał sobie sprawy, jak

bardzo był wyczerpany, doskwierała mu także kaleka noga. W tym momencie po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że delfiny nigdy nic nie mówiły na jej temat. Wydawało się, że ta sprawa zupełnie ich nie interesowała.

Chwycił znajdujące się najbliżej naczynie na wodę, wrócił do rozlewiska i zobaczył, że tłoczą się w nim delfiny.

— Czy jest tutaj całe stado?

— Tak, chcemy zobaczyć schronisko człowieka na łądzie — odrzekła Delfi, wynurzając prawie całe ciało z wody, żeby móc lepiej się rozejrzeć. — Ładne miejsce. — Po czym zsunęła się do morza.

— Czy ktoś z was ma do usunięcia ryby-pijawki? — zapytał Readis, pragnąc podkreślić swoją użyteczność dla stada. Czuł się jednak tak wyczerpany, że był wdzięczny widząc brak zainteresowania swoją propozycją.

— My być silne stado — ze zrozumiałą dumą stwierdziła Cal. — Może później. Jak będziemy pływać bliżej brzegu, gdzie ranią ostre skały i inne przeszkody.

— Pamiętajcie, że zawsze chętnie wam pomogę, możecie na mnie liczyć — dodał Readis.

— Nie możesz być delfiniarzem dla całego stada — powiedziała Cal. — To nie w porządku. Zgodnie z tradycją ma być jeden na jeden.

— Dopóki nie znajdę ludzi, którzy zechcą być delfiniarzami, wydaje mi się, że będę musiał być delfiniarzem dla całego stada.

Readisa zaskoczyło odkrycie, że delfiny posiadają taką cechę jak chciwość. Trzeba przyznać jednak, że i smoki, i latające jaszczurki też wykazują pewną zaborczość w stosunku do ludzi, z którymi pracują. Biegusom zwykle jest wszystko jedno, kto siedzi na ich grzbiecie, wprawdzie od czasu, gdy Readis dostał Delky'ego w prezencie, zawsze uważał, że łączy ich rodzaj szczególnej więzi. Psy na przykład potrafiły przywiązać się do pewnych ludzi bardziej, a do innych mniej. Wertując archiwa Assigi dowiedział się, że u zwierząt mogą występować pewne cechy ogólne takie jak instynkt posiadania.

— Jak ludzie mogą wiedzieć, co to znaczy być delfiniarzem, skoro nikt nie orientuje się, kim ty jesteś? — zapytała Delfi.

Gdyby Readis potrzebował jakiegoś dowodu na inteligencję delfinów, to ta uwaga załatwiała sprawę.

— No tak, masz rację, Delfi — powiedział, sadowiac się wygodniej na wystającej skale i machając nogami nad wodą. — Po prostu trzeba rozgłosić wśród ludzi, że tutaj jest delfiniarz i Cech Delfiniarzy. — Readis nie był pewien, w jaki sposób zakłada się nowy Cech, ale mistrz Benelek zrobił to, a także mistrz Hamian, który postanowił wyspecjalizować się w produkcji plastików, materiałów tak powszechnie używanych przez Starożytnych. Ktoś do rozpoczęcia specjalistycznej działalności musi mieć odpowiednie miejsce, zrobić to we właściwym czasie i mieć silną motywację. On spełniał te wszystkie warunki: należało otoczyć troską delfiny, które przez tak długi czas były zupełnie lekceważone przez ludzi zajętych walką z Opadami Nici i zmaganiem o przetrwanie gatunku. — Czy na Ładowisku istniał kiedykolwiek Cech Delfiniarzy?

— Zawsze płyniemy tam, skąd dochodzi dźwięk dzwonu. Czy to nie są siedziby Cechu? — zapytał Tursi. Readis rozpoznał go po całej sieci starych blizn na pysku. Ucieszyło go to, że robił takie szybkie postępy w odróżnianiu poszczególnych członków stada.

— W takim razie ja nie zakwalifikowałbym się... nie mam dzwonu — stwierdził Readis.

— Nie ma dzwonu? Nie ma dzwonu! Nie ma dzwonu! — Wiadomość wędrowała od jednego delfina do drugiego.

— Właśnie dlatego musiałem wypłynąć do was, nie miałem dzwonu, żeby was tu wezwać.

Delfiny zaczęły się porozumiewać pomiędzy sobą w ciągłym ruchu i przy akompaniamencie cmoknięć, syków i wydmuchiwania w górę fontann wody.

— Jutro dzwon — stwierdziła Cal na zakończenie tej tajemniczej dyskusji.

— Bardzo dobrze — odparł przyjaźnie Readis, uśmiechając się i wyciągając rękę, żeby podrapać Cal pod brodą.

— Dobrze drap — poprosiła Cal i nacisnęła dolną szczęką jego dłoń, żeby mocniej ją podrapał.

— Znajdziemy dzwon. — Następnie przeskoczyła ponad pozostałymi członkami stada i wypłynęła z zalanej jaskini.

Tursi podniósł głowę, domagając się takiej samej pieśczoły, lecz nagle równie gwałtownie zawrócił i popłynął za nią, reszta stada zrobiła to samo. Swoje charakterystyczne skoki delfiny zaczęły dopiero po wypłynięciu na głęboką wodę, wolną od podwodnych skał.

Readis obserwował, jak odpływały, i cieszył się z tak dobrego początku kontaktów. Zastanawiał się także nad tym, co delfiny zamierzały zrobić. Przecież dzwony nie rosną na drzewach. Nigdy dotąd delfiny nie wykazywały żadnego zainteresowania wyrobami produkowanymi przez ludzi. Odprężył się po odpłynięciu ryb-przewodników, gdyż był już bardzo zmęczony i głodny. Sprawdził, czy Delky ma wodę, zebrał też dla niego odpowiedni zapas siana na noc. Sam posilił się resztką duszonej ryby pozostałej z poprzedniego dnia i wreszcie mógł się położyć. Zasnął, śniąc o pieśniach delfinów.

O świcie obudziły go jakieś dziwne hałasy. Zdażył się już przyzwyczać do różnych dźwięków, które wypełniały jaskinie podczas przyływów i odpływów, ale te niezwykle odgłosy oraz nerwowe parskania Delky'ego wyrwały go z posłania.

Miał ścierpnięte ramiona i bolały go otarcia skóry, których nabawił się od noszenia sztywnej kamizelki ratunkowej. Zastanawiał się nad tym, czego by tu użyć ze skromnych zapasów ubraniowych do wyściełania jej. Wyciągnął nóż przytroczony do pasa i zajrzał do zewnętrznej komory. Nic tam nie zobaczył, ani nie usłyszał żadnych nowych dźwięków. Delky znowu parskała, ale nie robił już wrażenia przestraszonego. Readis przez nieregularny kształt otworu w jaskini wyjrzał na półkę skalną.

Na kamieniu leżał jakiś ociekający wodą przedmiot. Wilgotne ślady obok świadczyły o tym, że przedmiot położyły tam jakieś mokre istoty. Readis nie zauważył żadnej płetwy grzbietowej ani w wodzie zalewającej pieczarę, ani na zewnątrz. Przeciągnął się, schował nóż do pochwy i wyszedł przyjrzeć się temu dziwnemu obiektowi. Już w połowie drogi do niego zauważył, że od góry jest zaokrąglony, co spowodowało, że w podskokach pokonał resztę odległości i podekscytowany zaczął mu się przyglądać. Ciężki przedmiot bezsprzecznie miał kształt dzwonu, mocno zniekształcony przez nawarstwione na nim osady. Nie miał serca, a we wnętrzu tylko solidną poprzeczkę, na której mogło być ono zawieszona. Przede wszystkim będzie go musiał odczyścić.

— Dzwon, mój własny dzwon — pomrukiwał do siebie. Wszedł do drugiej komory po zrobiony wcześniej młotek i ostre odłamki skał, których używał jako dłut. — Dzwon delfinów czyni prawdziwy dwór delfinów.

W czasie odłupywania grubych pokładów osadu jednym okiem zerkał na wodę przed pieczarami. Delfiny są niezwykle ciekawe, z całą pewnością muszą się tu wkrótce pojawić, żeby zobaczyć, jak został przyjęty ich dar, oraz sprawdzić, czy już wstał i co robi z dzwonem, myślał. Poczul się lekko zawiedziony, że w zasięgu wzroku nie było ani jednej przecinającej wodę płetwy.

Musiał przerwać na chwilę swoją pracę, żeby nakarmić i napić Delky'ego. Wyliczył sobie, że tego dnia nastąpi Opad Nici, więc nie powinni wychodzić na dwór. Pozostawanie w jaskini zabezpieczało ich nie tylko przed Nićmi. Poszedł na polankę, gdzie rosła kępa jadalnych korzonków i wyrwał kilka, pragnąc je zjeść później. Korzonki były tak samo smaczne na surowo jak i po ugotowaniu. Wyciął też odpowiednią ilość trawy do sporządzenia liny i obłamał gałąź z twardego drzewa, żeby zrobić z niej urządzenie poruszające wahadło dzwonu. Zebrał kilka morskich otoczków, z których każdy mieścił się w jego dłoni, z jednego z nich miał zamiar sporządzić wahadło. Przez pewien czas zajmował się więcierzem i

wyciągnął z niego dwie dorodne ryby żółtoogoniaste. Skonstruowanie więcierza na pewno było jego ogromnym sukcesem i błogosławił Wulemiego za nauczenie go prawidłowego wykonywania tego urządzenia. Pogrzebał w palenisku, na gorącej kamiennej płycie postawił garnek, żeby podgrzać w nim wodę, po czym powrócił do pracochłonnego odbijania warstw osadzonych na powierzchni dzwonu. Od czasu do czasu robił przerwy dla odpoczynku, lub by zajmować się przygotowaniem wahadła. Nie trwało zbyt długo, gdy odsłonił metal. Po odłupaniu całego osadu krawędź dzwonu okazała się gładka, ale matowa po tak długim spoczywaniu na dnie morza. Zastanawiał się, czy będzie można dzwon wypolerować. Czy odlany był z brązu? Czy też ze stali? Starożytni produkowali dobre jej gatunki. A może z jakichś innych stopów, z których tak chętnie korzystali.

Oczyszczenie zewnętrznej powierzchni dzwonu zajęło mu prawie cały dzień, a potem nadeszła pora, żeby używając tych samych narzędzi zabrać się do wnętrza. Pracę przerwał tylko na krótką chwilę, gdy usłyszał chrapanie przerażonego Delky'ego i zobaczył, że zwierzę skryło się w najgłębszej części grotu. Na dworze gęsty Opad Nici syczał stykając się z powierzchnią wody. Dostrzegł wynurzone z morza, otwarte pyski ryb czatujące na spadający z nieba pokarm, nie było tam jednak ani jednego delfina. Sprawdził pęta Delky'ego i stwierdził, że są mocno zawiązane i pomimo ogromnego przerażenia, biegus nie wyskoczy z bezpiecznej jaskini. Następnie Readis znowu zabrał się do przerwanej pracy. Nieustannie obijał sobie kostki palców, miał pokrwawione i obolałe ręce. Nie mógł się dostać do osadu znajdującego się w samej kopule dzwonu, ale udało mu się oczyścić wewnętrzną poprzeczkę, co umożliwiło przełożenie liny do zawieszenia wahadła. Przy blasku ogniska oplótł rodzajem siatki z trawy najforemniejszy ze znalezionych kamieni i przymocował do niego linę. Miał kłopoty z przesunięciem jej ponad poprzeczką, gdyż ogień już tak przygasł, że w jego świetle niewiele było widać. Wreszcie, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że nic nie jadtł, odłożył robotę i postanowił dokończyć ją w nocy, żeby nazajutrz rano móc uderzyć w prawdziwy „Dzwon Delfinów”. Oprawił i upiekł żółtoogoniastą rybę. Czekając, aż będzie gotowa, podjadał surowe korzenie, a kiedy wreszcie mógł przystąpić do właściwego posiłku, prawie już zasypiał ze zmęczenia. Poranione i posiniaczone kostki palców coraz bardziej go bolały, odczuwał także skurcze mięśni ramion od długotrwałego odkuwania osadu z dzwonu. Nie dotarł nawet do posłania, ale skulił się obok dogasającego ognia i natychmiast zasnął.

Obudził się drżąc gwałtownie, lecz stało się to raczej z powodu chłodu kamiennej podłogi, na której leżał, niż ze strachu. Jego kaleka noga była zupełnie ścierpnięta i bezwiednie uderzył nią w dzwon, który wydał ciche „bang” i ten dźwięk bardzo go ucieszył. Chwycił za rękęjęć wahadła i bardzo delikatnie zaczął uderzać kamieniem w krawędź dzwonu. Wywoływało to dźwięk daleki od doskonałości, lecz niewątpliwie było to bicie dzwonu! Czy delfiny usłyszą taki przytłumiony sygnał? Powinien teraz zbudować dzwonnice i postarać się o odpowiednio długą linę, żeby delfiny też mogły jej dosięgnąć.

Szybko rozniecił ogień, wypatroszył drugą rybę, zrobił z niej filety i położył na gorącej kamiennej płycie. Następnie podniósł dzwon i wahadło. Po ciężkiej pracy poprzedniego dnia miał lekko opuchnięte palce i operowanie nimi sprawiało mu wielką trudność. Był niemal u kresu cierpliwości, usiłując po raz drugi przepchnąć linę przez niewielki otwór nad poprzeczką wewnątrz dzwonu. Wreszcie zdołał umocować wahadło. Dzwon był gotów.

Zmusił się do zjedzenia ryby — na gorąco była znacznie smaczniejsza. Następnie podniósł dzwon przytrzymując wahadło i wyszedł z nim na skalną półkę nad samą wodą. Obok wejścia do jaskini znajdował się mały występ skalny. Położył dzwon na półce i wrócił do swojego składziku po dłuższy kawałek liny. Na koniec powiesił dzwon i skrzywił się, bo podczas tej czynności wydawał on drobne dźwięki. Delky ze zdziwieniem obserwował Readisa jednym okiem, nie mogąc zrozumieć, co jego pan robi. Miał nadzieję, że biegus nie wpadnie w panikę, gdy rozlegnie się dzwonięcie.

Słońce ledwo się podnosiło nad horyzontem, pomyślał więc, że stado prawdopodobnie



kończy swój poranny posiłek. Nawet gdyby chciał, nie mógłby znaleźć lepszej pory.

Głęboko odetchnął, mocno pociągnął za linę i z uwagą wsłuchał się w jego brzmienie odbijające się echem w pieczarze.

— Nie najgorzej — mruknął do siebie, gdy nieco fałszywe „bang” dotarło do jego uszu. Następnie wydzwonił sygnał „przyływajcie”. Uznał, że dla uczczenia zawieszenia dzwonu sygnał wezwania nie byłby odpowiedni, stanowił on bowiem nakaz pilnego stawienia się, natomiast hasło „przyływajcie” dawało delfinom wolny wybór.

Zupełnie jakby czekały przed pieczarą na najlżejszy dźwięk dzwonu, gdyż natychmiast w wodzie tuż pod półką pojawiły się smukłe, szare kształty.

— Dzwon bije! Bije dzwon! My przyływać. My przyływać! Wezwanie! Wezwanie!

— Nie wezwanie, wy głupiutkie rybie mordy — powiedział Readis śmiejąc się radośnie.  
— Wydzwoniłem tylko sygnał „przyływajcie”!

— My przyływać! My przyływać!

Potem wyrwano mu z ręki linę, gdyż jeden z delfinów zobaczył ją zwisającą do wody i zaczął szarpać z wielkim zapalem.

— Zaraz, zaraz! — zawołał Readis, łapiąc za wahadło. W ciasnej jaskini dzwon huczał jak grzmot. Powinien go umieścić na zewnątrz, bo inaczej może ogłuchnąć od takiego hałasu. Delki cofał się, wierzgając i parszkając z przerażenia.

— Powoli, daj spokój. No, przestań! — Mówił to równocześnie do delfina i biegusa. Bał się, że upleciona z traw lina może nie wytrzymać tak gwałtownego szarpania.

Potem ukląkł na skale i zaczął drapać wszystkie nadstawione podbródki.

— Gdzie znaleźliście ten dzwon? Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy zobaczyłem go wczoraj rano. Oczyszczenie zajęło mi cały dzień.

— Dzwon, dawno zgubiony — powiedziała Cal. — Dawno, dawno, dawno.

Readis uśmiechnął się, słysząc takie określenie czasu. Pomyślał, że będzie je musiał nauczyć stopniowania, chociaż ogólnie rzecz biorąc stado Cal bardzo dobrze posługiwało się ludzką mową, znacznie lepiej nawet od delfinów z okolic Rajskiej Rzeki.

— Czy znaleźliście go na dnie morza?

— My znaleźć, my przynieść dzwon leżący na dnie, ty go dobrze naprawić i bić w niego ładnie — rzekła Loki. Poznał ją po płamce z boku głowy.

— Loki, jesteś prawdziwą poetką! Czy wiedziałaś o tym? — krzyknął zdziwiony Readis.

— Tak, poetka, wiem. No, widzisz!

Readis wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że stracił równowagę i upadł na skalną półkę. Powtarzał jej słowa, a delfiny, wśród cmokania i pisków, z rozradowanymi pyskami obserwowały jego zachowanie.

— Już masz dzwon. Teraz potrzebujesz długich stóp, maski i butli, żebyś mógł daleko pływać ze stadem.

Te słowa natychmiast przywróciły Readisa do rzeczywistości.

— To będzie kosztować więcej marek, niż mam... — I nagle chłopiec zdał sobie sprawę z tego, że oszczędności zostawił w swoim pokoju w internacie. Jeżeli mistrz Samvel potraktował jego długą nieobecność jako rezygnację z nauki, to pewnie odesłał jego rzeczy do domu rodziców. W każdym razie w obecnej sytuacji marki były nieosiągalne, podobnie jak i akwalung. — Teraz nie mam pieniędzy, żeby kupić akwalung, nawet gdyby były już produkowane.

— A nic nie zostało z dawnych czasów? — zapytała Cal.

— Jeżeli masz na myśli sprzęt z czasów Starożytnych, to nic. Sprzęt do nurkowania nie jest tak trwały jak dzwon. Powiedz, gdzie go znaleźliście?

— W miejscu zatonięcia w czasie sztormu statków z Dunkierki — spokojnie odrzekła Cal, jakby chodziło o wydarzenie z obecnych czasów, a nie sprzed prawie dwóch i pół tysięcy Obrotów.

— I wy wiecie, gdzie się to stało?

— Ciągłe znajdujemy człowiecze przedmioty, kiedy zły sztorm porusza dno — odparła Cal, czym niesłychanie zdziwiła Readisa.

— W jaki sposób możecie pamiętać coś, co wydarzyło się tak dawno, dawno, dawno temu? — zapytał, w zadumie drapiąc japo brodzie.

— To Tillek. Przechowuje historię we własnej głowie.

— No, nie opowiadaj mi, że istnieje delfin liczący sobie dwa tysiące pięćset Obrotów życia.

— Nie, nie mówić nic, co nie jest prawdą. Ona to wie od jej Tillek.

— Ach, więc wy macie coś w rodzaju Cechu Harfiarzy?

— My mamy Tillek — zdecydowanym głosem powtórzyła Cal. — Musisz mieć oddychacz, żeby się spotkać z Tillek. Musisz popłynąć i zobaczyć Tillek.

— Bardzo bym pragnął to zrobić. Kiedy tylko będę odpowiednio przygotowany — westchnął Readis. — Jeżeli to w ogóle nastąpi.

— Jeżeli masz być delfiniarz, to musisz spotkać Tillek — jeszcze raz wypowiedziała to z taką energią, że Readis w zadumie uśmiechnął się do siebie.

— Ja już być delfiniarz. Mam dzwon. Mam pieczarę. Mam was! Czy wczoraj smakowały wam Nici?

— Jedzenie dobre, dobre, dobre — pisnął jakiś inny członek stada. — Źle, źle, źle ludzie nie jeść Nici.

— Niestety, kochani, tak już jest na tym świecie — powiedział Readis i po chwili dodał, czując, że mu kiszki marsza grają — no właśnie, teraz też powinienem coś zjeść.

Wielka ryba tęczowa spadła na skalną półkę. Instynktownie chwycił ją za skrzela, zanim zdążyła zeskoczyć do wody. Po chwili na półce znalazła się druga, potem duży liść, dwie piękne muszle oraz jakiś przedmiot oblepiony skorupiakami.

— Ty jeść, potem razem pływać. Mnóstwo rzeczy do pokazania!

— Nie mam długich stóp, nie mam aparatu do oddychania. A poza tym... — zaczął skarżyć się na otarcia od kamizelki ratunkowej. Bardzo nie chciał jej znowu zakładać, by nie podrażnić dopiero co zaschniętych ran.

— Ty delfiniarz! Twoje stado dopilnuje bezpiecznego pływania — powiedziała Tursi z takim przekonaniem, że Readis mógł się tylko roześmiać.

W czasie pieczenia tęczowej ryby zajął się też Delkym. Po zjedzeniu śniadania, zebrał zapas drzewa na ognisko, a węgiel drzewny przykrył mokrymi, morskimi wodorostami. Podrapał po podbródkach i poklepał czekających członków stada. Od czasu do czasu któryś z delfinów pociągał za linę, żeby usłyszeć dźwięk dzwonu. W końcu Delky na tyle oswoił się z jego brzmieniem, że na dzwonienie ledwo reagował strzyżeniem uszu.

To „mnóstwo”, które delfiny miały do pokazania, związane było z wodami przybrzeżnymi aż do głębokiego kanionu rzeki zwanej przez Starożytnych Rubikonem. Dotarcie do tych terenów było bardzo interesujące, lecz wymagało długich godzin pływania ze stadem. Gdy Readis potrzebował słodkiej wody, delfiny potrafiły odnaleźć miejsca, gdzie do morza wpadały małe potoki i strugi. Delfiny zaopatrywały go także w ryby i przynosiły mu w prezencie różne przedmioty, które przyciągnęły ich uwagę. Usunął im zaledwie cztery ryby-pijawki, więc wydawało mu się, że nie zasługuje na jakieś specjalne upominki, ale był im wdzięczny za wszystko, co mu ofiarowywały. Kiedyś dostarczyły mu „przedmiot ludzki” — plastikową skrzynkę z odbitym jednym bokiem. Po oczyszczeniu jej z warstwy błota, ukazał się tak żywy kolor, jak w dniu wyprodukowania. Zawiadomiły go, że wiedzą, gdzie znajduje się więcej takich przedmiotów. W ciągu następnych kilku tygodni dostał siedem skrzynek, z których trzy wypełniały teraz rozmaite „skarby”.

Nadeszła pora zimowych sztormów, więc bywały dni, w których pływanie ze stadem było

niewskazane. Morze potężnymi falami zalewało skalną półkę, musiał więc Delky'ego wprowadzać do swojej jaskini. Szalejące wichury docierały do każdego załomu skalnego i wyły tak głośno, że musiał uszy zatykać kłębkiem wykonanym z włóknistych roślin. Kiedy w czasie odpływu wychodził na kamienną półkę, niezmiennie znajdował tam podrzucone w prezencie ryby. Niekiedy jako specjalny dar dołączane były także gałęzie ze znajdującymi się na nich owocami. Bardzo dziwił go fakt, że delfiny wiedziały, co mogą jeść ludzie.

W czasie pierwszych sztormów wszął podkładki w ocierających go miejscach kamizelki ratunkowej. Nosił ją jako „przedmiot ludzki”, tak im to wyjaśniał, ale tak naprawdę to kamizelka wiele razy uchroniła go od przytępienia, kiedy jego towarzysze zbytnio rozszaleli się w swoich wodnych akrobacjach. Delfiny zaczynały się uczyć, w jaki sposób mają z nim pływać, żeby nie znaleźć się ani nad nim, ani pod nim, i nie utrudniać mu poruszania się. Nie mogły zrozumieć, dlaczego wiele czasu musiał spędzać na lądzie, i były zdziwione, że jego skóra marszczyła się i czasami schodziła całymi płatami. Nauczył je kwalifikowania tych problemów jako „ludzkich” w odróżnieniu od „delfinich” lub „morskich”. Prowadził również eksperymenty z „długimi stopami”, które jak umiał wystrugał z drewna i przyczepiał do nóg za pomocą linek uplecionych z mieszaniny traw i włosia z ogona biegusa. Ich konstrukcja była jednak zbyt prymitywna, i albo spadały, ponieważ nie potrafił wyrzeźbić w nich „kieszeni” na stopy, albo też obijał nimi boki delfinów. Nigdy z tego powodu nie narzekały, ale widział ciemniejsze miejsca na ich skórze i wiedział, że były to ślady po uderzeniach jego drewnianych płetw.

Dni miał tak wypełnione zajęciami związanymi z morzem, że zastanawiał się, czy nie wypuścić Delky'ego na wolność. Uważał, że nie powinien trzymać go w jaskini. Pewnego dnia wykręcił się od popłynięcia ze stadem i przy pomocy wszystkich uplecionych przez siebie lin ogrodził dla niego wybieg. Miejsce to znajdowało się blisko jaskini, ale było tam mnóstwo trawy, a stary biegus mógł się schronić w cieniu przed palącym słońcem. Obok przepływał jeden z licznych strumyków, z którego Delky mógł się napić. Readis prowadził na ścianie jaskini dokładny kalendarz z zaznaczonymi dniami Opadu Nici, zawsze mógł więc biegusa wprowadzić do środka, gdyby miało mu zagrażać niebezpieczeństwo. Wyprowadzenie Delky'ego z zamknięcia uspokoiło wyrzuty sumienia chłopca, jakie miał z tego powodu. W okolicy nie było innych biegusów, które mogły stanowić pokusę ucieczki, a Delky wykazywał również wielkie zadowolenie z takiego rozwiązania.

Pewnego wieczoru po późnym powrocie do jaskini przeraził się tym, co zobaczył na wybiegu. Było tam pełno śladów krwawej walki, połamane krzewy, na pniach drzew znaki po uderzeniach kopyt. Delky zniknął. Przeszukując całe obejście, żeby sprawdzić, jakie to zwierzę zaatakowało biegusa, natknął się na wyraźne odciski łap i zrozumiał, że jego stary przyjaciel padł ofiarą jednego z ogromnych kotów. Obwinił siebie za lekkomyślność i przez wiele dni był niepocieszony po utracie Delky'ego. Wielkość śladów łap nie pozwalała mu nawet myśleć o wyruszeniu przeciwko tej bestii, będąc uzbrojonym tylko w nóż myśliwski. Pamiętał, że ojciec zbierał wszystkich ludzi z Siedliska, gdy urządzał wyprawę na tych potężnych morderców. Po pierwszym okresie żalu, odczuł nieobecność biegusa również z bardziej praktycznych powodów, brakowało mu bowiem długich, mocnych włosów z jego ogona do wyrobu lin.

Zaczął odczuwać także brak odzieży. Najwyraźniej delfiny nie powiadomiły ludzi o jego miejscu pobytu. Bywały takie chwile, pomimo przyjemnej i w pełni go angażującej współpracy ze stadem, że niemal pragnął, by nie usłuchały jego prośby. Lecz w tych momentach Cal, Tursi albo Loki poetka robiły lub mówiły coś takiego, że wypełniała go radość z uczestniczenia w ich życiu, i przygnębienie zniknęło.

Okres najgorszych sztormów minął i Readis mógł już zbierać zielone pędy dostarczające mu tych składników pożywienia, których nie zawierały ryby i korzenie znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie jaskini. Pomyślał, że teraz na wybiegu zrobionym dla Delky'ego

powinien założyć sobie ogródek. Odchody biegusa stanowiły dobry naturalny nawóz. Wiedział, jakie rośliny hodować i skąd wziąć rozsadę. Na jakiś czas zrezygnował z kontaktów ze stadem i zabrał się za urządzenie warzywnika. Wtedy właśnie natknął się na ogon Delky'ego. O mało nie zrezygnował z zabrania go do jaskini. Miał wielką chęć pochować go w symbolicznym geście uczczenia pamięci czworonożnego przyjaciela, ale zdrowy rozsądek zwyciężył sentymenty. Długie włosy zwinął w kłęb i wsunął do torby, którą miał ze sobą.

Wracając do jaskini usłyszał głos dzwonu. Obwieszczał on sygnał wezwania, ruszył więc biegiem, z taką szybkością, na jaką mógł sobie pozwolić niosąc cenne pędy i rozsadę jarzyn, które zamierzał posadzić w ogródku. Ciągłe pływanie bardzo wzmocniło mięśnie jego kalekiej nogi, biegł więc dosyć szybko, ale gdy dobiegł do swojej pieczary, prawie nie mógł oddychać.

Tylko jeden delfin szarpał linę dzwonu, co go bardzo zaskoczyło. Był to największy okaz jaki w życiu widział. To powinno stanowić dla niego ostrzeżenie.

— Tu jestem, tu jestem! — wykrztusił z siebie, nie mogąc złapać oddechu. Przed zbliżeniem się do wody oparł swój pakunek o ścianę wewnątrz jaskini. — Czy któreś z was jest ranne? Gdzie jest Cal? Tursi?

— One przyjsć, kiedy ja dzwonić — odparła delfinica, podnosząc nad wodę swoją wspaniałą głowę.

— Jesteś ranna? Czy pasożytyją na tobie ryby–pijawki?

— Tak, przyplęnąłam do ciebie usunąć ryby–pijawki — odparła. — Nie można ich wyciąć — obróciła się na bok i wtedy zobaczył pasożyta przyssanego niebezpiecznie blisko jej organów płciowych.

— Dobrze się stało, że wyostrzyłem mój nóż — powiedział i zsunął się do wody. — Podpłyn tutaj. Jak ci na imię? — zapytał, płynąc w kierunku podwodnej skały, która zapewniała mu wygodne miejsce do stania w czasie wykonywania zabiegów na delfinach. — Lubię znać imiona moich pacjentów — dodał jowialnym głosem, co miało stwarzać dobry nastrój w czasie zabiegu.

— Nazwali mnie Teresa — odparła z lekkim bulgotem, bo stale była tak nachylona, żeby znaleźć się jak najbliżej jego.

— O, to bardzo ładne imię. Jedno z oryginalniejszych, prawda? A ja jestem Readis.

— Twoje imię wszyscy znają. Ty sam nazywasz siebie delfiniarzem.

— Naprawdę dobrze znasz ludzką mowę, Tereso — ciągnął Readis, zwinnie operując palcami w czasie zabiegu i kontrolując, jak głęboko znajdują się przyssawki pasożytów. Teraz często zdarzało mu się usuwać ryby–pijawki bez wcześniejszego odcinania im głów. Jeżeli zdołał przekłuć ich delikatną czaszkę we właściwym punkcie, przyssawka sama się odczepiała. Znalazł to miejsce na wypasionej rybie i nacisnął je cienkim ostrzem. Udało mu się usunąć pasożyta w całości. Rzucił rybe–pijawkę o ścianę skalną. Zsunęła się po niej i po kilku konwulsyjnych ruchach zastygła z szeroko otwartą, zakrwawioną przyssawką. — Zawsze jestem rad, kiedy mogę usunąć wam te paskudztwa. — Popatrzył na maleńki otwór i chlapnął wodą morską na bok delfinicy, żeby opłukać ranę. — To wkrótce powinno się całkowicie zagoić.

— Bardzo dziękuję, to było wspaniale zrobione, uzdrowicielu delfinów.

— Ach, ja naprawdę nie jestem uzdrowicielem, chociaż już potrafię wykonywać drobniejsze zabiegi — rzekł Readis, myjąc ostrze noża przed schowaniem go do pochwy. Przy okazji stwierdził, że potrzebna mu będzie nowa, gdyż skóra była mocno uszkodzona przez wodę morską. Z jakiego materiału robili je Starożytni? Czyżby z jakiejś odmiany licznie posiadanych przez nich plastików?

— Słyszałam o poważnych zabiegach. — Oddaliła się nieco, tak żeby móc dobrze go widzieć.

Uśmiechnął się do niej, gdyż przyzwyczał się do takiego zachowania delfinów. Była

wielką samicą. I starą, sądząc po ilości blizn na sklepieniu głowy, wszystkie wyglądały na dawno zagojone. Może będzie miała młode? I poród nastąpi już wkrótce? Żadna samica z jego stada nie była brzemienna. Marzył o tym, żeby być obecnym przy porodzie, to taki magiczny moment, a szczególnie na morzu.

— Nie myśl, że nie chciałbym wykonywać poważnych zabiegów — powiedział Readis, opierając się o ścianę skalną na brzegu zalewiska. Ciągle mocno stał na podwodnym głazie. — Może udałoby mi się uzyskać dalsze szkolenie... ale potrzebowałbym więcej osób będących delfiniarzami, zanim mógłbym sobie pozwolić na chwilowe opuszczenie stada.

— Nie jesteś jedynym delfiniarzem — zdziwiła go swoim stwierdzeniem.

— Nie jestem jedyny? — wyprostował się gwałtownie na całą swoją wysokość.

— Są delfiniarze w Strażnicy Wschodniej, w Zatoce Monako — była jedynym delfinem prawidłowo wymawiającym tę nazwę — w Rajskiej Rzece, Siedlisku Południowym, Iście, Tillek, w Forcie i w Zatoce Nerat...

— Naprawdę? — Zrobiło mu się bardzo przykro. A więc nie stanie się pierwszym współczesnym delfiniarzem. Idea nowego Cechu, o którego założeniu rozmyślał snując odważne plany, po tym jednym, niewinnym zdaniu legła w gruzach. Inni wcześniej wykorzystali jego pomysł. Teraz mógł spokojnie wracać do domu i z pokorą przyjąć karę wyznaczoną mu przez ojca. Pewnie już nie będzie mógł wrócić do szkoły, tę okazję także stracił. A może nawet nie odziedziczy Rajskiej Rzeki. Musi jednak wytłumaczyć matce, że będzie pływał z delfinami. Od tego nie da się odwieść. Nagle zdał sobie sprawę, że ma już prawie osiemnaście lat i może zacząć niezależne życie. A może uda mu się tu powrócić? Przecież zorganizował sobie początki małego gospodarstwa. Jeżeli zdoła zająć dostatecznie dużo terenu wokół jaskini, to zgodnie z Kartą Starożytnych, stanie się jej właścicielem. Będzie mógł pływać z Cal i Tursi, słuchać poematów Loki i...

— No dalej, Readisie, popłynijmy razem — powiedziała Teresa najuprzejmiejszym tonem, jaki kiedykolwiek usłyszał w wykonaniu delfina.

— Nie, przykro mi, Tereso, ale w tej chwili nie mam ochoty na pływanie — pomimo że miał już osiemnaście lat i uważał się za mężczyznę, szloch chwycił go za gardło, odwrócił więc twarz od pełnego zrozumienia wzroku delfina.

Poczuł, że lekko popchnęła go czołem i zrzuciła z podwodnego skalnego oparcia. Niespodziewany upadek do wody spowodował, że zakrztusił się i zaczął kaszleć. Delfinica ustawiła się przodem do otworu pieczary.

— No, Readisie, popłynijmy razem.

— Musiałbym założyć kamizelkę ratunkową — wyciągnął rękę w stronę półki skalnej, gdyż chciał się na nią z powrotem wdrapać.

— Pływając z Teresą nie potrzebujesz kamizelki — usłyszał jej zdecydowany głos i w tym momencie odepchnęła go od brzegu.

— Nie miałem zamiaru ciebie obrazić...

— Nie czuję się obrażona — odparła.

Prawą ręką chwycił za jej płetwę grzbietową. Holowała go w bardzo łagodny sposób, lecz było to mylące, gdyż szybkość, z jaką minęli wejście do zatoki, była naprawdę duża. Na zewnątrz pieczary dołączyły do nich inne delfiny. Cal głową trąciła go w bok i uśmiechnęła się.

— Pomogłeś jej? — zapytała.

— Tak, miała przyssaną groźną rybę-pijawkę i usunąłem ją.

Był ciągnięty z taką szybkością, że woda zalewała mu usta i wciskała słowa z powrotem go gardła. Pokazał gestem, że nie może mówić. Po chwili zobaczył całe stado płynące po obu stronach Teresy. Niektóre delfiny wyprzedzały ich, skacząc i nurkując, jakby eskortowały statek. Za nimi inne również wykonywały swoje ulubione sztuczki, lecz robiły to znacznie spokojniej niż zwykle i nie demonstrowały najbardziej skomplikowanych wyczynów. W

pewnej chwili zauważył Loki, która kiwnęła głową w jego stronę, zanim znowu schowała nos pod wodą.

Teresa płynęła z równomierną szybkością, kierując się prosto w stronę Wielkiego Prądu Zachodniego. Killakrotnie już tam pływał ze stadem i znał jego gwałtowny nurt. Nigdy nie odczuwał tam lęku, gdyż obecność delfinów dodawała mu odwagi.

Dopiero gdy znaleźli się blisko statków, zauważył je i zorientował się, że płyną prosto na nie. Wcześniej potężna sylwetka Teresy zasłaniała mu widok.

Były to dwa statki, jeden „Siostry Jutrzenki”, należący do mistrza Idarolana, a drugi „Pomyślny Wiatr” Alemiego.

— Och, nie chcę tego, Tereso! — Puścił płetwę, ale natychmiast podtrzymała go Cal znajdująca się po jego lewej stronie.

— Trzymaj się mocno, Readisie — powiedziała Teresa, odwracając do niego głowę, żeby nie mógł udawać, że nie usłyszał. — Będziesz dalej ze mną płynął!

— Ona mówić, ty słuchać! — pisnęła dobitnie Cal.

I właśnie wtedy obudziły się w Readisie wątpliwości. Po chwili zdał sobie sprawę ze swojej niedomyślności. Obok nich na morzu pojawiło się więcej stad i wszystkie podążyły w stronę statków, które stały nieruchomo ze zwiniętymi żaglami. Pomimo oszołomienia dostrzegł, że obie jednostki są zakotwiczone. Gdy zbliżyli się, zobaczył, że przy burtach statków przycumowano szalupy, a wszędzie wokół kręciły się grupki delfinów. Nigdy dotąd nie słyszał, że również one mają swoje Spotkania, ale właśnie to określenie przyszło mu do głowy. Zgodnie z tym, co wiedział od Kiba i Afo, stada delfinów zbierały się tylko na północnym zachodzie obok Wielkiej Otchłani, żeby...

— Teresa, ty jesteś Tillek! — zawołał. Płetwa wyslizgnęła mu się z ręki, łyknął wody, zakrztusił się i instynktownie zaczął szukać jakiegoś oparcia. Najbliżej była Tillek — Teresa, ale szukał dalej, gdyż korzystnie z jej pomocy uznał niemal za świętokradztwo.

— Trzymaj się mnie, delfiniarzu — zakomenderowała i coś popchnęło mu rękę do jej płetwy grzbietowej, za którą posłusznie chwycił.

— Nie powinienem tego robić... — wyjąkał. — Tak nie można, przecież ty jesteś Tillek.

Odpowiedziały mu głośnie piski i cmokanie, a byli już tak blisko szalup, że słyszał powitalne okrzyki. Tillek doholowała go do statku mistrza Idarolana i tam zatrzymała się obok szalupy, utrzymując równowagę tylko łagodnymi ruchami płetw. Gdy spojrział do góry, zobaczył swego uśmiechniętego ojca, matkę poważną, lecz jednocześnie dumną, Alemiego i Kami, robiącą wrażenie, że za chwilę się rozplacze. Za nią stali T'gellan, komendant z Benden, D'ram, promienny T'lion i jakiś nieznan, surowo wyglądający mężczyzna, mistrz Samvel, Główna Harfiarka Menolly i mistrz Sebell. Ojciec i Alemi wyciągnęli do niego ręce.

— Chwyc się, Readisie! — rozkazał Jayge, a chłopiec był zaniepokojony, żeby nie posłuchać. Silne ręce mężczyzn wciągnęły go na pokład. Matka podała mu wielki ręcznik i krytycznym spojrzeniem zmierzyła od stóp do głów swego opalonego syna, jakby nie mogła się nadszpeciwić widząc go w tak dobrej kondycji.

— Dziękuję ci, mamó — wymamrotał i zamilkł, nie bardzo wiedząc co jeszcze ma powiedzieć, bo właśnie Tillek wychyliła się z wody, żeby uczestniczyć we wszystkim. Zanosilo się na coś więcej niż tylko wyciągnięcie z wody krnąbrnego zbiega.

— Oj, Readisie — zaczął mistrz Idarolan, wziął się pod boki i uśmiechnął do niego. — Zmusiłeś nas do długich, lecz szczęśliwie zakończonych poszukiwań, chłopcze.

— Chciałem tylko pomóc delfinom — odparł Readis, kierując swoje słowa do ojca, pomimo obecności tylu dostojnych osób. — Nikt się nimi nie zajmował.

Jayge wziął Readisa za rękę, serdecznie uściśnął i w zadumie powiedział:

— Teraz wiemy o tym, synku. Bardzo szanuję twój postępek tamtego dnia, bez względu na wypowiedziane przeze mnie wówczas słowa i moje ówczesne opinie.

— Nigdy nie powinnam się była do ciebie tak odzywać — wyszeptala Aramina, z oczyma

pełnymi łez.

— Słuchajcie, przyjaciele, nie możemy pozwolić, żeby Tillek dłużej czekała — zauważył mistrz Idarolan. — Zebraliśmy się tutaj na jej prośbę — dodał.

— Na jej... — Readis przeniósł wzrok z postaci Głównego Rybaka, na ciemniejącą pod wodą sylwetkę Tillek.

— Wyraziła życzenie, żebyś został delfiniarzem — wyjaśnił mistrz Idarolan. — Na Pernie nie mieliśmy Izby Delfinów... i przez wiele lat nawet nie pomyśleliśmy o tym, że powinniśmy ją założyć. Tillek wykazała jednak wiele zrozumienia.

— Opady Nici spowodowały wiele problemów dla ludzi na tej planecie — powiedziała Tillek, ale ton jej wypowiedzi sugerował, że nie mogła w pełni zaakceptować zaistniałej sytuacji. Obok niej Readis obserwował liczne stada delfinów, chyba wszystkie z całego Pernu zebrały się tutaj! — Jesteśmy ludziom wdzięczni za wiele spraw. Za historię, za uświadomienie nam, kim jesteśmy, i za ofiarowanie języka, którym możemy się porozumiewać. Mowa jest czynnikiem pozwalającym podnosić poziom rozwoju ludzkości, a nam dała prymat ponad wszystkimi stworzeniami zamieszkującymi lądy i morza.

— A ty, Tereso — Tillek — powiedział Główny Harfiarz Sebell — jesteś moim odpowiednikiem wśród delfinów.

— Nie gram na instrumentach muzycznych. Potrafię, jednak śpiewać stare, wielce pouczające dla młodzieży pieśni, żeby zawsze pamiętała o przeszłości i o starej, pocziwej Ziemi oraz o dziejach tych wszystkich kobiet i mężczyzn, którzy pływali z nami po nowo odkrywanych morzach.

— Readisie, gapisz się z otwartymi ustami — cicho szepnął do niego ojciec.

— Coś tu zostało powiedziane o Izbie Delfinów? — odezwała się Tillek.

— Tak, mówiłem o Izbie Delfinów — potwierdził Idarolan.

— O Cechu Delfiniarzy — powiedział F'lar z Benden. — Występuję tu w imieniu wszystkich Komendantów Strażnic...

— A ja, Oterel z Siedliska Tilleka reprezentuję Lordów Włodarzy... — powiedział pośepny mężczyzna, po czym uśmiechnął się i już nie wyglądał tak groźnie.

— Ja tu jestem z ramienia Cechu Harfiarzy — dodał Sebell. — I oświadczam, że istnieje potrzeba założenia nowego Cechu. Jego siedzibą będą nadmorskie jaskinie położone w..., hej, Readisie, jak nazwiesz to swoje miejsce?

— Co? Nie mam pojęcia. Nie myślałem o tym...

— My delfiny wiemy, że Starożytni nazywali je Kahrain — rzekła Tillek.

— A więc będzie to Dwór Kahrain — zawołał Readis i z radości poczuł, jakby mu serce chciało wyskoczyć z piersi. — Muszę jednak przyznać, że moja obecna siedziba w niczym nie przypomina Dworu. Są tam tylko jaskinie i woda w pieczarach, w których mogę leczyć delfiny. Muszę się też jeszcze dużo nauczyć, zanim zostanę naprawdę dobrym delfiniarzem...

— To już zostało ci przyrzeczone — wtrąciła Tillek, po czym dała nurka i znowu wypłynęła z wody wydmuchując z otworu oddechowego wspaniałą fontannę.

— Dlaczego? Dlaczego właśnie ja? Mówiłaś mi przecież o innych delfiniarzach... — spytał Readis, niemal oskarżając ją o manipulację.

— To my nimi jesteśmy! — T'lon wyjawiał dobrą nowinę. — Gaddie też chce pomagać, a T'gellan pozwolił mi, w czasie wolnym od obowiązków, na przebywanie z tobą i delfinami. Przepisałem także dla ciebie te materiały z zakresu medycyny...

Nagle Readis dostał dreszczy, chociaż grzały go promienie słoneczne i owiewała ciepła morska bryza.

— On bardzo zmarzł i potrzebny mu jest gorący posiłek — powiedziała Tillek. — Teraz odpłyniemy i zjawimy się dopiero, kiedy go ogrzejecie i nakarmicie. — Nie usłyszała, albo celowo nie zwróciła uwagi na głos wzburzonej Araminy, która zawołała: „Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się coś takiego!”, a Tillek ciągnęła dalej: — Doskonale pływasz, delfiniarzu

Readisie. Będiesz Tillekiem i Theą dla wszystkich w swoim Dworze. — To powiedziawszy zniknęła za burtą szalupy. Readis, oszołomiony przebiegiem wydarzeń, wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze niedawno przebywała Teresa. Po chwili zobaczył, jak skacząc i nurkując wśród innych delfinów oddala się od statków.

Readis wdrapał się po drabince sznurowej na pokład „Siostr Jutrzenki” i poszedł do kabiny mistrza Idarolana, gdzie dostał gorącą zupę i gorący klah i wiele innych potraw przygotowanych przez matkę. Dzielnie przebrnął przez cały posiłek z wdzięczności za ten piękny dzień i otrzymane od niej przebaczenie. Ojciec wręczył mu nową koszulę i mruczał coś o innych rzeczach, które dla niego przywieźli i które na pewno mu się przydadzą. Następnie, pomimo nieustannego krztałania się przy nim Araminy, zaproszono go na pokład. Stali tam wszyscy uczestnicy tego niezwykłego rejsu, a marynarze mistrza Idarolana napelniali właśnie kieliszki winem.

— Słuchaj, młody człowieku, mam tu ładunek przeznaczony dla twojego nowego Dworu — powiedział mistrz Idarolan, wręczając Readisowi pełny kielich. — Wiem, że Tillek pragnie prowadzić z tobą dalsze rozmowy...

— Wydaje mi się, że przed wszystkim powinienem porozmawiać z wami — Readis objął wzrokiem wszystkich obecnych, wraz ze swoimi rodzicami. — Nie wiedziałem, że znane wam było miejsce mojego pobytu.

— Poznaliśmy je przed trzema siedmiodniami — stwierdził Jayge, łagodnie kładąc rękę na ramieniu syna. A gdy zobaczył, że Readis podejrzliwie spojrział w kierunku morza, dodał: — Nie, to nie delfiny powiedziały nam o tym.

— Codziennie latałem poszukując ciebie, aż kiedyś dostrzegłem te nadmorskie jaskinie i pomyślałem, że są idealnym miejscem dla ciebie i delfinów. I nie myliłem się — wyjaśnił bardzo zadowolony z siebie T’lion. — Mieliliśmy jednak z Gaddim tyle zająć, że nie mogliśmy dokładnie skontrolować tego miejsca. Chyba dobrze się tam urządziłeś?

— Było mi wcale nieźle — odpowiedział Readis, uwaga ta miała na celu uspokojenie zatroskanej matki i równocześnie udowodnienie ojcu, że potrafił sobie poradzić w trudnych warunkach.

— Muszę bezstronnie przyznać — powiedział mistrz Idarolan — że potem Tillek spotkała się osobiście ze mną. Delfiny z Rajskiej Rzeki były bardzo zdenerwowane twoim zniknięciem.

— Stado Wschodnie usiłowało dowiedzieć się czegoś ode mnie — wtrącił T’lion. — Podobnie wypytywany był mistrz Persellan, przy okazji muszę ci powiedzieć, że już mi przebaczył.

— Ach, to dla mnie wielka ulga — stwierdził Readis.

— Tillek zapytywała, kiedy na morze powrócą delfiniarze, żeby pracować z jej stadami — ciągnął Idarolan. — Naturalnie poinformowałem o tym lorda Oterela... — i gestem wskazał na Lorda Włodarza.

— A ja zwróciłem się do T’bora z Wysokich Szczytów i on... — Oterel spojrział na Głównego Harfiarza.

— W ogóle nic nie wiedziałem na temat stad delfinów i dopiero kiedy Menolly opowiedziała mi trochę o nich — opowiadał Sebell — odbyłem spotkanie z Alemim. Powiedział mi o twoim zniknięciu i jego przyczynie. Rozmawiałem także z ...

— ...nami — Lessa włączyła się do wyjaśnień — ja z kolei pamiętałam wszystko, co mistrz Robinton powiedział mi na temat tych stworzeń — odwróciła się w kierunku D’rama.

— Przypomniałem sobie wszystkie taśmy z zamierzonych czasów pokazywane mi przez Assigi, kiedy istnieli tu jeszcze delfiniarze — powiedział stary komendant i wrzucił ramionami. — Potem Tillek popłynęła do Rajskiej Rzeki na rozmowę z twoimi rodzicami.

— Zapytała nas — wyjaśniał Jayge z lekkim zakłopotaniem patrząc na Araminę, która nerwowo skubała obrąbek bluzki, a Readis zauważył, że było to jej odświętne ubranie — czy



zgodzimy się, żebyś został delfiniarzem.

Readis zamienił się w słuch.

— Ta propozycja była dla nas zaszczytem — powiedziała cichym, niepewnym głosem matka, a potem spojrzała mu prosto w oczy. — Kiedyś już proszono mnie o przyjęcie zaszczytu... — rzuciła szybkie spojrzenie na Lessę — ...nie mogłam się zgodzić. Teraz nie chcę przeszkodzić ci w twoich dążeniach, Readisie.

— Dziękuję ci, mamó — szepnął, a uczucie ulgi i wielkiego szczęścia chwyciło go za gardło.

— Czeka cię jeszcze wiele nauki, zanim będziesz mógł stać się Starszym Cechu, młodzieńcze — powiedział mistrz Idarolan. — Jednak pięknie rozpocząłeś swoją karierę. Hmmm — chrząknął. — Tillek zamierza osobiście zająć się twoją nauką i właśnie z tego powodu odbyła tę daleką podróż ze swoich rodzinnych wód.

— Naprawdę ma taki zamiar? — Readis natychmiast zamknął usta, gdy zorientował się, że ze zdziwienia trzymał je szeroko otwarte.

— Nalegała na to — dodał z półuśmiechem Sebell. — Ona jest żyjącą kroniką całej historii delfinów, ich zwyczajów i wiedzy.

— Zauważyłem, że mówi najlepiej ze wszystkich delfinów, z jakimi kiedykolwiek rozmawiałem — dodał Readis.

— Twierdzi, że stale używa mowy, gdyż każdej wiosny musi powtarzać Słowo i Historię nowym pokoleniom delfinów, które pragną poddać się Egzaminowi. O ile wiem, młode delfiny muszą również przepłynąć przez wiry Wielkiej Otchłani.

Readis skinął głową, a po chwili cicho zapytał:

— Ja chyba nie będę musiał tego robić? To znaczy, chciałem powiedzieć, że jestem bardzo dobrym pływakiem, jednak...

Nie tylko Sebell wybuchnął śmiechem.

— Ona sama przygotowuje odpowiedni test, a tobie pragnę powiedzieć, że zdałeś już niezwykle ważny egzamin wstępny.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Dlatego właśnie przypląnęła z tobą do nas.

— Gdyby nie ona, to po prostu rozjechalibyście się do domów? — zdziwił się Readis.

— Nie, spotkalibyśmy się i zabrali ciebie do domu, młody człowieku — powiedział Alemi.

— Och!

— Słuchajcie — rzekła Menolly, podnosząc do góry rękę. — Słuchajcie!

— Czego mamy słuchać? — dopytywał się Idarolan, ale Sebell również uniósł dłoń i wszyscy się uciszeli. Nawet marynarze krzątający się przy takielunku i na pokładzie przerwali pracę, gdy do ich uszu dotarły dziwne, lecz niezwykle melodyjne dźwięki.

— Muzyka, ale skąd ona płynie? — zastanawiał się Sebell, rozglądając się wokół statku.

— Już ją kiedyś słyszałam — szepnęła Aramina do Jaygego i mocniej przytuliła się do niego. — Ale chyba nie jest zupełnie taka sama.

— Teraz nie jest to tak tęskny dźwięk — powiedziała Menolly, powoli odwracając się w stronę morza. I w tym momencie wszyscy obecni na pokładzie zobaczyli nadpływającą w podskokach grupę delfinów. Menolly gwałtownie odskoczyła do tyłu, przestraszona głośnym piskiem.

— Kapitanie, ta wielka też wraca — zawołał jeden z marynarzy pracujących przy olinowaniu, wskazując w kierunku morza. On też odruchowo odchylił się, gdy zobaczył Tillek wyskakującą ponad powierzchnię.

— Readisie — powiedziała po prostu, zanim znowu zanurkowała.

— Już idę — odparł i ruszył w kierunku relingu. Tam zatrzymał się, zdziwiony własną uległością i nie będąc pewny, czy wypada mu w taki sposób opuścić dostojne towarzystwo zebrane na pokładzie „Sióstr Jutrzenki”. Zapytał:

— Czy mam z nią popłynąć?  
— Gdy wzywa cię twój mistrz, chłopcze, to musisz iść! — powiedział Idarolan z przyjacielskim uśmiechem i lekko go popchnął w kierunku wody.  
— Zaopatrzenie dostarczymy ci do twoich jaskiń — zawołał w ślad za nim Alemi.  
— Dokładnie słuchaj i ucz się pilnie — dodał Sebell.  
— Jesteśmy z ciebie dumni, synku — krzyknął Jayge w momencie, gdy Readis przeskakiwał ponad relingiem. Starannie celował w wolne miejsce w wodzie, zrobione dla niego przez oczekujące delfiny.

## EPILOG

Jeźdźcy smoków pozostali jeszcze przez jakiś czas, rozmawiając o tym niezwykłym spotkaniu ludzi z delfinami i posiłając się skromnym posiłkiem przygotowanym przez mistrza Idarolana.

— Czasem wydaje mi się, że pędzimy do przodu z niewiarogodną szybkością — powiedziała Menolly. — Brakuje nam nawet czasu na spokojną refleksję. Ostatnio nastąpiło tyle wydarzeń!

Sebell skinął głową.

— I nie ma wolnej chwili na napisanie o tym pieśni — uśmiechnął się łagodnie do żony i gwałtownie uchylił się, gdy żartem zamierzyła się na niego.

— Ta melodia... — zastanawiała się Aramina, nachylając się do Menolly. — Ta pieśń, którą przed chwilą słyszeliśmy, gdzie się z nią zetknęłaś?

— Wydaje mi się, że usłyszałam ją kiedyś w nocy nad morzem i ... — Menolly przerwała marszcząc czoło. — W Rajskiej Rzece, kiedy uczyłam tam dzieci. Czy ty ją także słyszałaś?

— Tak — potwierdziła Aramina smutnym, zamyślonym tonem. — Zawsze sądziłam, że to sen, ale często, gdy nie spałam, docierała do mnie ta melodia.

— Aż trudno sobie wyobrazić, jak długo delfiny musiały czekać na powtórny kontakt z nami, i teraz dopiero możemy zrozumieć ogromny smutek tych stworzeń — stwierdził Sebell, obejmując swoją żonę silnym, opiekuńczym ramieniem.

— Smoki nie śpiewają, więc wiem, że to nie one były powodem narzekania Ramothy na tęskne melodie zakłócające jej sen — powiedziała Lessa. Potem niecierpliwie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do Araminy. — Teraz wszyscy już wiemy, że delfiny na Pernie mają do odegrania ważną rolę w kształtowaniu naszej przyszłości. I sądzę, że po zakończeniu oczekiwanego Przejścia, będzie to jeden z istotniejszych elementów tej przyszłości.

— Za szczęśliwy koniec Przejścia! — silnym głosem powiedział mistrz Idarolan, wznosząc w górę kieliszek.

I wszyscy obecni spełnili ten toast!

## PODZIĘKOWANIA

Pragnę ponownie wyrazić wdzięczność panu doktorowi Jackowi Cohenowi za utrzymanie mnie w granicach określonych przez fizykę newtonowską oraz zwyczajną ziemską biologię, jak również wspieranie, w miarę potrzeby, w wymyślaniu biologii panującej na planecie Pern.

Dziękuję także panu Rickowi Hobsonowi z Instytutu Ochrony Wielorybów w Lincoln w Stanie Massachusetts za przejrzenie materiału dotyczącego delfinów i ich zachowań. To dzięki niemu mogliśmy z moją córką poznać Afrodytę i jej syna Aj i pływać z nimi w Ośrodku Badań nad Delfinami w Grassy Key na Florydzie. Doświadczenia te zachowam na zawsze we wdzięcznej pamięci, jak również wizytę na pływającym pomoście, gdzie miałyśmy okazję podziwiać inne, „mówiące” do nas delfiny, które bawiły się w zalanych promieniami słońca wodach.

Ci, którym dane było pływać w Ośrodku Badań nad Delfinami, z pewnością poznają wiele imion użytych przeze mnie w tej książce. Ale dlaczego nie miałabym ich wykorzystać? Poznałam te delfiny i zyskałam ich przywiązanie. One spotykają wielu ludzi i szybko zapominają. Natomiast ja nie zapomnę ich nigdy!

W odległych czasach wraz z ludźmi przybyły na Pern inteligentne delfiny, by żyć w czystych wodach i pomagać osadnikom w zasiedlaniu planety. W ciągu wieków opadów Nici walczący o przeżycie ludzie zapomnieli jednak o dawnych przyjaciółach. Pewnego dnia delfiny ratują chłopca zaskoczonego na pełnym morzu przez sztorm. Wtedy to Perneńczycy odkrywają ze zdziwieniem, że zwierzęta te potrafią posługiwać się ludzką mową. Idea odnowienia przyjaźni z delfinami — jak za czasów pierwszych kolonistów ma jednak zagorzałych przeciwników...